

WARHAMMER
40,000

WILLIAM KING
KOSMICZNY
WILK



Spis treści

- Karta tytułowa

Oto świat...

- Prolog
- Rozdział 1
- Rozdział 2
- Rozdział 3
- Rozdział 4
- Rozdział 5
- Rozdział 6
- Rozdział 7
- Rozdział 8
- Rozdział 9
- Rozdział 10
- Rozdział 11
- Rozdział 12
- Rozdział 13
- Rozdział 14
- Rozdział 15
- Rozdział 16
- Rozdział 17
- Epilog



(Space wolf)



Przełożył: Marcin Roszkowski



Copernicus Corporation

2004

Oto świat Czterdziestego Pierwszego Tysiąclecia. Od ponad stu wieków Imperator zasiada na Złotym Tronie Ziemi. Dzięki swej boskiej woli włada ludzkością. Dzięki sile swoich niezwyciężonych zastępów włada milionami planet, jest gnijącym ciałem, utrzymywanym przy życiu dzięki mocy artefaktów pochodzących z Mrocznych Wieków Technologii. Jest Władcą Śmierci. Każdego dnia tysiące obywatele Imperium oddaje swe dusze w ofierze, by On mógł żyć wiecznie.

Zatrzymany między życiem i śmiercią, Imperator stoi wiecznie na straży ludzkości. Liczne floty okrętów kosmicznych przemierzają zamieszkane przez demoniczne istoty otchłanie Pustki, jedynej bramy między odległymi gwiazdami. Ich drogę oświetla Astronomican, psychiczna manifestacja woli Imperatora. Potężne armie na niezliczonej liczbie światów wznoszą broń w jego imieniu. Jego najwierniejszymi żołnierzami są Adeptus Astartes, Kosmiczni Marines, bioinżynierijnie modyfikowani nadludzie. Wspierają ich liczne legiony Gwardii Imperialnej, niezliczone regimenty i garnizony na planetach, wiecznie czujni śledczy Inkwizycji oraz Tech-Kapłani z Adeptus Mechanicus. Lecz jest ich wciąż zbyt mało, by zlikwidować stale obecne zagrożenie ze strony obcych ras, heretyków, mutantów... i jeszcze gorszych istot. Życie w tych czasach to zagubienie pośród miliardów ludzi. To życie w najokrutniejszym i najkrwawszym systemie politycznym, jaki kiedykolwiek istniał. Postuchajcie opowieści o tych czasach. Zapomnijcie o potędze technologii i nauki, gdyż tak wiele ich sekretów zostało na zawsze zapomnianych.

Zapomnijcie o obietnicach lepszego życia i rozwoju, gdyż w mrocznej przyszłości istnieje jedynie wojna. Pokój zniknął z tego świata. Jest tylko wieczna rzeź i wojna, którym towarzyszy rehot żądnych krwi bogów.



Prolog

Szturm na Hesperydę



Wszędzie wokół budynki płonęły, ale Ragnar nadal parł do przodu, nieustraszenie przedzierając się przez bitewny zamęt, raz po raz wykrzykując rozkazy swoim podkomendnym.

– Bracie Hrolf! Wystrzelcie natychmiast dwa pociski burzące w umocnienia przed nami! Reszta, przygotować się do szturm. Macie zaatakować, kiedy tylko drzwi zostaną wysadzone w powietrze!

Jego podwładni przyjęli rozkazy, a szum ich odpowiedzi wypełnił słuchawkę interkomu. Ragnar ruszył biegiem, oddalając się od zawałonej bramy, za gruzami której chronił się do tej pory. Dzięki temu przybliżył się o kolejne dwadzieścia metrów do celu. Promienie wrogich laserów zaczęły przecinać powietrze wokół niego, topiąc gruzy, jednak nawet biegnąc w zbroi energetycznej, Ragnar poruszał się zbyt szybko, aby można było go trafić. W końcu heretycy byli tylko ludźmi... Jednym susem dopadł do kupy gruzów i przycupnął za nią.

Ogłuszający huk ognia ciężkiej artylerii wypełnił powietrze. Gdzieś z oddali Ragnar wychwycił skowyt silników, kiedy Thunderhawki zaczęły obniżać pułap lotu. Ponad nim przetoczył się ryk, kiedy maszyny weszły w atmosferę z dolnej orbity okołoplanetarnej. Spojrzawszy w górę, Ragnar dostrzegł błyski ich silników przebijające

zasłone chmur, a po chwili same maszyny ukazały się w pełnej krasie. Z wyrzutni rakiet uczepionych ich skrzydeł odrywały się kolejne wiązki pocisków i pozostawiając za sobą smugi dymu, popędziły w stronę pozycji zajmowanych przez heretyków. Z precyzją płynącą z wiekowego doświadczenia Ragnar sprawdził swoją broń, pnem zaczerpnął tchu, zaczął odmawiać modlitwę do Imperatora i czekał.

Doskonale zdawał sobie sprawę ze wszystkiego, co się wokół niego działo. Rytm uderzeń jego głównego serca był równy i stały. Zadrapania i lekkie obrażenia, jakie odniósł od wybuchu szrapnela, zamykały się i goiły, podobnie jak bruzda, która otworzyła się na jego czole po uderzeniu małego odłamka. Jego zmysły były znacznie bardziej wyostrzone niż ludzkie, o czym Ragnar doskonale wiedział. Nadal pamiętał tę różnicę, wszak urodził się jako zwykły człowiek. Teraz dzięki nim miał zapewniony stały dopływ informacji z pola bitwy. Z łatwością wyczuwał uspokajający i dający poczucie pewności zapach swoich braci: mieszaninę woni utwardzanych ceramików, olejków, ciał zrodzonych na Fenrisie oraz tych delikatnych znaczników, które podpowiadały mu, że jego towarzysze, podobnie jak i on, nie są ludźmi. Wraz z nimi docierały do jego nosa zapachy gniewu, bólu i trzymanego w ryzach żelaznej woli strachu.

Ragnar sprawdził swój pancerz, aby upewnić się, że jego szczelność nie została naruszona. Tu i ówdzie można było dostrzec bruzdy po odłamkach, zwłaszcza w miejscu, gdzie szrapnel uderzył w utwardzaną, ceramiczną płytę. W dwóch kolejnych miejscach farba pokrywająca zbroję odprysnęła, był to niezawodny znak, że wrogie lasery zdołały go trafić. Także naramiennik nosił ślady po trafieniu

pociskiem z pistoletu raketowego, jednak i to nie zdołało uszkodzić pancerza. Serwomotory, które zasilają broń energetyczną, pracowały z wydajnością sięgającą 75%, oszczędzając energię poprzez wyłączenie niepotrzebnych w tej chwili systemów. Wbudowane czujniki informowały z kolei o tym, że w powietrzu znajdują się śladowe ilości gazów bojowych i neurotoksyn, których heretycy użyli w trakcie swego niespodziewanego ataku na siły lojalistów, kiedy rozpoczęła się rebelia.

Dzięki niech będą Russowi, że nie ma się czym tak naprawdę martwić – pomyślał Ragnar. Praktycznie nie potrzebował w tej chwili zdolności do wchłaniania trucizn, którą charakteryzowało się jego ciało. Ragnar miał już okazję zetknąć się z takimi środkami, które wywoływały potworne bóle głowy, niekontrolowane skurcze mięśni i oszołomienie, kiedy jego ciało dostosowywało się do ich obecności. Te jednak, które teraz unosiły się w powietrzu, nie miały takiej siły. Sytuacja przedstawiała się całkiem dobrze. Prawdę powiedziawszy, Ragnar cieszył się, że wreszcie znalazł się w ogniu walki. Po miesiącu spędzonym na medytacji w swojej celi w fortecy Zakonu, Kle, oraz tygodniu na pokładzie krążownika gwiazdowego, który transportował ich na tę mizerną wojenkę, wreszcie miał okazję, aby rozprostować kości i walczyć. Nie było się zresztą czemu dziwić. Walka stanowiła sens jego życia, cel, dla którego go stworzono i trenowano. Ostatecznie należał do kapituły Kosmicznych Wilków, elitarnej jednostki Kosmicznych Marines. Czego mógłby więcej żądać od życia? W dłoni dzierżył karabin raketowy z magazynkiem pełnym amunicji, a przed sobą miał wrogów Imperium. Dla Kosmicznego Wilka nie było

większej rozkoszy niż walka i możliwość zakończenia heretyckich żywotów tych, którzy ośmielili się zdradzić Imperatora.

Gruzowisko za jego plecami zatrzęsło się niespodziewanie. Ktoś musiał trafić w nie ciężkim pociskiem, być może był to granat lub seria z ciężkiego karabinu raketowego. Ragnar nie przejął się tym zbyt, z doświadczenia wiedząc, że beton wzmocniony stalowymi prętami wytrzyma takie uderzenie. Zamiast rozmyślać o otaczających go ruinach, skoncentrował się na odczytach z chronometru, które wyświetlane były przez przyrządy optyczne jego hełmu. Minęła już minuta i cztery sekundy, odkąd wydał rozkaz bratu Hrolfowi. Dotarcie na pozycję, z której będą mogli prowadzić skuteczny ostrzał, zajmie im zapewne dwie minuty, plus dziesięć sekund na zgranie koordynat i odpalenie pocisków. To dawało aż nadto czasu reszcie oddziału, aby mogli się przegrupować i przygotować do ataku. Kiedy to nastąpi, heretycy nie będą mieli żadnych szans na skuteczną obronę, chyba że chowają w zanadrzu jakąś broń, której jeszcze nie użyli.

Wrogi dowódca musiał dość do takiego samego wniosku, Bowiem Ragnar usłyszał zupełnie nowy odgłos. Z oddali z narastającym terkotem zbliżał się jakiś pojazd. Bez wątpienia musiał należeć do buntowników, ponieważ siły pancerne wierne Imperatorowi jeszcze nie wylądowały na planecie. Na jej powierzchni operowały na razie Kosmiczne Wilki, stanowiące szpice sil lojalistów. Było zatem za wcześnie, aby czołgi Imperium mogły pojawić się w pobliżu. Logicznym wnioskiem było zatem, że jakikolwiek wehikuł nadszedł w ich stronę, nie należał do sojuszników. Wywołanie przez interkom

potwierdziło przypuszczenia Ragnar.

– + Oddział Ragnar. Wrogi czołg klasy Predator zbliża się do waszych pozycji. Potrzebujecie wsparcia? Bez odbioru. +

Ragnar zastanawiał się przez chwilę. W obecnej sytuacji wsparcie Thunderhawka było zapewne potrzebne gdzieś indziej, gdzie trwał szturm na znacznie lepiej ufortyfikowanych heretyków. Bracia potrzebowali tam wsparcia bardziej niż on i jego podwładni. Jeden czołg nie stanowił aż tak poważnego zagrożenia, aby wzywać pomoc.

– + Tu Ragnar. Odpowiedź negatywna. Sami damy sobie radę z Predatorem. Bez odbioru. +

– + Wiadomość otrzymana i zrozumiana. Niech Imperator czuwa nad wami. Bez odbioru. +

Ragnar myślał. Wyraźnie słyszał nadjeżdżający czołg, a w nozdrza gryzł go odór spalin. Miażdżony gruz trzaskał pod masywnymi gaśnicami, kiedy pojazd pokonywał kolejne metry. Oddział brata Hrolfa uzbrojony w broń ciężką mógł go zniszczyć bez trudu, ale to oznaczałoby odwołanie ostrzału bunkra i kolejne przemieszczenie drużyny wsparcia. Ragnar nie sądził, żeby to było konieczne. Bez wątplenia był w stanie samodzielnie poradzić sobie z jednym czołgiem.

Szybko sprawdził zawartość swojego pasa. Każdy z jego elementów był na swoim miejscu: fiołki środków farmakologicznych; podajnik granatów, narzędzia naprawcze. Uderzywszy w przycisk podajnika, chwycił mocno w dłoń granat burzący, który z niego wyskoczył. Ta broń powinna wystarczyć do zniszczenia czołgu. Wyjrząwszy zza osłaniającej go kupy gruzu, dostrzegł długą lufę Predatora

wyłaniającą się zza rogu. Chwilę później machina ukazała się w całej swojej krasie. Był to standardowy pojazd, jakich używają siły imperialne, jednak oznaczenia Imperium, armii i oddziału zostały zastąpione plamami czerwonej farby i odręcznie namalowaną, ośmioramienną żółtą ikoną Chaosu. Ragnar aż zawarczał, odsłaniając długie kły, kiedy ujrzał znienawidzony emblemat. To był symbol wyznawców diabła, którzy pragnęli zniszczyć wszystko to, co dobre i sprawiedliwe, czego za cenę własnego życia poprzysiągł bronić Ragnar. Sam widok znienawidzonego symbolu sprawił, że w jego sercu rozgorzała zwierzęca nienawiść, będąca częścią jego wilczej natury.

Ragnar podniósł się z ziemi, oceniając wprawnym okiem odległość dzielącą go od czołgu. Nie więcej niż sto metrów – pomyślał. Pojazd zbliżał się jednak nieustępliwie, a karabiny raketowe przymocowane do wieżyczki zaczęły się obracać w jego stronę. Jego kryjówka została dostrzeżona, a on sam stał się celem ataku. Ragnar nie przejął się tym jednak i zdecydował, że czas atakować.

Serwomotory jego zbroi zawyły, kiedy ruszył biegiem w kierunku czołgu. Po raz kolejny błyski laserów zaczęły wykwitać wokół niego, ale zgodnie z oczekiwaniami Ragnara strzelcy byli zbyt zaskoczeni nagłym atakiem, aby dokładnie wycelować. Podobnie załoga czołgu nie mogła uwierzyć własnym oczom. Pociski rozrywały się wokół jego głowy i strzelcy musieli już dawno uznać go za martwego, ponieważ teraz nie poświęcali mu już zbytnej uwagi. Ragnar obiecał sobie, że drogo zapłacą za ten błąd. Lekcja, w trakcie której nauczą się, że synowie Lemana Russa są trudni do powalenia, będzie krótka,

krwawa i bolesna.

Ragnar był już blisko czołgu i choć niejednokrotnie maszerował u boku podobnych maszyn, lub uczepony pancerza jechał do bitwy, był zaskoczony jego wielkością. Uśmiechnął się jednak, uznając, że rozmiar nie ma znaczenia. Każda walka z takim potworem była inna niż poprzednia. Odległość pomiędzy Ragnarem a czołgiem ustawicznie się zmniejszała. Powietrze dudniło i drżało od hałasu, z jakim pracował silnik czołgu. Kłęby spalin wdzierały się w nozdrza, błyski laserów przelatowały niepokojąco blisko stóp biegnącego.

W ostatniej chwili Ragnar skręcił w prawo, chowając się przed strzałami heretyków za masywną bryłą czołgu. Jednym płynnym ruchem wsadził granat pomiędzy obracające się koła a gąsienice. Wybuch miał nastąpić za trzy sekundy. Czasu było dość, żeby przyłożyć kolejny ładunek.

Kiedy granaty wybuchły, setki metalowych części pofrunęło dookoła. Z silnika zaczęło dobywać się rżenie, kiedy wytwarzana przez niego moc nie mogła znaleźć ujścia. Sporych rozmiarów fragment gąsienicy przeleciał tuż obok głowy Ragnara. Tylko jego nadzwyczaj czułe zmysły i spotęgowana bitewną ekstazą, nadludzka sprawność pozwoliły mu uchylić się przed szybującym z ogromną prędkością kawałem stali. Gdyby go trafił, na nic zdałaby się siła i odporność jego organizmu, czy też wytrzymałość zbroi energetycznej. Rozpędzone żelastwo pozbawiłoby go głowy, zabijając na miejscu.

Pozbawiony jednej z gąsienic Predator zaczął obracać się wokół własnej osi, niczym przyszpilony do ziemi żuk. Mechanizm nieuszkodzonej części jezdnej pracował nadal, ale zamiast popychać

pojazd do przodu, obracał go jedynie raz za razem. Ragnar pozwolił sobie na uśmiech satysfakcji. Wieżyczka dopiero teraz zaczęła ponownie namierzać resztę jego oddziału, co dawało mu sporo czasu na przeprowadzenie drugiej fazy ataku na czołg.

Jednym potężnym susem wylądował na osłonie gąsienic. Jego ciężkie buty z donośnym hukiem dotknęły pancerza. Modląc się do Russa, Ragnar popędził do przodu, mając nadzieję, że nikt wewnątrz czołgu nie zdołał zorientować się, o co mu chodzi. Spod pancerza dochodziły spanikowane krzyki i chaotycznie wydawane rozkazy, co utwierdzało Ragnara w przekonaniu, że załoga pojazdu zupełnie pogubiła się w sytuacji. To dobrze. Nawet się nie zorientują, co ich zabiło. Zbliżywszy się do wieżyczki czołgu, Ragnar stwierdził, że właz wejściowy jest zamknięty na głucho. Szkoda – pomyślał, choć z drugiej strony nie spodziewał się, żeby mogło być inaczej. Żaden dowódca nie dopuściłby się aż takiej lekkomyślności, walcząc na bliski dystans w ruinach miasta. Jednak dowódca tego pojazdu popełnił fatalny błąd: czołg pozostawiony bez osłony otaczającej go piechoty był łatwym celem nawet dla pojedynczego żołnierza. Plan, który obecnie realizował Ragnar, byłby znacznie trudniejszy do wykonania, gdyby Predator miał osłonę piechoty. Najprawdopodobniej czołg przybył na pomoc kamratom najszybciej, jak to było możliwe, ponaglany błaganiami obrońców bunkra. Dobrze, zatem jeszcze więcej heretyków zapłaci za swoją zradę.

Sięgnął obiema dłońmi i uchwycił rączkę znajdującą się na zamykającej wejście do wieżyczki czołgu pokrywce. Napiąwszy swoje genetycznie usprawnione mięśnie, pociągnął do siebie z całej siły, ale

stal nie drgnęła ani o milimetr. Ragnar nie poddał się jednak i kierując coraz większą moc pancerza w silniki umieszczone na ramionach, ciągnął z całych sił, nie przerywając nawet wtedy, kiedy kontrolki alarmowe zaczęły się żarzyć ostrzegawczą czerwienią. Wreszcie metal poddany straszliwym naprężeniom poddał się z przeraźliwym zgrzytem i zaczął się odginać, z początku wolno, później coraz szybciej. W końcu pancerz czołgu nie wytrzymał naporu brutalnej siły i gwałtownie puścił. Mało brakowało, a Ragnar poleciałby do tyłu, kiedy wreszcie zerwał zamykającą wejście do pojazdu klapę.

Z wnętrza czołgu buchnęło zatęchłe, śmierdzące powietrze, w którym Ragnar bez trudu rozpoznał woń przebrzydłej mutacji. Ci heretycy rzeczywiście zapłacili wysoką cenę za łaskę mrocznych bogów. Odrzuciwszy precz pokrywę wjazdu, nacisnął przycisk podajnika granatów i chwycił wyskakujący z niego pocisk odłamkowy. Rzucił szybkie spojrzenie do wnętrza pojazdu, skąd zaskoczeni heretycy spoglądali na niego w osłupieniu. Ciało jednego z nich pokryte było olbrzymimi brodawkami, z których wyzierały przekrwione gałki oczne. Drugi sprawiał wrażenie, jakby stopił się w sobie niczym świeca. Dla Ragnara było jasne, że wygląd owych heretyków był niczym innym jak odzwierciedleniem ich pragnień, charakterów i spaczenia, które doprowadziło ich do wyznawania zakazanych bogów.

Jeden z mutantów sięgnął do kabury, w której tkwił pistolet. Z panicznego wyrazu jego twarzy Ragnar wyczytał, że heretyk domyśla się, co ma za chwilę nastąpić. Z uśmiechem satysfakcji cisnął granat

do wnętrza czołgu, a potem odskoczył do tyłu. Lecąc w powietrzu, wydobył kolejny pocisk i z niezawodną precyzją rzucił go w ślad za pierwszym w otwór na szczycie wieżyczki pojazdu. Istniała szansa, że któryś z heretyków odnajdzie pierwszy granat i wyrzuci go na zewnątrz. Z dwoma ta sztuczka na pewno się nie uda...

Czołg w dalszym ciągu kręcił się w miejscu, zasłaniając Ragnara przed ogniem heretyków, którzy nadal kryli się w bunkrze. Awaryjne wyjście na jednej z burt otworzyło się nagle, kiedy ktoś z załogi zorientował się, jaki los go czeka, jeśli pozostanie wewnątrz pojazdu i desperacko usiłował uciec, zanim stanie się on jego grobem. Jednym silnym ciosem Ragnar zamknął uchylający się właz, a potem odskoczył do tyłu, kiedy dwie potężne eksplozje wstrząsnęły dogorywającym Predatorem. Fontanna krwi i poszarpanego ciała chlusnęła z otwartej wieżyczki, a Ragnar kilkoma susami wskoczył za jakieś gruzowisko, wiedząc, iż jest aż nadto prawdopodobne, że silniki czołgu za chwilę wybuchną.

Szcęście mu jednak dopisywało i żaden z obrońców bunkra nie zdążył oddać do niego ani jednego strzału, nim znalazł się za gruzowiskiem, które wcześniej udzieliło mu schronienia. Heretycy musieli być aż zbyt wstrząśnięci losem swoich towarzyszy z czołgu, aby strzelać, kiedy biegł w kierunku osłony. Części pancerza i silnika wyrzucone w górę siłą eksplozji opadały wokół niczym grad stali, a ku niebiosom wzbijały się kłęby gęstego, czarnego dymu.

Nie minęło pięć sekund, a do uszu Ragnara dotarł odgłos kolejnej eksplozji. Bez wątpienia granatniki oddziału brata Hrolfa rozerwały na strzępy wejście do heretyckich umocnień. Ragnar ponownie ruszył

przed siebie, zauważając z zadowoleniem, że faktycznie nic nie pozostało z ceramicznych płyt, stanowiących do tej pory drzwi do bunkra. Szare sylwetki Kosmicznych Wilków otaczały teraz gruzowisko, szykując się do decydującego natarcia. Brat Snagga przypadł do ziemi i przez otwór strzelniczy wrzucił do środka kilka miniaturowych granatów. Chwilę później z wnętrza dobiegły odgłosy eksplozji, krzyki rannych i rżenie umierających. W ciągu kilku następnych sekund dwóch spośród kosmicznych Wilków wdarło się do środka, a odgłosy strzałów powiedziały Ragnarowi, że żaden heretyk we wnętrzu bunkra już nie żyje.

Pozwolił sobie na pełen satysfakcji uśmiech, który odsłonił jego długie kły. Błysk radości zagościł na chwilę w podobnych wilczym, żółtych ślepiach. Kolejne zwycięstwo należało do niego. W tej samej chwili dostrzegł błysk światła, które padło na jakąś wypolerowaną powierzchnię. Instynktownie rzucił się na ziemię, ale było już za późno. Kiedy leciał przed siebie, napędzana raketowo kula snajpera, specjalnie przygotowana do przebijania twardych pancerzy, takich jako jego zbroja energetyczna, uderzyła w cel. To nagłe, niespodziewane poruszenie dało jednak Ragnarowi szansę. Pocisk, zamiast przebić serce, eksplodował w mięśniach jego klatki piersiowej. Ból przeszył wszystkie nerwy ciała Kosmicznego Wilka, kiedy ten tracąc przytomność opadał w dół ku otchłaniam cierpienia.



– Nie martwcie się, bracie Ragnarze – usłyszał dobiegający jakby z oddali głos. – Nic wam nie będzie.

Ragnar zastanawiał się, czy nie jest już jednak za późno. Głosy dobiegały jakby z głębin przepastnej studni, a on sam miał wrażenie, jakby spadał w dół do zamarzniętych piekieł rodem z wierzeń swego ludu. Tam czekali na niego rodzice, przyjaciele, a także wrogowie, których własnoręcznie tam wysłał. Dziwna była mu myśl, że ma umrzeć tak daleko od domu i tak długo po tym, jak przypuszczał, że było mu pisane. Nie obawiał się jednak uczucia, którego teraz doświadczał, gdyż zdołał je poznać już wcześniej. Nie umierał po raz pierwszy.

Lodowaty spokój ogarnął jego duszę. Wspomnienia napływały, a umysł powrócił przez stulecia do początków jego życia.



Rozdział 1

MORZE SMOKÓW



– Wszyscy zginiemy! – krzyknął Yorvik Harpunnik, rozglądając się wokół oczyma rozszerzonymi od nieopisanego strachu. Błyskawica, która przecięła ciemne niebo Fenrisa, tylko uwypukliła wyraz udręki na jego twarzy. Strach sprawił, że jego przeraźliwy krzyk przedarł się nawet przez wycie wichru, dudniący grom i szum fal uderzających z wściekłością o burty statku. Spływające po jego policzkach krople deszczu dziwnie przypominały lzy.

– Zamknij się! – wrzasnął Ragnar i z całej siły zdzielił go w twarz. Zszokowany tym, że młodzik, który ledwie zapuścił brodę, potraktował go w ten sposób, Yorvik chwycił za topór, całkowicie zapominając o strachu. Ragnar w odpowiedzi wyszczerzył tylko zęby i pokręcił lekko głową, spoglądając na starszego od siebie mężczyznę z hardością wyzierającą z szarych oczu. Yorvik opamiętał się natychmiast, przypominając sobie, gdzie jest i z kim ma do czynienia. Obserwowała ich cała załoga statku i gdyby zaatakował teraz syna kapitana, nie zaskarbiłby sobie tym przychylności ani towarzyszy, ani bogów. Policzki Yorvika zapłonęły rumieńcem, a Ragnar odwrócił wzrok, nie chcąc jeszcze bardziej ośmieszać mężczyzny.

Spoglądając w inną stronę, potrząsnął głową, odgarniając wpadające do oczu kosmyki. Fale przewalały się to w jedną, to w

drugą stronę i w duchu Ragnar przyznawał rację wykrzyczanym w strachu słowom Yorvika. Bez dwóch zdań zginą, chyba że wydarzy się jakiś cud. Ragnar wypływał na morze, odkąd nauczył się chodzić i nigdy dotąd nie widział tak straszliwej burzy jak ta.

Było południe, . ile zasnuwające niebo czarne chmury sprawiły, że wokół było ciemno jak w nocy. Raz po raz twarz Ragnara opryskiwały fontanny wody, kiedy dziób statku z trudem przecinał kolejne fale. Poszycie burt jęczało za każdym razem, kiedy potężna masa wody uderzała w nie niczym taran, a wręgi trzeszczały, jakby za chwilę miały pęknąć. Pokład ustawicznie tańczył pod stopami żeglarzy, a brzmiały jak wycie demonów wichry dąły niestrudzenie. Zatoniecie statku było tylko kwestą czasu, a jedyną rzeczą, nad którą można się było teraz zastanawiać, to czy „Włócznia Russa” pójdzie na dno za sprawą fali, która roztrzaska statek w drzazgi, czy też może zerwie się smocza skóra stanowiąca poszycie dna i okręt po prostu zatoni.

Ragnar wzdrygnął się mimowolnie i musiał sam przed sobą przyznać, że zrobił to nie tylko z powodu zimna i przemoczonego odzienia. Dla niego i jego ludu utonięcie było najgorszym rodzajem śmierci, jaka może spotkać człowieka. Jeżeli tak się stanie, czeka go wieczność w zimnym piekle, gdzie jego dusza będzie musiała służyć demonom kryjącym się pod falami. Nie zajmie miejsca pomiędzy Wybrańcami. Nie wejdzie na Górę Bogów, do Komnat Bohaterów, gdyż takiego zaszczytu mogli dostąpić jedynie ci, którzy odeszli śmiercią herosów, z mieczem lub włócznią w dłoni.

Spojrząwszy na ciągle zalewany wodą pokład, Ragnar dostrzegł potężne sylwetki wojowników, których trapił ten sam strach co i jego,

choć podobnie jak on starannie ukrywali swoje uczucia. Na ich bladych obliczach malowało się napięcie, w każdej parze błękitnych oczu widział odbicie tego samego niepokoju. Pozlepiane od deszczu włosy, przemoczone płaszcze ze skóry smoków i opuszczone z rezygnacją ramiona nadawały im żałosny widok. Obok każdego z nich leżała bezużyteczna w tej chwili broń, która nie mogła ich uratować przed niszczycielską siłą żywiołu, zagrażającego ich żywotom.

Wicher zawył niczym wilki Asaheim, a statek spadł na następną falę. Jego smoczy kiel, który zwykle służył jako taran, ciął wodę. Ponad nim na maszcie żagle walczyły z łopoczącym nimi wichrem. Ragnar był zadowolony, że zrobiono je, podobnie ja większość morskiego ekwipunku, z wyprawionej smoczej skóry. Nic innego nie byłoby w stanie wytrzymać niszczycielskiej siły sztormu. Ponad nimi uniosła się kolejna niebotyczna ściana wody. Z jakiegoś powodu Ragnar był przekonany, że jej uderzenia „Włócznia Russa” już nie wytrzyma.

Rozzłoszczony i pełen żalu chłopak szpetnie zaklął. Miał wrażenie, że jego krótkie życie skończyło się, nim miało szansę na dobre się rozpocząć. Nie dożyje następnej wiosny, kiedy to osiągnąłby wreszcie wiek męski. Chciał ponownie zakląć, ale głos mu się załamał, kiedy w końcu pogodził się z tym, że jest skazany na śmierć pośród fal. Rozejrzał się desperacko, szukając śladu drugiego statku, należącego do jego krewnych, ale nie było go nigdzie widać. Zapewne poszedł na dno, jego załoga utonęła, a ciała żeglarzy staną się pokarmem dla morskich smoków lub krakena, zaś dusze po wieczne czasy służyć będą morskim demonom.

Ponownie rozejrzał się wokoło, spoglądając gniewnie ku człowiekowi, który sprowadził na nich tak okrutny i zły los. Odrobinę satysfakcji dawał Ragnarowi fakt, że jeśli oni zginą, to wraz z nimi pójdzie na dno i ów tajemniczy mężczyzna. Chyba że jest czarnoksiężnikiem lub jednym z morskich demonów, które wabiły żeglarzy w objęcia śmiercionośnych odmętów. Kiedy teraz spoglądał na tego dziwnego starca, wydawało mu się, że ten dumnie trzymający się człowiek, nie okazujący nawet cienia strachu, rzeczywiście może być jakimś przyobleczonej w ludzkie kształty diabłem.

Było w nim coś bardzo dziwnego. Mówił z warczącym, gardłowym akcentem. Mimo że siwizna przyprószyła już jego skronie, wyglądał na silnego wojownika, a równowagę na kołyszącym się szaleńczo pokładzie utrzymywał lepiej niż niejeden z doświadczonych marynarzy, liczących sobie o połowę mniej lat niż on. Ragnar od początku wiedział, że starzec musi być czarnoksiężnikiem. Któż inny nosiłby na ramionach płaszcz z wilczych skór i odziewał się w dziwną, metalową zbroję, okrywającą ciało od stóp do głów? Któż inny nosiłby tyle amuletów i kto byłby w stanie zaoferować ojcu i jego krajanom tyle cennego żelaza, że zgodzili się przepłynąć przez Morze Smoków, zwłaszcza teraz, w Porze Burz?

Ragnar dostrzegł, że nieznajomy na coś wskazuje. Czy to jakaś czarnoksiężska sztuczka, czy może rzucał jakiś czar? Ragnar odwrócił się plecami do starca i zamarł ze strachu. Błyskawica ponownie rozświetliła niebo i w jej blasku wyraźnie można było dostrzec olbrzymi, trójkątny łeb, który wychynął z fal tuż przy burcie statku, zupełnie jakby przyzwał go czarnoksiężnik. Pysk wypełniony

zębiskami wielkości sztyletów przez chwilę zwiślał tuż nad pokładem, a potem opuścił się jeszcze bardziej na długiej, giętkiej szyi, gdy gad poszukiwał ofiary. Nie można było nie rozpoznać tego potwora: był to morski smok, dorosły i wielki niczym cały okręt. Burza zbudziła go i wygnała z głębin. Grom ponownie przetoczył się przez zachmurzone niebo, gdy śmierć uderzyła dosłownie na wyciągnięcie ramienia od Ragnara. Wicher zawirował jeszcze mocniej, kiedy ogromny pysk uderzył w pokład, zamykając szczęki na Yorviku. Kły przebiły skórzaną tunikę niczym pergamin, kości nieszczęśnika pękły z trzaskiem, a z pyska potwora trysnęła krew. Wrzeszczący Yorvik został uniesiony do góry, a z jego przeraźliwie trzepoczących rąk wypadł harpun. Ragnar uśmiechnął się pod nosem. Zawsze wiedział, że Yorvik jest nic nie wartym tchórzem, a teraz miał przed oczyma niezbity dowód. Spędzi resztę wieczności w zamarzniętych piekłach Frostheim. Smok rozgryzł ciało wyjącego jeszcze człowieka, po czym połknął świeże mięso. Resztki, które wysunęły się z jego pyska, spadły tuż obok Ragnara, ale kolejna fala obmyła go z krwi.

Wojownicy poderwali się ze swoich miejsc, chwytając za broń. Włócznie i topory uniosły się, gotowe do zadania ciosu. Ragnar widział zadowolenie malujące się na twarzach towarzyszy. Oto czekała ich szybka i bohaterska śmierć w starciu z ogromnym potworem z głębin. Dla większości z nich był to nieomylny znak, że Russ wysłuchał ich rozpaczliwych modlitw i przysłał smoka, aby zbawił jego wybranych przed śmiercią niegodną mężczyzny.

Gigantyczny łeb po raz kolejny zaczął opadać w stronę pokładu, a na jego widok kilku spośród wojowników rodu Gromowych Pięści

zamarło. Bestia, która zdawała się lubować w zabijaniu tchórzy, uderzyła w nich, rozrywając dwóch na strzępy potężnymi kłami. Inni krewniacy nie czekali, aż smok ponownie zaatakuje i zaczęli zadawać ciosy. Nie zdały się one jednak na zbyt wiele: topory odbijały się od twardych łusek, kilka włóczyń udało się przebić skórę, ale potwór nie zwracał na nie większej uwagi niż człowiek na brzęczenie natrętnej muchy. Ból, który poczuł, sprawił jedynie, że z jego trzewi dobył się głuchy warkot wściekłości.

Smok rozwarł pysk i wydał z siebie ryk, który zdołał na chwilę zagłuszyć szum fal i sprawił, że wojownicy zamarli, jakby pod wpływem czarnoksiężskiego zaklęcia. Bestia wynurzyła się z wody jeszcze bardziej i zatrzymała przez chwilę nad pokładem. Ragnar wiedział, że wystarczyłoby, aby opadła na łódź, a „Włócznia Russa” pękłaby jak skorupka jajka.

Coś nagle zmieniło się w jego sercu. Cała złość na sztorm, bogów, tego straszliwego potwora i tchórzliwych towarzyszy przelała czarę goryczy. Sięgnął w dół i podniósł z pokładu upuszczony przez Yorvika harpun. Nie przymierzając ani nie zastanawiając się nad tym, co właściwie robi, cisnął nim w stronę oczu smoka. To był dobry rzut. Zakończony kościanym grotem drzewce trafiło prosto w cel i zatopiło się w ślepiu bestii aż po poprzeczkę.

Raniony stwór wyprostował się na całą wysokość, wydając z siebie ryk wściekłości i bólu. Ragnar miał wrażenie, że ogłuchnie od tego skowytu. Teraz na pewno zginą, zmiecieni z pokładu w odmęty morza. Rozwścieczony potwór zniszczy statek, a potem wymorduje żeglarzy co do jednego. Nagle, ku swemu całkowitemu zaskoczeniu,

Ragnar usłyszał huk dochodzący od strony rufy. Zaryzykowałszy jedno szybkie spojrzenie, dostrzegł źródło tego hałasu.

Starzec, który do tej pory siedział spokojnie, wydobył spod okrywających go wilczych futer jakiś masywny, metalowy talizman i wycelował nim w bestię. Z okrągłego otworu na końcu tego dziwnego magicznego przedmiotu błysnął ogień, a jednocześnie do uszu Ragnara dobiegł potworny huk. Spojrzał ponownie na smoka i dostrzegł, że na ciele bestii pojawiły się rany, niezawodny ślad potęgi czarów nieznajomego. Potwór zaryczał raz jeszcze, a starzec uniósł swój talizman jeszcze wyżej. Rozległ się kolejny huk, a w dolnej szczęce smoka pojawiła się ogromna dziura. Chwilę później sklepienie czaszki bestii eksplodowało, a potwór odchylił się do tyłu i runął w fale, by utonąć w nich na wieki.

Nieznajomy odchylił głowę i roześmiał się w głos. Jego rechot zlał się z odgłosami burzy, a Ragnar poczuł, że trzęsie się ze strachu. Wyraźnie dostrzegł dwa wielkie kły wyrastające ze szczęki nieznajomego. Starzec był naznaczony znamieniem Russa! W jego żyłach płynęła zatem krew bogów. Zaiste, na pokładzie statku jego ojca płynął potężny czarnoksiężnik!

Schyliwszy się dla lepszego utrzymania równowagi, Ragnar ruszył ku rufie statku. Przewalające się raz po raz przez pokład fale moczyły go coraz bardziej. Oblizwał usta i poczuł smak soli. Kiedy przechodził obok nieznajomego, który ponownie zajął swoje miejsce na siedzisku, ogromna fala spadła na statek. Tysiące litrów wody uderzyło w pokład, a siła fali uniosła Ragnara do góry. Nie wiedział, gdzie jest ani w którą stronę odpływa. Koziółkując bezwładnie w wodzie, zdał

sobie sprawę, że niechybnie umrze w odmętach morza.

Aż zawarczał z wściekłości. Czy po to przeżył spotkanie ze smokiem morskim, aby teraz porwały go demony głębin? Nagle mocarne niczym stal palce chwyciły go za nadgarstek. Ich niesamowita siła była zdolna przeciwstawić się potędze morza. Nagle otaczająca go woda zniknęła, kiedy fala cofnęła się. Ragnar opadł na deski pokładu, ocalony przez starca.

– Uważaj na siebie, chłopcze – powiedział nieznajomy. – Nie jest moim przeznaczeniem umrzeć tutaj, podobnie jak i twoim, jak sądzę.

Wypowiedziawszy te słowa, odwrócił się i ruszył w kierunku dziobu statku. Gdy dotarł na miejsce, stanął bez ruchu, wpatrując się w horyzont, niczym jakiś starożytny bóg mórz. Przepełniony zabobonnym strachem Ragnar szybko podszedł do ojca, który stał u steru. Spojrzał na jego twarz i dostrzegł na niej wyraz zrozumienia.

– Widziałem, synu! – powiedział, przekrzykując ryk sztormu. Ragnar wiedział, że nic więcej nie trzeba dodawać.



Zdawać by się mogło, że śmierć morskiego smoka przerwała jakiś zły czar. Sztorm zaczął się z wolna wyciszać, a po kilku godzinach morze zrobiło się gładkie i spokojne. Jedynymi odgłosami, jakie docierały do uszu podróżników, był chłupot niewielkich fal o burty, plusk to wynurzających się, to opadających w wodę wiosł i bicie bębna podającego wiosłarzom rytm.

Nieznajomy cały czas stał na dziobie, jakby strzegąc okrętu przed demonami morza. Raz po raz rozglądał się po horyzoncie, osłaniając oczy potężną dłonią i szukając czegoś, co tylko on mógł dostrzec. Ponad nimi świeciło słońce, które dawno już przestało być niewielką, świetlistą kulą, ledwie dostrzegalną na zimowym nieboskłonie. Teraz zamieniło się w ogromną, błyszczącą sferę, która zajmowała prawie pół nieba. Oko Russa uważnie obserwowało jego wybrańców, zaciekawione, w jaki sposób dadzą sobie radę z trudnościami pory letniej. Było już tak ciepło, że woda, która do niedawna przesiąkała przez deski pokładu, teraz całkiem wyparowała.

Wojownicy siedzieli w ciszy. Byli zbyt przejęci tym, czego niedawno doświadczyli. Normalnie pokład rozbrzmiewałby rozmowami, wybuchami śmiechu i przechwałkami ludzi, którzy właśnie uszli cało z niebezpieczeństwa. Teraz zamiast pieśni i gwaru panowała cisza. Nawet ojciec Ragnar nie wydał zwyczajowej po takiej przygodzie dodatkowej porcji grogu. „Włócznią Russa” zawładnął nabożny spokój, bliższy jednak grozie niż świętości.

Ragnar doskonale rozumiał nastrój, który panował na pokładzie. Wszyscy przecież widzieli, jak nieznajomy poraził smoka siłą swoich czarów. Jednym ruchem ręki pokonał najgroźniejszego z morskich biesów, a samo spojrzenie starca wystarczyło, aby uspokoić rozszalały sztorm. Czy było coś, czego ten człowiek nie mógł dokonać?

Tutaj jednak zaczynały się rodzić pytania. Skoro starzec był tak potężny, jak się zdawało, to dlaczego wynajął statek, płacąc zań dobrym żelazem i obiecując go jeszcze więcej, kiedy dotrą na miejsce? Czemu nie odwołał się do swoich czarnoksięskich mocy? Z

pewnością znając tajemnicę run mógłby przywołać podniebny żaglowiec albo uskrzydłonego wilka. A może za tą podróżą krył się jakiś złowrogi sekret?

Ragnar odegnał od siebie tę myśl. Zapewne czarnoksiężnik popadł w spór z duchami burzy i dlatego nie mógł latać. Albo może jego opanowanie magicznych sztuk nie pozwalało mu na władanie runami powietrza. Skąd jednak Ragnar mógł to wiedzieć? Nikt z ludzi, których znał, nie umiał posługiwać się czarami. Jedynym wyjątkiem był Imogrim, skald Gromowych Pięści. On zaś, gdy tylko zobaczył nieznanego, zatrząsł się ze strachu i odmówił jakichkolwiek kontaktów z przybyszem, polecając jedynie ziomkom, aby spełnili każde żądanie dziwnego mężczyzny.

Ragnar szczerze wątpił, czy nawet przytłaczająca aura majestatu i potęgi, która otaczała nieznanego, przekonałaby ojca i jego krewnych do podjęcia tak niebezpiecznej podróży, gdyby nie słowa skalda. Celem wyprawy były wyspy należące do Władców Żelaza, które wszyscy żeglarze omijali szerokim łukiem, chyba że nadchodziła wiosna, a wraz z nią krótki okres, kiedy ich mieszkańcy handlowali z przybyszami zza morza. Teraz jednak wiosna była ledwie wspomnieniem, zakończyła się dobre pięćset albo i więcej dni temu, a sezon kupiecki także należał już do przeszłości. Kto mógł powiedzieć, jak teraz zareagują na widok obcego statku ci tajemniczy kowale z wysp? Powszechnie wiadomo było, że nie lubią intruzów, a swych skarbów strzegą niczym troll pilnujący rodzinnej jaskini.

Ale nawet gdyby ów obcy mężczyzna nie zaoferował im tak godziwej zapłaty za podróż, to czy mogliby mu odmówić? Ragnar

wątpił, czy wszyscy mężczyźni z całej wioski mogliby sprostać mu w walce, nawet jeśli zaatakowałiby go jednocześnie. Biorąc pod uwagę, jak rozprawił się ze smokiem morskim, Ragnar wątpił, aby którykolwiek wojownik z dzielnego klanu Gromowych Pięści miał choćby szansę na przebicie stalowego pancerza, który okrywał ciało czarnoksiężnika.

Było w owym człowieku coś fascynującego, co powodowało, że Ragnar chciał do niego podejść i zagadnąć. Nieznajomy ocalił jego życie oraz przemówił wprost do niego, a to z pewnością musiało coś oznaczać. Mimo to Ragnar stał jak wryty w miejscu, mając nieodparte wrażenie, że jego stopy zapuściły właśnie korzenie w drewniane deski pokładu. Myśl, że mógłby zagadnąć czarnoksiężnika, była bardziej przerażająca niż wypełniona kłami paszcza smoka morskiego.

Stał jak sparaliżowany, ale po chwili zebrał się na odwagę i ruszył. Nie bądź głupcem, beształ się w duchu, nie podziękowałeś temu człowiekowi, choć ocalił ci życie. Ostrożnie niczym myśliwy podchodzący do dzikie zwierzę zbliżał się do dziobu statku.

– O co chodzi, młodzieńcze? – spytał nieznajomy, nie odwracając nawet głowy. Całkowicie zbity z tropu Ragnar zamarł jakieś dziesięć kroków za jego plecami. Oto miał kolejny dowód na to, że los zetknął go z prawdziwym czarnoksiężnikiem. Mimo że Ragnar poruszał się niezwykle cicho i z wielką zręcznością, a wśród swego klanu uważany był za niezrównanego myśliwego i tropiciela, to jednak obcy zdołał go usłyszeć i rozpoznać bez najmniejszego wahania. Niewątpliwie musiał dysponować jakimiś nadnaturalnymi zmysłami.

– Zadałem ci pytanie, chłopcze – odezwał się ponownie

nieznajomy, po czym odwrócił się do niego. W jego głosie nie było słychać złości, a jedynie pewność siebie i autorytet. Słowa wypowiadał wolno, z dziwnym, jakby starożytnym akcentem, który Ragnarowi kojarzył się z opowieściami skalda o Russie i Ojcu Wszechrzeczy. Przez chwilę można było odnieść wrażenie, że ów człowiek sam jest bohaterem jednej z takich sag, herosem z legendy.

– Chciałem podziękować za ocalenie mi życia, jarlu – powiedział Ragnar, ostrożnie ważąc słowa. Zwrócił się do nieznajomego najwyższym tytułem, jaki znał, nie chcąc go urazić. Przyglądając się teraz starszemu mężczyźnie stwierdził, że jego twarz jest dość dziwna. Jej rysy były wydłużone i miały w sobie ślad jakiejś dzikości. Wąskie, acz masywne nozdrza i ogorzała skóra nadawały mu wilczy wygląd. A jakie mogło być znaczenie trzech ćwieków wbitych w czoło nieznajomego? Przede wszystkim jak je tam umieszczono, unikając gangreny lub nawiedzenia przez duchy zarazy? Dla któregoś z pobratymców Ragnara taki zabieg skończyłby się niechybną chorobą lub nawet śmiercią.

– Nie nadszedł jeszcze czas, abys umarł – powiedział z wolna nieznajomy, a potem wrócił do obserwowania horyzontu. Skąd czarownik mógł to wiedzieć z taką pewnością?.

– Czego tak wypatrujesz? – spytał Ragnar, zaskoczony własną śmiałością. Nieznajomy milczał przez chwilę i już zdawać się mogło, że nigdy nie odpowie, kiedy wreszcie wyciągnął dłoń, pokazując coś palcem. Ragnar dostrzegł błysk słońca na metalowej rękawicy, okrywającej jego dłoń. Spojrzawszy w kierunku, który wskazywał nieznajomy, dostrzegł coś, co zaparło mu dech w piersiach.

Przed nimi z morza wyrastały niebotyczne góry, przypominające mur z włócznie powbijanych w ziemię i celujących grotami w niebo. Szczyty masywu połyskiwały w słońcu ogromnymi lodowymi czapami i pasmami lodowców zsuwających się w doliny.

– To Mury Bogów – powiedział Ragnar, kreśląc na piersi runiczny znak Russa.

– Szczyty Asaheim – powiedział cicho czarownik, uśmiechając się jednocześnie. Grymas odsłonił imponującej długości kły. – Musiałem być mniej więcej w twoim wieku, kiedy ujrzałem je po raz pierwszy, a wierz mi, że upłynęło od tamtego momentu już dobrze ponad trzysta lat.

Ragnar spojrział na niego z ustami otwartymi z wrażenia. Obcy przyznał się właśnie do całkowicie nienaturalnej długowieczności. Żaden człowiek na Fenrisie, najstarszy nawet, nie żył dłużej niż trzydzieści pięć lat.

– Rad jestem, że mogę je znowu oglądać – odezwał się ponownie czarownik. Ragnar przypomniał sobie, że w podobny sposób mówili starcy we wsi, kiedy czuli, że zbliża się kres ich życia. Nieznajomy pokręcił głową, uśmiechając się do Ragnara. Kły raz po raz błyskały w świetle słońca, co wyglądało nader przerażająco. – Zaczynam się chyba robić sentymentalny...

Ragnar nic nie odpowiedział, spoglądając jedynie to na czarownika, to na odległe góry.

– Biegnij zatem do ojca, młodzieńcze. Przekaż mu, że czas już zmienić kurs i popłynąć wzdłuż wybrzeża. Tym sposobem szybciej dotrzemy do celu naszej podróży.

Powiedział te słowa z taką siłą i przekonaniem, że Ragnar natychmiast całkowicie mu uwierzył.



Przez następne dwa dni płynęli wzdłuż brzegów Asaheim. Słońce świeciło jak nigdy, chłodny wiatr popychał ich do przodu, a jedynym urozmaiceniem był odgłos lodowców osuwających się z hukiem do morza.

Rzeczywiście dotarli do granic północnego lądu, skąd na południe spływały ogromne lodowce i gdzie rodziły się góry lodowe, trapiące później morza, po których żeglowali krewni Ragnara. Ponad nimi krążyły olbrzymie orły, a od czasu do czasu ktoś z załogi dostrzegał wynurzające się z zimnych fal stado orek. Raz po raz mijali wejścia do olbrzymich fiordów, miejsc słynących z niezwykłego piękna, i gdzieś dostrzegali nawet wioski złożone z niewielkich, kamiennych domków, które przycupnęły gdzieś przy górskim zboczu. Omijali jednak takie miejsca z daleka, ponieważ często słyszeli od podróżników, że mieszkający tutaj ludzie mieli w sobie krew trolli, byli dzicy, a pojmanych jeńców nie brali w niewolę, ale ich zjadali. Taki los był straszniejszy nawet od wiecznej służby demonom z morskich głębin.

Podczas całej podróży nieznajomy ani na chwilę nie opuścił swego miejsca na dziobie okrętu. Gdy wstawał świt, on czuwał, spoglądając niezłomnie w Oko Russa, a kiedy zapadał zmierzch i ster obejmowała

nocna wachta, dalej trwał na swoim miejscu. Od swoich towarzyszy podróży Ragnar dowiedział się, że także w nocy czarnoksiężnik czuwał i bez zaskoczenia przyjął wiadomość, że ów człowiek chyba nigdy nie spał. Mimo to nie było znać po nim ani śladu zmęczenia. Jego bystre oczy błyszczały tak samo jak w chwili, gdy używał swych czarów przeciwko morskemu smokowi. Ragnar nie miał pojęcia, czego nieznajomy tak wypatrywał, ale był zadowolony, że niestrudzenie stoi on na straży. Dopóki czuwał nad statkiem, żadna zła siła nie mogła ich dosięgnąć.

Potem i ten ląd pozostał za rufą, a „Włócznia Russa” znów znalazła się na otwartym morzu. Węsząc wiatr, nieznajomy powiedział załódze, że pogoda pozostanie dobra aż do końca podróży. Jakby obawiając się sprzeciwić jego słowom, chmury i wichry trzymały się z dala od statku.

Po dwóch kolejnych dniach żeglugi na horyzoncie pojawiły się słupy dymu, a nocne niebo rozświetliły błyski płomieni. Ludzie opadli na klęczki, modląc się do Russa, przejęci zabobonnym strachem, choć wielu z nich obawiało się, że patron klanu Gromowych Pięści nie będzie w stanie dosłyszeć ich modlitw. Wpływali przecież na terytorium poświęcone ognistym olbrzymom, gdzie władza Russa, a nawet Ojca Wszechrzeczy już nie sięgała.

Kiedy następnego dnia zbliżyli się do wysp, Ragnar na własne oczy przekonał się, że spowijają je płomienie. Szczyty górskie płonęły, a po zboczach spływał rozżarzona, pomarańczowa ślina olbrzymów, która niczym strumieniem żłobiące czarne zbocza wpadała w końcu z sykiem do morza. Ryki uwieczonych pod ziemią gigantów sprawiały, że

wszystko wokół się trzęsło.

Ragnar z drzeniem serca spojrzął na czarnoksiężnika i ku swej radości dostrzegł, że nie okazuje on najmniejszego zdenerwowania. Wręcz przeciwnie, mężczyzna zdawał się rozkoszować przebytą drogą, jak człowiek cieszący się z samej podróży, a nie tylko z jej ukończenia.

– Powiada się, że Ghorhe i Sla Nahesh są uwięzieni po tych wyspami – powiedział Ragnar, przypominając sobie szczegóły opowieści zasłyszanych kiedyś od składa. Pomimo strachu był podekscytowany tą wyprawą. Jeszcze nigdy nie zapuścili się z ojcem tak daleko.

– To są imiona zła, młodzieńcze – odparł czarownik. – Nie powinienes ich wymawiać.

– Czemu? – spytał Ragnar, zaintrygowany słowami nieznajomego. Ten spojrzął na niego i uśmiechnął się szeroko, jakby był zadowolony z zadanego pytania.

– To imiona niepomnie złych istot, zrodzonych wiele milionów stajań stąd, w bardzo odległych czasach. Russ nie był w stanie ich pokonać i spętać, podobnie jak Imperator, którego ty znasz. pod imieniem Ojca Wszechrzeczy. A byli wtedy u szczytu swej potęgi...

Ragnar nie był zdziwiony opowieścią o tak odległych czasach. Ostatecznie to Russ osobiście przewodził jego ludowi u zarania dziejów, nim nakazał swym wybrańcom opuścić Asaheim. Zaskakujące jednak było to, że zło, o którym mówił nieznajomy, zostało zrodzone tak daleko. Ragnar nie mógł tego pojąć.

– Myślałem, że byli oni dziećmi bogini smoków Skirinneir i złego

boga Horusa.

– Oto kolejne imię, którego nie powinieneś wymawiać, młodzieńcze. Nie masz najmniejszego pojęcia o jego prawdziwym znaczeniu.

– Wyjaśnisz mi je?

– Nie, ale zapewniam cię, że twoim przeznaczeniem jest je poznać.

Wkrótce zresztą sam się o tym przekonasz.

– Jak tego dokonam?

– Umierając, chłopcze, a potem odradzając się ponownie.

– Czy tak właśnie posiadłeś swoją wielką* mądrość? – spytał Ragnar, rozzłoszczony wymijającą odpowiedzią czarodzieja i jednocześnie zaskoczony własnym tonem. Ku jego jeszcze większemu zdziwieniu nieznajomy uśmiechnął się i odparł:

– Jesteś odważny, bez dwóch zdań – odwrócił się od Ragnara i spojrzał na morze. Przed nimi wznosiła się czarna chmura, a woda zanieczyszczona była ciemną, oleistą cieczą. Góra na zachodzie zatrzęsa się, a z jej szczytu buchnęły płomienie.

– Ognisty Szczyt zdaje się być dzisiaj wyjątkowo rozwścieczony – powiedział czarnoksiężnik. – To zły znak.

Rozdział 2

ŚWIĄTYNIA ŻELAZA



– Na Russa, czy kiedykolwiek widziałeś coś takiego? – spytał Ulli, a z jego słów bil nabożny strach. Ragnar spojrział na swego wilczego brata i pokręcił przecząco głową. Musiał przyznać, że i on nigdy w swoim krótkim życiu nie oglądał takich cudów.

Port był niezwykłym miejscem: wpływało się do niego przez szczelinę w wysokich i masywnych skałach. Mroczna zatoka, która znajdowała się wewnątrz, otoczona była urwiskami i czarną plażą. Było tutaj dość miejsca, aby pomieścić nawet tysiąc smoczycich łodzi, a i tak przystań nie byłaby wtedy zatłoczona. Ragnar wiedział, że kiedy zaczynał się sezon handlowy, przybywało ich tu nawet więcej. Ludzie przepływali oceany i morza, aby kupić stalowe ostrza siekier, groty włóczni i wszelkiego rodzaju metalowe przedmioty.

Jednak to nie gładka powierzchnia skał okalających port robiła największe wrażenie na Ragnarze. Tak naprawdę zadziwiały go budynki. Najmniejszy z nich dwukrotnie przewyższał Wielki Dom, który był najpotężniejszym budynkiem, jaki Ragnar widział w rodzinnych stronach. Co jeszcze dziwniejsze, cały wykonany był z kamienia.

Jak to możliwe – myślał Ragnar. To, co widział na własne oczy, nie mieściło mu się w głowie. A co się stanie z tymi budynkami, kiedy nadejdzie jedno ze straszliwych trzęsień ziemi? Czyż nie powali nawet

tak masywnych konstrukcji? A kiedy tak się stanie, jaki los spotka ludzi, którzy będą mieli nieszczęście znajdować się wewnątrz? Zostaną zmiażdżeni tak, jakby dostali się pod lawinę schodzącą po górskim zboczu. Te potężne budynki staną się ich zgubą. Każdy logicznie myślący człowiek wiedział, że jedynym sposobem na zbudowanie bezpiecznego domu jest użycie tych samych materiałów, z których robiono statki. Szkielet z kości smoka morskiego obciążano jego skórą, tworząc tym samym domostwo wytrzymałe, ciepłe, a nie będące w przypadku nagłego trzęsienia ziemi śmiertelną pułapką dla mieszkańców. W przypadku ważnych budowli, takich jak świątynie, używano drewna, choć wtedy zawsze istniało niebezpieczeństwo pożaru, jeśli świeca lub kaganek przewróciłyby się w trakcie trzęsienia ziemi. Ragnar niejednokrotnie widział coś takiego. Zresztą każdy człowiek, który mieszkał na wyspach Fenrisa, wiedział, że są one niebezpieczne i były takie jeszcze zanim Russ poprowadził na nie swój wybrany lud.

Czystym szaleństwem było budować domy z kamienia, a jednak ci ludzie właśnie tak robili. Gdyby jeszcze układali głazy w stosy, tak jak budowało się tamy, można byłoby zrozumieć ich intencje. Ale nie, oni stawiali jeden rząd ociosanych bloków na drugim, a ich budynki miały kształt zamkniętych pudeł, ustawionych jedno obok drugiego. Sądząc z tego, jak wygładzone zostały krawędzie kamieni oraz z pokrywających ściany pokładów sadzy, każdy z nich musiał być starożytny. Podobnie do antycznych menhirów runicznych stojących na szczycie Góry Gromów, musiały zostać wzniesione u zarania dziejów, jak utrzymywał skald.

Tutaj jednak wznosił się nie jeden dom, ale całe steki. Niektóre dorównywały wysokością wzgórzom, a z dumnie wznoszących się nad dachami kominów większości z nich buchał tłusty, czarny dym lub nawet płomienie.

– To podobno wielkiej mocy czarnoksiężnicy, którzy ujarzmili żywioły ognia – powiedział Ulli.

Rzeczywiście na to wygląda, przyznał w duchu Ragnar. Ludzie zamieszkujący wyspę z pewnością nie obawiali się ognia. Zaiste, musieli opanować wielkie magiczne moce, skoro nie bali się ani drżącej, gniewnej ziemi, ani wściekłego, szalejącego płomienia. I jak zbudowali te ogromne domy i warsztaty? Sprawili to za pomocą czarów, czy może nakazali wznosić je swoim demonicznym sługom? Potęga i moc mieszkańców wyspy była iście straszliwa.

Mimo to Ragnarowi nie podobała się myśl, że mógłby tutaj zamieszkać. Powietrze miało ohydny, kwaśny posmak, który nieraz dochodził z garbarni w rodzinnej wsi, jednak tutaj był wielokrotnie silniejszy. Ogromne połacie czarnych popiołów dryfowały przez powietrze pchane wiatrem, czepiając się każdej napotkanej materii niczym płatki jakiegoś dziwnego śniegu. Woda traciła tu swoją przezroczystość, stawała się mętna, a gdzieś zabarwiona była na czerwono lub zielono, zwłaszcza w okolicy czarnych rur, z których do zatoki wylewały się jakieś ciecze.

– Na kości Russa! – odezwał się ponownie Ulli. – Popatrz na to!

Ragnar spojrział w kierunku, który pokazywał palcem Ulli i dostrzegł zadziwiającą rzecz. Wybudowano tam strzelistą wieżę, w całości wykonaną z żelaza, najcenniejszego chyba materiału na

Fenrisie. Znajdowała się ona tuż nad wodą, a im dłużej Ragnar się jej przyglądał, tym dziwniejsza mu się wydawała. Po dłuższej obserwacji doszedł do wniosku, że nie zbudowano jej z litych ścian metalu, lecz z żerdzi i prętów, które stworzyły podobną do szkieletu klatkę, zamykającą ogromną salę. Nie było rzecz jasna okrycia ze skóry smoka morskiego, ale dzięki temu można było obserwować przedziwną maszynę, która znajdowała się w środku.

Ogromne koła i potężne ramiona ze stali obracały się i podnosiły w nieustającym, regularnym rytmie, który przywodził na myśl bicie serca. Przedziwna, tłusta i bulgocząca czarna maź wydobywała się z metalowych rur i spływała długimi rynnami do oczekujących drewnianych beczek. Niewielkie sylwetki ludzi bez przerwy krzątały się obok, opróżniając pojemniki, podstawiając na miejsce już napełnionych nowe i dbając o tę przedziwną maszynę. Wieża i to, co się w niej działo, zadziwiły Ragnara bardziej niż wszystko inne na tej niesamowitej wyspie. Budowla budziła podziw, ale i grozę.

– Jak ci ludzie mogą się nie obawiać trzęsienia ziemi? – powiedział w końcu do Ullego. Bardziej chciał dać upust zdumieniu niż uzyskać odpowiedź na pytanie, gdyż wiedział, że przyjaciel nie będzie w stanie wyjaśnić tej zagadki.

– Nie muszą tego robić, młodziku – dobiegi zza ich pleców głos czarownika. – Te wyspy są spokojniejsze od waszych, ponieważ uformowały się już wieki temu. Od dawna panuje tutaj spokój i będzie tak jeszcze długo.

Ta myśl była dla Ragnara prawie nie do pojęcia. Cóż to za przedziwny ląd, który nie drży jak wstrząsana konwulsjami bestia?

Jak to jest nie obawiać się, że ziemia pochłonie ciebie, twoje domostwo i rodzinę? Taki dom byłby błogosławieństwem dla synów Russa i schronieniem przed największym zagrożeniem, jakie znali. Mieszkańcy tych wysp rzeczywiście zostali pobłogosławieni. Następną myśl, jaka przyszła mu do głowy, nie była jednak już tak miła i łagodna. Ragnar wyrósł pośród wojowniczego plemienia...

– Czemu zatem nikt nie najechał tej wyspy i nie objął jej w posiadanie? Każdy klan wymordowałby nawet najbliższych sprzymierzeńców, byleby dostać taki kawałek ziemi. Jak tym ludziom udało się uniknąć najazdu?

– Już niedługo przekonasz się na własne oczy, młodziku. Już za chwilę... – nieznajomy pokręcił głową, jakby próbował ze wszystkich sił zachować powagę.



– Wyjawcie cel swojej podróży, albo zostaniecie zatopieni! – głos wyspiarza był szorstki i nieprzyjemny, a metalowa tuba, którą przytknął do ust, spowodowała, że był jeszcze donośniejszy i zdawał się wywarkiwać każdą sylabę.

Ragnar w zdziwieniu spoglądał na okręty, które przypląnęły od strony wyspy, aby ich powitać. Nagle poczuł, że ogarnia go strach, gdyż miał przed sobą dowód czarnoksiężskiej mocy wyspiarzy. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że wykonane z metalu okręty nie tonęły niczym kamień ciśnięty w wody jeziora? Co je napędzało, skoro nie

miały masztów ani żagli? Być może uwięziono pod ich pokładami żywioty ognia, co mogłoby tłumaczyć dym unoszący się z kominów umieszczonych na ich rufach. Niemniej jednak te łodzie wydawały się bluźnierstwem, afrontem ciśniętym w twarz demonom morza. Najgorsze było jednak to, że działały, być może za sprawą jakiegoś diabelskiego paktu.

Nim ojciec Ragnara zdążył odpowiedzieć, czarownik zajął swoje miejsce na dziobie i rozkładając dłonie w powitalnym geście, ryknął:

– Jestem Ranek Wędrowiec Lodu! Ta łódź przyплыnęła tutaj na moje żądanie. Chciałbym rozmawiać z Panem Żelaza!

Jego słowa wywołały poruszenie na pokładzie stalowego okrętu. Kilka osób znajdujących się na jego pokładzie zbiło się w gromadkę, zawzięcie o czymś dyskutując. Po chwili doszli najwyraźniej do jakiegoś wniosku, a człowiek z tubą odkrzyknął:

– Wieść niesie, że Ranek szczeł. Czy jesteś jakimś mściwym duchem, który powstał z głębin morza?

Te słowa zasiały strach w sercach załogi „Włóczni Russa”. Ludzie niespokojnie kręcili się na swoich ławkach. Śmiech czarnoksiężnika, tubalny i rechoczący, poniósł się nad morskimi falami.

– Czy ja wyglądam na ducha? Czy ja zawodzę jak zmora? Czy masz nadzieję, że mój but będzie niematerialny, kiedy kopnę cię nim w sam środek twojej pryszczatej rzyci za te bzdurne bajania?

Na pokładzie metalowego okrętu rozległ się wybuch śmiechu.

– Zejdź na ląd, Wilczy Kapłanie. Ty i twoi towarzysze jesteście tutaj mile widziani. Przygotujecie się do uczty.

Metalowy statek wykonał manewr, który dla Ragnara stał się

kolejnym dowodem jego niezwykłości. Nie obracając się, zaczął płynąć do tyłu, cały czas trzymając „Włócznie Russa” w polu widzenia. Łódź ojca Ragnarą podskoczyła na falach, kiedy wiosłarże naparli na drągi, kierowani rytmem bębna.



Ragnar szedł krok w krok za Wilczym Kapłanem przez ulice tego dziwnego miasta. Chciał mu zadać wiele pytań, a był pewny, że jeśli teraz tego nie zrobi, nie będzie miał już drugiej okazji. Reszta załogi czekała w nabrzeżnej tawernie lub włóczyła się bez celu po zaułkach portu.

Ragnar stąpał po wyłożonych brukiem ulicach poprzez istny labirynt przysadzistych domów i ciemnych alejek. Powietrze było ciężkie i śmierdzące, przesycone alchemicznymi wyziewami i wszechobecnym dymem. Ludzie także byli niesamowici – przygarbieni i niedożywieni. Mówili jakimś obcym dialektem, a odziani byli w szare i brązowe tuniki. Żaden z nich nie nosił przy sobie broni, często natomiast zdarzało im się zbierać jakieś śmieci z ulicy, przenosić ciężary lub pędzić, wykonując jakieś tajemnicze zlecenia. Nawet tutaj, na wyspach tak bogatych w metal, istniało przerażające ubóstwo.

Władcy tej tajemniczej krainy byli mniej liczni, ale za to bogaci. Każdy z nich odziany był w metalową zbroję, a u boku nosił miecz w pochwie ze skóry morskiego smoka. Byli wysocy, dobrze zbudowani,

o smagłej cerze i brązowych oczach. Kiwali nieznacznie Wilczemu Kapłanowi, kiedy ich mijał, a on odpowiadał im tym samym.

– Czemu za mną idziesz? – spytał w końcu.

– Ponieważ muszę ci zadać kilka pytań.

Starzec uśmiechnął się, kręcąc głową, a Ragnar jak oniemiały wpatrywał się w parę długich, wilczych kłów.

– Zawsze pytania, ciągle i bez przerwy. Wszyscy chłopcy w twoim wieku są tacy sami. No dalej, co chcesz wiedzieć?

– Po co nas tutaj przywiodłeś? Czy musieliśmy cię przewieźć, skoro mogłeś użyć magii, aby się tutaj dostać?

– Nie władam żadną magią, chłopcze, a przynajmniej nie w takim sensie, jak o niej myślisz.

– Ale ten twój talizman, którym zabiłeś smoka...

– To nie jest żaden talizman. To zwykła broń, podobnie jak topór czy miecz, tylko bardziej skomplikowana.

– Broń?

– Tak.

– A więc nie jesteś czarnoksiężnikiem?

– Na Russa, oczywiście że nie! Znam kilku takich, którzy zasługują na miano czarodziejów, ale za całe żelazo tych wysp nie chciałbym się z nimi zamienić miejscami.

– Czemu?

– Bo na ich barkach spoczywa straszliwe brzemię.

Ragnar zamilkł. Pewne było, że starzec nic więcej na ten temat nie powie. Nadal uważał, że amulet, który pozbawił życia smoka morskiego, musiał być niebywale magiczny, mimo że Wilczy Kapłan

temu zaprzeczył. Szli dalej krętymi ulicami, a Ragnar zaglądał przez otwarte drzwi sklepów. W większości były to warsztaty wypełnione przedziwną maszyną. Ich cieniste wnętrza rozświetlał żar stygnącego metalu. Towarzyszył mu dźwięk młotów uderzających o kowadła. Stąd zatem pochodziły produkty, które decydowały o bogactwie mieszkańców wysp Władców Żelaza.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – ciągnął dalej Ragnar, zaskoczony własną bezczelnością.

– Nie wiem, czy jestem w stanie zrobić to tak, abyś pojął dokładnie, o co mi chodzi. Ani czy powinienem tak uczynić.

– A czemu nie?

Śmiech Raneka zagrział niczym grom, odbijając się od ścian uliczki, a Ragnar doskonale zdawał sobie sprawę, że wszyscy spojrzeli w ich stronę, czyniąc drżącymi dłońmi symbol młota.

– Nie dasz się łatwo zniechęcić, młodziku, czyż nie?

– Nie.

– Dobrze zatem. Zostałem wysłany ze specjalnym zadaniem, ale miałem wypadek i mój pojazd uległ zniszczeniu. Musiałem zatem wrócić tutaj i nawiązać kontakt z... moimi braćmi. Aby pokonać tak długą drogę w jak najkrótszym czasie, musiałem skorzystać z usług twego ojca i jego statku, za co i on, i ty zostaniecie sowicie wynagrodzeni.

– A co było twoim zadaniem?

– Tego nie mogę ci powiedzieć – odparł Ranek tonem całkowicie nie znoszącym sprzeciwu.

– Czy tę misję zlecili ci bogowie?

- Owszem, ale to byli moi bogowie.
- Czyż oni nie są tymi samymi? Przecież na wyspach wszyscy oddają cześć Russowi oraz Ojcu Wszechrzeczy.
- Racja, choć my ich czcimy zupełnie inaczej.
- Jak to możliwe?
- Któregoś dnia być może to pojmiesz, młodziku. ;
- Ale nie dzisiaj, tak?
- W rzeczy samej.

Dotarli do kwadratowego placu na szczycie wzgórza. Wolna przestrzeń otoczona była przez masywne budynki. Były tak szerokie, że mimo iż ich wysokość wcale nie była imponująca, zdawały się przytłaczać człowieka wielkością. Zbudowano je dawno temu, a każdy z równych kamieni nosił na sobie symbol przedziwnego, zębatego koła. Spomiędzy tych bloków tu i ówdzie wystawały jakieś rury, które przypominały odwłoki przegryzających się przez ściany robaków. Mury były pocerniałe i tłuste od sadzy, a niektóre metalowe zawory, które od dawna już nie były używane, pokryły się rdzą. Z wnętrza budynku dochodziły przedziwne odgłosy, wewnątrz pracowała jakaś ogromna maszyna, klekocząc i dźwięcząc, jakby steki młotów uderzały z furją o kowadła. Nos Ragnara drażnił tłusty dym i zapach gorącego metalu. Przez chwilę zastanawiał się, czy jest jedyną osobą w całym mieście, która wyczuwa wszechobecny swąd.

Idąc krok w krok przez plac, dotarli w końcu do największego z budynków.

– To właśnie jest Świątynia Żelaza – powiedział cicho Ranek. – I tutaj nasze ścieżki się rozchodzą.

Ragnar spojrział na ogromny budynek. Był niewysoki i masywny, mimo niedużej wysokości przytłaczał otaczające go budowle. Wąskie otwory strzelnicze znaczące jego ściany przypominały złowrogie ślepie. Na dachu budynku znajdował się kielich jakiegoś dziwnego, metalowego kwiatu, wielkiego niczym statek ojca. Ragnar nie wiedział, jaki mógł być cel jego istnienia.

Rampy wjazdowej strzegły masywne, stalowe drzwi. Z gładkości kamieni pokrywających podjazd Ragnar zgadywał, że przez bardzo długi okres wielu ludzi musiało poruszać się po nich to w jedną, to w drugą stronę. Dziwne runy, których znaczenia Ragnar nie był w stanie domyślić, pokrywały łuk spinający otwór wejściowy. Samych wrót strzegło dwóch ludzi uzbrojonych w stalowe harpuny. Oni także zdawali się odlani z metalu. Całe ciała strażników pokrywał pancerz, zdający się być ich drugą skórą. Runy na tarczach były dokładnie takie same jak te znajdujące się nad drzwiami.

– Czy to twoi bracia?

Ranek z wolna pokręcił głową i spojrział na chłopaka. Jego zimne oczy wpatrywały się prosto w źrenice Ragnara. Pośród swoich ziomek chłopak był uznawany za bardzo wysokiego, ale przy Wilczym Kapłanie zdawał się wzrostu dziecka. Ranek był o dwie głowy wyższy i zapewne nawet bez zbroi znacznie potężniej zbudowany.

– Nie, chłopcze. Władcy Żelaza są braćmi tylko dla samych siebie. Ich rodaków nie znajdziesz na żadnej z innych wysp, trzymają się z dala od ludzi.

– Nie rozumiem – mruknął Ragnar. – Z całym swoim żelazem i...

magią byliby w stanie bez wysiłku zawładnąć światem. Czy mam rację?

– Władcy Żelaza nie pożądamy dominacji nad niczym innym jak ogniem i metalem. Podbój nie leży w ich naturze, ale będą zaciekle walczyć jedynie w obronie własnej. To część Starożytnego Paktu.

– Czego?

– Dość już pytań, chłopcze. Muszę iść.

– Mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś spotkamy, jarlu – powiedział nad wyraz poważnie Ragnar. Starszy mężczyzna odwrócił się do niego i zmierzył go czujnym spojrzeniem. Było coś dziwnego w sposobie, w jaki patrzył na chłopaka.

– Lubię cię, młodzieńcze. Dlatego dam ci pewną radę. Módl się, abyśmy widzieli się po raz ostatni, ponieważ dzień naszego następnego spotkania będzie dniem twojej zguby.

Słowa, które padły z ust Raneka, zmroziły serce Ragnara. Była w nich jakaś złowieszcza moc przepowiedni, która go przeraziła.

– Co chcesz mi powiedzieć? Zabijesz mnie?

– Będziesz wiedział, co się stanie w chwili, gdy staniemy naprzeciwko siebie.

Ragnar w milczeniu obserwował, jak czarnoksiężnik wspina się po rampie, a stalowe drzwi rozsuwają się bezszelestnie na jego przyjęcie. Jakiś zgarbiony człowiek w czarnych szatach powitał go w wejściu. Jego twarzy nie można było dostrzec, bowiem zakrywała ją stalowa maska. Ragnar obserwował, jak obaj mężczyźni znikają w mroku spowijającym wewnątrz budynku, a potem, kiedy wrota się zatrzasnęły, stał jeszcze długo jak sparalizowany.

Po jakimś czasie z góry dobiegł dziwny szum. Kiedy zaciekawiony Ragnar spojrział w tę stronę, dostrzegł, że wielki kwiat na dachu budynku poruszył się nagle i zaczął obracać w kierunku Asaheim. Gdy Ragnar obserwował go ze zdumieniem, starając się pojąć, co to wszystko oznacza, metalowe płatki zadrgały, a we wnętrzu kielicha zaczęło błyskać światło. Ragnar nie był w stanie powiedzieć, cóż to za czary, ale był pewien, że mają one jakiś związek z czarnoksiężnikiem, któremu pomogli się dostać na tę wyspę.

Stojąc samotnie pośrodku ogromnego placu poczuł, że zaczyna go ogarniać panika. Ruszył szybkim krokiem w stronę miasta.



Jednostajny rytm bębna huczał w uszach Ragnara, kiedy „Włócznia Russa” opuszczała czarny port i obierała kurs na otwarte morze.

Zaczerpnął głęboko do płuc morskie powietrze, rozkoszując się jego świeżością i chłodem. Pozostawili wreszcie za sobą opary i dymy miasta. Być może wyspiarze byli bardzo bogaci, ale wiedli żywoty gorsze od najlichszego niewolnika, otoczeni zewsząd truciznami i jadami z kuźni.

Na rufie statku spoczywał drogocenny ładunek, składający * się ze stalowych ostrzy toporów i grotów włóczni. Swoją zapłatę zawinęli w kilka warstw wyprawionej smoczej skóry, która miała powstrzymać rdzę, biorącą się z morskiej wilgoci. Ten skarb znacznie wzmocni siłę klanu i Ragnar był dumny, że dopomógł w wyprawie, która tak

sowicie zaowocowała. Mimo wszystko coś nadal go trapiło. Mogli oczekiwać pomyślności losu, a bogowie byli im przychylni. Ofiary, które im złożyli, były hojne, a niebianie odpłacali się za nie pomyślnością. Nikt na pokładzie nie podzielał jego obaw. Słysząc było radosne śpiewy ludzi zadowolonych z faktu, że opuścili port i nie mają już na pokładzie tajemniczego czarnoksiężnika. Mimo że wszyscy podziwiali go za mężne czyny, których dokonał, to jego obecność zdawała się ich przytłaczać. Teraz żartowali i wspominali podróż. Z apetytem zajadali solone mięso i popijali je piwem z cynowych kufli. W końcu radosny nastrój udzielił się także i Ragnarowi.

Nagle w oddali rozległ się głos gromu. Ragnar spojrział ze strachem ku niebiosom, nie dostrzegając jednak najmniejszego śladu burzy. Słońce świeciło mocno i nie było widać żadnej chmury. Bystre oczy Ragnara wpatrywały się w niebo, szukając źródła tajemniczego hałasu. Wokół ludzie zaczęli się modlić do Russa, prosząc o ochronę przed nieznanym złem.

Nagle Ragnar dostrzegł coś, co przykuło jego uwagę. Od strony Asaheim zbliżał się niewielki punkcik. Z tej odległości był tylko czarną kropką na niebie, pozostawiającą za sobą biały warkocz, niczym spadający z nieba meteoryt, który kreśli na niebie płonącą wstęgę. Z wolna Ragnar uświadomił sobie, że punkt stale się powiększa, zbliżając się do statku.

Przekleństwa i modlitwy stały się jeszcze głośniejsze, a Ragnar nie odrywał wzroku od zbliżającego się punktu, zastanawiając się, cóż to może być. Smok? Wywern? A może demon przywołany jakimś

bluźnierczym zaklęciem?

Jednak powiększający się z wolna punkt był czymś zupełnie innym. Kiedy zbliżył się jeszcze bardziej, stało się jasne, że bardziej przypomina stalowe okręty wyspiarzy niż jakąkolwiek żywą istotę. Ragnar nie potrafił zrozumieć, jak taka ogromna żelazna konstrukcja jest w stanie pływać po wodzie, a co dopiero latać? A jednak tajemniczy statek powietrzny unosił się w przestworzach i chłopiec nie mógł nie zgodzić się z tym, co widział na własne oczy.

Kiedy niezwykle obiekt zbliżał się do nich, zaczął zwalniać. Ryk gromu z wolna zmienił się w upiorne wycie, które przywodziło na myśl udręczone w piekle dusze i ich zawodzenie. Dziwny statek leciał teraz nisko i Ragnar wyraźnie dostrzegał, jak morze rozstępuje się pod wpływem huraganu, który towarzyszył jego przelotowi. Fale bryzgały naokoło, a metalowy potwór zbliżał się do smoczej łodzi. Ragnar gorączkowo myślał, czym mogli zawinić, że bogowie zesłali na nich tego straszliwego posłańca zagłady.

Przedziwny statek przeleciał dokładnie nad nimi. Patrząc z dołu, Ragnar dostrzegł, że obiekt rzeczywiście wykonany jest z metalu na kształt uskrzydłonego krzyża. Na jego płatach i bokach wymalowane były wielkie godła w kształcie dwugłowego orła. Przez chwilę zdawało mu się także, że dostrzega szybę na froncie latającego monstrum, z za której wyglądają ludzkie twarze, ale szybko odegnał tę niedorzeczną myśl. Tył powietrznego statku spowity był w płomienie przypominające zionięcie smoka. Popędził w kierunku wyspy Władców Żelaza i kiedy do niej dotarł, zawisł nieruchomo w powietrzu. Przez chwilę lewitował nad Świątynią Żelaza, a Ragnar

patrzył z zapartym tchem, zastanawiając się, co się stanie za chwilę. Nie wiedział, czego właściwie oczekuje, być może chciał zobaczyć, jak niszczycielskie płomienie trawią miasto albo po prostu działanie tej przedziwnej magii.

Nic takiego się nie stało. Pojazd z wolna opadł na dach Świątyni. Wszyscy czekali w milczeniu na to, co się wydarzy za chwilę. Nikt nie odważył się wypowiedzieć ani słowa. Ragnar słyszał wyraźnie dudnienie swojego serca.

Pięć minut później metalowy ptak wzbił się w przestworza i ruszył w stronę, z której przybył. Kiedy przelatywał nad „Włócznią Russa”, poruszył skrzydłami, jakby salutując małej, samotnej łodzi. Z jakiegoś powodu Ragnar wiedział, że Wilczy Kapłan Ranek zdobył właśnie nowy środek transportu, który zabierze go tam, gdzie chciał trafić.

Ludzie na pokładzie smoczey łodzi milczeli jeszcze przez wiele godzin.



Rozdział 3

RYTUAŁ PRZEJŚCIA



Ragnar uśmiechnął się nerwowo. To głupie, łącał się w duchu: złożył przecież przysięgę wierności duchom przodków w altanie run, miał własny topór i tarczę ze skóry smoka morskiego, owiniętej wokół konstrukcji z jego kości. Zaczął nawet zapuszczać długie, czarne włosy, co było przywilejem Wilczych Braci. Był teraz mężczyzną i nie powinien się bać poprosić dziewczynę o taniec.

A jednak, musiał sam przed sobą przyznać, trząsał się ze strachu na samą myśl. Co gorsza, nie miał pojęcia, dlaczego się tak dzieje. Dziewczyna, Anna, zdawała się szczerze go lubić. Za każdym razem, kiedy na nią spoglądał, uśmiechała się promiennie i zachęcająco. Znali się od dzieciństwa, ale Ragnar nie był w stanie powiedzieć, kiedy i co się między nimi zmieniło, choć był pewien, że nic nie jest już takie jak kiedyś.

Spojrzał na swoich towarzyszy, Wilczą Brać, z którą łączyły go teraz więzy krwawej przysięgi lojalności. Ledwie powstrzymał się od śmiechu. Wyglądali na chłopców, którzy udają mężczyzn. Ich policzki w dalszym ciągu pokrywał młodzieńczy meszek, choć starali się go traktować tak, jak dorośli mężczyźni zarost. Nadal jednak nie sprawiali wrażenia dojrzałych. Chłopcy, którzy bawią się w wojowników...

To nie był jednak powód jego nagłego wstydu. Wszyscy przecież

bywali na morzu, przeżyli sztormy. Razem wyprawiali się na orki i morskie smoki. Każdy z nich miał swój udział w tych łowach, niewielki bo niewielki, ale zawsze. Wedle praw klanu byli już dorosłymi mężczyznami.

Ragnar oderwał wzrok od towarzyszy i rozejrzał się wokół. Pogoda była ładna. Nadszedł Dzień Wspomnień, pierwszy z ostatniej setki, jaka pozostała do końca roku, początek bardzo krótkiej jesieni. Był to okres, kiedy panował względny spokój. Oko Russa zmniejszyło się i nie prażyło już tak mocno. Trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów także minęły, a zima nie skłała ich jeszcze swoimi mroźnymi okowami. Jednak wraz ze zmniejszaniem się Oka Russa nadejdą chłody, a mroźny oddech opiekuna klanu przyniesie ze sobą zimę i śnieg.

Teraz jednak nie należało się nad tym roztkliwiać, stwierdził w duchu, odsuwając natrętne myśli. Nadszedł czas ucztowania i radości z dobrej pogody oraz ciągle długich i jasnych dni. Wszyscy wokół cieszyli się pełnią szczęścia. Dach hali pokryto nową smoczą skórą, a ściany pomalowano na biało i czerwono. Pośrodku pomieszczenia znajdowało się palenisko, a z jego wnętrza dobiegał zapach ziół, które wypełnią powietrze wspaniałymi woniami, kiedy tylko rozpali się ognisko. Piwowarzy wytaczali na dwór kolejne beczki, a Ragnar wraz z przyjaciółmi przyglądali im się z uśmiechem. Inni mieszkańcy wsi jeszcze pracowali, ale ich matki powyganiały na dwór, żeby móc posprzątać. Ojcowie wymieniali się opowieściami o ostatniej potyczce z klanem Posepnych Czerepów. Gdzieś w oddali skald stroił swoją harfę, a jego uczniowie rytmicznie uderzali w bębny, na których mieli

mu akompaniować.

Chudy, wielki pies przystanął, spoglądając na nich wesoło. Ragnar wyciągnął dłoń i podrapał go po głowie, czując pod palcami ciepło gęstniejącego przed zimą futra. Pies polizał go po dłoni szorstkim niczym ściernisko ozorem, a potem pobiegł dalej, ciesząc się z samej możliwości zabawy. Ragnar nagle zrozumiał nastrój zwierzaka i zaczerpnął głęboko tchu. Miał ochotę zawuć z czystej radości życia. Zamiast tego obrócił się w stronę Ullego i trzepnął go otwartą dłonią w ucho.

– Berek! Ty gonisz! – krzyknął.

Nim zaskoczony przyjaciel miał szansę zorientować się, co się właściwie dzieje, Ragnar pognał przed siebie ile sił w nogach. Widząc, na co się zanosi, także inni Wilczy Bracia zaczęli się ścigać, lawirując pomiędzy chatami i zapracowanymi ludźmi, siejąc postrach pośród kurczaków i innych zwierząt domowych. Ulli rzucił się za Ragnarem, wykrzykując pod jego adresem żartobliwe groźby.

Ragnar zatrzymał się nagle, chcąc obrócić się w miejscu, ale własny pęd niemal zwałił go z nóg. Widział teraz nadbiegającego Ullego, który rozrzucił szeroko ramiona, chcąc go złapać. Ragnar pozwolił mu prawie się pochwycić, ale w ostatniej chwili rzucił się w prawo i pobiegł przez wąską uliczkę. Ledwie uniknął zderzenia z którymś z piwowarów, niosącym ciężką beczkę wypełnioną trunkiem. Kiedy uskakiwał mu z drogi, źle stąpnął i zamiast na uklepaną ziemię, jego stopa trafiła w kałużę błota. Ragnar upadł i nim cokolwiek zdołał zrobić, Ulli dopadł go leżącego. Tarzali się przez chwilę niczym dwa bawiące się szczeniaki, a potem nagle zorientowali się, że staczają się

w dół zбочa. Turlali się tak, podskakując, aż nagle usłyszeli krzyk dziewczyny i uderzyli w jakąś nieznaną przeszkodę. Ragnar otworzył oczy i tuż nad sobą dostrzegł piękną twarz Anny. Dziewczyna poprawiła czepiec i niesfornie wymykający się spod niego kosmyk włosów, po czym uśmiechnęła się do niego. Ragnar także przywitał ją niepewnym uśmiechem, choć czuł, że na jego twarzy zakwita rumieniec.

– Co wy u licha wyprawiacie? – spytała stanowczym tonem.

– Nic! – odparli jednocześnie Ulli i Ragnar, a potem obaj wybuchli głośnym śmiechem.



Strybjorn Posepny Czerep stał na dziobie swojej smoczej łodzi i ponuro wpatrywał się w horyzont. Odchrząknął, a potem splunął zieloną flegmą prosto w morską toń. W jego sercu zaczynał się tlić płomień bitewnego szalu. Strybjorn miał nadzieję, że już wkrótce będzie mógł dać upust żądzy mordy.

Przed nim i jego flotą majaczyła rodzinna wyspa klanu Posepnych Czerepów, miejsce, gdzie znajdował się ich święty kamień runiczny, a z którego zostali wypędzeni dwadzieścia długich lat temu za sprawą przeklętych Gromowych Pięści. Zdarzyło się to długo przed narodzeniem Strybjorna, ale w tej chwili ten drobny fakt nie miał znaczenia. Dorastając, bez przerwy słuchał opowieści ojca o pięknie rodzinnej ziemi. Z tej uświęconej wyspy zostali wygnani przez

zdradzieckich najeźdźców, ale teraz, w dwudziestą rocznicę tamtych wydarzeń, odpłacą im za krzywdy.

Gniew narastał w jego sercu tak silny i czysty, jak musiał gorzeć w tych, którzy przeżyli niespodziewany atak, kiedy Gromowe Pięści siłą i podstępem zdobyły dom Posępnych Czerepów. Dziesięć długich smoczyc łodzi wysadziło na brzeg wielu wojowników, którzy szybko zdobyli rodzinną osadę jego klanu. Większość wojowników Posępnych Czerepów była wtedy na morzu, polując na przepływające stada orek. Kiedy powrócili do domów, powitali ich uzbrojeni wrogowie i płacz zniewolonych kobiet i dzieci. Po krótkiej bitwie zostali zepchnięci z plaż do statków i musieli uchodzić, skazani na udrękę Długiej Tułaczki.

Strybjorn doskonale rozumiał smutek i cierpienie, którego zaznali. Bez powodzenia usiłowali zdobyć jakąś inną wyspę, aby uczynić z niej swój nowy dom. W pamięci Strybjorna przewijały się twarze i imiona tych, którzy zmarli wtedy z głodu, pragnienia lub od ran. Po raz kolejny poprzysiął sobie w duchu, że pomści duchy pradziadów, przelewając dzisiejszej nocy krew znienawidzonych Gromowych Pięści. Tak się stanie, bo czyż nie taka jest wola bogów?

Przecież to sam Russ nagrodił upór swych wybranych synów. W końcu znaleźli wieś na wyspie Ormsrik, której mieszkańcy w połowie już wymarli od jakiejś dziwnej zarazy. Zgodnie ze starożytnym obyczajem wybili mężczyzn, a kobiety i dzieci zniewolili. Osiedlili się na zdobytej wyspie, by rosnąć w siłę i bogactwo, odzyskać nadwątlone siły, cały czas nie zapominając o kamieniu runicznym ojczystej krainy.

Przez dwadzieścia długich lat planowali i szykowali się do odwetu. Bogowie im sprzyjali. Nowe pokolenie dorosło do wieku męskiego, ale Posępne Czerepy pamiętały o swojej ojczyźnie oraz o przysięgach krwawej zemsty, które nadal ich obowiązywały. Bogowie musieli być z nich rzeczywiście dumni, bo oto nastąpiła dokładnie dwudziesta rocznica zdradzieckiego ataku Gromowych Pięści. To, co zostało skradzione Posępnym Czerepom, dziś do nich powróci.

Strybjorn był dumny ze swego ludu. Tak łatwo mogli obrosnąć w tłuszcz, zadowoleni z wygod nowego domu. Mogli zapomnieć o utraconej ojczyźnie, ciesząc się nową, ale Posępne Czerepy tak nie postępowały. Mężczyźni tego klanu znali wartość swoich słów i wiedzieli, że muszą dopełnić zemsty. Ich synowie składali tę samą przysięgę w dniu, w którym osiąkali wiek męski. Kiedy i Strybjorn stał się jednym z Wilczych Braci, także on poprzysiągł nigdy nie zaznać spokoju, póki kamień runiczny ich klanu nie znajdzie się w prawowitych rękach, a uświęcona rodzinna ziemia nie spłynie krwią zdradzieckich Gromowych Pięści.

Strybjorn podrapał się potężną dłonią po policzku i osłaniając nią oczy, ponownie rozejrzał się po horyzoncie. Już niedługo dopłyną do brzegów, a wtedy niech Gromowe Pięści mają się na bacności.



Ragnar obserwował, jak Wielki Jarl Torvald rozpala ogień. Płomienie szybko chwyciły nasączone oliwą drwa i wkrótce tańczyły

już niczym oszalałe żywioły. Zapach wielorybiej ambry i wonnych ziół rozchodził się ulicami. Gorąco bijące od płomieni sprawiało, że po twarzy spływał mu pot. Rozejrzawszy się wokół, stwierdził, że większość ludzi zgromadziła się wokół stosu, obserwując, jak przywódca klanu spełnia swe święte obowiązki.

Torvald machnął toporem w kierunku północy, gdzie leżał Asaheim i niebotyczna Góra Bogów. Potem uczynił ten sam gest, obracając się na południe, aby odegnać złe demony mórza. Potem uniósł topór oburącz do góry i obrócił twarz w kierunku zachodzącego słońca. Potem wydał z siebie dziki ryk, a jego lud przyłączył się do niego, wykrzykując imię Russa w nadziei, że bóg okaże im łaskę także następnego roku, jak czynił to nieustannie, odkąd dzięki jego wsparciu zdołali odnieść wielkie zwycięstwo.

Kiedy jarl skończył obrzęd i powrócił do szeregu swoich wojowników, przed zebranych kuśtykając wystąpił skald Imogrim i gestem nakazał wszystkim ciszę. Jego uczniowie wynieśli instrumenty, a potem wygrywając na nich melodię akompaniowali mu przy wygłaszanej mowie.

Imogrim uniósł harfę i kilka razy uderzył w jej struny, sprawdzając, czy są dobrze naciągnięte. Zdawał się zamyślony, a lekki uśmiezek błędził po jego bladych wagach. Światło płonącego stosu padało na jego twarz, podkreślając każdą zmarszczkę. Jego oczy wyglądały niczym dwie ciemne jamy. Wszyscy czekali z zapartym tchem, kiedy skald zacznie swoją pieśń. Ludzie stali nieruchomo, a Ragnar obrócił głowę, aby spojrzeć na Annę. Ona także spoglądała ukradkiem w jego stronę, a kiedy ich spojrzenia się spotkały, opuściła wstydliwie wzrok.

Imogrim zaczął śpiewać. Jego głos był zaskakująco dźwięczny i miękki, a słowa, które wypływały z jego ust, w jakiś zadziwiający sposób spletały się z rytmem bicia bębnów. Zdawać by się mogło, że z pamięci skalda było źródło starożytnej mądrości, kiedy zaczął opowieść o dokonaniach klanu. Ludzie słuchali jego słów w nabożnej ciszy i skupieniu.

Imogrim śpiewał pieśń zatytułowaną „Dokonania Gromowych Pięści”. Była to historia klanu, którą zaczęto tworzyć w bardzo dawnych czasach, wiele setek pokoleń temu, a każdy skald, który kiedykolwiek służył Gromowym Pięściom, dopisywał do niej wersy upamiętniające bohaterskie czyny, które zdarzyły się za jego życia. Obowiązkiem skalda było zapamiętać tę pieśń, opisać w niej wydarzenia, których był świadkiem, a potem przekazać ją uczniom, którzy z czasem uczynią to samo, dbając o to, aby nie zniknęła pamięć o dokonaniach rodu. Niektórzy mawiali, że wprawdzie jarl jest mózgiem klanu, ale to skald jest jego pamięcią. W takich chwilach jak ta Ragnar aż nadto dobrze rozumiał sens i prawdę kryjące się w tym przysłowiu.

Jasne było, że aby opowiedzieć całą historię zawartą w pieśni, nie starczyłoby ani tej, ani jakiegokolwiek innej nocy, dlatego też Imogrim musiał skupić się na najważniejszych osiągnięciach Gromowych Pięści. Rozpoczął od najdawniejszych czasów, kiedy to przodkowie klanu żeglowali pomiędzy gwiazdami na łodziach wykonanych przez bogów. Później śpiewał o Russie, który przybył do swego ludu, aby uczyć go, jak przeżyć w tym nieprzyjaznym człowiekowi miejscu. Potem ziemia się zatrzęsała i stare zło nawiedziło Fenrisa. Russ wybrał

po dziesięć tysięcy najlepszych wojowników z każdego plemienia I poprowadził ich ku niebiosom, aby wspomogli go w tajemniczej, niebiańskiej wojnie. Nikt ich nigdy więcej nie widział...

Potem skald zaczął opowiadać o pradziejach klanu Gromowych Pięści. Snuł legendy o tym, jak Berak zabił złego smoka Thrunlinga, wyniósł z jego leża kosz pełen żelaza, a potem zdobył rękę słuźki gromu Mayi. Następnie skald przypomniał czyny Niala Żeglarza, który opłynął na swojej wspaniałej łodzi, „Wilku Wichrów”, cały świat. Euforia i radość, które były z tych opowieści, ulotniły się gdzieś, kiedy drżący i tajemniczy teraz głos skalda wspomniął o nocy, gdy plemiona trolli zaatakowały siedzibę Gromowych Pięści i wygnały ludzi z ojczyzny przodków.

Potem nastąpiła opowieść o tym, jak ojciec Ragnara i jego krewni odnaleźli tę wyspę i odbili ją po całodziennej walce z rąk zwyrodniałego plemienia Posępnych Czerepów. W trakcie tej części pieśni kilku spośród zgromadzonych uśmiechnęło się szeroko. Inni patrzyli nieobecny wzrokiem w dał, jakby wspominając tamto brutalne starcie i poległych przyjaciół. Teraz jednak opowieść kończyła się opisem czynów, których dokonano całkiem niedawno. Ragnar poczuł, że jego serce wypełnia duma, kiedy Imogrim śpiewał o podróży do wysp Władców Żelaza, Wilczym Kapłanie Raneku i o tym, jak on sam jednym celem rzutem wbił oszczep w ślepie morskiego smoka, nim bestia padła za sprawą czarów starego maga.

Ragnar wiedział, że dzięki tej pieśni pamięć o nim i jego czynie będzie żyła wśród jego rodu na zawsze. Jak długo ród będzie trwać, a skaldowie oraz ich uczniowie wracać pamięcią w przeszłość, poty

przy okazji świąt i uczt jego czyn będzie wspominany. Nawet kiedy umrze i odejdzie do sal poległych, pamięć o nim pozostanie. Spojrzał na Annę i zobaczył na jej twarzy dumę.

Widok jej oczu sprawił, że nie słuchał zbyt uważnie dalszej części pieśni.

Jakże zadufani w sobie są ludzie z przeklętego klanu Gromowych Pięści, pomyślał Strybjorn, patrząc na płonący w oddali stos. Ogień świecił niczym latarnia morska, a jego odbicie w falach zdawało się jeszcze potęgować to wrażenie.

Z początku Strybjorn myślał, że płomień jest sygnałem ostrzegawczym i flota jego rodu została zauważona, jednak te obawy szybko się rozwiały. Nie było widać żadnych przygotowań do obrony. Wojownicy nie gromadzili się na plażach, a drakkary nie wypływały na spotkanie łodzi nieprzyjaciela. Na pokładach okrętów Posepnych Czerepów panowała konsternacja, ale jak dotąd nie stało się nic, co mogłoby zagrozić atakującym.

Strybjorn pomyślał jednak, że gorejący w oddali płomień może być jakąś pułapką. Ród Gromowych Pięści słynął z podstępności i zdrady. Potem jednak usłyszał, jak ktoś z załogi mówi, że być może Gromowe Pięści obchodzą właśnie rocznicę zdradzieckiego napadu i rzezi, której dokonały dwadzieścia lat temu. Dobrze zatem, pomyślał Strybjorn. Wkrótce przekonają się, co to znaczy zostać zaatakowanym bez ostrzeżenia. Jarl nakazał, aby statki Posepnych Czerepów wylądowały w Srogiej Zatoce, gdzie strażnicy wsi nie będą w stanie ich dostrzec. Stamtąd od zemsty będzie ich będzie dzielił tylko krótki marsz.

Strybjorn poczuł, że zaczyna go zalewać fala gniewu. Spojrzał na swoich towarzyszy i dostrzegł w ich oczach żądzę mordy.

Na Russa! Dziś Gromowe Pięści zapłacą straszliwą cenę za swą zbrodnię.



Wkrótce pieśń skalda się skończyła i nadszedł czas na ucztę i tańce. Jarl i jego przyboczni poprowadzili wszystkich do wielkiej sali, gdzie stoły aż ugięły się pod ciężarem jadła i napoju. Czuć było woń pieczonego drobiu i świeżego chleba. Istne góry sera wznosiły się nad dziczyzną, a miód pobłyskiwał złotą barwą z przysadzistych słoików. Zapach ciemnego, gorzkiego piwa unosił się w powietrzu, a kufle i rogi czekały napełnione. Teraz mężczyźni podawali je sobie jeden po drugim.

Ulli uśmiechnął się szeroko, po czym podał Ragnarowi napełniony po brzegi skórzany kubek. Ragnar upił niewielki łyk, tak jak robili to starsi mężczyźni, aby ocenić smak. Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że nie jest to słaby trunek, jaki dawano chłopcom, ale piwo prawdziwych mężczyzn. Gorzki smak i siła alkoholu niemal sprawiły, że się zakrztusił. Wypił jednak cały kufel kilkoma łykami, opanowując się siłą woli, i ku uciesze i aplauzowi towarzyszy odstawił puste naczynie na blat stołu.

Naprzeciwko jego ojciec patrzył, jak przyjaciele kończą napełniać piwem solidny róg, a potem wlał jego zawartość do gardła, podczas

gdy najstarsi z jego kamratów wolno liczyli od dziesięciu do zera. Nim dotarli do pięciu, róg został opróżniony. To był niezły wynik. Kiedy piwowar znowu napełnił naczynie, kolejny mężczyzna ponownie je wychylił, ale tym razem liczono mu czas zaczynając od pięciu, lecz mimo to nie zdołał pokonać swego poprzednika. Wyliczanka dawno się skończyła, kiedy on osuszał resztki piwa. Zawstydzony, przekazał róg następnemu czekającemu wojownikowi.

Ragnar ruszył do stołu przeznaczonego dla Wilczej Braci. Nałożył sobie na misę ciepłego kurczaka i chleba, po czym zabrał się z apetytem do jedzenia. Gorące mięso smakowało wspaniale, a tłuszcz i soki spływały mu po brodzie. Wytarł się pajdą chleba i zjadł ją z apetytem. Popiwszy posiłek piwem, rozsiadł się wygodnie, smakując mocniejszy aromat trunku.

Ulli wydał z siebie przeciągłe wycie, a potem donośnie beknął. Spojrzał radośnie na Ragnara, a potem zerknął znacząco ku stołowi, przy którym posadzono niezameżne dziewczęta. Ragnar pokiwał przyjacielowi głową, a potem uśmiechnął się do siebie. Nerwowość znikła, a on nie mógł się już doczekać tańców.



Strybjorn pomógł wyciągnąć łódź na brzeg i zakopać jej dno głęboko w piasku. Mięśnie bolały go z wysiłku, brakowało mu tchu i ledwie stał na nogach. Okręt był niewiarygodnie ciężki, nawet dla czterdziestu rosnących ludzi.

Buty i spodnie miał przemoczone do cna, jako jeden z pierwszych wyskoczył do wody, aby wciągnąć statek na bezpieczną mieliznę. Teraz, kiedy stał na brzegu, czuł się dość dziwnie, gdyż stały ląd nie kołysał się pod stopami. Tygodnie spędzone na tańczącym na falach pokładzie przyzwyczały go do pewnej niestabilności. Jednak wiedział, że szybko przywyknie do nowej sytuacji. Już wkrótce krok stanie się pewniejszy i dłuższy, zdatniejszy do zabijania Gromowych Pięści.

Ruszył przed siebie, aby dołączyć do Wilczej Braci, podobnych mu młodzieńców, nie mogących się doczekać pierwszej bitwy, w której będą mogli udowodnić, że są mężczyznami nie tylko z nazwy. Być może zyskają dzięki swym bohaterskim czynom łaskawość jarła albo samych bogów? Zmówił krótką modlitwę do Russa, aby ten przeznaczył mu godnego przeciwnika i dobrą walkę, a jeśli pisana jest mu śmierć, to niech będzie ona bohaterska. Gdyby jednak miał paść ranny lub konający, niech uwaga Werbowników Poległych padnie właśnie na niego.

Rozciągnięta na plaży długa linia Posępnych Czerepów zaczęła się przegrupowywać w przemykające chyłkiem bandy, które z bronią w gotowości w całkowitej ciszy ruszyły ku wiosce Gromowych Pięści.



Ragnar podskoczył i wyciągnął rękę, aby złapać Annę pod ramię. Był pijany i szczęśliwy. Tancerze uformowali dwie długie linie, które

poruszały się skomplikowanymi krokami w rytm muzyki granej przez skalda i jego uczniów.

Anna uśmiechnęła się do niego promiennie. Jej twarz zalana była rumieńcem, kiedy tańczyli blisko siebie, nim rytm muzyki i obyczaj nakazały im powrócić do swoich grup. Tym razem każdy młody chłopak musiał zatańczyć z każdą dziewczyną. Tak nakazywała tradycja. Później przyjdzie czas na swobodniejsze płąsy.

Gdzieś z daleka dobiegały dźwięki muzyki i odgłosy uczt. Starsi nie mieli ochoty na tańce i ucztowali dalej w wielkiej hali. Z wolna nieliczne małżeństwa zaczęły dołączać do nich. Psy szczekały, kaczki kwakały, zabawa niepokoiła je jak nic innego na świecie.

Nagle muzyka się urwała, kiedy skald i jego pomocnicy zdecydowali, że czas na kufelek piwa. Jakiś impuls kazał Ragnarowi zbliżyć się do Anny. Bez słowa wymienili spojrzenia, a potem ramię w ramię zniknęli w ciemnościach. Z tej odległości wyraźnie dostrzegął, że jej włosy są w nieładzie, a twarz czerwona z emocji i zmęczenia. W pełgającym świetle pochodni jej oczy zdawały się nienaturalnie duże. Alkohol pomógł mu przemóc strach i Ragnar objął Annę w talii ramieniem.

Ku jego radości dziewczyna nie wywinęła się z uścisku, a wręcz przeciwnie, sama objęła go mocno w pasie. Spojrzeli na siebie i roześmiali się nerwowo, niczym spiskowcy. Potem ukradkowo zniknęli w cieniach okalających chaty.

Stojąc tak w ukryciu i nasłuchując gwaru, Ragnar miał wrażenie, że dzieje się coś bardzo ważnego. Nie potrafił się oprzeć urokowi tej dziewczyny, przyciągała jego spojrzenie jak magnes opiłki żelaza.

Powiedział jej to, spodziewając się, że go wyśmieje, ale ona tylko spojrzała mu w oczy i delikatnie się uśmiechnęła. Jej wargi delikatnie się rozwarły, a Ragnar nagle w pełni zdał sobie sprawę z jej piękna i bliskości jej miękkiego ciała. Nie myśląc o tym, co właściwie robi, przygarnął ją do siebie i mocno objął. Ich wargi spotkały się, a ona chwyciła dłońmi jego głowę, aby go poprowadzić.

Po dłuższej chwili oderwali się od siebie, wciąż patrząc sobie w oczy i śmiejąc się ze swego małego sekretu. A potem pocałowali się jeszcze raz.



Poruszając się bezszelestnie niczym duchy, Strybjorn i jego Wilczy Bracia zbliżali się do wsi Gromowych Pięści. Z początku nie mogli uwierzyć własnym oczom, zaskoczeni, że wrogowie nie wystawili żadnych wart. Tak byli pewni siebie i gnuśni dzięki owocom pracy pokoleń Posepnych Czerepów, które zdradziecko zrabowali, że nie chciało im się nawet wystawić czujek. Dobrze więc, pomyślał Strybjorn. Niech zapłacą za swoją pomyłkę.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że wszędzie wokół wsi wojownicy z jego plemienia zajmują pozycje do ataku. Wkrótce ci najbardziej doświadczeni prześlizgną się przez bramę i otworzą ją, aby reszta mogła spać na niczego nie spodziewających się wieśniaków niczym wilki na króliki.

Nic nie mogło ich powstrzymać.



– Pomyśl życzenie – powiedziała Anna, poprawiając suknię. Ragnar przestał wygładzać tunikę i spojrzał w tę samą stronę, co ona. Na nocnym niebie dostrzegł niewielkie światełko. Z początku i on wziął je za spadającą gwiazdę, ale potem uświadomił sobie, że pełga ono niczym płomień. Przypominało chyba pochodnię, ale otumaniony piwem i pieszczotami Ragnar nie wiedział, co to może oznaczać.

Gdzieś w oddali pies zaczął szczekać, jakby i on dostrzegł coś niepokojącego.

Ragnar przetoczył się po trawie i przyciągnął do siebie Annę, żeby ją pocałować. Przez chwilę opierała się zalotnie, a potem pozwoliła mu się objąć. Nigdy w życiu nie był szczęśliwszy, ale uparta myśl o płomieniu powróciła. Ostatni raz widział coś takiego, kiedy odpływali z wyspy Władców Żelaza i przelatywał nad nimi stalowy pojazd, który przybył tam chyba na wezwanie Wilczego Kapłana Raneka.

Cóż to może oznaczać? – pomyślał leniwie, czując, że znowu ogarnia go pożądanie. Nawet nie usłyszał, kiedy ktoś zaczął przeraźliwie krzyczeć.



Strybjorn pewnie trzymał topór w garści i biegł przez otwartą bramę. Wokół niego pędzili jego Wilczy Bracia, a ich oczy gorzały

nienawiścią. Ogarnęła go nagła słabość, jednak z doświadczenia wiedział, że to uczucie minie. Niejednokrotnie już czuł coś takiego, gdy zbliżało się niebezpieczeństwo, ale osłabienie zawsze ustępowało, kiedy przychodziło do czynu. Zdawać by się mogło, że ciało przygotowywało się na spotkanie z niebezpieczeństwem. Jego serce zaczęło szybciej bić, a oddech stał się urywany. Dłoń spływała potem, co utrudniało trzymanie topora. Razem z kamratami biegł przez opustoszałą osadę, słysząc dochodzące z jej centrum odgłosy muzyki.

Nagle tuż przed nimi pojawili się ludzie. Z pewnością nie należeli do klanu Posepnych Czerepów, a już samo to wystarczyło, aby Strybjornem zawładnęła nienawiść. Zadał cios toporem i usłyszał głucho pluśnięcie, kiedy ostrze uderzyło w ciało, a następnie cofnęło się, pozostawiając głęboką ranę. Raz za razem uderzał w leżące u jego stóp ciało mężczyzny. W końcu przeskoczył nad zmasakrowanym trupem, zaskoczony tym, że muzyka wciąż gra. Zaszczekał pies, a gdzieś z oddali dobiegł huk gromu, który zdawał się zwiastować to, co miało za chwilę nastąpić.



– Co to? – spytała Anna, a na jej twarzy pojawił się wyraz strachu. Ragnar wysunął się z jej objąć i czujnie rozejrzał dookoła.

– Nie wiem – odparł cicho, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że dzieje się coś bardzo złego. Do jego uszu dobiegały odgłosy gromu, podobne do tych, które wydawał z siebie stalowy rydwan powietrzny,

kiedy zbliżał się do łodzi odpływającej z wyspy Władców Żelaza. Czy to był jakiś znak albo zły omen? I skąd brały się znacznie bliższe hałasy? Dla jego uszu brzmiały tak, jakby w głównej hali wybuchła jakaś ogromna bijatyka.

Ragnar zerwał się na równe nogi, a Anna ruszyła jego śladem. Przesuwając dłońią po ścianie chaty, aby mieć pewność, że nadal znajdują się w jej cieniu, ruszyli w kierunku hałasu. To, co zobaczyli, było jednak straszniejsze niż mogli sobie wyobrazić. Pomiedzy świętującymi pojawili się jacyś obcy ludzie. Byli wysocy i masywni, ciemne włosy mieli w nieładzie. Ich szczęki były potężne i wyraźnie zarysowane. Wyglądali niczym trolle, a Ragnar błyskawicznie rozpoznał nieproszonych nocnych gości. Wyglądali dokładnie tak, jak opisywał ich w swoich pieśniach skald. Posępne Czerepy powróciły.

Przez chwilę Ragnar nie był w stanie poruszyć się choćby na milimetr, sparaliżowany strachem. Czyżby dawni władcy wyspy powstali właśnie z grobów, aby zemścić się na jej zdobywcach? Jakaż czarna magia mogła ich sprowadzić z zaświatów? Jak to możliwe, aby martwi z bronią w ręku spadli na żywych niczym żadne zemsty wilki?

Kiedy przyglądał się rzezi, dostrzegł, jak jakiś chłopak w barwach Wilczej Braci, młodzieniec o topornych rysach, dopada ojca Ullego. Jednym ciosem powalił go na kolana, w dalszym ciągu pijanego i zaskoczzonego. Nie przestawał uderzać, nawet kiedy mężczyzna upadł na ziemię, rozpaczliwie próbując powstrzymać ręką wypływające z brzucha wnętrzności.

– Atakują nas! – krzyknął w twarz Annie, wciągając ją głębiej w cień. – To napad!

W głębi duszy wiedział jednak, że nie jest to zwykły napad morskich rabusiów. Sądząc z tego, ilu było przeciwników, jak okrążyli wieś i zabijali każdego, kto stanął im na drodze, szybko się zorientował, że jest to najazd, którego celem jest wybicie całego klanu i zniewolenie tych, którzy jakimś cudem przeżyją. Zaklął pod nosem. Atak zaczął się w najgorszym możliwym momencie, kiedy wszyscy wojownicy byli pijani i zupełnie nieprzygotowani do walki. Sytuacja, w jakiej się znaleźli, była tragiczna i w pełni na nią zasłużyli. Nikt nie nakazał wystawić straży i teraz wszyscy własną krwią płacili za ten błąd. Długie lata spokoju i dobrobytu sprawiły, że poczuli się bezpieczni, co nie było zbyt rozsądne, zwłaszcza kiedy się żyło pośród wojowniczych ludów Fenrisa. Teraz przyszło im zapłacić za własną pychę, dumę i głupotę.

Gniew i rozpacz szalały w sercu Ragnara. Przez długą chwilę stał nieruchomo, zdając sobie sprawę, że sytuacja jest całkowicie beznadziejna. Więcej niż połowa mieszkańców wsi była już martwa lub konała, zmieciona siłą tego ataku niczym maszt statku, gdy kość smoka morskiego przegniła pod wpływem wichru. Najeźdźcy całkowicie ich zaskoczyli, byli doskonale przygotowani, uzbrojeni i zdyscyplinowani. Ludzie z rodu Gromowych Pięści nie potrafili stawić im czoła bez broni, zaskoczeni i pijani. Ginęli zarzynani niczym bydło.

Ragnar doskonale wiedział, że oto nadeszła chwila zagłady jego plemienia.



Rozdział 4

OSTATNI BASTION



– Do tyłu! – krzyknął Ragnar, wpychając Annę do najbliższej chaty. Doskonale wiedział, że nie zapewni im ona wystarczającej ochrony, zwłaszcza że najeźdźcy i tak wkrótce zaczną podpalać całą wieś. Mimo to potrzebował czasu do namysłu i był pewny, że w domu znajdzie jakąś broń bardziej nadającą się do walki niż dyndający u pasa sztylet.

Nie rozumiejąc, co się wokół niej dzieje, Anna próbowała się opierać, ale Ragnar był od niej silniejszy i w końcu zdołał wepchnąć ją do wnętrza chaty. Szybko zakrył jej usta dłonią.

– Bądź cicho, jeśli ci życie miłe! – powiedział do niej, obserwując, jak strach i przerażenie widoczne w jej oczach powoli ustępują zrozumieniu. Nawet w tak dramatycznej sytuacji musiał przyznać, że dziewczyna była prawdziwą córką swego rodu.

Krzyki i jęki, które niosły się przez noc, zostały teraz przytłumione przez ściany chaty ze skóry smoka morskiego. W środku Ragnar po omacku grzebał pośród różnych sprzętów, rozpaczliwie szukając jakiejś broni, aż w końcu odnalazł topór i tarczę. Szybko opiął skórzanymi paskami ramię i zacisnął dłoń na rękojeści. Poczł się dzięki temu nieznacznie lepiej, ale nadal nie wiedział, co robić dalej. Dopiero teraz zaczął naprawdę rozumieć znaczenie tego, co widział na zewnątrz.

Przed oczyma stanęło mu przerażone spojrzenie ojca Ullego, kiedy umierał z jelitami wyślizgującymi się przez panicznie próbujące je zatrzymać palce. Stary Horgrim padł jak rażony piorunem, gdy wrogi topór rozszczepił mu czaszkę i mózg wypłynął na zewnątrz. Potworna rana w piersi Ranałda piwowara, która cały czas pulsowała szkarłatem. Kiedy był na zewnątrz, ledwie zauważał rozgrywającą się wokół tragedię, ale teraz pojął ją w pełni. Łzy napłynęły mu do oczu. To nie była bitwa, o której śpiewał skald, ale zwykła, brutalna rzeź nieuzbrojonych ludzi.

A jednak jakaś niewielka część jego duszy wiedziała, że tak właśnie wygląda prawdziwa bitwa. Zawsze będą w niej padać zabici, a żywi będą cierpieć od straszliwych ran. Rzadko kiedy też szanse obu stron są równe. Pozostawało tylko jedno pytanie. Co ma robić teraz?

Miał dwa wyjścia: albo zostanie w chacie, kryjąc się niczym zбитy kundel, albo wyjdzie na zewnątrz, aby zginąć jak prawdziwy mężczyzna. Tak czy inaczej czeka go okrutny koniec, więc lepiej było wyjść mu na spotkanie z mieczem w dłoni, żeby móc godnie i dumnie dołączyć do duchów przodków.

Mimo to coś go powstrzymywało, chociaż doskonale wiedział, co powinien robić. Jego spojrzenie padło na przerażoną, bladą dziewczynę, stojącą w kącie chaty i z trudem powstrzymującą szloch. Otarła wierzchem dłoni łzy, które spływały jej po policzkach i próbowała się uśmiechnąć. To był straszny grymas, a Ragnar myślał, że serce mu pęknie, kiedy to zobaczył.

Jego życie straszliwie się zmieniło w ciągu tych kilku minut. Mniej niż godzinę temu był w pełni szczęśliwy. On i Anna byli razem, a

przyszłość rysowała się przed nimi w jasnych barwach. Pobraliby się, mieli dzieci i razem wiedli spokojne, dostatnie życie. Teraz jednak marzenia rozwiały się jak popioły ze spalonej chaty. Nie pozostało nic oprócz krwi, zgliszcz i nędznego żywota, jeśli będzie miał nieszczęście i przeżyje. O nie! Za nic w świecie nie będzie niczym niewolnikiem!

Cóż miał zatem robić? Na pewno nie może zostać tutaj. Gdyby tak uczynił, tylko naraziłby życie Anny na dodatkowe niebezpieczeństwo. Gdy dochodziło do walki, rozwścieczeni mężczyźni atakowali czasem także kobiety, które miały nieszczęście znaleźć się w pobliżu. Jeżeli zostanie schwytana sama, przeżyje i zostanie żoną lub niewolnicą któregoś z najeźdźców. Takie już były obyczaje wojenne na Fenrisie. Ta myśl zakłuła go boleśniej, niż mógłby kiedykolwiek przypuszczać, ale przynajmniej miał pewność, że Anna przeżyje.

Mimo to nadal nie mógł się ruszyć z miejsca. Ta sama siła, która przedtem kazała mu do niej podejść, teraz nie pozwalała zostawić dziewczyny samej. Podszedł do niej i odłożywszy topór, dotknął jej twarzy. Delikatnie muskał ją dłonią, stając się zapamiętać każdy szczegół, aby mieć o kim myśleć, jeśli trafi w końcu do piekieł. Ona była najlepszą rzeczą, jaka przytrafiła mu się w trakcie krótkiego życia. Serce pękało mu na myśl, że już nigdy nie będą razem, a ich wspólne życie skończyło się, nim w ogóle miało szansę na dobre się rozpocząć.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował ostatni raz. Ich wargi spotkały się na krótką chwilę, a potem Ragnar odsunął się i sięgnął po broń.

– Żegnaj – powiedział łamiącym się głosem. – Mogłoby nam być wspaniale razem.

– Żegnaj – odparła krótko, wiedząc, że żadne słowa i prośby o pozostanie nie mają sensu.

Ragnar wyszedł z chaty w noc rozświetlaną płomieniami buchającymi z podpalonych chat, wypełnioną wrzaskami mordowanych i chaosem bitwy. Następną rzeczą, jaką ujrzał, była masywna postać biegnąca w jego kierunku z toporem uniesionym wysoko nad głową.



Strybjorn skradał się przez noc, kładąc trupem każdego, kto stanął mu na drodze. Zawył z rozkoszą, wiedząc, że oto dla jego ludu nadeszła godzina zemsty. Lubił zabijać, a smak krwi w ustach był mu słodszy niż cokolwiek innego. Walka była tym, co kochał najbardziej na świecie.

Niestety ludzie z klanu Gromowych Pięści byli żalosnymi wrogami, niewartymi stali Posępnych Czerepów. Zamiast wojowników zabijał pijaków, którzy bez broni, ze strachem w oczach próbowali tylko zbiec i ukryć się gdzieś. Jak ci tłuści tchórze zdołali pokonać jego przodków?

A może było tak – pomyślał, przystając na chwilę pośród bitewnego zgiełku – że to wyspa, o którą teraz walczyli, czyniła z ludzi słabeuszy? Czy spokojne i dostatnie życie, jakie wiedli tu jego przodkowie, także i ich osłabiło, tak jak teraz tych bezwartościowych tchórze? Czy i oni ginęli wtedy pod ostrzami Gromowych Pięści

niczym owce w rzeźni? Będzie musiał porozmawiać o tym z ojcem, aby taka historia już się nie powtórzyła. Z pewnością nic takiego nie będzie miało prawa się zdarzyć, kiedy to on zostanie wodzem.



Ragnar rozpaczliwie sparował cios, ale siła uderzenia, które przyjął na tarczę spowodowała, że zdrętwiało mu całe ramię. Jego riposta wymierzona była w głowę, ale ześlizgnęła się po zastawie przeciwnika.

Uderzył tarczą, trafiając napastnika w twarz. Zaskoczony mężczyzna zatoczył się do tyłu, a Ragnar nie tracił czasu i jednym silnym ciosem topora rozszczępił mu czaszkę.

Dopiero teraz miał dość czasu, żeby rozejrzeć się wokół. Jego dom płonął, podobnie jak wielka sala. Wieś opanowało istne szaleństwo. Niewyraźne postacie przemykały w mroku, podryzując gardła bezbronnym wieśniakom Kobiety uciekały, chroniąc w ramionach dzieci. Psy szczekały, wbijając zęby w łydki napastników, a płonący żywcem drób gdał przeraźliwie.

Gdzie jest ojciec? – pomyślał Ragnar. Zapewne pomagał bronić wielkiej sali, jeśli oczywiście pozostał jeszcze przy życiu. Ragnar desperacko starał się odegnać od siebie myśl, że jego ojciec mógł być już martwy. Z przerażającą jasnością uświadomił sobie jednak, że zarówno on sam, jak i każdy inny wojownik klanu Gromowych Pięści nie dożyje świtu.

Nie pozostało nic innego jak walczyć, nieważne jak beznadziejna wydawała się sytuacja. Rozglądając się czujnie dookoła, z nerwami napiętymi jak postronki, Ragnar biegiem ruszył w stronę wielkiej sali.



Po raz kolejny nad ich głowami rozległo się wycie, ale tym razem Strybjorn dostrzegł, że po nocnym niebie przemknął jakiś wielki, ciemny, skrzydlaty kształt, który teraz zawisł nad polem bitwy. Przyjrząwszy się uważniej, dostrzegł ognisty ogon, przypominający ten widywany u komet, który gorzał niemal dokładnie nad jego głową. Walka zamarła na chwilę, kiedy wszyscy spojładali w górę, zastanawiając się, co to za czarnoksiężska sztuczka.

– To Werbownicy Poległych! – wykrzyknął ktoś nagle, a Strybjorn nie był pewien, czy głos należał do któregoś z Posepnych Czerepów, czy Gromowych Pięści. W tej chwili liczyło się tylko to, że te słowa były najwyraźniej prawdziwe. Wysłannicy bogów przybyli, aby oceniać walczących. W tej chwili spojładali na ludzi, bacząc, czy któryś z nich godzien jest wstąpienia do Dworu Bohaterów. Całkiem możliwe, że jeszcze tej nocy jeden z walczących zostanie wyniesiony w niebiosą, dostąpi zaszczytu wstąpienia na górę, gdzie w nieśmiertelnej chwale mieszkali Wybrańcy Bogów.

Strybjorn był świadom, że tylko najodważniejsi z mężnych i najdzikszy z dzikich są wybierani do służby bogom. Tylko najlepsi wojownicy zasługiwali na nieśmiertelność. Imiona wybrańców będą

wspominane po wieki wieków w pieśniach skaldów. Płomień ambicji rozgorzał w jego sercu.

Doskonale wiedział, co musi zrobić. Gdzieś pomiędzy tymi skamlającymi psami był wojownik godzien jego żelaza. Trzeba było go odnaleźć i wyzwać na pojedynek. Werbownicy nie pojawiali się przy każdej bitwie i być może taka szansa nie powtórzy się już nigdy więcej. Niektórzy przeżywali całe życie i nigdy nie widzieli żadnego z nich, choć brali udział w wielu starciach.

Strybjorn rozejrzał się dokoła i dostrzegł, że do podobnych wniosków doszli wszyscy otaczający go wojownicy, nieważne z którego klanu pochodzili. Posępne Czerepy odsunęły się od swych wrogów, dając im czas na uzbrojenie się, a Strybjorn niecierpliwie czekał na to, co stanie się za chwilę.



Walka nagle zamarła, a kiedy Ragnar spojrział ku niebu, dostrzegł przesuwający się na jego tle powietrzny statek. Zdawać się mogło, że wieki minęły, odkąd obserwował podobny z pokładu „Włóczni Russa”, choć tak naprawdę minęło ledwie dwieście dni. A może to nie był ten sam statek? Któż oprócz bogów mógł o tym wiedzieć coś więcej?

Z wolna zrozumiał wreszcie, że to Werbownicy Poległych musieli pojawić się na polu bitwy. Być może obserwowali go teraz, oceniając, czy jest godzien wstąpić do Komnat Russa? Ta myśl dziwnie

podniosła go na duchu. Rzeź, która rozgrywała się dookoła, nabrała nagle sensu. Przestała być bezmyślnym mordem, hekatombą niewinnych i bezbronnych wieśniaków, a stała się sprawdzianem honoru, odwagi i siły. Rzecz jasna każda bitwa była taka, ale nieczęsto toczyło się je na oczach boskich wysłanników. Teraz jednak przybyli. Pojawiła się szansa, aby prosto z płonącej wsi wkroczyć do świata legend.

Zwalisty wojownik, z którym przed chwilą wymieniał ciosy, spojrział teraz na niego, a w jego szarych oczach błysnęły iskierki zrozumienia. Odstąpili do siebie i Ragnar z wolna wycofał się do swoich krewnych, którzy stali wokół płonącej wielkiej sali. Jego przeciwnik dołączył do swojego klanu.

Ragnar rozejrzał się, poszukując znajomych twarzy. Dostrzegł Ullego, swojego ojca, także jarla Torvalda, który, choć ranny w głowę, nadal dowodził swoimi wojami. Oderwał kawał materiału od świątecznej tuniki i obwiązał nim ranę, powstrzymując krwawienie. Wszyscy obecni toczyli wokół dziwnymi spojrzeniami ludzi skazanych na zagładę, którzy wiedzą, że od śmierci dzielą ich niecałe godziny.

Spoglądając wokół, na horde, która otoczyła jego krewnych, Ragnar uświadomił sobie, że najeźdźcy mają przewagę liczebną co najmniej pięciu do jednego. Wielu spośród wojowników rodu Gromowych Pięści zginęło w trakcie pierwszego, niespodziewanego szturm i teraz, mimo że byli lepszymi wojownikami, nie mieli żadnych szans w starciu ze znacznie liczniejszymi rabusiami. Widząc jednak dzikość Posępnych Czerepów Ragnar wątpił, czy nawet w uczciwej walce jeden na jednego zdołaliby ocalić swoje życie i obronić wieś.

Mimo to coś się zmieniło w bitwie i jej nastroju, odkąd nad ich głowami zawisł latający, podniebny rydwan. Mężczyźni z klanu Posępnych Czerepów wstrzymali szturm i zebrali się w ciasną gromadę. Podobnie jak i Gromowe Pięści chcieli pokazać wysłannikom bogów, że są dobrymi wojownikami, odważnymi i silnymi, którzy zasługują na wyróżnienie. Teraz zamiast uganiać się za bezbronnymi kobietami i dziećmi, zatrzymali się w miejscu. Nie pragnęli już zarzynać bezbronnych, pijanych mężczyzn, gdyż to nie zyskałoby im przychylności w oczach bogów. Dzięki śmierci mężczyzn Gromowych Pięści chcieli się dostać do Sal Bohaterów. Na samą myśl o takiej niesprawiedliwości w sercu Ragnara zapłonął gniew.

Wiedząc, że wysłannicy bogów obserwują ich z góry, wrogowie pozwolili Gromowym Pięściom okrzepnąć i przygotować się do honorowej walki. Dzięki cierpieniu i śmierci jego rodaków mieli zyskać zaszczyty, mimo że jeszcze pół godziny temu zdradziecko wdarli się do spokojnej osady. To nie jest sprawiedliwe, krzyczał w duchu Ragnar. A mimo to jakaś niewielka część jego duszy naśmiewała się sama z siebie, zadając pytanie, czy bitwa musi być uczciwa. Po co? Bogowie i tak wiedzą wszystko, znają ludzkie uczynki i myśli. Nie dadzą się łatwo oszukać i dokonają sprawiedliwego osądu. Taką przynajmniej miał nadzieję.

Przeciwko czemu się buntował? Posępne Czerepy dawały im przecież szansę na godną śmierć, mimo że ten szlachetny uczynek podyktowany był wyłącznie hipokryzją. Najważniejsze, że dzięki temu kilku spośród najeźdźców zostanie zabranych w otchłanie

śmierci przez umierających wojowników Gromowych Pięści.

Kiedy do wszystkich dotarło to, co się wokół dzieje, kilku krewnych Ragnara pobiegło do płonącej wielkiej sali i wyniosło z niej naręcza broni oraz tarcz. Posępne Czerepy w milczeniu obserwowały, jak ich wrogowie uzbrajają się i szykują do ostatniego starcia.

Powietrze aż iskrzyło od napięcia. Dawało się je wyczuć równie wyraźnie, jak obecność latającego statku Werbowników. Wojownicy wymachiwali bronią, wznosili okrzyki, a przywódcy Posępnych Czerepów rozmawiali ze sobą zbici w ciasną gromadę. Zapewne zastanawiali się, jak uczynić się godnymi w oczach boskich posłańców i samego Russa.

Mężczyźni z rodu Gromowych Pięści nie musieli się zniżać do targów i debat. Ich zadanie było proste, a odwaga płonęła w ich sercach. Musieli walczyć i sprzedać swoje życie za jak najwyższą cenę, zabierając ze sobą tylu Posępnych Czerepów, ilu się tylko da. Innego wyboru nie mieli.

Gdzieś za plecami Ragnara rozległ się szloch. Obejrząwszy się nieznacznie, ku swemu zdziwieniu dostrzegł Ranalda Jednozębego. Człowiek ten był zawsze spokojny i opanowany, nawet w obliczu najstraszniejszych orok czy gwałtownych sztormów. W każdej wyprawie, w której brał udział, dokonywał bohaterskich czynów. On to przecież własnoręcznie położył trupem Nocnego Trolla z Ponurych Wrzosowisk.

Czemu akurat teraz spokój i odwaga go opuściły? – zastanawiał się Ragnar. Ze wszystkich zgromadzonych tu mężów on zdawał się najbliższy dostąpienia zaszczytu wybrania przez Werbowników. Jego

męstwo nieraz było przecież wystawiane na próbę i z każdej z nich wychodził zwycięsko. Czy to możliwe, że odwaga człowieka się wyczerpuje, a kiedy wreszcie nastaje jej koniec, ten zmienia się w kwilące, bezbronne dziecko? A może to obecność Werbowników tak wpłynęła na biednego Ranalda? Obecność boskich wysłanników mogła zachwiać nawet najodważniejszym człowiekiem, uznał Ragnar.

A może to nieuchronna świadomość, że każdego z wojowników rodu Gromowych Pięści spotka dzisiaj ten sam straszliwy, nieubłagany koniec? Walka w bitwie, przepłyniecie przez sztorm – to były sytuacje, kiedy można było mieć nadzieję, że dzięki szczęściu, woli bogów lub własnej sile wyjdzie się cało z opresji. Ale kiedy nad człowiekiem wisiało nieubłagane fatum, którego nijak nie można odwrócić, sprawy miały się całkiem inaczej.

Ragnar zastanawiał się nad własnymi uczuciami. Bał się, choć nie pozwalał, aby to uczucie nim zawładnęło. Na swój sposób odczuwał podniecenie przed nadchodzącym starciem. Świadomość zbliżającej się śmierci stała się nic nie znaczącym uczuciem w porównaniu z rządzą zemsty za zdradziecki napad Posępnych Czerepów. Gniew powodował, że Ragnar był na krawędzi bitewnego szału Niczego innego nie pragnął bardziej, niż rzucić się wreszcie na wrogów i rozdawać na prawo i lewo mordercze ciosy.

Co dziwniejsze, chęć zdobycia łaski boskich wysłanników w ogóle nie miała wpływu na jego wściekłość. Był pewien, że będzie szczęśliwy umierając, jeśli zabierze ze sobą jednego lub dwóch najeźdźców. Jego życie kończyło się tutaj i nic już nie miał do stracenia. Jedyne, co mu pozostało, to możliwość drogiego sprzedania

własnej skóry.

Czy to nie dziwne, jak wiele może się zdarzyć w ciągu jednego zaledwie wieczora? Próbował sobie przypomnieć twarz Anny, w którą wpatrywał się jeszcze przed chwilą, ale nie potrafił przywołać jej obrazu przed oczyma. Jaka szkoda. Miałby kogo wspominać przez wieczność, którą spędzi w piekle.

Wojownicy Gromowych Pięści skończyli swoje przygotowania i czekali w napięciu. Naprzeciwko Posępne Czerepy przyglądały im się uważnie pośród pełgających płomieni pożarów. Oni już wybrali swoich najlepszych wojowników, którzy mieli stanąć do boju w pierwszym szeregu. Mierzyli się pełnymi nienawiści i strachu spojrzeniami, gotowi do decydującego starcia. Nagle oczy wszystkich padły na kogoś, kto wyłonił się z mroków nocy. Był to potężny, krzepki mężczyzna od stóp do głów zakuty w stalową zbroję, z ogromnym, wilczym futrem zwisającym z ramion.

Ragnar poczuł, że przechodzi go dreszcz. Oto stanął przed nim Wilczy Kapłan, którego nie dalej jak sto dni temu eskortowali do wyspy Władców Żelaza. Strach zmroził serce Ragnara, kiedy przypomniał sobie ostatnie słowa, jakie usłyszał od niego na pożegnanie. A więc nadszedł dzień jego zguby. Ranek był zatem nie tylko czarnoksiężnikiem, ale i jasnowidzem.

Wszyscy czekali, wbijając spojrzenia w masywną sylwetkę Wilczego Kapłana, jakby oczekując, że włączy się do bitwy, jednak on obserwował ich tylko błyszczącymi oczyma. Patrząc na niego, Ragnar zdał sobie sprawę, że jest w nim coś nieludzkiego, albo może przeciwnie, nadludzkiego. Cokolwiek mu się przydarzyło, w wyniku

tego tajemniczego zdarzenia stał się kimś nie należącym już do rasy ludzkiej, bardziej potworem niż człowiekiem.

Zdawać by się mogło, że Wilczy Kapłan nie boi się niczego ani nikogo. Stał z rękoma splecionymi na piersi, pewny siebie niczym rosnący mąż obserwujący zabawę dzieci. Zdawał się napawać swoją nieśmiertelnością, za nic mając sobie to, że obok rozgrywa się bitwa, a uzbrojeni mężczyźni zabijają się bez pardonu. Spojrzenie, jakim obdarzył walczących, mówiło, że byłby w stanie pokonać ich wszystkich na raz, podczas gdy oni nie zdołaliby go nawet zranić. Pamiętając, jak rozprawił się morskim smokiem, Ragnar przyznał w duchu, że taka właśnie była prawda.

Jeszcze jedna myśl wkradła się teraz do jego głowy. Ranek przybył podniebnym rydwanem, a więc nie był zwykłym czarnoksiężnikiem, tylko jednym z boskich wybrańców. Przewodził Werbownikom Poległych, którzy służyli samym bogom. Wydawało się, że ta sama myśl dotarła właśnie do wszystkich zebranych na płonącym rynku. Strach i podziw wypełniły serca mężczyzn, kiedy zdali sobie sprawę, z jaką świętością obcują.

Potworny starzec obserwował ich niecierpliwie, jakby chciał, aby wreszcie zaczęli walczyć. Ragnar podejrzewał, że jego obecność przeraziła wojowników. Można było nawet przypuszczać, że zaprzestaliby walki, ale potem Ranek dał znak ręką, aby wreszcie zaczęli. Wojownicy obu rodów zaczęli się wzajemnie okrążyć, a potem niczym dwa stada rozwścieczonych z głodu wilków rzucili się na siebie.



Strybjorn poczuł, że przechodzi go dreszcz, kiedy z ciemności wyłonił się ten zakuty w pancerz starzec. W głębi serca wiedział, że oto stanął oko w oko z jednym z Werbowników Poległych, który jeśli zechce, obdaruje męznego woja nieśmiertelnością i udziałem w wiecznej bitwie. Jego masywna postura i błyszczące oczy działały na zebranych jak magnes na żelazo. Wszyscy spoglądali ku niemu, a Strybjorn czuł obawę przed tym boskim wybrańcem. Chciał być taki jak on, osiąść tę tajemniczą moc, która pozwalała stać niewzruszonym pośród szalejącej bitwy. Pragnął tej dumy, bijącej od człowieka, który z pewnością położyłby trupem każdego z Posępnych Czerepów, gdyby ośmielił się rzucić mu wyzwanie. Strybjorn wiedział, że ma przed sobą szansę, której wielu innych nie miało. Oto mógł osiąść tę moc, stać się bohaterem albo zginąć próbując. Aby tego dokonać, musiał wykazać się w oczach Werbownika.

Strybjorn nie rzucił się do boju z pierwszą falą swoich ziomków. Uważnie rozglądał się wokół, szukając godnego przeciwnika. Spostrzegł nagle młodzika stojącego pośród Gromowych Pięści, który spoglądał na Werbownika tak, jakby go skądś znał. Czy to możliwe? – spytał sam siebie Strybjorn. Nie. To zapewne szaleństwo zrodzone ze strachu przed śmiercią. Strybjorn zapamiętał jednak jego twarz, opanowany przez nagłą niechęć i pomodlił się, aby obaj dożyli chwili, kiedy staną naprzeciwko siebie. Wtedy własnoręcznie zabije chłopaka. Nas znak starca Posępne Czerepy ruszyły do boju.



Ragnar uniknął ciosu jakiegoś rosnącego wojownika. Uderzył swoim toporem od dołu i rozplątał jego klatkę piersiową. Kości trzasnęły, wokół bryzgnęła krew. Kiedy wyrwał broń i obrócił się do tyłu, ledwo zdołał uniknąć kolejnego ciosu, a potem ku swemu przerażeniu poczuł, że nie może się poruszyć.

Konający mężczyzna, leżący teraz w kałuży własnej krwi, pochwycił go za kostkę, jakby ostatnimi siłami, jakie jeszcze mu pozostały, chciał sprawić, aby jego zabójca trafił do piekła razem z nim. Ragnar tkwił w miejscu, niezdolny do najmniejszego poruszenia, podczas gdy inny Posępny Czerep zamierzył się do morderczego ciosu. Ragnar odbił uderzenie tarczą i chcąc zachować równowagę, rozpaczliwie machnął toporem. Ten desperacki cios sprawił, że atakujący go wojownik odskoczył do tyłu, w ciemność. Ragnar wiedział, że przygwożdżony do jednego miejsca przez uchwyt konającego wroga nie ma najmniejszych szans na przeżycie. Podjął zatem ryzykowną decyzję i zerknął na człowieka, który wpijał palce w jego nogę. Szybko wymierzył cios i machnął połyskującym złowrogo toporem.

Ciało i kość z łatwością poddały się ostrej stali. Krew zlała nogę Ragnarą, a krzyk umierającego przypominał skrzeczenie wrony. Ragnar odskoczył na bok, unikając ponownego ataku ze strony wojownika Posępnych Czerepów.

Kiedy jego przeciwnik próbował znaleźć nową pozycję do ataku, popełnił błąd. Na chwilę pozostawił Ragnara za swoimi plecami, a ten bez wahania wykorzystał nadarzącą się okazję. Wymierzył morderczy cios w kark wroga, niczym kat ścinający skazańca. Kręgosłup pękł, a mięśnie szyi rozdarły się z trzaskiem, kiedy głowa nieszczęśnika pofrunęła w tłum walczących. Zdekapitowane ciało uczyniło jeszcze kilka kroków, po czym runęło bezwładnie na przesiąkniętą posoką ziemię.

Ragnar odetchnął głęboko, zbierając siły, a następnie skoczył do przodu, rozdając ciosy na lewo i prawo. Pierwsze uderzenie rozszczepiło czaszkę jakiegoś zaskoczonych najeźdźcy, drugie jednak zostało sparowane przez karłowatego wojownika z rodu Posepnych Czerepów. Zaczęli błyskawicznie wymieniać ciosy, a ramię Ragnara zapłonęło bólem, kiedy włócznia przeciwnika znalazła szczelinę w jego obronie i zatopiła się w ciele. Odpowiedział ciosem, po którym karzeł runął martwy na ziemię, a jego dusza dołączyła do pobratymców w piekle.

Sam Ragnar był zdumiony, że tak dobrze mu idzie. Wszystko wokół zdawało się dziać w zwolnionym tempie, a on sam walczył z idealną wręcz koordynacją ruchów i szybkością, o jaką sam siebie nie podejrzewał. Umysł miał krystalicznie czysty, opanowany i chłodny niczym górski strumień, spływający po ośnieżonym zboczu. Znał taki stan z opowieści doświadczonych wojowników i wiedział, jaką cenę przyjdzie mu za niego zapłacić po bitwie. W tej chwili jednak zdawało mu się, że jest absolutnie niezwyciężony.

Szybkie spojrzenie, jakim obrzucił pole walki, powiedziało mu, że

bardzo się myli. Zewsząd otaczała go zdająca się nie mieć końca horda Posępnych Czerepów. Na miejsce każdego powalonego pojawiał się kolejny gotów do walki i choć Gromowe Pięści dzielnie się spisywały w boju, to mniej więcej połowa z nich straciła już życie. Ragnar dostrzegł swego ojca leżącego na ziemi. Jego oczy nieruchomo wpatrywały się w rozgwieżdżone niebo, dłonie były zaciśnięte na rękojeści topora, a u stóp spoczywało dwóch martwych wrogów.

Strach ścisnął serce Ragnara. Oto zabrakło człowieka, który był przy nim zawsze, jak daleko sięgnął pamięcią. Przecież to ojciec wychowywał go po śmierci matki, stając się filarem jego świata. To było po prostu niemożliwe. Ragnar z furią przebił się przez szeregi wrogów, torując sobie krwawy szlak do miejsca, gdzie spoczywało ciało ojca. Przyklęknął obok i dotknął jego czoła. Przekonał się jednak, że pokryte jest jedynie zimnym potem i stygnącą posoką wrogów. Sięgnął do szyi w poszukiwaniu pulsu, ale nie zdołał go wyczuć. Ojciec rzeczywiście nie żył. Smutek i żal na chwilę sparaliżowały Ragnara.

Kolejny Posępny Czerep rzucił się na niego. Ragnar obserwował go ze stoickim spokojem, czując jak żal i smutek zmieniają się w jego sercu w uczucie równie zimnie, jak trup jego ojca. Obserwował wroga, dostrzegając każdy szczegół jego sylwetki, od parchów na dłoniach aż po szczyt ostrza topora. Ze sposobu, w jaki Posępny Czerep się do niego zbliżał, Ragnar domyślił się, że miał skreconą kostkę, ale mimo to nadal atakował. Mężczyzna uniósł broń, gotów zadać cios, który z pewnością pozbawi Ragnara głowy, ale ten nie

reagował. Czuł się, jakby to wszystko dotyczyło całkiem innej osoby.

Zza ramienia atakującego go wojownika dostrzegł Wilczego Kapłana Raneka, który z uwagą go obserwował. W jego oczach kryło się coś dziwnego. Może to był wyraz pogardy, może współczucia, Ragnar nie potrafił tego ocenić. Żaden śmiertelnik nie byłby chyba w stanie nic wyczytać z tych wilczych ślepi. Nagle zimna furia przepełniła serce Ragnara i z niesamowitą szybkością rzucił się do przodu, zasypując lawiną ciosów swojego przeciwnika.

Doskoczywszy do wroga, kopnął go potężnie w skrzyżowaną nogę, posyłając go tym samym na ziemię. Nim powalony wojownik dotknął gruntu, jego czaszka była rozszczepiona, a Ragnar już szarżował na zbliżających się wrogów, zabijając każdego, kto stanął mu na drodze.

Teraz walczył na podobieństwo bogów i nikt ani nic nie było w stanie go powstrzymać. Gniew, żal i wściekłość dały mu siłę, szybkość i dzikość, której żaden człowiek nie potrafił sprostać. Strach opuścił Ragnara, który nie dbając o to, czy będzie żył, czy też zginie, parł do przodu przez wrogów niczym smocza łódź przecinająca fale wzburzonego morza. Każdy, kto stanął mu na drodze, ginął pod ciosami śmiertelnościanego topora.

Pośród tej bitewnej zawieruchy któryś z wojowników rodu Posepnych Czerepów potężnym ciosem strzaskał tarczę Ragnara. Zwróciwszy tym samym na siebie jego uwagę, zapłacił za ten czyn życiem. Nim jego ciało upadło na przesiąknięty krwią plac boju, Ragnar pochwycił jego topór i z bronią w każdej dłoni ponownie natarł na wrogów. Niczym huragan zniszczenia zabijał każdego, kto stanął mu na drodze. Dawno już stracił rachubę zabitych

przeciwników, choć wiedział na pewno, że było ich co najmniej dwudziestu. Z radością obserwował wyraz przestachu i grozy na obliczach wojowników, którym przyszło stanąć z nim twarzą w twarz. Sprawiali wrażenie, jakby walczyli z demonem, a to jedynie coraz bardziej bawiło Ragnara. Czul się, jakby jakieś piekielne moce natchnęły go nową siłą. Może bitewny szal sprowadził któregoś z wysłanników otchłani, aby go opętał? Jeśli tak, to dobrze. Każda pomoc w zabijaniu Posepnych Czerepów się przyda i będzie mile widziana.

Przez chwilę zdawać by się mogło, że ów nieludzki szal, który go opanował, będzie w stanie pomóc Gromowym Pięściom. Można było się łudzić, że Ragnar własnoręcznie odwróci losy bitwy. Jego ziomkowie zbili się w klin za jego plecami, podniesieni na duchu przykładem młodego krewniaka. Ale taki szal nie mógł trwać wiecznie, a i oni nie byli w stanie dorównać mu w boju. Jeden po drugim padali. Ragnar krwawił z setki zadrapań i draśnień, jego siły słabły pod wpływem uderzeń i pchnięć wrogów. W końcu zaczął do niego docierać ból i zmęczenie, na powrót czyniąc go człowiekiem.

Strybjorn położył trupem kolejnego wroga i rozejrzał się wokół, próbując znaleźć w tłumie walczących chłopaka, którego widział poprzednio. Niestety nigdzie w pobliżu nie było go widać, zapewne bitewna zawierucha rzuciła go gdzieś w inny kąt rynku, na którym szalała walka. Mimo to Strybjorn zdołał zabić starca, który przypominał upatrzzonego przez niego młodzika. Gromowe Pięści odzyskały teraz ducha bojowego i ze świń do zarzynania przemieniły się w przeciwników wartych jego ostrza. Strybjorn był z siebie

zadowolony, bowiem położył trupem już pięciu. Przepęłniała go duma i pewność siebie, gdyż bez wątpienia Werbownicy musieli dostrzec jego bohaterskie czyny. Wybierał zatem swych wrogów z rozważą. Każdy z nich był wojownikiem w sile wieku, doświadczonym i sprawnym, i każdy padł pod ciosami jego topora.

Po raz kolejny radość z bitwy i przelewu krwi opanowała jego duszę. Zdał sobie sprawę, że oto doświadcza prawdziwego szczęścia. Nic innego, ani dziewczka, ani jadło czy napitek nie przynosiło mu tyle radości, co zabijanie. Żadne miody czy pieszczoty nie były mu słodsze od broni w ręku i konającego przeciwnika u stóp. Kiedy zadawał ciosy i mordował, stawał się równy bogom. Strybjorn miał jednak przeczucie, że Werbownicy znają wspanialsze rozkosze, dostępne tylko im oraz ich panom. Być może pozna je i on.

Teraz jednak nadszedł czas, aby ponownie wybrać swoją ofiarę i jeszcze raz zabić.



Zmęczenie stopniowo ogarniało Ragnara. Czuł, że jego ruchy stają się wolniejsze, a siły wypływają z niego wraz z krwią sączącą się z ran. Kolejny Posepny Czerep zastąpił mu drogę i spotkał swoją zgubę. Ostrze topora przecięło tunikę, w którą był ubrany. Ragnar pozwolił mu opaść na ziemię, a następnie zbliżył się o kilka kroków i zadał kolejny cios, który przełamał zastawę przeciwnika i posłał go do jego przodków.

Kiedy wróg upadł, okazało się, że za jego plecami kłębi się całe mrowie jego kamratów. Zdawać się mogło, że na miejsce każdego zabitego pojawiała się dwóch następnych, Ragnar jednak o to nie dbał. Wiedział jedynie, że chce zabijać. Pragnął pomścić ojca i odebrać sowitą zapłatę we krwi wrogów za życie z Anną, z którego go obrabowali. Kiedy w końcu zostanie zabity i wkroczy do zimnych piekieł, tam powitają go ci, których sam położył trupem. Na tę myśl uśmiechnął się ponuro. Jedyne, czego żałował, to że nie zdoła zabić ich wszystkich, że nie potrafi na powrót rozpalić w swej duszy płomienia bitewnego szału, który pozwoliłby mu walczyć, kiedy normalni ludzie nie będą już mieli sił.

Lawina ciosów spadła na kolejnych dwóch wrogów, którzy znaleźli się na jego drodze, ale potem resztkę sił nagle opuściła Ragnara. Zniknęła niczym drewno strawione przez ogień płonący na kominku. Jedyne, co mu pozostało, to refleks i instynkt, one prowadziły go teraz przez wir bitwy. Jego uderzeniom brakowało już zabójczej mocy. W końcu stanął twarzą w twarz z człowiekiem, w którego oczach wyczytał własną śmierć.

To był ten młodzik, którego dostrzegł już wcześniej. Był w podobnym wieku co Ragnar. Miał masywne łuki brwiowe i przerośniętą szczękę. Uśmiechnął się dziko, odsłaniając zęby wielkie i silne jak młyńskie kamienie. W jego oczach kryło się bitewne szaleństwo, podobnie jak przed chwilą w spojrzeniu Ragnara. Kiedy stanęli w końcu naprzeciwko siebie, obaj poczuli, że ich przeznaczenie właśnie waży się w rękach bogów.



Strybjorn zmierzył wzrokiem swoją ofiarę. Wreszcie odnalazł go pośród bitwy i przekonał się, że ów młodzik pozostawił za sobą szlak zniszczenia i śmierci, dziesiątkując jego krewnych. Jednak teraz chłopak, który zdawał się znać Werbownika, stał przed nim i był w zasięgu jego topora.

Z wyglądu niczym szczególnym się nie wyróżniał. Był podobny do swoich ziomków: szczupły, o szerokich ramionach i rzadko spotykanej mierzwie gęstych, czarnych włosów. Strybjorn jednak nie lekceważył chłopaka, który zabił tylu innych wojowników z jego rodu. Na własne oczy widział, jakich zniszczeń dokonał tamten. Teraz jednak szlak jego zwycięstw się zakończy. Strybjorn był pewien, iż już dawno zapisano w gwiazdach ich spotkanie i to on wyjdzie z niego zwycięsko, zabijając najpotężniejszego wojownika wrogów i zdobywając tym przychylność bogów oraz ich Werbowników. To było pewne.

– Jestem Strybjorn – powiedział. – Zabiję cię.

– Zwą mnie Ragnar – odparł młodzieniec. – Chodź, spróbuj szczęścia.



Ragnar spojrzał w oczy wroga i dostrzegł w nich nienawiść. Potem zauważył ów charakterystyczny błysk, który podpowiedział mu, że

zbliża się atak. Wiedziony instynktem odskoczył do tyłu, kiedy Strybjorn machnął na odlew toporem.

Posępny Czerep był bez wątpienia szybki. Ragnar z ledwością zdołał odbić jego cios i zejść z drogi kolejnego ataku. Strybjorn nie dał się jednak zwieść i powalił go ciosem swojej tarczy. Ragnar wyrznął głową w ziemię i pociemniało mu przed oczyma, zdołał jednak przetoczyć się do tyłu, miażdżąc po drodze jakieś zwłoki.

Kiedy tylko zdołał odzyskać wzrok, dostrzegł, że ostrze topora opada ponownie, kreśląc świetlisty łuk w blasku pożarów. Ragnar przetoczył się w bok, a topór uderzył w jakiegoś leżącego na ziemi trupa. Odgłos uderzenia przypominał ten, który dobiega z rzeźni, kiedy tasak ćwiartuje wieprza. Spadł kolejny cios, ale tym razem Ragnar zdołał się zasłonić. Złe ustawienie broni oraz impet ciosu sprawiły, że trzon topora uderzył go w klatkę piersiową. Zakrztusił się, kiedy krew napłynęła mu do płuc.

Strybjorn jeszcze raz uniósł swoją broń do ataku, a Ragnar ponownie przetoczył się w bok, unikając śmierci. Kiedy zerwał się na równe nogi, zobaczył kolejnego wojownika Posępnych Czerepów, który szykował się właśnie do zadania morderczego ciosu. Ragnar wiedział, że nie ma szans zasłonić się przed tym niespodziewanym atakiem.

– Zostaw go! Jest mój! – dobiegł zza jego pleców głos Strybjorna. Zaskoczony Posępny Czerep zamarł na chwilę, a Ragnar wykorzystał tę chwilę wahania i zatopił ostrze w jego klatce piersiowej, po czym odwrócił się akurat na czas, aby zablokować cios Strybjorna. Ponownie próbował parować atak, ale tym razem jego siła sprawiła,

że lewa ręka Ragnara nie tylko zdrętwiała. Coś chrupnęło w nadgarstku i przez całą rękę przeszedł spazm potwornego bólu. Topór wypadł z omdlałej dłoni, a Strybjorn rozchylił grube wargi w tryumfalnym uśmiechu zwycięstwa.

– Teraz umrzesz, Ragnarze z rodu Gromowych Pięści!

Ragnar odpowiedział mu hardym spojrzeniem i także się uśmiechnął. Potem błyskawicznie zadał cios drugim toporem. Szybkość tego ataku zaskoczyła Strybjorna, który nie zdołał sparować ciosu ani przed nim uskoczyć. Ostrze uderzyło w jego głowę, niestety za lekko i zbyt płytko. Krew chlusnęła z rany, ale Posepny Czerep otrząsnął ją tylko ruchem głowy.

Ragnar cofnął się o krok, podziwiając swoje dzieło. Wiedział doskonale, że cierpliwość w tym przypadku jest znacznie bardziej opłacalna niż ślepa żądza mordy. Wkrótce krew spływająca po czole oślepi Strybjorna i będzie on zdany na łaskę Ragnara.

Strybjorn też był tego świadom, gdyż z rykiem i pianą na ustach zaszarżował niczym raniony dzik. Nawała ciosów, jaką zasypał Ragnara, była potworna, mimo to nie uczyniła mu żadnej szkody poza paroma sińcami i zadrapaniami. Ragnar zdał sobie jednak sprawę, że jego sytuacja jest beznadziejna. Otoczyli ich teraz wojownicy Posepnych Czerepów, którzy bez wątpienia zechcą pomścić śmierć młodego krewniaka, jeśli Ragnar go zabije. Nie było żadnej szansy, aby wyszedł cało z tego starcia.

Ragnar podjął decyzję. Upewni się, że ten z wrogów, który położy go trupem, zapłaci za to swoim życiem. Porzucając daremną obronę i odsłaniając się na ciosy przeciwników, zamierzył się do ostatecznego

uderzenia. Potężnym rzutem cisnął topór w kierunku Strybjorna. Ostrze sięgnęło celu, żebra pękły, a krew chlusnęła szerokim strumieniem. Przez chwilę Ragnar uśmiechał się z satysfakcją, a potem poczuł ból, kiedy ostrze topora rozpędzonego Strybjorna zatopiło się w jego piersi.

Obaj upadli na ziemię, a linia Posepnych Czerepów zbliżała się ku nim nieubłaganie, aby dobić rannego. Ragnarowi zdawało się, że runął w bezdenną ciemność, kiedy spadły na niego ciosy, uderzenia i kopniaki. Śmierć już na niego czekała.

Rozdział 5

WERBOWNICY POLEGŁYCH



Ragnar dryfował przez oceany bólu. Całe jego ciało płonęło. Cierpiał w sposób niewyobrażalny dla zwykłych ludzi, choć nie wierzył, żeby jakikolwiek śmiertelnik był w stanie wytrzymać takie katusze.

A więc to jest piekło, myślał zdziwiony. Oczekiwał czegoś zupełnie innego. Nie otaczał go chłód, a jedynie ból. Gdzie się podziali inni zabici? Czemu go nie powitali i gdzie zasiadali sędziowie, ważący uczynki zmarłych? Gdzie ojciec, matka i reszta jego rodu?

Mimo wszechogarniającego cierpienia był świadom dojmującego poczucia żalu i zawodu. Nie został wybrany. Nie przebudził się u stóp Góry Wieczności, aby w Salach Bohaterów zasiąść do uczty wraz z herosami. Zawiódł i okazał się niegodny. Ta myśl drażyła go niczym robak nawet wtedy, gdy bez zmysłów pograżył się w ciemności.



Po raz kolejny wróciła mu świadomość, choć tym razem ból zelżał. Dziwny, dudniący odgłos dobiegał do jego uszu na przemian z rykiem wichru. Dłuższą chwilę zajęło mu zrozumienie, że dudnienie było odgłosem jego bijącego serca, a ten wiatr to jego oddech.

Zdawało mu się, że w jego piersi płoną wyjęte z kuźni węgle. Podobny ból promieniował z każdej rany, którą zadano mu w trakcie ostatniej bitwy. Chciał krzyczeć, lecz nie mógł wydobyć z siebie głosu ani otworzyć ust. Zdawało mu się, że w całe jego ciało powbijano igły, przez które do ran sączy się teraz roztopiony ołów!

Oto piekło, pomyślał. Miejsce, gdzie będą mnie torturować przez wieczność. Ciemność. Cisza.



Teraz było zimno. Zewsząd otaczał go lód, trzymający jego ciało w swych parzących od mrozu okowach. To przynajmniej było coś znajomego, nieraz słyszał opowieści skaldów o piekle. Tutaj zagubione dusze błąkały się bez celu, póki nie uleciało z nich wszelkie wspomnienie dawnego życia. Wtedy rozpadały się, aby ostatecznie przemienić się w kości wszechświata.

Ale gdzież są inni zmarli, którzy nie zaznali ukojenia – zastanawiał się w ciszy. Czemu ich nie widzę? Nie było odpowiedzi. Dryfował samotnie w chłodzie przez nieskończone eony, zanim ponownie stracił zmysły.



Teraz dla odmiany robiło się cieplej. Przez całe jego ciało przeszedł dreszcz. Ból i ciepło zdawały się przenikać nawzajem i w jego umyśle

stanowiły teraz jedno. Nie mógł oddychać i po raz pierwszy zdał sobie sprawę, co oznacza brak powietrza. Czul swoje członki, ale były zbyt ciężkie, żeby nimi poruszyć. Oczy miał zamknięte i nie mógł nawet na milimetr unieść powiek. Zdawało mu się, że ktoś z bardzo daleka wykrzykuje rozpaczliwie jego imię.

Czy to umarli? – spytał sam siebie, choć wiedział doskonale, że to nie mogą być oni.

Siłą woli zmusił się, aby pozostać przytomnym. Spróbował otworzyć oko, ale zdawało mu się, że unosi nieskończenie wielki ciężar. Tak zapewne musiał się czuć Russ, kiedy walczył z Wężem Świata. Otwarcie oczu przekraczało możliwości Ragnara, ale to nie był jeszcze powód, żeby się poddać.

Całą siłą, na jaką mógł się zdobyć, spróbował ponownie rozewrzeć powieki. Opierały się jego woli, niczym ziemia przykrywająca grób powstrzymuje nieboszczyka przed powrotem do krainy żywych. Ragnar nie ustawał w wysiłkach, zmuszając się do kolejnych prób.

Ból ponownie przeniknął całe jego ciało, ale Ragnar nie pozwolił, aby to mu przeszkodziło. Czy to pot spływa po jego policzku? Możliwe, ale nie miał dość siły, aby go otrzeć. Całą energię, jaka mu jeszcze pozostała, włożył w otwarcie oczu. Powinno to być dziecinnie proste dla kogoś, kto stoczył tak bohaterską bitwę, ale teraz zdawało się przekraczać jego możliwości.

Pomyślał o matce, ojcu i przyjaciółkach. Jeśli otworzy oczy, będzie mógł ich wreszcie zobaczyć. Spojrzy wreszcie na krainy umarłych. Ta myśl przeraziła go, ale cóż mu innego pozostało? Przecież już był w zaświatach. Prędzej czy później będzie musiał stawić im czoła, a nie

był wszak tchórzem. Znał siebie samego na tyle, aby móc bez cienia wątpliwości powiedzieć, że jest odważnym mężczyzną.

Czemu więc się obawiał? Czemu w jego piersi zagnieździł się strach? Czy bał się spojrzeć na nieznane, a może w twarze tych, których kochał? Spróbował raz jeszcze i wreszcie jego wysiłki zostały nagrodzone przebłyskiem światła.

Nagle ciemność się rozstała, ustępując przed oślepiającym blaskiem bieli i błękitu. Tego nie oczekiwał. Zmusił się, aby trzymać oczy otwarte, a potem rozwierał powieki coraz szerzej, aż wreszcie uświadomił sobie, że spogląda w niebo, tak samo błękitne, jak to na Fenrisie. Zaświaty wyglądały inaczej, niż się spodziewał. Ragnar czuł się zawiedziony i oszukany.

Tak jakby widok nieba stanowił jakiś sygnał, inne bodźce zaczęły stopniowo dopływać do jego skołatanego mózgu. Czuł teraz zapach ziemi, słyszał śpiew ptaków i odległy huk fal uderzających o brzeg. Potem wyczuł swąd spalonego ludzkiego ciała i drewna, nieomylnie oznaczający stos pogrzebowy.

Leżał na czymś miękkim. Kiedy zacisnął dłonie, wyczuł pod palcami ziemię i trawę. Coś jednak zadawało się oddzielać go od świata, pewnego rodzaju drętwa, podobna do tej, która zstępuje na człowieka pijanego, tyle że po wielokroć silniejsza.

Nagle dostrzegł pochylającą się nad nim masywną głowę. Kiedy jego wzrok się zogniskował, zauważył także chłodne, niebieskie oczy, które niczym odległe gwiazdy na nieboskłonie spoglądały teraz na niego bez cienia emocji. Zacięta i surowa twarz należała do Wilczego Kapłana Raneka, Werbownika Poległych.

– A więc dotarłeś za mną aż tutaj – chciał powiedzieć Ragnar, ale zamiast słów z jego ust wydobył się tylko niezrozumiały bełkot.

– Oszczędzaj siły i nic nie mów – powiedział Ranek. – Przebyłeś długą drogę z krainy zmarłych do świata żywych. Niewielu ludzi jest w stanie ją odbyć, ale i ty, choć tego dokonałeś, musisz się teraz oszczędzać.

Ranek powiedział coś jeszcze do osoby znajdującej się poza polem widzenia Ragnara. Były to słowa w języku, którego młodzieniec nie znał, ale ledwie przebrzmiały, poczuł ból w ramieniu, a potem jego ciało opanował chłód, podobny do tego, który niesie ze sobą woda z roztopiającego się śniegu. Przytomność i zmysły ponownie go opuściły.



Tym razem obudził się w jednej chwili. Był całkowicie wypoczęty, wiatr owiewał jego twarz, a słońce pieściło skórę ciepłym dotykiem. Spróbował usiąść, ale okazało się to zadaniem, które prawie przekraczało jego siły. Mimo wszystko zdołał podźwignąć się z ziemi. Teraz spostrzegł, że nie ma na sobie odzienia. Z obawą dotknął miejsca, gdzie ostrze topora Strybjorna zatopiło się w jego ciele i ku swemu zdziwieniu wyczuł tam jedynie delikatną linię blizny. Mimo to klatka piersiowa bolała go, kiedy ostrożnie badał zranione miejsce.

Przyjrząwszy się dokładniej, dostrzegł różową bliznę oraz żółtawe sińce. Całe jego ciało, a prawdopodobnie też i plecy, pokrywały setki

podobnych pamiątek z bitwy, jaką stoczył owej fatalnej nocy. Co się tutaj dzieje? – pomyślał gorączkowo. Znajdował się na środku poboju, wokół czerniały resztki spalonej wsi. Jedyнным elementem nie pasującym do tego krajobrazu był ogromny statek powietrzny.

Dziwne były te zaświaty, wręcz niepokojąco podobne do rzeczywistego świata. Zasadniczą różnicą były ruiny na miejscu jego rodzinnej wioski. Dach Wielkiej Sali jeszcze się kopał, a nad brzegiem morza dogasały stosy pogrzebowe. Pozostałe przy życiu kobiety i dzieci z jego rodu właśnie zapędzono na smocze łodzie przycumowane przy brzegu.

Z wolna do Ragnara zaczęło docierać, że być może rzeczywiście jest w realnym świecie. Teraz przypomniał sobie zdradziecki napad Posępnych Czerepów i bitwę, jaką z nimi stoczono. Wybuchły pożary, dokonana się rzeź. Teraz rozumiał, czemu leży pośród ruin rodzinnej wsi.

A może to jednak piekło? Może to stworzone przez demony miejsce miało mu pokazać, co się stało z rodzinną wsią, kiedy jej obrońcy zawiedli? Ten widok z pewnością sam w sobie był wystarczającą karą za tchórzostwo.

Usłyszał ciężkie kroki za swoimi plecami i obróciwszy głowę, dostrzegł obserwującego go uważnie Wilczego Kapłana. Mężczyzna studiował przez chwilę jego twarz, a potem powiedział:

- Witaj ponownie pośród żywych, młodziku.
- Nie rozumiem... Ja żyję? Czyż nie jesteś Werbownikiem Poległych?

Ranek obserwował go przez chwilę w milczeniu, a potem wybuchnął tubalnym śmiechem, jakby usłyszał jakiś doskonały żart.

– Nie zmieniłeś się, chłopcze, ani na jotę. Ciągłe te pytania, bez końca!

– Nie jestem już chłopcem! Osiągnąłem wiek męski wiele dni temu.

– I jak ci się żyło, co? Przyznać muszę, że udowodniłeś swoje męstwo i zdolności. Jesteś urodzonym wojownikiem. Nie widziałem takiej rzezi od czasów Bereka, a było to... Wiele czasu już upłynęło, w każdym razie.

– Jesteś Werbownikiem Poległych, prawda?

– Tak, chłopcze, jestem. Choć nie w takim sensie, jak przypuszczasz.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Albo nim jesteś, albo nie!

– Któregoś dnia, jeśli tego dożyjesz, zrozumiesz. Wszechświat nie jest taki prosty, jak ci się dotąd wydawało. Zresztą sam się o wszystkim wkrótce przekonasz.

– Jeśli dożyję? – spytał zaskoczony Ragnar, spoglądając na miejsce, gdzie w jego klatce piersiowej powinna ziać dziura. – Z pewnością...

– Powinienem być już martwy? To chcesz powiedzieć? – wtrącił Ranek. – Byłeś, zapewniam cię, chłopcze. Albo znalazłeś się tak blisko śmierci, jak tylko może być człowiek, który wrócił do życia. Twoje serce przestało bić, straciłeś wiele krwi. Odniosłeś znaczne obrażenia, ale nasz medyk zdołał cię uratować, nim umarł twój mózg. Nie było to na twoje szczęście poza zasięgiem naszej... magii.

Ragnar był pewien, że Ranek wymamrotał pod nosem jakieś słowo, nim wspomniał o magii. Jednak ani go nie dosłyszał, ani nie

zrozumiał. Cóż, tacy byli czarodzieje, mówili zagadkami, i do tego bezsensownymi. Mimo to słowa Raneka dawały Ragnarowi nadzieję.

– Potraficie wskrzeszać zmarłych? – spytał, a w jego głosie pobrzmiwała determinacja. – W takim razie mój ojciec...

– Jemu nie jesteśmy już w stanie pomóc – odparł Ranek, wskazując ręką na dopalające się w oddali stosy pogrzebowe.

– W takim razie czemu nie pomogliście jemu, kiedy leczyliście mnie? – krzyknął łamiącym się głosem Ragnar, zawstydzony tym, że zachowuje się jak dziecko.

– Nie zasługiwał na naszą pomoc i nie interesował nas jego los. Ty... to zupełnie co innego. Zostałeś wybrany.

– Do czego?

– Już wkrótce się przekonasz. Twoje przeznaczenie czeka na ciebie.

– Ciągle o nim mówisz.

– To prawda, ponieważ nie da się mu zaprzeczyć ani przed nim uciec – Ranek uśmiechnął się na swój przerażający sposób, pobłyskując długimi, wilczymi kłami. – Teraz należysz ciałem i duchem do Wilków.



Ragnar podniósł się z ziemi, stając na nogach tak chwiejnie, jak nowonarodzony jelonek. Próbował zrobić krok do przodu, ale zachwiał się i osunął na ziemię. Brak czucia i zamęt w głowie sprawiły, że nie był przygotowany na siłę uderzenia, z jaką powitał go

kamienisty grunt.

Nie poddając się po pierwszym niepowodzeniu, Ragnar ponownie wstał, tym razem pomagając sobie obiema rękami. Postąpił kilka kroków naprzód i znów się przewrócił, jednak tym razem zamortyzował upadek dłońmi. Ponownie stanął, czując, że kręci mu się w głowie. Żołądek buntował się przeciwko takiemu traktowaniu, lecz Ragnar nie dawał za wygraną. Ta przedziwna słabość napawała go strachem, ale i ogarniającą serce i duszę euforią.

Nie umarł. Powrócił do żywych. Z jakiś tajemniczych, znanych tylko sobie powodów Ranek i jego towarzysze zdecydowali się ocalić mu życie. Zaiste, mogłoby się zdawać, że wybrali go do jakichś celów. Choć nie dokonało się to w sposób, o jakim opowiadały legendy, to jednak Ragnar żył.

Musieli być naprawdę potężnymi czarnoksiężnikami, skoro uleczyli jego rany, przywrócili mu życie i zdołali sprowadzić z piekieł jego duszę. A może to wcale nie było tak? Może padł ofiarą jakiejś przebrzydłej magii morskich demonów i zamiast życia został skazany na wieczne uwięzienie? Czy jego dusza została wezwana, aby służyć im w jego martwym ciele? Czy zacznie się rozkładać jak trupy w grobach? Spojrzał na Wilczego Kapłana i spytał:

– Czy ja jestem martwy?

To było szalone pytanie, jednak Ranek obdarzył go spojrzeniem pełnym współczucia i zrozumienia.

– Jeśli spytałbyś ludzi, którzy znajdują się teraz na brzegu, to w ich mniemaniu tak, zostałeś zabity w trakcie bitwy, podobnie jak reszta ludzi z twojego plemienia. Nigdy już nie powrócisz na tę wyspę, jako

że twoje przeznaczenie leży pośród nieskończonych lodowych pustkowi, a jeśli będziesz miał szczęście, to także między gwiazdami.

Ragnar spojrział na nabrzeże i zdawało mu się, że dostrzegł Annę, wpychaną brutalnie do jednej ze smoczyc łodzi. Zdał sobie sprawę, że musi ją za wszelką cenę ratować. Z trudem, zataczając się niczym pijak, ruszył w stronę nabrzeża. Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że Ranek wcale nie próbuje go zatrzymać.

Ragnar nie wiedział, ile czasu zajęło mu dotarcie do plaży. Gdy tam dotarł, był potwornie zmęczony, dyszał tak, jakby przebiegł dwadzieścia kilometrów po piasku. Kiedy wyłonił się zza drzew, wojownicy Posępnych Czerepów odwrócili się zaskoczeni. Na ich twarzach odmalował się wyraz bezgranicznego przerażenia, kiedy go rozpoznali. Jeden przez drugiego czynili na piersi znak Russa i jeszcze szybciej przygotowywali swoje okręty do odpłynięcia.

Ragnar próbował ich dogonić, ale fale przyboju zwały go z nóg. Woda pochłonięła go, zaczęła wciągać w głębiny i wdzierać się do płuc. Desperacko próbował dostać się do łodzi, ale czyjaś potężna dłoń zacisnęła się na jego ramieniu. Ragnar obrócił się i wymierzył trzymającemu go człowiekowi potężny cios. Potworny ból przeszył jego rękę, gdy uderzenie sięgnęło celu. Zdawało mu się, że połamał sobie wszystkie palce i kości ramienia.

– Stali ceramicznej nie przebijesz gołą dłonią – powiedział spokojnie Ranek, unosząc go do góry niczym szczeniaka, choć Ragnar robił wszystko, co w jego mocy, żeby wyrwać się z uchwytu. – Jeżeli nie przestaniesz, wkrótce rzeczywiście połamiesz sobie rękę.

Od strony łodzi zaczął dobiegać rytmiczny dźwięk bębna. Wiosła z

pluskiem zanurzyły się w wodzie, a statki ruszyły.

– Dokąd oni płyną?

– Wracają do domu z ładowniami pełnymi skarbów i nowych niewolników. Opuszczają tę wyspę, gdyż uważają, że jest nawiedzona. Sądzę, że twoje nagłe pojawienie się na plaży jeszcze bardziej ich w tym utwierdzi. Pozostałości twojej wsi na długo staną się świętym miejscem, co do tego nie mam wątpliwości.

– Zapomną o tym – odparł ponuro Ragnar. – Ludzie zawsze zapominają.

Obserwował w milczeniu, jak smocze łodzie odpływają i zastanawiał się, czy niewielka postać, którą widział w oddali, to rzeczywiście machająca mu na pożegnanie Anna, czy może tylko złudzenie. Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie i wiedział, że nigdy się nie dowie, jaka była prawda.

Ranek postawił go na brzegu i wskazał drogę powrotną. Ragnar zastawiał się, czy woda spływająca po jego policzkach pochodzi tylko z fal morskich, które rozbijały się o niego niczym o skałę.



Wspinał się na zbocze wzgórza, na szczycie którego wylądował podniebny statek. Rozglądając się wokół, próbował zapamiętać szczegóły wyglądu swojej rodzinnej wsi, bowiem wierzył słowom Wilczego Kapłana, kiedy ten powiedział, że nigdy już tutaj nie powrócą.

Krążył zatem pomiędzy zgliszczami, aż zawędrował w miejsce, gdzie kiedyś stał dom Ullego. Przyjaciel był teraz martwy, padł u boku swego ojca podczas bitwy. Nie zwrócił na siebie uwagi Werbowników i choć zdawało się to niemożliwe, nie było go już pośród żywych. Przyjaciel, z którym Ragnar dzielił wszystkie troski i szczęścia dzieciństwa, odszedł. Wszyscy, których znał i kochał, zginęli.

Ragnar przypomniał sobie wspólne zabawy w berka, polowanie na potwora czy grę w piłkę. Razem włóczyli się po całej wyspie. Teraz zdawało mu się, że gdzieś z oddali dobiegają głosy bawiących się dzieci, ale to było tylko złudzenie. Żadne z nich nie miało szans uchronić się przed najeźdźcami. To, co było w jego życiu piękne, minęło na zawsze i nigdy już nie powróci. Zmieniło się w zimne popioły wraz ze spalonymi chatami.

Minął miejsce, gdzie walczył i padł jego ojciec, rozpaczliwie starając się wyprzeć to wspomnienie z pamięci. Jeszcze przyjdzie czas na to, aby oswoić się z myślą o utracie rodziciela. Teraz przypominała ona świeżą ranę, którą drażniło każde, najlżejsze nawet dotknięcie. Ilekroć do niej powracał, czuł, jak rodzi się w nim gniew i wściekłość.

Ragnar zatrzymał się na chwilę i kiedy ruszył ponownie, ominął szerokim łukiem rodzinne domostwo. Nie chciał widzieć miejsca, które obok pokładu „Włóczni Russa” było jego jedynym domem, spalonego teraz i zrujnowanego. Dotarł wreszcie na sam kraniec wsi. Ten spacer, ta przechadzka wspomnień była błędem. Rany okazały się zbyt świeże i bolesne. Ragnar chciał już tylko jak najszybciej stąd odejść. Ruszył w stronę podniebnego statku Werbowników.



Kiedy zbliżył się do szczytu wzgórza, dostrzegł jeszcze jedno ciało spoczywające na ziemi. Zawieszona było w jakiejś metalowej konstrukcji, otoczonej przez różnego rodzaju tuby, których końcówki zatopiono w żywym ciele. Wszystkie one podłączone były do metalowej puszki, która niczym pająk w sieci spoczywała na klatce piersiowej człowieka. Przez rury i tuby tłoczono różne ciecze i fluidy, a dziwne zielone i czerwone runy pobłyskiwały tu i ówdzie.

Gdy Ragnar podszedł bliżej, przekonał się, że oplecionym rurkami człowiekiem jest Strybjorn Posępny Czerep, ten sam młodzieniec, z którym stoczył swoją ostatnią walkę. Wyglądało na to, że Werbownicy i nad nim odprawiali swoje czary, co z kolei oznaczać mogło tylko jedno: on także został wybrany. Nienawiść i żądza mordu zawładnęły sercem Ragnara.

Śmiertelny wróg, którego z takim trudem pokonał, zdołał uniknąć śmierci. Pamiętając sposób, w jaki Posępny Czerep wymordował jego ziomków, nienawiść w jego spojrzeniu i dzikość w walce, Ragnar uznał, że to jakiś okrutny żart ze strony bogów, skoro pozwolili przeżyć Strybjornowi.

Bez chwili namysłu Ragnar podniósł z ziemi duży, ciężki kamień. Postanowił, że najpierw strzaska czaszkę Strybjorna, a potem zniszczy ów magiczny artefakt, który utrzymywał go przy życiu. Być może Werbownicy będą w stanie go uratować, ale w tej chwili nie dbał o

to, jak potężna jest ich magia. Pragnął dokończyć to, co zaczął w trakcie bitwy. Zbliżył się ostrożnie, oczekując jakiejś zdrady ze strony Strybjorna, zimno planując morderstwo.

Zerknął na swoją ofiarę, a Strybjorn, który już się przebudził, odpowiedział mu równie nienawistnym spojrzeniem. Przerośnięta szczeka i masywne łuki brwiowe nadawały jego twarzy jeszcze większej dzikości. Kiedy Ragnar uniósł kamień, gotując się do zadania ciosu, poczuł falę dzikiej i zawziętej euforii. Nie dbał o zdanie Werbowników ani o to, że sprzeciwia się woli bogów. Jedyne, na czym mu teraz zależało, to zemsta i właśnie miał jej dokonać.

Z nieopisaną rozkoszą zadał cios. Na jego twarzy pojawił się pełen dzikości uśmiech, kiedy oczyma wyobraźni widział już czaszkę Strybjorna roztrzaskaną, a jego mózg zmieszany z błotem. Jednak kamień nie opadł na głowę wroga. Stalowe palce zacisnęły się na ramieniu Ragnara, powstrzymując cios. Próby wyrwania ręki były bezowocne, z równym powodzeniem mógłby usiłować przesunąć górę.

– Na Russa, młodziku! – powiedział Ranek. – Jesteś urodzonym mordercą! Jednak ten tutaj nie jest przeznaczony dla ciebie. Został, podobnie jak ty, wybrany przez nas i nie tobie jest pisane odebrać mu życie.

– Będę patrzył, jak zdycha – odpowiedział głucho Ragnar głosem aż drżącym od nienawiści.

– Być może tak będzie, młodziku. Choć równie prawdopodobne jest to, że on będzie świadkiem twojej śmierci, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, dokąd się udajecie.

– Co to oznacza?

– Już niedługo się przekonasz. A teraz ruszaj szybko. Wsiadaj do Thunderhawka i zajmij swoje miejsce! – skinął ręką w stronę powietrznego statku.

Z drżeniem serca Ragnar wspiął się po rampie do środka.



Tak dziwnego wnętrza statku Ragnar nie byłby w stanie sobie nigdy wyobrazić. Podłogi wykonano całkowicie z metalu, podobnie jak i ściany, tyle że w tych ostatnich ziały okrągłe otwory niewielkich okienek z kryształu, przez które można było wyglądać na zewnątrz. Siedzisko, które zajął, także wykonano ze stali i wyłożono jakąś dziwną, starą już i wytartą skórą. Tajemnicze runy pobłyskiwały na panelach umieszczonych nad jego głową, a dziwne, hałaśliwe dźwięki sprawiały, że cały statek drżał niepokojąco.

Ragnar był zdenerwowany. W nowym odzieniu, które dał mu Wilczy Kapłan, czuł się nieswojo. Wykonane w całości z jednego kawałka szarego materiału, dokładnie opinało ciało niczym druga skóra. Na sercu wyszyty miało symbol wilczego łba, który był herbem Russa. Ubranie okrywało całe ciało za wyjątkiem głowy, było bardzo lekkie i przepuszczało powietrze. Nie czuć w nim było chłodu ani wilgoci, ale lekkie ciepło i Ragnar miał wrażenie, że nie opuściłoby ono ciała nawet w czasie największej zawieruchy czy zamieci śnieżnej. Dziwna rzecz jak na tak cienki materiał, pomyślał Ragnar,

czując, że niepokój bynajmniej go nie opuszcza.

Nagle cały pojazd zatrzęsł się gwałtownie, a hałas, który go do tej pory wypełniał, jeszcze się wzmógł. Ragnar został nagle wciśnięty w fotel, a kiedy zdołał wyrzeć przez bulaj, ku swemu przerażeniu dostrzegł, że ziemia oddala się do nich z zawrotną prędkością. Oszołomiony i dezorientowany patrzył, jak wyspa maleje, podczas gdy statek wbrew rozsądkowi unosił się w przestworza.

Obserwował przez okienko, jak wszystko maleje. Ruiny rodzinnej wioski przypominały teraz zabawki porzucone w piaskownicy przez dziecko. Dostrzegł plaże otaczające ze wszystkich stron wyspę, potem szczyty wzgórz, a statek nabierał w tym czasie prędkości.

Ragnar oderwał wzrok od okienka i spojrzał na wnętrze statku. Cały pokład przechylił się, kiedy dziób latającej maszyny uniósł się do góry. Kiedy ponownie wyrztał przez bulaj, przekonał się, że rodzinna wyspa już ledwie majaczy na horyzoncie, a statek wciąż nabierał prędkości i wysokości. Poniżej majaczyła flota Posepnych Czerepów i po raz kolejny Ragnar zaczął się zastanawiać, kto z jego krewnych miał tyle szczęścia lub pecha, żeby znaleźć się jako niewolnik na pokładach łodzi najeźdźców.

Nagle statek otoczyła szara mgła, a przez kadłub przebiegło drżenie. Przestraszony Ragnar pomyślał, że oto znieważone demony przestworzy postanowiły zrzucić statek z niebios na przekór potężnej magii, która miała trzymać je w ryzach. Potem jednak zrozumiał, że otaczająca ich szarość to chmury, przez które teraz mozolnie się przebijali.

Kiedy tylko ta myśl wykiełkowała w jego głowie, drżenie statku

ustało, a wyłoniwszy się z chmur, spostrzegli promienie słońca. Wszędzie poniżej rozpościerał się ocean bieli i szarości, gdzieniegdzie jedynie przetykany plamami błękitu. Ragnar zrozumiał, że oto spogląda na wierzchnią stronę obłoków, podziwiał widok, który nie był dany wielu śmiertelnikom. Na krótką chwilę jego sercem zawładnęło poczucie zachwytu i wdzięczności, że może uczestniczyć w tak wspaniałym wydarzeniu.

Statek wznosił się bez przerwy, a Ragnar w dalszym ciągu wciskany był w fotel przez niewidzialną siłę, która kojarzyła mu się z pięścią olbrzyma. Rozglądając się wokół, zauważył, że ciało na policzkach Raneka zostało spłaszczone jakby niewidzialnymi palcami. Cóż to za nowa magiczna sztuczka – pomyślał Ragnar, zbyt zdziwiony, aby niepokoić się tym nieznanym doznaniem. Z czymkolwiek mieli tu do czynienia, Ranek nie przejmował się zbyt i tylko wyszczerzył kły w uśmiechu, unosząc jednocześnie kciuk do góry.

Ragnar znowu wyjrzał za okno, ale ku jego zdziwieniu widok radykalnie się zmienił. Na zewnątrz panował mrok, przetykany jedynie niebywale wyraźnymi światłami gwiazd. W dole dostrzec można było krzywiznę olbrzymiej kuli, na powierzchni której mieniły się postrzępione, białe plamy, przetykane błękitem i zielenią. Ragnar zrozumiał, że oto spogląda z wielkiej wysokości na Fenrisa, zaś te szare, nieregularne kształty to chmury, błękitne to morza, a zielone to lądy.

Nacisk na jego klatkę piersiową nagle zelżał, zastąpiony niewiarygodnym poczuciem lekkości. Miał wrażenie, że gdyby odpiął trzymające go pasy i wstał, mógłby ulecieć w powietrze niczym ptak.

Jego ciało zdawało się nic nie ważyć, co było dziwnym, choć całkiem przyjemnym doświadczeniem. Hałas silników napędzających podniebny statek nagle ucichł i zapadła dziwna, ogłuszająca cisza.

Nagle wszystko wróciło do normy. Nos statku opuścił się w dół, a glob widoczny za szybą bulaju znów zaczął się powiększać, wypełniając wkrótce cały wizjer.

Statek ponownie zaczął się trząść, a spoglądając przez okno Ragnar stwierdził, że krawędzie jego skrzydeł zaczynają się rozgrzewać do czerwoności. Na chwilę jego sercem zawładnął strach, kiedy w głowie pojawiła się myśl, że oto cały statek może spłonąć w magicznym ogniu.

Czyżby rozzłoszczone demony przestworzy postanowiły dokonać wreszcie zemsty? Zaryzykował krótkie spojrzenie w kierunku Raneka, ale ten siedział spokojnie z zamkniętymi oczyma. Ragnar przez chwilę nie wiedział, co o tym myśleć. Jednak stwierdził, że skoro Wilczy Kapłan nie okazywał niepokoju, to i on nie musi się niczego obawiać. Zapewne płonące jaskrawą czerwienią skrzydła latającego statku były częścią poruszającego nim czaru. Zresztą co on mógł o tym wiedzieć?

Cały czas kierując się w dół, stalowy kolos drżał bez ustanku. Ragnarowi przypomniawszy się pewna zima, kiedy razem z przyjaciółmi zjeżdżali po śniegu pokrywającym górskie zbocze. Potem rozległ się głośny ryk i Ragnar poczuł, jakby ktoś ponownie złożył na jego piersi potworny ciężar, prawie uniemożliwiając oddychanie. Statek wyraźnie zwolnił.

Gwiazdy za oknem zniknęły, a niebo z czarnego ponownie stało się niebiesko-białe. Chmury tak jak poprzednio powitały ich szarawą

mgłą, w którą się zanurzyli. Statek powietrzny zwolnił jeszcze bardziej, a potem zadrżał niczym łódź źle ustawiona w kierunku fali. W końcu wyrównał lot i Ragnar po raz pierwszy zobaczył znajdującą się poniżej krainę.

W rzeczy samej sprawiała niesamowite wrażenie. Była to mieszanina nagich skał, śnieżnych czap, porostów i nielicznych drzew. Horyzont zdawał się bardzo odległy, a wzgórza i podstawy gór zakleszczone zostały w mroźnym uścisku lodowców. Nie było widać jakichkolwiek oznak życia. Ragnar wspomniał opowieści skaldów o księżycu, zastanawiając się, czy przypadkiem nie dostali się na jeden z nich. Statek w międzyczasie mknął przed siebie nad tym ponurym miejscem.

– Asaheim – mruknął niewyraźnie pod nosem Ranek, ale Ragnar dosłyszał jego słowa.

Kraina bogów – powiedział do siebie w duchu, zastanawiając się, jaki los czeka go w tym przedziwnym miejscu.



Rozdział 6

WYBRAŃCY



– Każdy z was został wybrany – powiedział Ranek, spoglądając z wysokości Skały Mówcy na nowoprzybyłych. Kamień sterczał hardo z ziemi niczym wilczy kieł, a jego górna część została skuta tak, aby mogła służyć za mównicę. Resztę skały wyrzeźbiono na podobieństwo łba warczącego wściekłego wilka. – A teraz wszyscy zastanawiacie się: dlaczego?

Ragnar spojrzął ponad ramieniem Wilczego Kapłana na odległe górskie szczyty i zadrżał. Rzeczywiście on sam zadawał sobie to pytanie. Rozglądając się wokół i obserwując twarze zebranych wokół ludzi, mógł zauważyć, że ich także trapią podobne wątpliwości. Wszystkie oczy utkwione były w przemawiającym ze Skały człowieku w fanatycznym wręcz skupieniu.

Wokół zgromadziły się prawie dwa tuziny ludzi. Wszyscy zostali wysadzeni z latających statków na brzegu wsi o wschodzie słońca z rozkazem, aby udali się wysłuchać tego, co Wilczy Kapłan ma im do powiedzenia. Każdy z nich miał na sobie identyczny szary strój, podobny do tego, który Ragnar otrzymał, wchodząc na pokład Thunderhawka. Blizny, które pokrywały ich twarze, ręce i dłonie mówiły, że podobnie jak on zostali uleczeni przez czarodziei. Ragnar wzdrygnął się ponownie. Powietrze było tutaj lodowato zimne i oddech błyskawicznie zmieniał się w parę. Także światło miało tę

dziwną właściwość, że wszystko zdawało się jaśniejsze. Powietrze z kolei było nad wyraz rozrzedzone i czyste. Dzięki temu mógł widzieć dalej niż kiedykolwiek mu się zdarzyło na wyspach.

– Każdy z was został wybrany przeze mnie lub innego Wilczego Kapłana, ponieważ dostrzegliśmy w was iskierkę, dającą nadzieję, że być może będziecie godni, aby dołączyć do nas. Podkreślam słowa „być może”. Pierwszą rzeczą, jaką będziecie musieli zrobić, to zapomnieć o naukach, które do tej pory odebraliście. Mówiono wam, że aby wstąpić do Sal Bohaterów i dołączyć do wybrańców Russa, musicie umrzeć. Dla sporej części z was okazało się to prawdą, jednak za sprawą naszej magii przywróciliśmy was do życia. Inni nie zginęli, ale także zostali sprowadzeni w to miejsce. To nie ma jednak żadnego znaczenia. Musicie zapamiętać tylko jedną, bardzo ważną rzecz: żaden z was nie dostanie drugiej szansy. Jeśli umrzecie tutaj, odejdziecie naprawdę, a stanie się tak dlatego, że nie okazaliście się godni, aby zasiadać u boku prawdziwych bohaterów. – Ranek przerwał na chwilę, potoczył wzrokiem wokół i ponownie zaczął przemawiać tubalnym głosem: – Teraz macie szansę pokazać, że zasługujecie na to, aby być bohaterami i zostać zaliczeni w poczet herosów. Jeśli tak jest naprawdę, staniecie się jednymi z synów Russa i dołączycie do którejś z wilczych kompanii. Żaden z was nie rozumie w tej chwili, jak wielki jest to zaszczyt ani jaka odpowiedzialność, dołączyć do Watahy. Jednakże zapamiętajcie sobie moje słowa: przed wami stoi wielkie zadanie, olbrzymi honor i zaszczyt. Przyjdzie czas, kiedy podążycie w najczarniejszą ciemność, aby walczyć z najstraszliwymi wrogami i sługami zła, jacy kiedykolwiek powstali

przeciwko nam. To wszystko czeka na was, jeśli tylko okażecie się godni tego brzemienia.

Ranek ponownie zamilkł i stał zamyślony, jakby wspominał dawne czasy, kiedy być może i on słuchał przemowy innego Wilczego Kapłana. Potem jednak odezwał się tym samym szorstkim i donośnym głosem, co poprzednio:

– Przed wami zadanie godne herosów, ale i nagroda jest wielka. Będzie nia życie dłuższe niż mógłby marzyć jakikolwiek śmiertelnik. Czekają na was siła i moc godne półbogów. Będziecie podróżować przez niebiosa do najdalszych gwiazd i toczyć bitwy, o których mogą jedynie śnić najpotężniejsi z wojowników. Będzie mieli szansę zdobyć uznanie i respekt tych, którzy szanują uczynki godne mężczyzny. Przed sobą macie zatem dwie ścieżki: na końcu jednej czeka was chwała, moc i nieśmiertelność. Na końcu drugiej zaś śmierć. Stoicie na rozdrożu i od tej chwili nie macie już odwrotu. Czeką was chwata albo zapomnienie! Rozumiecie mnie?

Ragnar uważnie obserwował Raneka. Znikła gdzieś jego przyjacielskość i wyrozumiałość. Na powrót stał się owym strasznym, obcym czarnoksiężnikiem, którego widział na pokładzie „Włóchni Russa”. Wspomnienie ojcowskiej łodzi zdawało się tak odległe, jak wydarzenia z poprzedniego życia. Starzec znowu zdawał się olbrzymem, owiniętym w wilcze skóry, które jeszcze bardziej przydawały mu autorytetu. Jego słowa brzmiały jak proroctwo, a Ragnar zapamiętał je sobie dobrze i na długo. Były z jednej strony przerażające, z drugiej zaś inspirujące i choć Ragnar niewiele rozumiał, wziął je sobie do serca, chociażby dlatego, że Wilczy Kapłan

mówił z taką pasją.

– Rozumiecie, co do was mówię? – spytał ponownie Ranek.

– Tak! – odparło jednocześnie kilkanaście głosów.

– To dobrze – odparł Wilczy Kapłan. – Od tej pory jesteście kadetami Zakonu Kosmicznych Wilków. Kiedy w końcu to pojmiecie, zrozumiecie także, jak wielki honor i zaszczyt wam uczyniliśmy. A teraz pozwólcie, że przedstawię wam Hakona, który nauczy was wszystkiego, czego będziecie tutaj potrzebować do życia. On będzie także sędzią, który zadecyduje, czy zasługujecie na życie, czy na śmierć. Zapamiętajcie sobie dokładnie każde jego słowo, ponieważ od tej pory one będą dla was jedynym prawem.

Ranek wskazał ręką nowoprzybyłego człowieka, który właśnie wspiął się na podium i stanął obok niego. Obdarzył kadetów bladym uśmiechem, który najbardziej przypominał upiorny grymas wilka oczekującego na swoją ofiarę. Jego na wpół zwierzęce oczy obserwowały okolice; nie dało się z nich wyczytać żadnych uczuć. Ragnar przyjrzał mu się uważniej. Ten dziwny człowiek był chudy, twarz miał wąską i długą. Policzki pokryte były gęstą siecią blizn, spod której praktycznie nie było widać zdrowego ciała. Włosy miał siwiejące, związane z tyłu głowy w kucyk. Wargi były cienką, bladą linią, nos przypominał ptasi dziób, ale na twarzy dominowały przede wszystkim żółte, podobne do wilczych ślepią. Przypominał wilkołaka, który na chwilę przybrał ludzką postać i obserwował teraz zebranych młodzieńców niczym wilk podkradający się do stada owiec. W jego spojrzeniu i postawie nie było nic przyjaznego.

Przedstawivszy Hakona, Ranek zszedł po schodach ze Skały Mówcy

i bez zbędnych ceremonii ruszył w stronę wioski. Ragnar zauważył, że Hakon także opuścił platformę i stanął poniżej wilczego łba, który zdawał się spoglądać teraz wściekle na kadetów ponad jego głową. Trudno było stwierdzić, kto wygląda bardziej dziko: człowiek czy kamienna statua.

– Witajcie w Russvik, psy! Wątpię, żeby choć jeden z was przeżył tutaj dłużej niż rok! Jak słyszeliście, jestem Hakon. Dla was sierżant Hakon i na Russa, każdemu, kto nie będzie się tak do mnie zwracał, powyrywam nogi z tyłka!

Ragnar obserwował sierżanta Hakona, czując, jak w jego sercu od pierwszego wejrzenia rodzi się nienawiść do tego człowieka. Starszy mężczyzna był bez wątpienia przerażający, ale w tej chwili budził tylko niechęć. Był wysoki i barczysty, bardziej niż jakikolwiek inny normalny człowiek, nawet jeśli nie brać pod uwagę zbroi, którą miał na sobie. Podobnie jak Ranek miał długie, wilcze kły, które często odsłaniał, szczerząc je w złośliwym, okrutnym uśmiechu. On także nosił przy sobie całą masę talizmanów niewiadomego pochodzenia. Miał ową tajemniczą broń, którą Wilczy Kapłan pokonał morskiego smoka, a także miecz o poszarpanym ostrzu i wiele innych tajemniczych przedmiotów. Żaden z nich nie był tak bogato zdobiony jak te, które należały do Wilczego Kapłana, ale bez wątpienia zostały wykonane tą samą dłonią i w tej samej kuźni.

Ragnar zastanawiał się, gdzie może się ona znajdować. Nigdzie wokół nie widział warsztatu kowalskiego. Zauważył jedynie niewielki, ale warowny obóz, zbudowany z kamienia i drewna, co już samo w sobie znacznie różniło go od rodzinnego domostwa Ragnara.

Przynajmniej kiedy ono istniało, upomniał sam siebie, przyznając gorzko w duchu, że nie ma dokąd wracać.

– Myślicie sobie zapewne, że zostaliście wybrani? Prawda jest taka, że nie! Dano wam jedynie szansę, abyście spróbowali udowodnić, że możecie być godni dołączyć do Wybrańców! Jednak kiedy patrzę na was, wy nędzne prosiaki, myślę sobie, że Wilczy Kapłani oszaleli albo bardzo się pomylili. Przeprowadzili mi bandę żalosnych łamag! I co wy na to?

Nikt nie był na tyle głupi, żeby odpowiedzieć. Głos Hakona był szorstki i gardłowy. Jego ton wyrażał pogardę, a każde słowo stanowiło obrazę dla ich męskości. Gdyby taka przemowa miała miejsce we wsi Gromowych Pięści, natychmiast kilku spośród obrażonych wyzwałoby Hakona na pojedynek. Tutaj jednak, jak się zdawało, mógł mówić co mu się żywnie podobało. Pomimo złości i niechęci, jaką wzbudzał, żaden z rekrutów nic nie powiedział, wiedząc, że nic nie są w stanie zrobić. Hakon miał broń, podczas gdy oni byli nieuzbrojeni.

– Żaden z was nie ma jaj, żeby odpowiedzieć, co? – warknął Hakon.
– No dalej, wy mięczaki! Jest tak, jak podejrzewałem! Nie ma pośród was ani jednego prawdziwego mężczyzny.

– Ty jesteś uzbrojony, a my nie – zabrzmiał głos zza pleców Ragnara. Rozpoznał Strybjorna, który ku ogólnemu zdziwieniu odważył się zabrać głos, podczas gdy inni zebrani na placu woleli potulnie milczeć.

– Jak cię zwa, chłopczyku?

– Nazywam się Strybjorn Posępny Czerep i nie jestem już chłopcem.

Przeszedłem rytuały, które czynią człowieka mężczyzną – uśmiechnął się krzywo, a w jego oczach zapłonął gniew.

– Strybjorn Zakuta Pała, czyż nie? – drażnił go Hakon. – Jesteś głupi?

– Nie! – odparł Strybjorn i wystąpił z szeregu, zaciskając pięści. Reszta zgromadzonych kadetów zamarła, bojąc się głośniej odetchnąć i nie mogąc uwierzyć w odwagę albo głupotę Strybjorna.

– Więc czemu sądzisz, że potrzebowałbym broni, żeby ukarać takiego nieposłusznego szczeniaka jak ty?

– A czy tak nie jest? Stoisz sobie tam na skale i gadasz, jaki to jesteś twardy, bo masz przy sobie miecz. Może gdybyś go nie miał, nie byłbyś taki odważny?

Sierżant uśmiechnął się do siebie, jakby miał nadzieję, że ktoś wreszcie rzuci mu wyzwanie. Podszedł do Strybjorna i stanął z nim twarzą w twarz. Posępny Czerep był wysokim, roslym mężczyzną, ale Hakon przewyższał go znacznie zarówno wzrostem, jak i wagą. Sierżant odsłonił kły w upiornym grymasie.

Ragnarem targały sprzeczne uczucia. Wyglądało na to, że Strybjorn popełnił fatalny błąd i zapłaci zań życiem. Jego los nie obchodził Ragnara, lecz to on chciał zadać wrogowi śmiertelny cios. Ale co mógł zrobić w tej chwili innego, niż tylko stać i obserwować?

Sierżant wy dobył miecz ze zdobionej pochwy i uniósł go wysoko w górę. Strybjorn nawet nie drgnął. Ragnar musiał w duchu przyznać, że Posępny Czerep rzeczywiście był albo bardzo odważnym człowiekiem, albo niewiarygodnie głupim. Hakon wbił ostrze w ziemię tuż przed Strybjornem i uśmiechnął się dziwnie. Miecz tkwił

nieruchomo rękojeścią do góry. Wyglądał na bardzo skomplikowany w budowie: klingę z obu stron pokrywały dziwne zęby, a nad rękojeścią wbudowano jakiś złożony mechanizm.

– Podnieś broń, chłopczyku – powiedział sierżant. – A potem użyj jej, jeśli będziesz w stanie. Ty będziesz uzbrojony, a ja nie.

Przez krótką chwilę Strybjorn mierzył wzrokiem Hakona. Sprawiał wrażenie zmieszanego i zaskoczonego. Potem w jego oczach błysnęła żądza krwi i odrażający uśmiech wykrzywił mu usta. Wyciągnął dłoń i pochwycił rękojeść miecza. Szarpnął, chcąc unieść ostrze z podobną łatwością co sierżant, ale nie był w stanie tego zrobić. Wbita w ziemię broń ani drgnęła. Strybjorn złapał ją obiema dłońmi, a mięśnie jego ramion i karku napięły się niczym postronki. Na twarzy rozlała się czerwień, kiedy z wysiłkiem próbował wyciągnąć miecz z ziemi. W końcu z jękiem potwornego wysiłku podźwignął go na kilka centymetrów.

– Za ciężki? – spytał złośliwie Hakon. – Może wolałbyś coś lżejszego? Mam tu dla ciebie odpowiedni nożyk.

Z rykiem furii Strybjorn obrócił się, wykonując szeroki zamach trzymany w obu rękach mieczem. Gdyby cios trafił w niechronioną głowę Hakona, siła uderzenia i waga broni bez wątplenia sprawiłyby, że ten padłby trupem na miejscu. Nic takiego się jednak nie stało. Ostrze przecięło powietrze i kiedy miało rozplatać czaszkę sierżanta, trafiło w pustkę. Hakon po prostu odsunął się z linii ciosu.

– Machasz tym mieczem, chłopcze, jak cepem. Spróbuj jeszcze raz!

Strybjorn ponownie zawył i tym razem zdał cios na wysokości pasa. Jego twarz była cała czerwona z wysiłku i wściekłości. Z pewnością

nie lubił, kiedy ktoś się z nim w ten sposób drażnił. Ragnar zapamiętał sobie, że Strybjorna można łatwo wyprowadzić z równowagi. Kiedyś, gdy nadejdzie godzina zemsty, może się to okazać pożyteczne.

Po raz kolejny Hakon czekał do ostatniej chwili. Kiedy ostrze miało już go uderzyć i rozplątać na pół, wyskoczył do góry. Miecz przeciął powietrze tuż pod nim. Sierżant wylądował pewnie na ziemi, podczas gdy Strybjorn ledwie utrzymał się na nogach po źle wymierzonym ciosie.

– Jesteś beznadziejnym niezdara, chłopcze. Dam ci ostatnia szansę, ale ostrzegam cię, że dobioreę się do twojej skóry, jeśli i ją zmarnujesz w tak żałosny sposób.

Tym razem Strybjorn uderzył od góry na skos, mierząc ponownie w głowę Hakona. Sierżant uchylił się lekko, pozwalając, aby ostrze przeszło tuż obok jego twarzy. Stał przez chwilę nieruchomo, obserwując młodzieńca z ponurym i złośliwym uśmiechem na twarzy, a potem nagle uderzył. Mimo że Ragnar czekał na ten moment, nie zdołał zauważyć nadchodzącego ciosu. W jednej chwili Hakon stał nieruchomo, a w drugiej trzymał już przed sobą wyciągniętą pięść, która z głuchym trzaskiem złamała szczękę Strybjorna. Młodzieniec runął na wznak do tyłu. Był nieprzytomny nim jeszcze dotknął ziemi. Broń wypadła z jego omdlałej dłoni. Hakon chwycił ją jedną ręką, nim zdążyła upaść, machnął nią swobodnie kilka razy, a potem wyciągnął przed siebie.

Palcem prawej dłoni, którą trzymał zaciśniętą na rękoności, dotknął jakiegoś przycisku i miecz nagle ożył. Zęby na jego ostrzu zaczęły się

poruszać z upiornym gwizdem. Przesuwały się coraz szybciej i szybciej, aż w końcu zlały się ze sobą. Wszyscy obserwowali ten przerażający pokaz czarnoksięskiego kunsztu, zastanawiając się, czy teraz Hakon odetnie głowę Strybjorna, aby dołączyła do jego wojennych trofeów. Taki koniec wydawał się całkiem prawdopodobny.

Ziemia, która dostała się pomiędzy niewielkie zęby ostrza, kiedy było wbite w ziemię, pryskała teraz na boki. Po kilku chwilach Hakon ponownie nacisnął przycisk na rękojeści i mechanizm wyłączył się z jękiem. Kiedy zęby przestały się poruszać, sierżant przyjrzał się broni uważnie, jakby upewniał się, że jest tak samo czysta jak przed wyjęciem z pochwy. Kiedy przekonał się, że wszystko jest jak należy, schował miecz na swoje miejsce i podszedł do leżącego na ziemi Strybjorna, przyglądając mu się uważnie. Ragnar dostrzegął, że pierś nieprzytomnego cały czas unosi się i opada. Nie był pewny, czy ma być zadowolony z tego faktu, czy raczej zawiedziony.

– Twardy Łeb, tak jak mówiłem – zakpił ponownie Hakon. – Każdy, kto nie ma łba grubego jak wół, zginąłby po takim ciosie.

Rekruci wybuchli nerwowym śmiechem i ku swemu zaskoczeniu Ragnar uświadomił sobie, że i on rechocze. Jedno spojrzenie Hakona uciszyło ich błyskawicznie.

– Jeszcze chwila, a wszyscy będziecie się cienko śmiali! Wy dwaj, zanieście go do drugiego długiego budynku po lewej, a potem stawicie się w kuźni. Reszta za mną. Czas, żeby was porządnie wyekwipować.



Nowoprzybyli szli w milczeniu przez Russvik śladami sierżanta Hakona. Przeszli nad rowem, który otaczał drewnianą palisadę obozu, a także otwartą, choć strzeżoną bramę. Z wysokich wież po obu jej stronach pilnie przyglądali im się gwardziści uzbrojeni we włócznie.

Ragnar rozglądał się wokół, nie mogąc wyjść z podziwu nad konstrukcją otaczających go domów. Po raz pierwszy mógł się im przyjrzeć z bliska i dopiero teraz dostrzegał, jak bardzo różniły się od tych, w których dorastał. Ich głównym budulcem nie były kość i skóra smoka morskiego, ale drewno, kamień i słoma. Jeszcze inne zbudowano z kolejnych warstw suszonej gliny na podobieństwo tam, które układano w poprzek strumieni na wyspach. Te budynki miały dachy z płatów darni. Wycięto w nich otwory, które pełniły rolę kominów dla palenisk mieszczących się wewnątrz domostw.

Same ulice pełne były błota. Świnie tarzały się w nim z upodobaniem, a wszędobylskie kurczaki uskakiwały spod nóg z pełnym wyrzutem gdakaniem. Ragnarowi te zwierzęta kojarzyły się z domem i przez chwilę mógłby niemal uwierzyć, że do niego wrócił, gdyby nie dziwne znaki poustawiane w miejscach, w których zbiegały się wąskie uliczki. Każdy wykonany był z drewna i przedstawiał wilka. Niektóre z nich zdawały się skradać, inne polować lub atakować, a jeszcze inne warczały czy szykowały się do skoku. Ragnar nie miał pojęcia, co mogą oznaczać wyryte na ich sylwetkach runy, ale bez wątplenia miały jakiś ważny, magiczny sens.

W jedną i w drugą stronę uliczkami spieszyli młodzi mężczyźni; część z nich niosła broń, inni podążali zajęci własnymi sprawami, jednak niemal każdego z nich otaczała aura pewności siebie i spokoju, którego towarzyszom Ragnara tak bardzo brakowało. Nieznajomi spoglądali na stłoczonych młodzików z mieszaniną pogardy, lekceważenia, ale i współczucia. Czasem można było też spotkać starszych wojowników ubranych podobnie do Hakona i każdy, kto ich mijał, bez wahania okazywał im wyrazy szacunku.

Niektórzy z młodzieńców idących w grupie Ragnara spoglądali na otaczające ich budynki z podziwem i zdumieniem wyraźnie widocznym w szeroko otwartych oczach, co niewątpliwie świadczyło o tym, że oni także pochodzili z wysp. W przeciwieństwie jednak do niego, najwyraźniej nie mieli okazji dotrzeć do wyspy Władców Żelaza i zupełnie nie byli przygotowani na to, co tu zobaczyli.

Jednak mimo swoich wcześniejszych doświadczeń Ragnar także był zadziwiony. Wszystko tutaj było inne od tego, co zdążył w swoim krótkim życiu poznać. Russvik leżało w długiej dolinie, nieopodal ciemnobłękitnego jeziora. Ze wszystkich stron otaczały ich góry tak niebotyczne, że w porównaniu z nimi każda rzecz, dzieło czy ludzki uczynek zdawały się nic nie znaczące i błahe. Zdawać się mogło, że lokalizację obozu specjalnie tak dobrano, aby rekruci czuli się malutcy i nic nie znaczący. Być może chciano wybić im z głów dumę i butę synów Russa, a w zamian nauczyć pokory i posłuszeństwa.

Ragnar nie miał pojęcia, dlaczego tak jest, ale odkąd uświadomił sobie, co się wokół niego dzieje, wszystko to, co usłyszał lub zobaczył do tej pory, nabrało głębszego sensu. Miejsce, w którym założono

obóz, przemowa Wilczego Kapłana i pogardliwe zachowanie Hakona nagle zaczęły do siebie w tajemniczy sposób pasować. Wszyscy wokół mówili, że nie liczy się to, kim jesteś i czego do tej pory dokonałeś. Gdzieś w głębi duszy Ragnara zaczął narastać bunt. Niewielka iskierka oporu zatliła się w jego sercu, a znalazłszy podatny grunt zapłonęła jaśniejszym ogniem. Ragnar nie wiedział, przeciwko czemu właściwie się buntuje, ale był pewny, że musi to zrobić, a przy okazji być może zdoła zabić Strybjorna.

Rozejrzał się wokół, obserwując mijających go ludzi i starał się patrzeć im w oczy. Tylko jeden nawiązał z nim kontakt wzrokowy i uśmiechnął się ciepło. Reszta zdawała się pogrążona we własnych rozmyślaniach i nie zwracała uwagi na mijaną grupę młodzików. Nie dziwiło to Ragnara. Tyle było do przemyślenia i zrozumienia. Widział i poznał tyle nowych rzeczy, że trudno mu było uwierzyć, iż jest tutaj dopiero jeden dzień. Większość popołudnia spędził w towarzystwie Raneka, odpowiadając na zadawane przez Wilczego Kapłana pytania. Każde jego słowo było notowane w grubej, oprawionej w skórę księdze, przechowywanej w centralnym budynku. Następnie ludzie, których Ranek nazywał Kapłanami Żelaza, badali jego ciało oraz sprawdzali siłę. Przesuwali nad nim wiele magicznych artefaktów, poszukując jakichkolwiek znamion mutacji czy odmienności. Gdyby cała sytuacja nie była tak niesamowita, Ragnar mógłby poczuć się urażony. W rodzie Gromowych Pięści nie było mutantów, gdyż każde dziecko, u którego po narodzinach stwierdzono jakiegokolwiek nienaturalne zmiany, było topione bez litości.

Kiedy wreszcie go puszczono, na dworze zapadł już zmrok.

Zakwaterowanie znalazł w długim budynku z drewnianych bali, którego wewnątrz pachniało sosną. Ze środka dobiegały głosy tych, którzy już wcześniej zostali doń skierowani. Kiedy tylko Ragnar znalazł siennik, natychmiast się położył i od razu zasnął.

Kiedy naszedł ranek, Ragnar miał wreszcie czas, aby przyrzeć się współtowarzyszom. Dostrzegł między nimi także i Strybjorna, który musiał zostać skierowany do domu znacznie później niż on. Wszelkie rany, które odniósł w czasie nocnej walki, zagoiły się bez śladu za sprawą magii Werbowników. Teraz dopiero do Ragnara dotarła niezwykłość sytuacji, w jakiej się znalazł. Otaczało go wielu ludzi, z których każdy pochodził z innego rodu. W zwykłych warunkach, gdyby do takiego spotkania doszło poza czasem handlu, byłiby wrogami na śmierć i życie. Jednak teraz żaden z nich nie miał broni i nikt nie przejawiał chęci do walki. Sierżant Hakon dał im zbyt wiele do myślenia.

Ragnar bez trudu pojął także, że większość młodzieńców zgromadzonych w sali przebywała tutaj już od jakiegoś czasu. Każdy z nich orientował się w obozowym życiu, a dwójka, której sierżant kazał odnieść Strybjorna, z pewnością doskonale wiedziała, co ma zrobić i dokąd się udać. Tak więc praktycznie wszyscy oprócz niego mieli jakieś pojęcie, co się wokół nich dzieje, jakie znaczenie mają słowa Hakona i co ich czeka. Ragnar czuł się zagubiony, ale wiedział, że najlepszym wyjściem jest trzymać język za zębami i uważnie wszystko obserwować.

W końcu dotarli do jednego z największych budynków Russvik. Hakon zniknął w jego wnętrzu, a kiedy wrócił po dłuższej chwili,

niósł całe narecze broni. Od razu zaczął też wywoływać ich po imieniu. Chłopak, którego nazwisko wymienił sierżant, występował z szeregu, zaś Hakon wręczał mu włócznie oraz sztylet i młodzieniec wracał na swoje miejsce.

– Ragnar Gromowa Pięść – usłyszał w końcu swoje imię. Wystąpił dwa kroki do przodu i stanął twarzą w twarz z sierżantem, który zdawał się górować nad nim niczym olbrzym nad karzełkiem. Do tej chwili Ragnar nie zdawał sobie tak naprawdę sprawy, jak wielkim człowiekiem jest Hakon. Z pewnością był jednym z najwyższych i najbardziej masywnych ludzi, jacy stąpali po ziemi. Nawet Ranek nie mógł się mierzyć z tym wielkoludem. Z tej odległości Ragnar dostrzegł, że pancerz, w który odziany jest sierżant, aż skrzy się od dziwnych mechanizmów i talizmanów, podobnych do tych, które wprawiały w ruch maleńkie ostrza zębatego miecza. Stojąc z nim oko w oko, musiał przyznać, że Strybjorn był albo bardzo odważny, albo potwornie głupi.

– Na co się gapisz, chłopcze?

– Na pana, panie sierżancie!

Cios Hakona był silny i szybki, ale jakimś cudem Ragnar zdołał zauważyć ruch. Rzucił się do tyłu i dzięki temu pięść sierżanta nie uderzyła go z całym impetem. Runął na wznak, ale zdołał się szybko przetoczyć i wstać. Pociemniało mu przed oczyma, a pierś bolała go tak, jakby uderzył w nią młot kowalski, ale przynajmniej zachował zmysły.

– Szybki i spostrzegawczy jesteś, chłopcze – powiedział sierżant, rzucając mu włócznie i sztylet. Ragnar zdołał je złapać w locie i nie

zachwiać się, choć jego nogi nadal były jak z waty. Inni zgromadzeni młodzieńcy patrzyli na niego z mieszaniną podziwu i zazdrości. Przez chwilę Ragnar poczuł, jak duma i pewność siebie kiełkują w jego sercu.

Przyjrzał się broni, którą otrzymał. Pochwa na długi sztylet została wykonana ze skóry, a sprzączka do pasa z metalu ukształtowanego na podobieństwo wilczego łba. Ragnar nie mógł wyjść z podziwu. Tylko raz w swoim życiu widział tyle bogactwa, kiedy odwiedził wyspę Władców Żelaza. Dla ludzi z wysp metal był bardzo cenny. Używano go tylko do wyrobu toporów, mieczy czy grotów włóczni oraz najważniejszych i najpotrzebniejszych narzędzi. Być może najbogatsi jadowie posiadali kilka sztuk metalowej biżuterii dla swoich kobiet, ale to były rzadkie przypadki. Ragnar wysunął ostrze z naoliwionej pochwy i przyjrzał mu się uważnie. Było znakomitej jakości, doskonale naostrzone niczym brzytwa golibrody. Rękojeść kończyła się maleńką gałką w kształcie wilczego pyska, identycznego jak ten, który stanowił sprzączkę paska. Podobnie i włócznia była doskonałej roboty. Drzewce wykonano z drewna, zaś ostrze z metalu, na którego powierzchni nie było ani śladu rdzy. Wokół grotu wił się jakiś runiczny napis, a sama broń sprawiała wrażenie nader często używanej. Ragnar oczyma wyobraźni dostrzegł długi szereg nowoprzybyłych rekrutów, którzy walczyli tą włócznią w trakcie swego szkolenia. Nie widział, czy to prawda, ani też czy owa wizja miałyby go podnieść na duchu, czy wpędzić w przygnębienie.

– Oto wasza broń! – Hakon ponownie zabrał głos. – Macie o nią dbać, ponieważ być może uratuje wasze nic nie warte skóry! Jeśli

któryś z was zgubi swój oręż, niech się nie waży przychodzić do mnie po nowy. Nie będzie żadnych uzupełnień. W mało prawdopodobnym wypadku, gdyby któryś z was przeżył trening, będzie musiał go oddać. Jeśli któryś z was zginie, macie zabrać jego oręż. Ciało możecie zostawić krukowi na pożarcie, jeśli taka będzie wasza wola.

Hakon zamilkł na chwilę, a potem ponownie zabrał głos:

– Teraz przydzielę was do waszych Szponów. To będzie wasz podstawowy oddział, prawie rodzina. Będziecie razem się uczyć, trenować, jeść, polować i zapewne ginąć. Kiedy usłyszycie swoje imię, macie wystąpić naprzód.

Hakon wykrzyknął nazwiska pięciu młodzieńców, których Ragnar nie znał. Posłusznie wystąpili z szeregu i stanęli przed sierżantem. Hakon gestem nakazał im odejść na bok, a potem wywołał kolejne pięć nazwisk. Ragnar zastanawiał się, kiedy usłyszy swoje imię. Padło kolejne pięć, potem jeszcze jedna piątka, aż w końcu pozostał tylko on i trzech innych młodzieńców.

– Kjel Sokolnik, Sven Smoczy Płomień, Strybjorn Posepny Czerep, Ragnar Gromowa Pięść i Henk Zimowy Wilk.

Ragnar spojrzał na swoich towarzyszy. Jeden z nich był ponurym chłopakiem o silnej budowie ciała i bardzo szerokich ramionach. Drugi wyglądał na najmłodszego z całej grupy rekrutów i miał zaróżowione, gładkie policzki. Trzeci był wysoki, uśmiechnięty, z grzywą włosów przetykanych pasmami w rozmaitych odcieniach. Serce Ragnarza zabiło gwałtowniej, kiedy uświadomił sobie, że on i Strybjorn trafili do tego samego oddziału. W pierwszej chwili chciał zaprotestować, ale spojrzawszy na sierżanta pomyślał, że to nie jest

dobry pomysł. Sądząc ze złośliwego uśmiechu, jaki pojawił się na jego ustach, można się było domyślić, że Hakon doskonale wiedział, co robi, umieszczając ich w jednym oddziale.

Cała sytuacja miała jednak pewne zalety. Posepny Czerep będzie na tyle blisko, że dokonanie zemsty nie sprawi większych problemów. Hakon uśmiechnął się jeszcze szerzej, jakby odgadnął, o czym myśli Ragnar.

– Rozejrzyjcie się uważnie – powiedział w końcu. – Zapamiętajcie twarze swoich towarzyszy i zapamiętajcie sobie też, że więcej niż połowa z was zginie, nim opuści to miejsce. Chyba że wykażecie się czymś specjalnym, choć szczerze w to wątpię.

Ragnar poczuł, że przechodzą go ciarki, kiedy słuchał złowróżbnych słów sierżanta. Było w nich aż zbyt wiele prawdy.



Na zewnątrz długiej sali dał wiatr. Wewnątrz budynku było równie chłodno co w zasypanej śniegiem jaskini. Co prawda w kącie znajdowało się palenisko, ale nie było drewna, które można byłoby rozpalić. Każda z grup przybyła osobno, a ich członkowie wybrali sobie miejsca do spania położne obok siebie. W grupie Ragnara pozostał jeden wolny siennik, zarezerwowany dla Strybjorna. Ragnar leżał teraz, gapiąc się w sufit i rozpamiętując miniony dzień. Sporo ćwiczeń, kolejne tyrady Hakona i jeszcze więcej ćwiczeń. Potem obiad z owsianki, rzepy i świńskiego tłuszczu.

– Stary Hakon to istny diabeł, nie? – zabrzmiał obok miły, spokojny głos. Ragnar obejrzał się i dostrzegł chłopaka o dziwnej czuprynie, który siedział na swoim sienniku, uśmiechając się szeroko. Miał pociągłą twarz i długi nos, co nadawało mu wesoły wyraz twarzy. Zdawał się cieszyć wszystkim wokół na przekór ponuremu otoczeniu. Ragnar nie mógł zrobić niczego innego, jak tylko odwzajemnić uśmiech.

– O tak – powiedział cicho.

– Jestem Kjel Sokolnik – powiedział chłopak, wyciągając rękę w przyjaznym geście. Ragnar uściskał ją na powitanie.

– A ja Ragnar... Gromowa Pięść.

– Mówisz to jakoś niepewnie.

– Po prostu nie wiem, czy oprócz mnie jest jeszcze jakiś inny żywy członek mojego rodu.

– Wszyscy zginęli?

– Tak.

– W takim razie musiałeś zostać wybrany po wielkiej bitwie, w której wybito twój ród.

– Owszem.

– Jaka to była potyczka?

– Zazarta. Nie sędzę, żeby była szczególnie wielka. Moją wieś napadnięto i spalono. Moi krewni zostali wybici, a ukochana...

– Tak? – spytał Kjel, a w jego głosie słychać było nutę sympatii i współczucia.

– Sam nie wiem...

– Więc lepiej zapomnij o tym – powiedział niski i krępy chłopak

leżący na pościeli obok. Zdawał się cieszyć z tego, że może słuchać takiej smutnej opowieści. Miał duże, mocne zęby, nos złamany o jeden raz za dużo i rude włosy obcięte krótko, przy samej czaszce, co bardzo dziwiło Ragnara, nie nawykłego do oglądania mężczyzny w takiej fryzurze. – Już nigdy ich nie zobaczysz, podobnie jak my nie spotkamy nikogo z naszych bliskich.

– Nie musisz się tak z tego cieszyć – mruknął Ragnar.

Chłopak pokręcił głową, a potem uderzył pięścią w otwartą dłoń. Nie był to gest pełen wrogości, a raczej złości, dla której próżno szukać ujścia.

– Na żelazne jaja Russa, nie jestem z tego powodu szczęśliwy! Byłem pewien, że dołączę do Wybrańców w Salach Bohaterów, a co dostałem? Cholerne sierżanta Hakona z jego pieprzonymi gadkami o tym, jak straszliwie żałośni jesteście!

– Powinieneś mu to powiedzieć – poradził Kjel z uśmiechem rozbawienia na twarzy.

– Mógłbym tak zrobić, ale zważywszy na to, co zrobił ze Strybjornem i Ragnarem, uważam, że to nie jest najlepszy pomysł. Poczekam z tym do czasu, aż nauczę się, jaka jest różnica pomiędzy nim a nami.

– Uważasz, że stał się taki jaki jest z jakiegoś powodu? – spytał z ciekawości Ragnar. – Nie sądzisz, że...

– Wiem tylko to, co usłyszałem, szwendając się po obozie. Ci, którzy przeżyją szkolenie, są zabierani do jakiejś starożytnej świątyni, gdzie odprawia się nad nimi jakieś czary. Tam zmieniani są w bestie podobne Ranekowi czy Hakonowi. Na mroźną srakę Niedźwiedzia

Lodu, głodny jestem! Kiedy nas nakarmią?

– Sądzisz, że Hakon nie jest człowiekiem? – spytał czwarty członek ich grupy, ten który wyglądał na najmłodszego z nich wszystkich. Ragnar przyjrzał mu się uważnie. Rysy jego twarzy były delikatne, a wysokie czoło znamionowało inteligencję. Bardziej wyglądał na skalda niż wojownika. – Mam na myśli te kły i w ogóle...

– Na pewno nie jest duchem – mruknął Ragnar. – Jestem się gotów o to założyć, zwłaszcza po tym, jak mnie dziś zdzielił pięścią.

– Zdziwiłeś mnie tym, że prawie uniknąłeś jego ciosu – powiedział młodzieniec. – Chyba nikt inny nie potrafiłby tego zrobić.

– Ragnar również tego nie zrobił – mruknął ponuro krępy chłopak.

– Ale prawie mu się udało.

– Który z was jest Henk Śnieżny Wilk, a który Sven Smoczy Płomień?

– Ja jestem Sven – odparł krępy chłopak. – Na zamrożone dzwonki polarne niedźwiedzia, masz doskonałą pamięć, chłopie!

– Ja jestem Henk – przedstawił się najmłodszy chłopak, podając im po kolei dłoń i ściskając mocno. Kjel także serdecznie się przywitał, ale Sven nadal leżał na swoim miejscu z rękoma założonymi za głowę.

– W takim razie wygląda na to, że nie ma pośród nas ostatniego braciszka, Strybjorna Posepnego Czerepu.

– Tak – warknął Ragnar. Zaskoczyła go nienawiść, którą wyraźnie było słychać w jego głosie. Zdziwiony Sven spojrzał na niego swoimi spokojnymi, szarymi oczyma.

– Nie lubisz go, prawda, Ragnarze? Dlaczego?

– On był jednym z tych podłych tchórzy, którzy zdradziecko

napadli na moją wieś.

– To niedobrze – mruknął Kjel.

– Powinien być martwy. Byłem pewien, że go zabiłem.

– A więc nie dokończyłeś roboty – mruknął Sven. – Strybjorn żyje, ma się całkiem nieźle, chyba że stary Hakon dokończył go za ciebie i wysłał do krainy wiecznych łowów.

– Wilczy Kapłani użyli swojej magii i przywrócili mu życie, podobnie jak to uczynili ze mną.

– Wydaje mi się, że zrobili tak z każdym z nas – powiedział Kjel, rozchylając koszulę. Przez jego klatkę piersiową i brzuch biegła długa, różowa blizna. – Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek zdołał przeżyć z taką raną bez pomocy leczniczej magii Wilczych Kapłanów.

– Jak to się stało? – spytał Ragnar.

– Była bitwa – odparł krótko Kjel.

– Tego mogliśmy się domyślić bez twojego gadania – mruknął Sven. Kjel obdarzył go pogardliwym spojrzeniem.

– Brałem udział w wyprawie na wielki lodowiec. Chcieliśmy ukraść trochę owiec.

– I co byście z nimi zrobili?

– W dolinach ludzie są warci tyle, ile ich trzoda.

– No, o to mogę się założyć – mruknął złośliwie Sven.

– W każdym razie Wilcze Łby schwytały nas w zasadzkę. Bitwa była gwałtowna, krwawa i krótka. Musiałem zabić ich z pięciu, ale w końcu jeden wsadził mi włócznię w brzuch. Myślałem, że to koniec, ale kiedy upadłem, dostrzegłem człowieka, który obserwował mnie ze zbocza wzgórza nieopodal. Potem zrobiło mi się ciemno przed

oczywiście, a kiedy się obudziłem, zobaczyłem go ponownie. Byłem już wtedy na pokładzie jednego z tych statków powietrznych, którymi nas tutaj dowożą. A co z tobą, Sven? Jakież to akt bohaterstwa cię tutaj sprowadził?

– Zabiłem w pojedynkę ośmiu ludzi.

– Ośmiu? Naraz?

– Nie. Jednego cholernego drania po drugim. To byli bracia, którzy zabili mojego wuja. Nie zapłacili okupu, więc wyzwalałem ich na pojedynki w trakcie Uczty Wszechrzeczy. Wilczy Kapłan obserwował mnie, a potem powiedział, że zostałem wybrany.

– Nie byłeś ranny? Nie... umarłeś?

– Zginęło ośmiu rośliwych mężczyzn. To byli doświadczeni wojownicy, ale nie zdołali mnie nawet drasnąć.

– Zatem musisz być wielkim wojownikiem. Naprawdę – powiedział Henk.

– Racja – przytaknął Ragnar.

– Nie wierzcie mi? – warknął niespodziewanie Sven głosem przepelnionym narastającą złością.

– Nikt tego nie powiedział – odparł uspokajająco Ragnar. – W końcu jesteś tutaj z nami, czyż nie?

– Ani przez chwilę o tym nie zapominaj – mruknął Sven.

– A co się z tobą stało, Henk? – spytał Kjel. Młodzieniec zaczerwienił się odrobinę.

– Walczyłem z trollem – odparł cicho. – Zabiłem go moją włócznią po tym, jak on położył trupem mojego wuja i wszystkich jego braci. Ale on był ranny, więc to nic takiego w gruncie rzeczy.

- Wilczy Kapłan chyba tak nie myślał.
- Sam mógł go z łatwością zabić, gdybym ja tego nie zrobił.
- Skąd się tam wziął troll? – spytał Sven.
- Nie wiem. Może woń spalonego mięsa z naszej zagrody go zwabiła?

Ragnar obserwował Heńka z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Chłopak stanął do walki z najniebezpieczniejszą istotą, jaka chodziła po powierzchni Fenrisa, i to zaraz po tym, jak ona wymordowała całą jego rodzinę. Zabił ją własnymi rękami i mówi o tym, jakby nic się nie stało. Co więcej, uważał, że nie dokonał niczego wielkiego i był zawstydzony tym, że znalazł się w towarzystwie doświadczonych i zasłużonych jego zdaniem wojowników. Wysłuchawszy opowieści swoich towarzyszy, Ragnar uznał, że każdy z nich jest godny zaszczytu, pomijając Strybjorna oczywiście.

Do środka chaty wpadł niesiony wichrem śnieg. W otwartych drzwiach stanął Hakon. Przeszedł przez salę, niosąc nieprzytomnego Strybjorna. Kiedy położył go na pościeli, powiedział do zebranych wokół kadetów:

- Lepiej idźcie spać. Jutro będziecie potrzebować wszystkich swoich sił.

To rzekłszy, odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi. Po drodze zgasił pochodnię palcami, a potem bez trudu ominął leżących na podłodze młodzieńców i wyszedł. Trzask drzwi oznajmił, że sierżant Hakon opuścił ich kwaterę.

Zapadła cisza, a leżący w ciemnościach Ragnar zastanawiał się, czy poderżnąć Strybjornowi gardło. W końcu postanowił, że tego nie

zrobi. Wróg musi wiedzieć, kto zakończył jego życie.

– Ten dziwny, bulgoczący dźwięk, który możecie usłyszeć, to mój brzuch – powiedział Sven. – Na jaja polarnego niedźwiedzia, ależ jestem cholernie głodny!



Rozdział 7

ŁOWY



Ragnar zamachnął się drewnianą pałką i trafił Strybjorna prosto w oko. Broń aż odskoczyła, odbijając się od masywnego luku brwiowego chłopaka, a Ragnar krzyknął:

– Trafiłem w oko! Jeden – zero dla mnie!

Stojący wokół w kręgu kadeci pomrukiwali z uznaniem, a Ragnar zaryzykował rzut oka w kierunku sierżanta Hakona, aby sprawdzić, czy i on zaliczył cios do udanych.

Posępny Czerep zawarczał i rzucił się do przodu, wymachując swoim kijem. Jego zakrzywiony koniec trafił Ragnara w żebra, wybijając mu powietrze z płuc. Strybjorn uderzył z całą siłą, za którą stała przewaga jego wagi. Nauka walki na noże, choć prowadzona drewnianymi atrapami, nadal powodowała obrażenia. Hakon chciał ich przyzwycząić do starć z przeciwnikami, którzy będą walczyć bez poszanowania jakichkolwiek zasad i zabijać bez najmniejszych skrupułów. Ból był okropny i Ragnarowi zrobiło się niedobrze. Ledwie mógł ustać na nogach, a wszyscy stojący wokół w kręgu kadeci wydawali się jedynie niewyraźnymi plamami rozmytych kolorów.

Strybjorn ponownie uderzył Ragnara kijem, tym razem trafiając w głowę. Przed oczyma zatańczyły mu całe roje gwiazd i opadł na kolana, targany spazmami bólu. Strybjorn cofnął się o krok, szykując

się do potężnego kopnięcia.

Nagle Ragnara ogarnęła fala zimnej nienawiści. Pozwolił sobie opaść na ziemię, a potem zniecka rzucił się do przodu, chwytając Strybjorna za nogi. Z wysiłkiem przerzucił go nad sobą. Posępny Czerep z głuchym łoskotem wylądował na ziemi. Jego głowa uderzyła w jeden z kamieni, które zaścielały plac ćwiczeń. Ragnar pozwolił sobie na uśmiech tryumfu, a potem chwycił swój kij. Dostarczył do powalonego przeciwnika i przycisnął kij do jego gardła. Strybjorn zaczął się dusić, szarpiąc się desperacko, a krzyki zgromadzonych wokół kadetów wypełniały uszy Ragnara niczym hałas wzburzonego morza.

Nagle zimna, stalowa rękawica opadła na kark Ragnara i uniosła go w powietrze niczym niegrzecznego szczeniaka. Ragnar z wściekłością wymierzył cios, ale trafił w zbroję Hakona i pałka się złamała.

– Widzę, że nie do końca staracie się walczyć na noże, choć przynajmniej robicie wszystko, żeby skrzywdzić się nawzajem.

Postawił Ragnara na ziemi i zerknął na Strybjorna. Ten leżał na ziemi, kaszląc i plując naokoło. W końcu zdołał wykrztusić:

– Wygrałem.

– Nie, nie wygrałeś – odparł Hakon. – Twój ostatni cios wypatroszyłby Ragnara, ale gdybyście walczyli na prawdziwe noże, nigdy byś go nie zadał. Twoje oko tkwiłoby właśnie w twoim mózgu razem z kawałkiem ostrza.

Ragnar po raz kolejny pozwolił sobie na uśmiech satysfakcji. Mroźne, górskie powietrze miało teraz dla niego słodki smak. Zdołał wreszcie pokonać ból żeber i wstać.

– I tak bym go zabił – charczał Strybjorn.

– Całkiem możliwe, jesteś dzielnym i dzikim wojownikiem – odparł Hakon, po czym wskazał na Kjela i jednego z nowych kadetów, którego Ragnar nie znał.

– Wy dwaj, wystąp! Nie mamy całego dnia do stracenia.

Ragnar jeszcze raz spojrział na Strybjorna, wiedząc, że życie uratowała mu tylko interwencja Hakona.



Ragnar czuł, że jego oddech robi się coraz bardziej urywany. Nagle górskie powietrze okazało się zbyt rzadkie, żeby mógł dalej biec. Chłód wczesnego poranka szczypał w skórę, a kolejne uderzenia serca dudniły w uszach. Pot spływał mu po czole i zalewał oczy. Długie, czarne włosy zlepiały się i były całkowicie przemoczone, nogi drżały, jakby były z galarety. Zbocze przed nimi zdawało się nie mieć końca.

– No, dalej! – wrzasnął sierżant Hakon. – Biegnijcie, a nie człapcie. Przecież to tylko pagórek!

– Łatwo mu tak gadać – powiedział Kjel, który dogonił Ragnara i właśnie się z nim zrównał. – My nie jesteśmy mieszańcami kozłów z wilkami!

– Oszczędzaj oddech – wysapał Ragnar. – Musimy biec, bo ostatni na szczycie będzie musiał powtórzyć ćwiczenie jeszcze raz.

– W takim razie lepiej się pośpieszę – odparł wesoło Kjel i minął Ragnara. Jego długie nogi niosły go z zadziwiającą prędkością i

gracją. Ragnar zmusił się do desperackiego wysiłku i przyśpieszył, przyznając w duchu rację Kjelowi. Kiedy się obserwoowało Hakona, zadanie wydawało się dziecinnie łatwe. Ruszył do biegu po ostatnim ze swoich podkomendnych, ale na szczyt wdrapał się, kiedy oni byli ledwie w połowie drogi. Nie przeszkadzała mu zbroja, w którą był jak zwykle zakuty, a teraz stał wyprostowany, obserwując kadetów. Nie było po nim widać najmniejszego śladu zmęczenia. Jaka jest tajemnica jego zadziwiającej siły? – myślał Ragnar.

– No dalej, biegnijcie! – krzyknął ponownie Hakon.

Ragnar zaryzykował spojrzenie za siebie. Niżej w dolinie mógł dostrzec Russvik, które teraz zdawało się maleńkie niczym dziecięca zabawka. Pokonali już spory kawał drogi. Patrząc na rozciągniętą linię towarzyszy, Ragnar poczuł ulgę, wiedząc, że nie jest ostatni. I lepiej niech tak pozostanie – pomyślał, po czym na nogach miękkich jak z waty ruszył dalej na szczyt wzgórza.



– Który z was potrafi polować? – spytał sierżant Hakon. Pół tuzina zmęczonych głosów odezwało się w odpowiedzi. Wszyscy byli ogromnie wyczerpani. Przez cały zeszły tydzień nie robili nic, co nie wymagałoby od nich ogromnego wysiłku fizycznego. Na szczyt pobliskiego wzgórza wbiegli już tyle razy, że Ragnar był pewien, iż mógłby tego dokonać we śnie. Potem rąbali drewno, a kiedy ścieli już kilka roślejszych drzew, musieli znowu biec, tym razem z kawałkami

ich pni trzymanymi na plecach. Ci, którzy nie robili tego tak szybko, jak życzył sobie Hakon, musieli powtarzać ćwiczenie raz za razem, aż w końcu padali z wyczerpania.

Później czekały ich inne niekończące się zadania, które doprowadzały ich ciała na krawędź tego, co człowiek zdolny jest wytrzymać. Potem padali, desperacko próbując zaczerpnąć tchu, a ich mięśnie drgały w konwulsjach. Walczyli włóczniami i nożami. Uczono ich, jak władać siekierami, którymi ścinałi drzewa. A kiedy nie mieli już siły na nic innego, ciskali włóczniami w słomiane figury ludzi.

Zdaniem Ragnara treningi i ćwiczenia, które miały coś wspólnego z walką, były najprzyjemniejsze i naprawdę cieszył się, że może brać w nich udział. Z nich właśnie miał najlepsze wyniki. Zawsze też wybierano go, aby walczył z najlepszym wojownikiem z innego Szponu. Strybjorn i Sven ze wszystkich sił starali się mu dorównać i go przewyższyć, ale nie udawało im się. Za każdym razem, kiedy przychodziło do ćwiczeń z bronią, okazywał się od nich lepszy. Co prawda kiedy uprawiali zapasy, obaj z nawiązką odpłacali mu za upokorzenia i zawody, ale nie można się było temu dziwić, jako że byli ciężcy, silni i bezlitośni.

Ragnar miał nadzieję, że już wkrótce złączą się ćwiczenia z prawdziwą bronią I wreszcie zdarzy się wypadek, w wyniku którego Strybjorn Posępny Czerep odejdzie do swoich przodków. Jediną rzeczą, jaka martwiła Ragnara, był brak pewności, że jego wróg dowie się, kto go zabił.

– Na pewno jeszcze ktoś z was potrafi polować – warknął powątpiewająco Hakon. Kadeci szybko nauczyli się, żeby nie chwalić

się przed sierżantem umiejętnościami czy siłą. Zwykle kończyło się to dodatkowymi obowiązkami lub ćwiczeniami, a w najlepszym przypadku łajaniem, kiedy nie spełniali jego wygórowanych oczekiwań.

– Cóż, skoro jesteście takimi niedojdami, będziemy musieli was nauczyć, jak się poluje. To jedyny sposób, żebyście jeszcze kiedyś w życiu posmakowali mięsa.

Mała grupka myśliwych poruszała się cicho po kamienistej ścieżce. Ragnar obejrzał się, spoglądając na drogę, którą przybyli. Chłodny wiatr smagał go po twarzy, rozwiewając długie, czarne włosy. Chmury pędziły po niebie z oszałamiającą szybkością. Wreszcie stały się białe, a nie czarne i nabrzmiące od deszczu. Nieboskłon zdawał się tutaj jeszcze bliższy niż zwykle. Ragnar zaczerpnął tchu. Wyraźnie poczuł zapach sosen, które stanowiły większość otaczających go drzew. Jednak najdziwniejszy był brak soli w powietrzu. Towarzyszyła mu ona od dzieciństwa i wiedział, że oznacza bliskość morza.

Daleko w dole można było dostrzec Russvik, które teraz wyglądało jak zlepek maleńkich chatek, otoczonych drewnianym ostrokołem i fosą. Znajdowali się pośród wysokich, mrocznych wzgórz.

Ragnar miał kłopoty z oddychaniem, podobnie jak jego towarzysze. Nogi drżały mu jak galareta od ciągłej wspinaczki, a kolana same się ugiwały pod ciężarem ciała. Jego twarz była czerwona z wysiłku. Na szczęście nikt z grupy myśliwych nie wyglądał lepiej.

Całe to bieganie w górę i w dół zaczęło nagle mieć sens. Żaden z nich nie dostałby się na taką wysokość bez odpoczynku, gdyby nie

morderczy wysiłek, jakim musieli okupić nowo zdobytą siłę i odporność organizmu. Zadziwiające było jednak to, że w ciągu ostatniego dnia doszli tak daleko, że gdyby byli na rodzinnej wyspie Ragnara, już dawno natknęliby się na ocean. Tutaj jednak nie było morza, a oni nie zobaczyli jeszcze nawet jednej dziesiątej otaczających ich terenów. Zdawać by się mogło, że ląd ciągnie się w nieskończoność. Zewsząd otaczały ich grube kolumny drzew, a ośnieżone szczyty wzgórz zdawały się podpierać niebo. Chmury, które przesuwały się nad ich głowami, niosły ze sobą śnieg i zapowiedź zimy.

Drzewa porastające te wzgórza także były dziwne. Nie miały liści, tylko jakieś igły, a wszędzie wokół leżały drewniane kulki. Nauczono ich, że te szyszki, jak o nich mówiono, pomagają przewidzieć pogodę. Jeśli były otwarte, zbliżał się deszcz. W przeciwnym wypadku nie należało się obawiać, słońce będzie świeciło nieprzerwanie. W koronach drzew gnieździły się ptaki i Sven zaproponował, żeby wybrać z ich gniazd jaja, ale reszta Szponu chciała upolować jakiegoś grubszego zwierza. Może uda im się zadziwić inne grupy?

Po raz pierwszy spotkał ich honor samodzielnego opuszczenia Russvik. Już samo to było obrażą dla dumy dorosłego mężczyzny, ale żaden z nich nie odważył się powiedzieć tego w twarz sierżantowi Hakonowi.

Przyszedł wreszcie czas, aby sprawdzić, na ile pojęli wpajane im w Russvik lekcje. Nauczono ich podstawowych technik przetrwania: jak chronić się przed śnieżycami Asaheimu, wynajdywać pożywienie, orientować się przy pomocy położenia gwiazd. Ta ostatnia lekcja była

dla Ragnara bardzo prosta, gdyż już dawno temu tę wiedzę wpoił mu ojciec. Co prawda ułożenie gwiazd było tutaj inne niż w domu, ale one same się nie zmieniły. Poza tym kadetom wpajano umiejętności szybkiego i pewnego rozpalania ognia, budowania schronienia, które zapewni im osłonę przed rozszalałymi żywiołami, z powszechnie dostępnych materiałów. Zdradzono im także tajniki sztuki tropienia, które okazały się całkiem łatwe do opanowania. Teraz wiedzieli, że wystarczy odnaleźć miejsce, w które zwierzęta przychodzą napić się wody, a potem tylko uważnie rozglądać się za pozostawianymi przez nie śladami. Potem musieli zastawić sidła, w które chwyтали króliki lub inne mniejsze zwierzęta. Ci z kadetów, którzy jeszcze nigdy nie patroszyli ani nie skórowali zwierząt, dość szybko się tego nauczyli. Ragnar, który od dzieciństwa uprawiał ryby, nie miał najmniejszych trudności z opanowaniem nowych umiejętności.

Teraz wyruszyli w dzikie ostępy uzbrojeni we włócznie, sztylety i tarcze. Rozkaz, który otrzymali, był prosty: mają wrócić ze zdobyczą lub martwym towarzyszem. Do tego czasu bramy Russvik są dla nich zamknięte. Ragnarowi wydawało się, że bycie Wilkiem składa się z ciągłych egzaminów. Kadeci byli rzućani na głęboką wodę i albo sobie radzili, albo ginęli. Hakon i inni jemu podobni zdawali się traktować młodzieńców tak, jakby mieli ich w zanadrzu znacznie więcej niż potrzeba i mogli sobie pozwolić na stratę tych, którzy nie spełnią oczekiwań. Tylko od niego samego zależało, czy wykaże się dostateczną siłą i inteligencją, aby stanąć na wysokości zadania. Nikt oprócz niego samego nie przejmie się jego losem.

Prawdę mówiąc, Ragnar był bardzo zadowolony, że jego Szpon

został wysłany na łowy. Nim powrócą, Strybjornowi przydarzy się wreszcie fatalny w skutkach wypadek. Już on zadba o to, żeby Posepny Czerep nie wyszedł z tego cało. Spojrzawszy na swojego wroga, zauważył bez zaskoczenia, że Strybjorn uważnie go obserwuje, zapewne myśląc o tym samym. Z niemiłym uczuciem Ragnar zdał sobie sprawę, że musi być niezwykle ostrożny, ponieważ to jemu może przydarzyć się nieszczęście i całkiem przypadkowo spadnie z wysokiego klifu na najeżone skałami zbocze lub znajdzie się na drodze schodzącej z góry lawiny.

Wyprawą dowodził Ragnar. Sierżant Hakon zdecydował, że on jest najodpowiedniejszym kandydatem i jak do tej pory Kjel i Henk posłusznie wykonywali jego polecenia. Jednie Strybjorn i Sven zdawali się niezadowoleni z takiego obrotu sprawy.

Ragnar zwolnił, uważnie obserwując niebo. Słońce powoli zachodziło za góry, oświetlając ziemię czerwonymi promieniami. Szczyty i zbocza wyglądały jak skąpane w szkarłatnej krwi, przez co nabierały złowieszczonego wyrazu. Bez wątpienia w okolicy mogły mieszkać trolle lub jeszcze straszniejsze bestie. Po obozie od jakiegoś czasu krążyły plotki o wilczarzach. Nikt tak naprawdę nie wiedział, kto pierwszy zaczął opowiadać te mrozące krew w żyłach historie, ale jeśli było w nich choć ziarno prawdy, to należało się tych istot bardzo obawiać. Zdaniem Ragnara były to najzwyklejsze bajdy, które rozpuszczał Hakon, aby zasiać w sercach kadetów strach i niepewność.

Wilczarz był podobno pół-człowiekiem, pół-wilkiem, bardziej dzikim i groźnym od wilkołaka. Jeśli wierzyć opowieściom, normalna

broń się go nie miała. Podobno jego ulubioną rozrywką było zakradanie się do Russvik i porywanie kadetów. Jaka jest prawda, nie wiedział nikt, choć kilka dni temu, na krótko nim zaczęły krążyć niepokojące plotki, zniknął jeden ze strażników, chłopak imieniem Loka. Nikt nie wiedział, co się z nim stało: czy zdezerterował, czy został porwany przez trolle lub złych czarnoksiężników. Dziwnym zbiegiem okoliczności wkrótce zaczęły krążyć opowieści o wilczarzach.

Hakon i inni starsi stopniem wojownicy ruszyli tropem, który podjąć mogli tylko oni, mający zmysły znacznie bardziej wyczulone niż zwykły człowiek. Jednak wrócili z niczym. Gdyby znaleźli chłopaka lub chociaż jego ciało, ogłoszonoby to wszem i wobec. Ich milczenie świadczyło natomiast o tym, że cała wyprawa poszukiwawcza nie przyniosła rezultatu.

Teraz, kiedy zapadał zmrok, opowieści o potworach, z których śmiał się za dnia, zaczynały się wydawać coraz bardziej realne. Ragnar starał się nie myśleć o tym, jakie bestie mogą zamieszkiwać górskie przełęcze leżące przed nimi. Kilka kilometrów wcześniej minęli sporych rozmiarów jaskinię, która mogłaby stanowić całkiem dobre schronienie przed chłodem nocy i niepogodą. Mimo to cały Szpon minął ją w milczeniu, jakby niemo zgadzając się, że lepiej nie sprawdzać, jaki potwór obrał sobie tę grotę za mieszkanie. Istniała szansa, że będzie ona pusta, jednak z drugiej strony mógł się w niej gnieździć troll, niedźwiedź, wilczarz czy zły czarnoksiężnik. Nawet Sven i Strybjorn nie mieli ochoty tego sprawdzać.

Ku zadowoleniu Ragnara znaleźli wcześniej sporo drewna

nadającego się na opał. Teraz musieli już tylko wybrać dobre miejsce na obóz. Nieopodal znajdowała się polana, w pobliżu której płynął strumień. Jego kamienisty brzeg ciągnął się przez całą długość leśnej przecinki, a potem przechodził w niewielkie jeziorko. Jego nieruchoma tafla była czarna jak powierzchnia oceanu i Ragnar zastanawiał się, czy żyją tam jakieś ryby zdatne do jedzenia. Póki co nie musieli się jednak martwić o pożywienie, ponieważ mieli jeszcze zapasy, które wydano im w Russvik.

Ragnar kazał Kjelowi i Henkowi rozpalić ogień, a Svenowi i Strybjornowi zbudować schronienie na noc, tak jak nauczono ich w Russvik. Sam ruszył do jeziora po wodę. Chciał wykorzystać tę nadarzącą się chwilę samotności, aby rozejrzeć się po okolicy.

Nawet teraz, kiedy zapadał zmrok, te ciągnące się w nieskończoność przełęcz, górskie zbocza i leśne ostępy zdawały się aż prosić o ludzi, którzy mogliby wśród nich zamieszkać. Gdyby nie drapieżniki i bestie, które czaiły się w ciemnościach, byłaby to wymarzona ziemia dla każdego z wyspiarskich rodów. Ragnar pokiwał głową w milczeniu, jakby przytakując własnym myślom. Zbocza górskie były bardzo rozległe, a z tego, co słyszał od innych kadetów w obozie, doskonale nadawały się do wypasu owiec czy kóz. Można by się tutaj osiedlić, założyć rodzinę i spokojnie ją utrzymać. Ta ziemia mogła stać się schronieniem przed nienawiścią i ciągłą walką, jaką znał z rodzinnych wysp. Myśli Ragnara powędrowały ku Annie, a w jego sercu ponownie zagościł żal i smutek. Kiedy spojrzął się w dół zbocza, gdzie Strybjorn ze Svenem stawiali szałas, poczuł jak smutek zmienia się w gorzką nienawiść. Jednego był pewien.

Posepny Czerep zapłaci za swoje uczynki.

Warknąwszy gardłowo, Ragnar wepchnął buklak pod wodę, jakby to była głowa Strybjorna. Przytrzymał go tam, aż ostatnie bąbelki powietrza wypłynęły na powierzchnię i dopiero potem wyciągnął z wody. Górski strumień był bardzo zimny i przez chwilę Ragnar miał wrażenie, że płynąca woda parzy jego skórę. W ciągu zaledwie kilku sekund dłonie mu zdrętwiały, ale zmusił się, aby trzymać je w lodowatym nurcie. Jego spojrzenie powędrowało ku ośnieżonym szczytom, wśród których musiało bić źródło rzeczki. Zapewne śniegowe czapy topniały i to dzięki nim strumień był tak chłodny i krystalicznie czysty. Takiej wody Ragnar nie znalazłby na swojej rodzinnej wyspie, nawet gdyby zaczerpnął z najgłębszych studni.

Ta zwyczajna z pozoru myśl przypomniała mu o domu, od którego był tak daleko. Choć i tak nie miał zapewne do czego wracać.

Głuchy i gorzki śmiech Ragnarą odbił się echem od ciemniejących ścian doliny.



Ogień palił się jasnym płomieniem, a cienie pełgały wokół szałasu. Strybjorn i Sven wykonali dobrą robotę, mocując na jednej centralnej żerdzi płyty igliwia z najwyższych gałęzi sosen, porastających krawędź polany. W kociołku zawieszonym nad ogniskiem gotowała się owsianka, jedyne pożywienie, jakie wydano im na tę wyprawę. Oprócz tego dostali po kilka uncji soli i choć nie było to

najsmaczniejsze jedzenie, to dodawało sił i pozwalało oszukać głód. W tej sytuacji nikt nie przejmował się smakiem i gdy tylko owsianka lądowała w drewnianych miskach, które mieli przy sobie, natychmiast zabierali się do jedzenia.

Ragnar oderwał wzrok od ogniska i spoglądał teraz na twarze współtowarzyszy, które nabrały zupełnie nowego i dziwnego wyrazu w migotliwym świetle płomieni. Także i otoczenie miało wpływ na to, że każdy z nich czuł się dość niepewnie. Mimo wszystkich trudów, jakie musieli znieść w Russvik, obóz stał się dla nich prawdziwym domem, który kojarzył się z bezpieczeństwem i nowymi kompanami. Teraz, kiedy byli w dziczy tak nieznannej i wrogiej, towarzysze ulegli w oczach Ragnara pewnej przemianie. Na powrót stali się obcy.

Księżyc w pełni wychylił się zza chmur. Na jego powierzchni widoczny był cienisty kształt wilczego pyska, który zdawał się warczeć. Według legend sam Russ pozostawił tam swego wiernego przyjaciela, wilka Szarogrzywego, aby strzegł jego wybranego ludu. Nim upłynęła chwila, jakby w odpowiedzi na światło księżyca z lasu dobiegł przeciągły, długi skowyt. Było w nim wiele cierpienia, samotności, ale także i głodu. Członkowie Szponu spojrzeli niepewnie na siebie nawzajem.

– To tylko wilk – powiedział uspokajająco Kjel. Uśmiechnął się, chcąc dodać przyjaciom otuchy, jednak widoczna w świetle księżyca bladość jego twarzy nieco popsowała efekt. – Russ mi świadkiem, słyszałem ich już zbyt wiele. Ciągłe podkradały się do naszych stad i porywały to jedną, to dwie owce.

– Jestem pewien, że nie tylko one trapiły po nocach co ładniejsze

sztuki – mruknął złośliwie Sven.

– Coś chcesz przez to powiedzieć?

Nim Sven zdołał otworzyć usta, z drugiej strony doliny dobiegło kolejne wycie. Zew poniosł się przez doliny i nim Ragnar zdążył coś powiedzieć, odpowiedziały mu następne wycia. Z każdego szczytu czy wzgórza kolejne zwierzęta dołączały do tej upiornej pieśni.

– Stado wyrusza na łowy – powiedział Kjel.

– Nie musiałeś nam tego mówić – mruknął Strybjorn.

– Sam bym nigdy, kurna, nie zgadł – dodał Sven.

– Wystarczy tego dobrego – uspokoił ich Ragnar.

– Nie ma się czym martwić – dodał Kjel. – Wilki rzadko atakują ludzi i raczej nie podchodzą zbyt blisko ognia. Chyba że są bardzo głodne, wtedy to zupełnie inna sprawa.

– Ja tam się na tym nie znam – powiedział butnie Sven. – Ale, na jaja niedźwiedzia polarnego, jak się który zbliży, to mu kark skręcę, a potem go oskóruję i zjem.

– To by przynajmniej było jakieś urozmaicenie naszego jadłospisu – mruknął Ragnar. – Nałóż nam jeszcze tego kleiku, Henk.

– Jasne – zgodził się najmłodszy z kadetów i pochylił się do przodu, by ściągnąć kociołek znad ognia. Szybko nałożył owsiankę na wyciągnięte półmiski.

– Na Russa, czego ja bym nie dał za dobrze wysmażoną rybę – mruknął Sven.

– Albo kurczaka – powiedział Strybjorn.

– Albo baraninę – dodał Kjel.

Wycia polującej watahy zabrzmiały jeszcze głośniejsze niż dotąd.

– Wilki też uważają, że masz rację – powiedział Ragnar. Nikt jakoś nie śmiał się z żartu.



Było już dość późno. Odgłosy polującej watahy oddaliły się znacznie i albo wilki znalazły sobie jakąś inną ofiarę, albo postanowiły zaatakować zgromadzonych wokół ogniska ludzi w całkowitej ciszy. Z sząłasu dobiegało nieustające chrapanie, które przypominało mieszanie odgłosów kowalskiego miecha i drewna ciętego w tartaku. Już ono samo wystarczyło, żeby wybić człowiekowi z głowy myśli o spaniu.

Ragnar wpatrywał się w nocne niebo, unikając patrzenia na światło ogniska. Sierżant Hakon nieraz im powtarzał, że ludzkim oczom znacznie więcej czasu zajmuje przystosowanie się do ciemności niż do światła. Powoli obracał w dłoniach drzewce włóczni, zastanawiając się, co zrobi, jeśli zaatakują ich wilki lub jakieś inne nocne potwory. Było coś dziwnego w tym pogrążonym w nocnym mroku zboczcu, coś, czego nie zaznał nigdy na swoich rodzinnych wyspach.

Być może to właśnie rozległe, puste przestrzenie działały na jego wyobraźnię i powodowały, że zasiedlała je nieprzeliczonymi rzeszami potworów. Kiedy mieszkał na rodzinnej wyspie, znał każdy zakątek siedziby rodu, którą zajmowali od wielu lat. Jako chłopcy nieraz nocowali w dziczy, choć zawsze w pobliżu wsi. Jednak każdy, nawet najbardziej oddalony zakątek znali niczym własną kieszeń. Zaś po

tych górach człowiek mógłby chodzić i chodzić i nawet stu żywotów nie starczyłoby mu na zwiedzenie całego tego dziwnego lądu. To była straszna, ale i inspirująca myśl.

Nagle Ragnar zdał sobie sprawę, że niebywale szybko dostosował się do nowych realiów, mimo że były tak różne od tych, które znał. Przywykł już do Russvik, do treningów, surowej dyscypliny i twarzy kamratów. Czasem łapał się na tym, że zdawało mu się, iż rodzinna wieś i ludzie, pośród których dorastał, są niczym innym jak zjawami z na wpół zapomnianego snu. Czy rzeczywiście pływał kiedyś na „Włóczni Russa”? Czy pomagał w wyciąganiu sieci pełnych ryb? Czy polował na orki i smoki morskie?

W głębi duszy Ragnar wiedział, że kiedyś tak właśnie wyglądało jego życie, jednak serce podpowiadało mu, że to nierealny sen, wspomnienie z życia, które nigdy już nie wróci. Z drugiej strony, co u licha robił teraz? Dlaczego siedział z włócznią w dłoni na pogrążonym w mroku górskim zboczu, spoglądając w noc? Nie miał pojęcia. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego ani do czego został wybrany. Wiedział tylko, że z jakichś powodów oszczędzono go, podczas gdy inni jego krewni zginęli lub popadli w niewolę.

Ta myśl obudziła żywe jeszcze wspomnienia, które ponownie rozpały tłącą się w jego sercu iskierkę żalu. Przed oczyma stanęli mu martwi i umierający mężczyźni oraz dziewczyna, którą mogła być Anna, unoszona na pokładzie wrogiego statku. Świadomość, że ktoś współodpowiedzialny za te wszystkie nieszczęścia spokojnie chrapie sobie dwadzieścia metrów dalej, była nie do zniesienia. Ragnar zapragnął zerwać się z miejsca i jednym ruchem zatopić włócznię w

sercu Strybjorna. Oczywiście wyobraźni widział siebie zadającego cios. Prawie czuł, jak zatapia stalowe ostrze w ciele śpiącego wroga. Chciał naprzeć z całej siły na wysłużone drzewce i przyszpilić go do ziemniczym żuka. Usta Ragnara wykrzywił uśmiech satysfakcji i prawie już wstał, żeby wprowadzić w czyn swój morderczy zamiar, kiedy usłyszał kroki. Poderwał się na nogi i uniósł włócznię, jednak z ciemności wyłonił się Kjel.

– Możesz kłaść się spać – powiedział, odsuwając ostrze włóczni Ragnara ku ziemi. – Ja nie zasnę przy tych dwóch. Chrapią tak, że zagłuszyliby burzę z piorunami.

– Jesteś pewien? – spytał Ragnar. – Wydawało mi się, że jesteś śpiący.

– Może zmęczone się wartą tak, że ci dwaj nie będą mi już przeszkadzać.

Ragnar pokiwał głową, ale nie ruszył się z miejsca. Sam także nie odczuwał zmęczenia, a poza tym miał ochotę porozmawiać. Nawet gdyby zaczęli krzyczeć, nie zbudziliby ani Strybjorna, ani Svena. *

– To dziwne miejsce – powiedział w końcu.

– Góry czy dolina?

– W ogóle. Nigdy nie widziałem krainy takiej jak ta. Każda z tych gór wydaje się większa od wyspy, na której się wychowałem.

– W pewnym sensie masz rację. Choć z drugiej strony mogły być tych samych rozmiarów.

– Co masz na myśli?

– Słyszałem opowieści o tym, że wyspy są niczym innym jak górami, które kiedyś zostały pochłonięte przez morze i teraz tylko

same ich wierzchołki wystają ponad powierzchnię wody.

– To dziwna historia.

– Owszem. To część starej legendy, wedle której jeszcze przed przybyciem Russa istniało znacznie więcej dużych wysp niż teraz, a każda z nich równie wielka jak Asaheim. Potem jednak zaczął się potop, a deszcz padał bez przerwy przez sto dni i w końcu wszystkie krainy oprócz Asaheim zostały zalane. Podobno na dnie morza nadal istnieją zatopione miasta, w których mieszkają teraz demony morza.

– Wierzysz tę opowieść, Kjel?

– A czemu nie? Równie dobrze może być prawdziwa, co zmyślona. Mój lud nie należy do urodzonych żeglarzy. Wolimy żyć u podnóża lodowców, walczyć z najeźdźcami, hodować owce i polować.

– Słyszałem, że jedynym powodem, dla którego ludzie z lodowców wypływają na otwarte morze, jest handel z wyspą Władców Żelaza.

– To właściwie prawda. Po co uczciwy człowiek miałby wypływać na otwarte morze? Przecież demony wód tylko czekają, żeby zatopić statek.

– Słyszałem, że mieszkańcy lodowca są... ludojadami.

Kjel roześmiał się, szczerze rozbawiony.

– Ja słyszałem to samo o wyspiarzach! Niby skąd mielibyście brać mięso?

– Zawsze możemy nałowić ryb albo upolować orkę – warknął rozzłoszczony insynuacją Ragnar. Szybko jednak uspokoił się, uświadamiając sobie, że nie ma prawa być obrażony. On sam przed chwilą posądził o to samo Kjela. Chwilę siedział w milczeniu, a potem uśmiechnął się do siebie, rozbawiony własną ignorancją i zabawną

zbieżnością przesądów.

– Masz rację co do tej doliny – mruknął Kjel. – Rzeczywiście jest jakaś dziwna. Mam co do niej złe przeczucia.

– Co masz na myśli ?

– Nie wiem. Po prostu ciarki mnie tu przechodzą. Czuję się, jakby coś nas bezustannie obserwowało.

– Wilki?

– Być może. Ale równie dobrze mogą to być trolle albo karły.

– Widziałeś je kiedyś? – spytał Ragnar, czując, że przechodzi go dreszcz.

– Nie, ale znam człowieka, który widział. To małe, złośliwe pokraki, których skóra świeci w ciemnościach. Mieszkają w starożytnych ruinach i opuszczają je tylko po to, aby polować na ludzi. Uznają nasze mięso za przysmak. Podobno oddają też część mrocznym bogom Chaosu.

– Nigdy nie słyszałem o takich rzeczach – powiedział Ragnar, czyniąc na wszelki wypadek ręką ochronny gest. – Nie powinniśmy o nich gadać, zwłaszcza tak po nocy.

– Żyłeś na wyspach. Morze jest czyste i nie imają się go takie przebrzydłe stwory.

Ragnar pokiwał głową. Pomimo strachu, jaki bił ze słów Kjela, poczuł się zmęczony. Przeciągnął się i ziewnął.



Nie był to jednak dobry odpoczynek. Kiedy tylko zamknął oczy, znalazł się w krainie koszmarów, gdzie ślepe robaki wiły się po dnie oceanu, wgryzając się w korzenie wysp. Potem ich miejsce zajęły olbrzymie wilki i potwornie zniekształcone karły. One z kolei ustąpiły miejsca olbrzymiej postaci o ludzkim ciele i łbie potwornego wilka. Sam jego widok wystarczył, aby Ragnar obudził się i usiadł wyprostowany. Serce waliło mu jak młotem, kiedy rozglądał się wokół w panice.

Ku jego jeszcze większemu przerażeniu tuż na granicy światła stała istota wprost z jego koszmaru. Potrząsnął głową w nadziei, że to być może sen nie ustąpił mu jeszcze sprzed oczu, ale sylwetka nadal była tam, gdzie ją dostrzegł. Senna zjawia okazała się równie realna na jawie, co w koszmarze.

Ragnar zmrużył oczy, koncentrując na niej spojrzenie. Teraz dostrzegł, że widziadło z jego snu i istota obserwująca z półmroku ich obóz nie były identyczne. Brakowało wilczego łba, ale zamiast tego głowa, podobnie jak i reszta członków, zdawały się być pokreconą imitacją ludzkich kształtów. Z całego ciała bestii sterczały kolczaste narośle, które jeszcze dodawały niesamowitości jej potężnej sylwetce. Sam łeb był masywny, o potężnej szczęcie i podobnych do nietoperzych skrzydeł, błoniastych uszach. Ślepia potwora jaśniały zielonkawą luminescencją. Ragnar zrozumiał wreszcie, że zapewne ma przed sobą trolla: najbardziej złośliwą i straszną istotę, jaka stapała po powierzchni Fenrisa. A sądząc z tego, że z wolna zbliżał się do ogniska, musiał być niezmiernie głodny.

Gdzie jest Kjel albo ktokolwiek, kto powinien pełnić wartę? –

myślał gorączkowo Ragnar. Nie było już czasu na dochodzenie prawdy, sam musiał coś zrobić. Wolno i najciszej jak potrafił sięgnął po swoją włócznie i tarczę, błagając po cichu Russa, żeby troll nie zauważył jego ruchów.

Pozwolił sobie na westchnienie ulgi, kiedy jego palce zacisnęły się na drzewcu. Potem równie ostrożnie podniósł się z posłania i przyjął pozycję do walki. W świetle ogniska widział wyraźnie, że wszyscy jego towarzysze śpią. Strybjorn i Sven chrapali głośno, Kjel leżał po przeciwnej stronie, trochę dalej od ogniska. Henk siedział tyłem do nich, twarzą skierowany ku pogrążonym w mroku górskim szczytom. Głowa opadła mu na klatkę piersiową. Ragnar domyślił się, że chłopak najwidoczniej zasnął na warcie.

Uświadomił sobie, że będzie musiał odwrócić uwagę bestii, gdyż jego towarzysze będą potrzebowali czasu, żeby przygotować się do walki. Musiał to zrobić natychmiast, troll był już prawie przy szałasie. Ale właściwie dlaczego mam nadstawiać karku? – odezwał się w jego głowie drugi głos. Mogę poczekać i pozwolić, aby bestia zabiła za mnie Strybjorna. Ragnar uśmiechnął się złośliwie. To był niezły pomysł.

Nie, powiedział do siebie w duchu. Takim sposobem zemsta się nie dokona. Musiał zabić Strybjorna własnoręcznie, aby ten wiedział, kto odbiera mu życie. Poza tym skąd może mieć pewność, że troll porwie akurat jego? Równie dobrze mógł zaatakować kogoś innego, kto, Ragnar przyznał w duchu, zaczynał być jego przyjacielem. Troll stanął nad ogniskiem. Czas działać.

– Pobudka! Do broni! Troll w obozie! – wykrzyknął, skacząc

jednocześnie do przodu i biegnąc w kierunku trolla. Teraz, kiedy bestia oświetlona była przez blask ogniska, a odległość między nimi szybko się zmniejszała, wyraźnie mógł dostrzec, że jej skóra pokryta jest płytkami i łuską. Spływała po nich jakaś błyszcząca w świetle księżyca ciecz. Istota zdawała się przez to cała mokra, jakby wyszła z pobliskiego jeziora.

Zbliżywszy się do bestii, Ragnar stwierdził, że jest ona jeszcze większa i straszniejsza niż przypuszczał. Wzrostem przewyższała go dwukrotnie, równie znacznie górowała nad nim masą. Jej klatka piersiowa była potężnie umięśniona i szersza od barów niedźwiedzia, a szponiaste palce kończące łapę mogłyby bez trudu objąć tarczę. Na końcu każdego z nich znajdował się długi, szponiasty pazur. Troll otworzył pysk i wydał z siebie długi, ogłuszający ryk. Ragnar dostrzegł, że wewnątrz paszczęki potwora wypełniają rzędy długich, ostrych zębów. Nie myśląc wiele, Ragnar dźgnął włócznią, chcąc trafić w jedno z wyłupiastych ślepi, ale bestia obróciła łeb i grot włóczni ledwie zadrasnął jej policzek. Jednak najgorsze miało dopiero nastąpić. Ku przerażeniu Ragnara rana zasklepiła się z obrzydliwym odgłosem. Nie jest dobrze, pomyślał, patrząc ogarnięty strachem.

Bestia zadała cios, ale Ragnar zdołał się uchylić. Gdyby troll trafił go choć jednym ze swoich pazurów, zapewne odciąłby mu głowę. Chłopak jeszcze bardziej przypadł do ziemi i dźgnął włócznią w krocze potwora. Cios sięgnął celu, o czym świadczył niemal ogłuszający skowyt, jaki wydobył się z gardła bestii. Kolejny cios spadł od góry, ale Ragnar zdołał zasłonić się ustawioną pod kątem tarczą, która zbiła uderzenie. Choć udało mu się przeżyć bezpośrednio

trafienie szponiastą łapą trolla, nie zdołał utrzymać się na nogach i potoczył się do tyłu. Wylądował pośrodku obozu, tuż przy gorejącym ognisku. Włosy zajęły mu się płomieniem, ale Ragnar nie zważał na to. Walcząc z własną słabością, zawrotami głowy i drętwotą w członkach, podniósł się z ziemi gotów do kolejnego starcia.

Wszyscy jego towarzysze obudzili się już i z bronią w rękach podchodzili do bestii. Kiedy Ragnar rozglądał się wokół, Kjel zamachnął się potężnie, ciskając swoją włócznię w kierunku trolla. Ragnar z zapartym tchem obserwował jej lot, kiedy wbiła się w jedno z olbrzymich ślepi. To był zabójczy cios i Ragnar był pewny, że bestia jest zgubiona. Powinna runąć na ziemię martwa w mgnieniu oka. Jednak nic takiego się nie stało. Troll sięgnął po włócznię i niezdarnie chwycił jej drzewce. Przez chwilę mocował się z nim, aż wreszcie złamał je niczym zapałkę. Odrzucił kij na bok, nie zważając na grot, który nadal tkwił w jego oku. Bestia wydała z siebie przeraźliwy syk, po czym ruszyła do przodu.

Strybjorn i Sven skoczyli w stronę trolla, dźgając swoimi włóczniami. Groty przebiły grubą skórę i zatopiły się w ciele bestii. Z ran popłynęła zielonkawa krew, ale po chwili i one się zasklepiły. Bestia wyrzuciła do przodu szponiastą łapę i pochwyciła Svena. Czerwona krew popłynęła z ran na jego ciele, ale chłopak nie pokazał po sobie w najmniejszym stopniu, że czuje ból.

– A masz, ty psi pomiole! – krzyknął rozjuszony i z całej siły wbił swoją włócznię w wyciągniętą rękę trolla. Zaskoczona tym niespodziewanym ciosem bestia puściła go, a Sven upadł na ziemię. Przez chwilę Ragnar obawiał się, że troll rozdepcze chłopaka swoją

masywna stopą, ale ten zdołał się na szczęście przeturlać na bok. Korzystając z zamieszania Strybjorn zbliżył się do bestii, a potem jednym potężnym ciosem wbił włócznię w jej tors. Broń przeszła skórę i mięśnie, zatapiając się w trzewiach potwora. Grot bez wątpienia musiał dosięgnąć miejsca, gdzie u człowieka znajdowało się serce. Po raz kolejny jedyną oznaką obrażeń, jakie odniósł niepowstrzymany stwór, był wrzask bólu. Mimo że zadano mu już dwa ciosy, z których każdy powaliłyby najpotężniejszego nawet człowieka, troll żył nadal. Czy nie ma sposobu, żeby go zabić? – pomyślał Ragnar, czując, że w jego sercu rodzi się strach.

Spoglądając na bestię, zauważył jednak coś nowego. Ze zranionego brzucha trolla unosiły się jakieś opary, a drzewce włóczni Strybjorna zaczęło się topić. Teraz Ragnar przypomniał sobie zasłyszane w dzieciństwie opowieści, że soki trawienne trolli były tak silne, iż mogły się one żywić nawet kamieniami.

Sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót, kiedy zadany przez bestię cios na odlew posłał Strybjorna dobre dziesięć metrów w ciemność. To musiało boleć, przyznał w duchu Ragnar. Gdyby mieli do czynienia z innym przeciwnikiem, zapewne ucieszyłyby się, że Strybjorn został trafiony, ale w tej sytuacji potrzebowali każdego wojownika. Do tej pory nie zdołali nawet spowolnić bestii.

– Ogniem go! – krzyknął z tyłu Henk.

– Co?

– Musimy go przypalić! Tak pokonałem poprzedniego. Zdołałem go zwabić do płonącej stodoły. Jego rany nie będą się zasklepiały, jeśli przypalą je płomienie!

Ragnar zrozumiał wreszcie, o czym mówi Henk. Ogień był naturalnym sprzymierzeńcem ludzi w walce ze stworami zrodzonymi z ciemności. Nie raz słyszał przecież opowieści skalda Imogrima o tym, jak jarl Kraki i jego woje odpędzali czyhające na niech potwory przy pomocy pochodni i łuczyw. Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, sięgnął po płonącą w ognisku gałąź. Uniósł ją nad głowę, machając nią jednocześnie, aby rozpałała się jeszcze mocniej. Tak uzbrojony, z Henkiem u boku podszedł do potwora.

Troll zatrzymał się, usiłując pochwycić Svena, który nie poddawał się i swoją włócznią wytrwale próbował trafić w drugie oko bestii. W pojedynkę zdołał zatrzymać trolla *w miejscu*. Ragnar zbliżył się ostrożnie, a potem wyczekawszy na odpowiedni moment uderzył płonącym łuczywem w pysk bestii. Po raz kolejny rozległ się potworny ryk, a troll odwrócił się w jego stronę. Smród buchający z paszczy trolla był potworny i Ragnar nie mógł się powstrzymać przed zatkaniem nosa. Po raz kolejny machnął płonącym łuczywem i tym razem trafił w jedną z gojących się ran na pysku bestii. Ciało trolla zaskwierczało i poczerniało pod wpływem ognia i ku uldze Ragnara przestało się goić. Dzięki niech będą Russowi, powiedział do siebie w duchu. Henk miał rację.

Błysk światła z lewej strony powiedział Ragnarowi, że i Kjel do nich dołączył. Sokolnik zbliżył się do trolla, dzierżąc w każdej ręce po jednej pochodni. Gdziekolwiek płonące łuczywa dotykały cielska trolla, tam rany przestawały się goić. Bestia zwracała się to w jedną, to w drugą stronę niczym dzikie zwierzę zapędzone w pułapkę. Migoczące w ciemnościach pochodnie dezorientowały ją i wprowadzały

w przerażenie, a grot tkwiący w jednym ze ślepi nie ułatwiał sprawy. Henk wydał z siebie okrzyk tryumfu. Skoczył do przodu i z szerokiego zamachu uderzył bestię w pysk, pozostawiając czarną pręgę przypalonej rany.

– Giń, psie! – krzyknął, śmiejąc się zwycięsko. Jego radość została nagle przerwana, kiedy niespodziewany cios szponiastej łapy uniósł go do góry. Potężne pazury odcięły rękę, w której chłopak dzierżył pochodnię, a wypełniona po brzegi rzędami długich, ostrych kłów paszcza zamknęła się na karku nieszczęśnika. Henk szarpnął się jeszcze raz i wrzasnął przeraźliwie, ale szczęki trolla zacisnęły się niczym stalowe sidła. Chwilę później trysnęła fontanna krwi, a potwór z lubością połknął odgryzioną głowę chłopaka.

Zaszokowany Ragnar stał jak sparaliżowany. Wprost nie mógł uwierzyć, że Henk nie żyje. Jeszcze przed chwilą stał ramię w ramię z nimi i walczył, a teraz był trupem. Śmierć zabrała go jednym pewnym cięciem swojej kosy. Ragnara obezwładniła myśl, że to on mógł tak zgiąć, a troll, choć ranny i oszołomiony, nadal był potężną, groźną bestią, która z łatwością mogła ich wszystkich wymordować. Ta myśl stała się nagle oczywista dla wszystkich członków Szponu, widział to wyraźnie w ich twarzach. Ragnar miał ochotę po prostu odwrócić się i uciec, ale wtedy reszta jego towarzyszy zrobiłaby to samo i straszliwa śmierć Heńka pozostałaby nie pomszczona. Co gorsza troll zapewne powyłapywałby ich, gdyby pojedynczo rzucili się do ucieczki, i podzieliliby los martwego kolegi. Ragnar wiedział, że mimo strachu, jaki nim zawładnął, nie odwróci się i nie ucieknie.

– No dalej, psy! – krzyknął ile sił w płucach. – Lepiej umrzeć jak

mężczyźni niż uciekać!

Okrzyki wściekłości pokazały, że duch jego towarzyszy nie został złamany. Sven podniósł się na nogi i po raz kolejny zatopił ostrze swojej włóczni w cielsku stwora. Strybjorn, który ocknął się w międzyczasie, zbliżył się, dzierżąc w dłoni pochodnię, a Kjel wraz z Ragnarem zaczęli okręzać trolla. Otoczony ze wszystkich stron przez znieawidzone płomienie, na wpół oślepiony przez zranione oko i ogień, troll zawrócił i zaczął się wycofywać. Rzucił się wzdłuż strumienia, w dalszym ciągu trzymając w dłoni bezgłowy korpus Heńka. Krew bryzgnęła na gładką do tej pory taflę wody, kiedy bestia uciekała jego brzegiem.

Ragnar i jego towarzysze nie zamierzali pozwolić trollowi zbiec. Ruszyli jego śladem, jednak dogonienie bestii było niemożliwe. Mimo swych ogromnych rozmiarów była doskonałym biegaczem i wkrótce pozostawiła ich daleko za sobą. Kiedy dotarła do samego jeziora, bez wahania wbiegła do wody i parła tak długo, aż ciemna tafla zamknęła się nad jej szkaradnym łbem.

– Myślicie, że utonął? – spytał Strybjorn.

– Nie – mruknął ponuro Kjel. – Trolle żyją pod wodą. Jego legowisko jest zapewne gdzieś na dnie jeziora.

– Myślisz, że możemy za nim popłynąć i go dobić? – Strybjorn wyglądał na zdecydowanego, żeby dokonać zemsty.

– Jak niby? – powiedział Ragnar. – Pochodnie nie będą się paliły w wodzie.

– Ale on ma cholernego Heńka – wtrącił Sven.

– Henk jest trupem. Nie możemy mu już pomóc.

A mimo to stali na brzegu jeziora, aż w końcu słońce wzeszło na górami. Troll jednak nie zdecydował się ponownie opuścić swego legowiska.

– Co teraz? – spytał Kjel, kiedy okazało się, że bestia nie zamierza zapolować na nich jeszcze raz.

– Musimy wrócić do Russvik i zdać raport z tego, co się stało – powiedział Ragnar. Wcale mu się ta myśl nie podobała. On był dowódcą Szponu i na jego barki spadała odpowiedzialność za śmierć Heńka.

Jego towarzysze spojrzeli po sobie. Ragnar spodziewał się, że dostrzeże w ich oczach żal i oskarżenie, ale ku swemu zdziwieniu zobaczył tylko współczucie. Nawet Strybjorn nie okazywał mu wrogości. Tak jakby wspólna walka ze straszliwym trollem zawiązała pomiędzy nimi wszystkimi więź braterstwa broni. Ragnar odegnał od siebie tę myśl. Dopóki nie wrócą do obozu, muszą się trzymać razem, jednak kiedy już znajdą się w Russvik, każdy z nich zajmie się swoimi sprawami. Teraz potrzebowali siebie nawzajem, bo kto mógł przewidzieć, jakie potworności czają się jeszcze w tych lasach? Ale gdy wrócą do obozu, sentymenty nie będą grały roli. Niech Strybjorn wsadzi sobie całe to swoje współczucie...



– Czy to wszystko, co sobie przypominasz? – spytał Hakon. Ragnar pokiwał głową, czując, że sierżant mierzy go uważnym spojrzeniem.

Musiał powtórzyć całą opowieść dobre trzy razy, a Hakon drążył każde słowo, wypytując o najdrobniejsze szczegóły. Teraz Ragnar stał na baczność wyprężony jak struna, spoglądając ponad ramieniem sierżanta na okno i widoczne za nim góry. Przed oczyma ponownie stanęły mu wspomnienia z drogi powrotnej do Russvik. To nie była przyjemna wycieczka. Ragnar przez cały czas rozmyślał o śmierci Heńka, mając nieprzyjemne wrażenie, że gdyby nie przypadek, to on sam mógłby zginąć z rąk trolla. Wszystko sprowadzało się do tego, że młodzieniec znalazł się w złym miejscu w złym czasie.

Jedno spojrzenie na wystraszone twarze podążających za nim członków Szponu wystarczyło, aby stwierdzić, że także ich trapią podobne myśli.

Ponury marsz przerywały jedynie nerwowe pobudki, kiedy tylko wilki zaczynały wyć gdzieś w lesie, pełne paniki spojrzenia kierowane w stronę podejrzanych cieni i ciągły strach. Byli pewni, że i oni niedługo będą musieli stanąć do walki, w której poniosą śmierć. Nic takiego się jednak nie stało. Mimo to każdy odgłos dobiegający z tych strasznych gór zdawał się zasiewać kolejne ziarno niepokoju w ich sercach. Ragnar nie miał wątpliwości, że ta wyprawa, troll i śmierć Heńka będą mu się śniły do końca życia.

Czuł się odpowiedzialny za śmierć chłopaka, co od razu powiedział Hakonowi, kiedy ten zaczął go przesłuchiwać. Sierżant nie zareagował, tylko słuchał, nie dając po sobie poznać, co o tym myśli. Ragnar był szczerze przekonany o swojej winie i czasem zdawało mu się, że kiedy na chwilę przemyka oczy, widzi pełną żalu twarz Heńka, a w jego spojrzeniu nieme oskarżenie. Ragnar czuł się tak, jak po

zniszczeniu rodzinnej wsi. Jak to możliwe? – pytał sam siebie. Przecież ledwie znalazł Heńka, podczas gdy wśród swego klanu wychowywał się całe życie. Jednak jakaś część jego duszy znała już odpowiedź. Pomędzy członkami swego rodu był jednym z wielu, którzy mieli walczyć i umierać dla chwały klanu. Tutaj, w bezkresnej dziczy Asaheim, był przywódcą Szponu, odpowiedzialnym za los jego członków. Czuł się jak sam jarl albo kapitan oceanicznego statku. Być może lubił przewodzić, choć po raz pierwszy dotarło do niego, że władza to nie tylko prawo do rządzenia, ale także ciężar, który trzeba dźwigać na barkach.

– Co się teraz stanie? – spytał w końcu Ragnar. – Wytropicie i zabijecie trolla? , – A czemu powinniśmy to zrobić?

– Zabił jednego z naszych! – Ragnar czuł, że wzbiera w nim złość.

– Skoro wśród nas znalazł się słabeusz, który dał się zamordować zwykłej bestii, to powinniśmy jej wręcz podziękować za przysługę – odparł z wilczym uśmiechem Hakon.

– Nie ma pan racji.

– Nikt cię nie pytał o zdanie.

– Czy to już koniec? – spytał zniesmaczony Ragnar. Hakon pokiwał głową, więc chłopak odwrócił się i ruszył wolnym krokiem w stronę wyjścia, czując, że całkowicie opuszczają go siły.

– Ragnarze!

Odwrócił się i z zaskoczeniem dostrzegł, że w zimnych i nieczułych do tej pory oczach Hakona widać współczucie.

– Tak, sierżancie?

– Stracić kogoś ze swojego Szponu to ciężkie doświadczenie. Sam

wiem o tym najlepiej. Możesz mi wierzyć.
Ragnar pokiwał głową, a potem wyszedł.



Rozdział 8

PRÓBY



– Kolejne tropy – powiedział Ragnar, kręcąc głową. Rozejrzał się uważnie po otaczającym go ponurym krajobrazie, szukając wzrokiem ludzi, którzy mogli pozostawić te ślady. Las zdawał się tak samo nieruchomy jak wcześniej, a korony drzew zlewały się w jednolitą ścianę zieleni, za którą niczego nie można było dostrzec. Po prawej, tam, gdzie piętrzyła się wysoka skała, także nie było widać ani śladu obcych ludzi. Mimo że to miejsce doskonale nadawało się na zasadzkę, Ragnar nie sądził, żeby groziło im jakieś niebezpieczeństwo. Otarł pot z czoła i odgarnął niesforne kosmyki włosów, które wpadały mu do oczu. Zdołali upolować ogromnego jelenia, jednak zwierzę wyprowadziło ich głęboko w las i teraz czekała ich naprawdę długa droga do Russvik.

– To już piąte ślady w tym tygodniu – powiedział Kjel. – Myślę, że jesteśmy obserwowani.

– Może – odparł Ragnar, obserwując parujące cielsko jelenia. Podczas gdy on i Kjel przyglądali się tropom, Strybjorn zaczął oprawiać zwierzę. – Bądźże ostrożniejszy z tym nożem – rzucił w jego stronę.

– Skoro uważasz, że potrafisz to zrobić lepiej, chodź tutaj i zabierz się do roboty, ostatni z Gromowych Pieści. A może mam ci pokazać, jak się oprawia inne zwierzęta niż jelenie?

Nienawiść ponownie błysnęła w oczach Ragnara, a jego dłoń opadła na rękojeść noża. Widząc, co się święci, Kjel stanął pomiędzy nimi. Sven przyglądał się w spokoju, czekając na rozwój wypadków.

– Dość tego – warknął Kjel. – Po śmierci Heńka jest nas i tak niewielu. Nie możemy pozwolić sobie na stratę kolejnego członka Szponu, zwłaszcza że w okolicy są obcy. Być może będziemy musieli się przez nich przebić, jeśli chcemy wrócić do Russvik. Nie wiemy, jak są do nas nastawieni ani co planują. A ty, Strybjornie, pamiętaj, że Ragnar jest naszym dowódcą z rozkazu Hakona.

– Racja, przecież się zasłużył – mruknął pod nosem Posepny Czerep. Ragnar ruszył w jego stronę, ale Kjel odepchnął go i pokręcił nieznacznie głową. Ragnar zrozumiał sens tego gestu, a jego gniew osłabł już na tyle, żeby móc rozluźnić mięśnie i wyraźnie się uspokoić. Nie mógł pozwolić sobie na stratę kolejnego podwładnego, zwłaszcza póki był dowódcą. Uśmiechnął się, prawie rozbawiony myślą o odroczeniu egzekucji wroga.

Sven i Strybjorn przywiązali martwe zwierzę do długiej żerdzi i podnieśli je z ziemi. Ragnar obserwował kapiącą na ziemię krew z taką samą fascynacją, jak za pierwszym razem, kiedy spoglądał na świeże mięso. Mimo że upolował już wiele zwierząt, nadal nie mógł się oprzeć temu widokowi. Jednak teraz miał na głowie znacznie poważniejszy problem, a byty nim tajemnicze ślady.

Kto je zostawił? Dokąd prowadziły? Z pewnością wyglądały na ludzkie, ale biorąc pod uwagę, że żaden z nich nigdy nie widział tropów wilczarza czy karłów, jaką mogli mieć pewność, że były tym, czym się zdawały? Ragnar przez chwilę rozważał możliwość

podążenia za tropem, ale uznał, że to nie ma sensu. Ślady mogły prowadzić w pułapkę, zastawianą na potencjalnych tropicieli. Równie prawdopodobne było, że zgubią ślad albo zostanie on przykryty przez śniegi niesione przez schodzące z wyższych partii gór śnieżycę. Zapewne zmarnują tylko czas i siły, a ten, kto zostawił tropy, zniknie jak wilczarz w śnieżycy.

Wyglądało na to, że wszystkie legendy o Asaheim, jakie słyszał w dzieciństwie, były jedną wielką bujdą. Jeśli nie brać pod uwagę opowieści o potworach i bestiach zamieszkujących te góry, to ślady musiały być pozostawione przez ludzi, którzy mieszkali gdzieś w tych rejonach. Na pewno nie byli to kadeci z Russvik, a więc góry były zasiedlone przez jakichś tajemniczych górali. Ragnar nawet nie tracił czasu na zastanawianie się, czy będą oni przyjaźnie nastawieni. Dla mieszkańców Fenrisa wrogość i rywalizacja były czymś naturalnym. Tak było od dawna i nic tego nie zmieni. Russ nakazał ludziom konkurować pomiędzy sobą, aby jego wybrańcy byli ludem silnym i sprawnym.

Ci, którzy pozostawili po sobie te tropy, musieli być zatem zaprawionymi w walce wojownikami i mimo że nie zdołaliby w walce jeden na jednego stawić czoła kadetom z Russvik, to Ragnar nie pałał żądzą spotkania. Nieznajomi byli zapewne uzbrojeni, a liczebność ich grupy mogła w ewentualnym starciu przeważać szalę zwycięstwa na niekorzyść Szponu. Ostatnie kilka miesięcy nieustannych wypraw w dzicz nauczyły Ragnara rozpoznawania wielu rzeczy na podstawie samych śladów odcisniętych w ziemi. Przyglądając się pozostawionym tropom, ocenił, że grupa obcych musiała liczyć około

tuzina ludzi. Nie potrafił tylko odpowiedzieć na pytanie, czy są to ślady tej samej gromady, której tropy odkryły inne Szpony wysłane z Russvik, czy może jakiejś innej. Tak czy inaczej należało wracać do obozu, aby dostarczyć mięso i zdać raport Hakonowi. Oni sami, będąc tutaj na miejscu, nie mogli nic więcej zrobić.



Ragnar ostrożnie schodził w dół zbocza, kierując się w stronę Russvik. W oddali widział już światła migoczące w oknach budynków. Bez trudu można było też zauważyć iskierki sypiące się z komina wielkiego domu, który majaczył w szybko zapadającym mroku. Rozejrzawszy się uważnie, dostrzegł dziwne i w dalszym ciągu obco wyglądające gwiazdy, które mrugały na nocnym niebie. Zapach płonącego na kominkach drewna i gotowanych potraw docierał do jego nozdrzy. Jak zwykle kiedy wzrok zaczynał zawodzić z braku światła, inne zmysły pracowały ze zdwojoną energią, jakby próbowały nadrobić braki informacji dopływających do mózgu. Gdzieś w oddali zawył wilk.

Ragnar zerknął za siebie, upewniając się, że Sven i Strybjorn w dalszym ciągu za nim nadążają. Na tle nocnego nieba ich sylwetki odcinały się wyraźnie, podobnie jak kształt drąga i zawieszzonego na nim martwego jelenia. Spoglądając w przeciwną stronę, mógł dostrzec Kjela, który pełniąc obowiązki zwiadowcy, badał drogę przed nimi. Ragnar postanowił, że nie straci już ani jednego członka swego

Szponu. Dlatego robił, co tylko mógł, starając się jak najlepiej dowodzić swymi podwładnymi. Teraz jednak wypadek zdawał się mniej prawdopodobny. Przez te kilka miesięcy, jakie upłynęły od śmierci Heńka, każdy z nich stał się twardszy i odporniejszy. Ciągłe treningi i ćwiczenia sprawiły, że byli teraz silniejsi, szybsi i wytrzymalsi niż jakikolwiek wyspiarz, którego Ragnar znał przed swoim przybyciem do Russvik. On sam czuł się znacznie lepiej niż kiedykolwiek i wiedział, że jego sprawność dziesięciokrotnie przekracza tę sprzed roku.

Ragnar westchnął cicho. W ciągu swojego pobytu w obozie tak wiele się nauczył... Potrafił teraz bez trudu rozpoznać wszystkie rośliny porastające okoliczne wzgórza. Wiedział, jak budować schronienie i rozpalać ogień w najtrudniejszych nawet warunkach. Potrafił wznieść ze śniegu igloo, które ochroni go przed zimnem zdolnym obedrzeć ciało z kości. Wpojono mu wiedzę o tym, jak pielęgnować rany i odmrożenia. W trakcie ćwiczeń nauczył się walczyć bez broni, korzystając jedynie z możliwości swojego ciała. Był teraz w tej sztuce tak samo dobry jak Strybjorn czy Sven. Jego ulubioną bronią pozostała jednak włócznia, którą władał teraz z takim mistrzostwem, że bez cienia wątpliwości mógłby zawstydzić najlepszych nawet harpunników z rodzinnej wsi.

Ta wiedza nie przyszła jednak nikomu z nich ani łatwo, ani darmo. Ponad połowa kadetów, którzy byli szkoleni w Russvik, zginęła. Z grupy, której częścią był Ragnar, przeżyło ledwie dwudziestu. Niektórzy zginęli w trakcie nauki wspinaczki, roztrzaskani na ostrych krawędziach skał. Inni wyruszyli na polowania i nigdy z nich nie

powrócili. Czy padli ofiarą trolli, wilczarzy, czy może zwykłych wilków, tego nie wiedział nikt. Dwóch zginęło w trakcie ćwiczeń z bronią, od ran zadanych przez topory, a jeden został zabity przez sierżanta Hakona za jakieś przewinienie, o którym nikt nie mówił.

W dalszym ciągu do Russvik przybywali coraz to nowi rekruci. Na ich twarzach wyraźnie malowało się bezgraniczne zadziwienie i przerażenie. Ragnar nieraz zastanawiał się nad rodzącym się w jego sercu poczuciem wyższości nad nimi. Te kilka miesięcy, które minęły od chwili, gdy jego wybrali Wilczy Kapłani, zdawały się całym oceanem czasu. A teraz wydawać się mogło, że pomiędzy nim a nowoprzybyłymi kadetami jest większa różnica niż między młodzikiem ledwie co wprowadzonym do Wilczej Braci a doświadczonym przez życie starcem. Czasem Ragnar zastanawiał się, co się stało z tymi, którzy zniknęli z Russvik, a byli już wprawionymi kadetami, gdy on przybył do obozu. Za każdym razem odlatywali gdzieś na pokładach statków powietrznych i tylko sierżant Hakon wiedział, dokąd się udają. Nikt nie miał odwagi go o to spytać.

Przez cały ten czas Ragnar zdołał powstrzymać wybuchy nienawiści do Strybjorna. Uczucie nie zaniknęło, a jedynie poddało się jego woli. Ragnar czekał na sposobną okazję do zadania morderczego ciosu. Jednak dopóki Posępny Czerep żył, dopóty w sercu Ragnara tlił się płomień nienawiści i zemsty, który był ostatnim łącznikiem z jego poprzednim życiem tam, na wyspach. Poza tym Strybjorn nie mógł umrzeć, dopóki był częścią Szponu dowodzonego przez Ragnara. Kiedy zostanie wyłączony spod jego rozkazów, padnie decydujący, morderczy cios.

– Pośpieszmy się lepiej – powiedział Ragnar. – W Russvik czeka na nas całe stado wygłodniałych gęb.

– I nie zezryj całego jelenia, Sven! – dorzucił Kjel. Ragnar także zauważył, że przez cały czas ich krępy towarzysz podjada niewielkie porcje surowego mięsa, przeżuując je dokładnie.

– Racja, i tak już sporo zjadłeś – mruknął Ragnar.

– Bajdy pleciesz – odburknął Sven, a potem beknął głośno.

Roześmieli się wszyscy, a potem ruszyli w kierunku obozu w znacznie lepszych nastrojach.

– Mówię ci, że była ich dobra setka – powiedział Nils, drobny, bystry chłopak, który był dowódcą jednego ze Szponów utworzonych w dniu przybycia Ragnara do obozu. Jak do tej pory stracił dwóch swoich podwładnych, choć w obu przypadkach nie stało się to z jego winy. Po prostu mieli pecha. Teraz Ragnar uważnie przysłuchiwał się jego opowieści, podobnie jak reszta jedzących wieczorny posiłek młodzieńców. Nils i jego szpon jako pierwsi zobaczyli ludzi, których tropy kadeci tak często napotykali w lesie. Z jego opowieści wynikało, że intruzów było wielu.

– Gdzie ich zauważyliście? – spytał Strybjorn.

– Przeprawiali się przez przełęcz Głowni Topora. Widzieliśmy ich ze szczytu jednej z okolicznych gór, które tworzą dolinę. Tropiliśmy muflona i jego dwie samice, kiedy zauważyliśmy obcych. Pomyślałem zatem, że lepiej będzie, jak zawrócimy i ostrzeżemy sierżanta Hakona.

– Stu albo i więcej – wtrącił Kjel. – To sporo ludzi...

Ragnar doskonale wiedział, o czym myśli Kjel. Wliczając nowy nabór rekrutów, w Russvik było nie więcej niż czterdziestu

wojowników, nie wliczając Hakona i innych podobnych opancerzonych gigantów, którzy od czasu do czasu odwiedzali obóz. To nie były korzystne proporcje, gdyby doszło do bitwy. Choć z drugiej strony po swojej stronie mieli czarnoksiężskie bronie, którymi władał Hakon. Cóż mogłoby uczynić stu lub nawet tysiąc wojowników przeciwko talizmanowi, który był w stanie rozerwać smoka morskiego na strzępy?

– Co powiedział sierżant?

– Nic. Po prostu się roześmiał, a potem mówił coś o zwyczajnej zimowej migracji barbarzyńców. Nie powinni sprawiać nam kłopotów, jeśli ich nie zaatakujemy, chyba że będą bardzo, ale to bardzo głodni.

Zimowa migracja, powtórzył w myślach Ragnar. Miał wrażenie, że chodzi tutaj o coś większego niż jeden szczep zmieniający miejsce pobytu. Po raz kolejny zawstydziła go własna ignorancja. Prawie nic nie wiedział o krainie, w której się znalazł za sprawą statku powietrznego. Bardzo chciał dowiedzieć się o niej czegoś więcej, ale niestety nikt nie dał mu na to szansy.

Jedno było pewne. Nowoprzybyli potrzebowali mięsa tak samo jak mieszkańcy Russvik, a na trasie swego przemarszu systematycznie trzebili zwierzynę. Jeleń, którego upolował Szpon Ragnara, był pierwszym zwierzęciem schwytanym przez kadetów od wielu tygodni. Całkiem prawdopodobne, że jest też ostatnim, jakie upolują tej zimy. Co prawda w spichlerzach i magazynach Russvik nadal znajdowało się ziarno i warzywa, ale i one zaczynały się powoli kończyć. Ragnar zastanawiał się, na jak długo wystarczą zapasy i kiedy można się

spodziewać dostawy żywności. Ciekawe – myślał, przeżuając mięso jelenia – co sierżant Hakon i inne Wilki jedzą. Nigdy nie brali swojej części z żywności kadetów, a prawdę mówiąc Ragnar ani razu nie widział, by którykolwiek z nich coś jadł. Oto kolejna tajemnica, która otaczała tych odzianych w stalowe pancerze olbrzymów.

Wzruszył ramionami, odganiając od siebie te myśli. Całkiem możliwe, że Hakon jadał gdzieś, gdzie nikt nie mógł go zobaczyć, korzystając z jakichś prywatnych zapasów. Ale to także był niedorzeczny pomysł. Dlaczego Hakon, absolutny władca i pan obozu, miałby cokolwiek robić w tajemnicy przed kadetami?

Mimo to Ragnar był zmartwiony. Zima robiła się coraz surowsza, zapasy jedzenia się kurczyły, a przybywało coraz więcej kadetów. Bez wątplenia coś złego musiało się wydarzyć.



– Zabij go! Dołóż świni! – krzyczały rozszalały tłum kadetów. Walka w długiej sali wybuchła zupełnie niespodziewanie. Stoły nagle zostały przewrócone i ustawione pod kątem, a miski pofrunęły w powietrze. Kjel przypadkowo potrącił Mikę i Vola, członków Szponu Nilsa, kiedy ci czekali w kolejce na swoją porcję zupy. Jedzenie obryzgało dwóch chłopaków i wtedy wszystko się zaczęło. Miesiące upokorzeń ze strony Hakona, ciężkich treningów i napięcia znalazły w końcu ujście. Chwilę później obaj rzucili się na Kjela. Mika trzymał go rozpartego na stole, a Vol okładał niemiłosiernie.

Ragnar zaklął pod nosem. Mika i Vol byli dobrze zbudowani i silni. Ani Svena, ani Strybjorna nie było jeszcze w sali, więc on sam nie miał wielkiego wyboru. Gdyby się nie wmieszał, ci dwaj z chęcią zatłukliby Kjela na śmierć. Nikt inny nie zamierzał pomóc zaatakowanemu. Wszyscy byli za bardzo zajęci podjudzaniem.

Ragnar ruszył do przodu. Jednym susem wskoczył na blat i przebiegł po stołach, depcząc dłonie i miski. Gdy znalazł się na krańcu tej dziwnej bieżni, wybił się wysoko w powietrze. Niesiony impetem skoku i własną masą, wylądował na napastnikach. Chwycił ich dłońmi za szyje i wkładając w to całą swoją siłę, uderzył ich głowami o ziemię. Następnie przetoczył się i wstał szybko z podłogi, zwracając się w kierunku Vola. Wyczekawszy na odpowiedni moment, wymierzył mu celny kopniak, zginając palce stopy tak, jak go nauczono. Trafił Vola dokładnie w dolną szczękę. Chłopak poleciał do tyłu z głową nienaturalnie odrzuconą przez siłę ciosu. Jego masywne ciało wylądowało na stole, wywracając miski i obryzgując wszystkich strawą.

– Zapłacisz mi za to! – wrzasnął w stronę Ragnarą jakiś krępy chłopak, zapewne nowoprzybyły, którego Ragnar nie rozpoznawał.

– Och, czyżby? – spytał rozbawiony, kiedy chłopak skoczył w jego stronę. Chwilę później celny cios w szczękę powalił go na ziemię, a Ragnar uśmiechnął się jeszcze szerzej. Koledzy nieprzytomnego także ruszyli do bójki, rozwścieczeni tym, jak został potraktowany ich towarzysz. Ragnar poczuł na plecach powiew zimnego powietrza, kiedy Sven i Strybjorn wkroczyli do sali. Chwilę później wszyscy trzej wpadli wyjąc z radości w gromadę stojących naprzeciwko kadetów.

To było jak sygnał dla reszty zgromadzonych w sali młodzieńców. Jak na komendę wokoło zaczęły latać miski i krzesła. Ludzie rzucili się na siebie, odreagowując miesiące ćwiczeń i nerwów. Odgłos łamanego drewna świadczył, że niektórzy postanowili użyć nóg stołków jako broni. Przyjaciele i członkowie Szponów walczyli ze sobą nawzajem. Szaleństwo ogarnęło salę. Wszyscy przeciwko wszystkim, żadnych reguł...

Ragnar cofnął się o krok i wpadł na kogoś. Odwrócił się błyskawicznie i zobaczył Kjela, który także gotów był uderzyć. Jednak kiedy spostrzegł Ragnara, uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Padnij! – krzyknął Sokolnik. Ragnar zareagował instynktownie i ledwie uniknął kawałka ławki, który przefrunął tuż obok jego głowy. Nie oglądając się za siebie, kopnął z całej siły chłopaka, który próbował go przed chwilą uderzyć. Cios okazał się celny. Wysoki pisk oznajmił, że stopa Ragnara trafiła w krocze. Nie czekając na dalszy rozwój wypadków, Ragnar przetoczył się, unikając kopniaków i zatrzymał się pod stołem, chwilowo bezpieczny od wszelkich ataków.

Wokół panowało istne szaleństwo. Krzyk, wrzaski i jęki bólu dochodziły ze wszystkich stron. Podłoga była lepka od krwi. Wszyscy walczyli przeciwko wszystkim z furją, która serce niejednego wroga przepełniłaby strachem. Ale na swój sposób wszyscy świetnie się bawili. Zapasy i pojedynki na pięści zawsze były nieodłączną częścią życia na Fenrisie i teraz młodzieńcy, mogąc wyładować nagromadzoną nienawiść i frustrację, dawali upust wściekłości. Ragnar także poczuł, że ogarnia go podniecenie walką. Wyskoczył spod stołu akurat w odpowiedniej chwili, żeby dostać w twarz pięścią

Nilsa.

Gwiazdy zatańczyły mu przed oczyma, ale zamiast krzyknąć z bólu, uśmiechnął się dziko. Nils zamarł na chwilę, przestraszony tym dzikim grymasem, a Ragnar wykorzystał nadarzącą się okazję i zaczął tłuc go po głowie, spychając przeciwnika w stronę centrum bijatyki.

– Dosyć! – zabrzmiał nagle głos przypominający huk uderzające gromu. Ragnar, podobnie jak reszta kadetów, zamarł bez ruchu, kiedy do sali wszedł sierżant Hakon.

– Widzę, że aż tak się nudzicie, iż dla rozrywki okładacie się pięściami, tak? Jedzenie też wam nie smakuje i wolicie ciskać nim sobie po gębach? Nie dziwię się wam wcale. Asa gotuje tak ohydnie, że można by używać jego potraw jako zaprawy murarskiej, ale nie podoba mi się, że marnujecie nasze zapasy. Który z was sprowokował tę bójkę?

Nikt nie odpowiedział, a Hakon w milczeniu obserwował swoich podwładnych. Kiedy jego spojrzenie spoczęło na Ragnarze, chłopak zmusił się, żeby nie odwrócić oczu.

– Nikt nie jest na tyle odważny, żeby się przyznać? W takim razie wbiegniecie sobie dwa razy na górę, aby wyładować agresję. Ale najpierw macie wyczyścić ten chlew.

Wśród kadetów rozległy się głośne szmery niezadowolenia. Nikt nie miał ochoty wychodzić na mroźną, zimową noc i biegać po kolana w śniegu. Kjel wystąpił z grupy.

– To ja zacząłem, panie sierżancie!

– Co zrobiłeś?

– No więc...

Mika stanął obok Kjela i powiedział:

– Wpadł na mnie, panie sierzancie, więc go zdzieliłem w łeb!

– A co było potem?

– Potem ja się dołączyłem – dodał Ragnar, który uznał, że należy przemilczeć fakt, iż Kjela biło dwóch członków innego Szponu. Ta sprawa była już nieważna, załatwiono ją w trakcie burdy.

– A więc i ty miałeś w tym swój udział?

– A potem ja się dołączyłem – powiedział Nils.

– No i ja – dorzucił ktoś z grupy. I nagle wszyscy kadeci zaczęli się wzajemnie przekrzykiwać, biorąc na siebie odpowiedzialność za bójkę. Chwalą się tym, jakby pokonali trolla, pomyślał Ragnar, choć nie mógł też ukryć dumy z zachowania kolegów.

– A więc to tak... Nadal uważam, że zasługujecie na mały spacer – powiedział Hakon.

– Tak jest! – odkrzyknęli jak jeden mąż.

– W takim razie do roboty. Nils, Ragnar, Kjel i Mika, wy najpierw posprzątajcie salę.

Wydawszy polecenie, Hakon odwrócił się na pięcie i wyszedł z sali, a kadeci ruszyli jego śladem, wybiegając w mroźną noc. Czwórka, która pozostała wewnątrz, wymieniła niepewne spojrzenia.

– Lepiej przyniosę wiadro – powiedział Nils, a w jego głosie słychać było strach. Być może obawiał się, że Ragnar zechce dokończyć bójkę, którą przerwał Hakon. Kjel spojrzał na swojego dowódcę i powiedział:

– Dziękuję, że mi pomogłeś.

– Nie ma za co, ty zrobiłbyś na moim miejscu to samo.

– Oczywiście! – odparł z uśmiechem Kjel. Uścisnęli sobie dłonie jak prawdziwi przyjaciele.

– Dzięki za podbite oko, Ragnarze – dodał z uśmiechem Nils. – Choć nie jestem jakoś szczególnie mocno wdzięczny...

– Tak – mruknął Mika. – To była najlepsza walka, jaką stoczyłem od wieków. Musimy to kiedyś powtórzyć.

Zabrali się do pracy.



Palce Ragnar krwawiły, a to był bardzo zły znak. Co do tego nie było najmniejszych wątpliwości, zwłaszcza że w tej chwili wisiał, trzymając się kurczowo ośnieżonego skalnego występu, a pod sobą miał oddalone o jakieś sto metrów, najeżone kamieniami dno przepaści. Nim zaczął tę wspinaczkę, owinał palce kawałkiem skóry jelenia, aby ochronić je przed chłodem, ale ostre krawędzie skał poszarpały te prowizoryczne rękawice i teraz nawet skóra jego dłoni była pocięta.

Zimny wicher zadał ze zdwojoną siłą. Tunika i płaszcz, który Ragnar sam sobie zrobił z jeleniej skóry, ledwie chroniły przed chłodem zimy. Długie włosy znów wpadły mu do oczu. Teraz na dodatek były wilgotne od osadzających się na nich kryształków lodu. Serce waliło mu jak młotem, a pot zdawał się zamarzać na twarzy. Ragnar czuł, że zaczyna go dławić strach. Powtarzał sobie co prawda, że nie ma się czego obawiać, że bywał już w znacznie gorszych

sytuacjach, ale teraz, kiedy targał nim zimny wichur, a pod stopami ziała czarna otchłań, takie myśli nie były zbyt pocieszające. Ta skała miała na swoim sumieniu życie wielu kadetów. Wczoraj Vol poślizgnął się na zdradzieckim kawałku lodu i runął w przepaść. Jego ciało leżało na jej dnie bardzo długo, nim w końcu je zabrano. Krew zabarwiła śnieg na kolor ciemnej purpury, a wnętrzności nadal walały się w dół. Chłopak zginął z powodu złamania kręgosłupa, ale śmierć nie nastąpiła od razu. Musiał się męczyć przez długie minuty, nim wreszcie skonał. A teraz Ragnar miał świadomość, że jeszcze chwila, a i on podzieli los martwego towarzysza.

Próbował zmienić uchwyt, ale jego palce nie potrafiły znaleźć punktu zaczepienia na gładkiej powierzchni skutej lodem skały. Co gorsza nie był w stanie podeprzeć się stopami, a jego coraz bardziej desperackie ruchy sprawiły, że zsunął się jeszcze niżej. Oczyma wyobraźni widział już swój upadek. W końcu kurczowy chwyt palców zawiedzie i wtedy runie w dół. Usłyszy jeszcze świst wiatru w uszach, kiedy będzie spadał, a później poczuje ostatni spazm bólu, kiedy jego ciało roztrzaska się o skały. A potem będzie już tylko ciemność. Po części nawet pragnął, żeby to cierpienie już się skończyło.

Ostatnie tygodnie były już praktycznie nie do wytrzymania. Od owej bójk w sali racje żywnościowe się zmniejszyły, a treningi przybrały na intensywności. Walki pomiędzy kadetami zdarzały się coraz częściej. W końcu jeden z chłopców został znaleziony pod ścianą ich kwatery, pobity na śmierć. Sierżant nie drążył zbytnio tej sprawy, a nikt nie przyznał się do morderstwa. Hakon powiedział, że winny w końcu się znajdzie, bo prawda zawsze wychodzi na jaw.

Ragnar nie podzielał optymizmu sierżanta, ale miał nadzieję, że tak się w końcu stanie. Inni kadeci, którzy nie wytrzymywali napięcia, po prostu wychodzili z sali. Ich zamrożone ciała odnajdywano w pobliżu obozu, a Sven żartował, że to istny dar bogów: zapasy mięsa na całą zimę. Ragnar miał nadzieję, że na takich głupich kawałach się skończy.

Pokręcił głową, otrząsając się z tych rozważań. O czym on teraz myślał? Jak zwykle w chwilach największego zagrożenia jego umysł pracował z nadzwyczajną szybkością, choć teraz, zamiast szukać rozwiązania problemu, pogrążył się w ponurych rozmyślaniach. Musi jak najszybciej znaleźć wyjście z sytuacji. Czas najwyższy coś zrobić, bo jego palce już za chwilę ześlizgną się z niewielkiego skalnego występu, na którym znalazły ostatni punkt oparcia.

Z desperackim wysiłkiem wyrzucił prawą rękę do przodu i od razu poczuł, że całe jego ciało zaczyna jeszcze bardziej ciężać w dół. Odbił się nogami od skały, próbując nabrać większego impetu i zwalczyć grawitację, która ściągała go ku ostrym skałom sto metrów niżej. Zdrętwiałe z zimna palce nie chciały pochwycić zaczepu, ale wkładając w to całą swoją wolę, Ragnar zdołał je zacisnąć na nowym uchwycie. Poczuł, że dotyka czegoś podobnego do ludzkich włosów i zrozumiał, że muszą to być jakieś porosty. Radość zmieniła się w jęk przerażenia, kiedy okazało się, że kępa, którą pochwycił, zaczyna się poddawać jego ciężarowi i wraz z korzeniami wychodzić ze skały. Stracił chwyt i począł się osuwać.

Przez chwilę całkowicie stracił kontakt ze skałą. Jego ciało wygięło się w łuk i zaczął spadać. W mgnieniu oka zdał sobie sprawę, że zaraz

zginie i żadna magia Wilczych Kapłanów nie przywróci go już do życia.

Nagle silne palce zacisnęły się na jego przedramieniu i powstrzymały upadek. Spojrzawszy się w górę, Ragnar dostrzegł Kjela, który patrzył na niego poważnie. Dzięki niech będą Russowi, pomyślał Ragnar. Kjel zauważył, że przyjaciel ma trudności i zawrócił, aby mu pomóc. Ragnar poczuł nadzieję, że jednak nie zginie i choć jego ciało ogarnęła słabość, nie rozluźnił chwytu. Jedno spojrzenia na twarz Kjela powiedziało mu jednak, że Sokolnik traci oparcie i ześlizguje się po oblodzonej skale.

Ragnar zacisnął zęby i korzystając z dodatkowego oparcia, jakie zapewniało ramię przyjaciela, podźwignął się do góry i wtoczył na skalną półkę. Odetchnął teraz z ulgą, choć czuł się fatalnie ze świadomością, że naraził na szwank nie tylko swoje życie, ale i Kjela.

– Blisko było – wyszeptał, oddychając głęboko. Stach i zmęczenie spowodowały, że jego głos był chrapliwy i łamał się przy każdym słowie.

– Racja – odparł Kjel, którego twarz była blada z wysiłku.

– Zawdzięczam ci życie.

Kjel nie odpowiedział, tylko popatrzył na skały, które dzieliły ich od szczytu, jakby mierzył je w porównaniu do tych nędznych resztek sił, jakie im jeszcze pozostały. Nie był chyba zadowolony z wniosków, do jakich doszedł.

– Podziękujesz mi, gdy się stąd wydostaniemy, obaj żywi i cali.

Zaczęli się dalej wspinać. Kiedy w końcu dotarli na szczyt, ich członki drżały z wyczerpania, a płuca paliły żywym ogniem, błagając

o więcej powietrza. Hakon już na nich czekał, a na jego surowym zazwyczaj obliczu malował się dziwnie zamyślony wyraz.

– Ragnarze, masz się stawić w Wielkiej Sali jutro o świcie. Ty i cały twój Szpon.

Ragnar nie wiedział, co ma myśleć o tym zagadkowym poleceniu i czy się z niego cieszyć, czy martwić.



Mętne światło poranka wpadało przez wąskie okna wybite w ścianach wielkiej sali. Powietrze miało zapach drewna, dymu i potu. Hakon przechadzał się tam i z powrotem, górując nad Ragnarem i członkami jego Szponu. Czuli się niczym krasnoludki, gdy stali naprzeciwko dowódcy. Jego twarz, która zwykle nie wyrażała żadnych emocji, teraz także pozostała niewzruszona, choć w oczach można było dostrzec dziwny błysk. Hakon mógłby planować ich egzekucję lub cokolwiek innego, a i tak nie byli w stanie nic wyczytać z jego oczu.

– Dobrze się spisaliście – powiedział w końcu, przerywając nieznośne milczenie. – A przynajmniej nieźle dajecie sobie radę jak do tej pory. Żyjecie, a żaden z was nie okrył się hańbą. Myślę, że niczego więcej już się w Russvik nie nauczycie. Zahartowaliśmy was najbardziej jak się dało, więc możecie ruszać dalej.

Oczy wszystkich kadetów utkwione były w sierżancie. Jego słowa oznaczały jakąś nowość, zmianę. Być może zostaną dołączeni do

któregoś ze Szponów, które opuściły obóz, zastanawiał się Ragnar. Ale co to mogło oznaczać? Żaden ze starszych kadetów nigdy nie powrócił. Serce waliło mu jak młotem ze zdenerwowania.

– Stajecie przed szansą sprawdzenia się gdzieś indziej – ciągnął dalej sierżant. – Nie myślcie jednak, że to będzie łatwe zadanie. Mogę was zapewnić, że z perspektywy czasu będziecie wspominać Russvik jako miły odpoczynek na wsi. – Przerwał na chwilę, czekając, aż każdy z nich w pełni pojmie znaczenie jego słów. Gdyby usłyszał to od kogokolwiek innego, Ragnar uznałby, że rozmówca próbuje go zastraszyć, jednak ze strony Hakona nie spodziewał się czegoś takiego. Sierżant nie musiał uciekać się do tanich chwytów. W jego słowach była tylko prawda i to najbardziej niepokoiło Ragnara.

– Będziecie mogli podjąć kolejny etap waszego szkolenia, jeśli tylko zdołacie przebyć Wrota Morkai.

Ragnar nie wiedział, co mogą oznaczać słowa sierżanta. Wedle podań jego klanu, Morkai był dwugłowym psem Russa, strzegącym bram do najniższych piekieł. Patrząc na swoich towarzyszy, dostrzegł, że i oni rozpoznają to imię.

– Jak się tam dostaniemy, sierżancie? – spytał Kjel. Ragnar wyraźnie widział, że przyjaciel stara się sprawiać wrażenie jak najbardziej beztróskiego, ale nie potrafi do końca zapanować nad drżeniem własnego głosu.

– Wkrótce się przekonacie.



Rozdział 9

WROTA MORKAI



Po raz kolejny Ragnar znalazł się we wnętrzu wielkiego statku powietrznego. Wiedział już, że kolos nazywany jest Thunderhawkiem. Istniała co prawda możliwość, że jest to nazwa tej konkretnej jednostki, tak jak łódź jego ojca ochrzczono mianem „Włóczni Russa”, lecz szczerze w to wątpił. Z tego, jak Hakon i inni wypowiadali się o tej przedziwnej maszynie, wnioskował, że musi ich być więcej niż jedna.

Kjel, Strybjorn, Sven i on sam nie byli jedynymi pasażerami na pokładzie statku. Oprócz nich w podróż wyruszali Nils, Mika, a także Lars, Hrolf i Magnus. Wszyscy pochodzili z jednego poboru i jak się zdawało, nikt oprócz nich nie przeżył morderczego szkolenia. Żaden z pasażerów Thunderhawka nie wyglądał na specjalnie uszczęśliwionego podróżą, co stało się, jak uważał Ragnar, za przyczyną dość ponurej przemowy, jaką uraczył ich Hakon. Nils jak zwykle starał się sprawiać wrażenie zadowolonego i szczęśliwego, ale tym razem nie wychodziło mu to zbyt dobrze. Podobnie jak Ragnar zastanawiał się, co ich czeka u wrót Morkai.

Z głośnym rykiem i drzeniem Thunderhawk przebudził się do życia. Mocne szarpnięcie obwieściło wszystkim, że statek oderwał się od ziemi. Ragnar wyjrzał przez niewielkie, okrągłe okienko i dostrzegł, że lód pokrywający skrzydła maszyny szybko topnieje lub odpada

całymi kawałami, kiedy Thunderhawk wystrzelił pionowo w górę. Ogromna siła spowodowana przyśpieszeniem wbiła go w fotel, ale Ragnar postanowił, że póki będzie w stanie, poty będzie wyglądał na zewnątrz. Chciał obserwować Russvik jak najdłużej. Choć była to dziwna myśl, zaczął traktować to miejsce jak swój dom, nawet mimo wszystkich trudności, bólu i upokorzeń, jakie go tam spotkały. W ciągu tych kilku miesięcy, które spędził w obozie, przywykł do trudnego i brutalnego życia i na swój sposób pokochał Russvik. Teraz po raz kolejny został wysłany w podróż w nieznane i sama myśl o celu tej wyprawy przepełniała go trwogą. Wszystko, co stało na jego drodze, odkąd znalazł się na skutych lodem pustkowiach Asaheim, okazywało się trudną lekcją przetrwania i nic nie wskazywało na to, żeby cokolwiek miało się teraz zmienić.

Myśl o domu sprawiła, że w sercu Ragnara ponownie rozpalila się iskierka nienawiści. Spojrzał na Strybjorna, który siedział tuż obok i z wściekłością studiował jego grubo ciosaną twarz. Z jakiegoś powodu to uczucie, które żywił do swego wroga, było dla niego źródłem satysfakcji. Tylko nienawiść i żądza zemsty nieustannie towarzyszyły mu w trakcie pobytu w Russvik. One to, niczym najwierniejsi towarzysze, nigdy nie odstępowały go nawet na krok.

Strybjorn zauważył spojrzenie Ragnara i rzucił zaczepnie:

- Przerażony, ostatni z Gromowych Pięści?
- Nie – odparł spokojnie Ragnar. Wiedział, że któregoś dnia nadejdzie jego szansa i dokona krwawej zemsty. Był o tym przekonany. Okoliczności, które zapewniły Strybjornowi przeżycie w Russvik, nie miały już znaczenia. Jeśli tylko przeżyją to, co czeka ich

za Wrotami Morkai, Ragnar rozprawi się ze Strybjornem.



Thunderhawk pędził ponad krainami zasypanymi śniegiem. Tym razem nie wzniósł się tak wysoko jak poprzednio i nie sięgnął gwiazd. Lecieli tuż nad ziemią, nurkując w dolinach i zataczając łuki ponad korzeniami gór. Ryk silników przerażał żyjące na ziemi stworzenia, które uciekały w panice do swych kryjówek.

Ragnar nie miał pojęcia, jak szybko lecieli, ale wiedział, że rozwijają niesamowitą prędkość. W ciągu godziny przemierzali dystans, którego pokonanie normalnemu człowiekowi zajęłoby miesiąc. Ich cień przemykał po skutej lodem ziemi szybciej niż pikujący drapieżny ptak.

Cała ziemia jak okiem sięgnąć pokryta była białym puchem. Jedynym wyjątkiem były lasy, których zielone korony wyraźnie odcinały się od śniegu. Tu i ówdzie widoczne były błękitne wstęgi strumieni, wartko płynących przez pustkowia, zanim znalazły swój kres jako jeziora czy małe wodospady. Co najdziwniejsze, góry zdawały się tu jeszcze większe niż widziane z Russvik. Majestatycznie wznosiły się na horyzoncie niczym niemi strażnicy i obserwatorzy, stojący ramię przy ramieniu przeciwko wiecznemu naporowi wichrów, deszczów i erozji.

Teraz znaleźli się nad otoczonym przez piętrzące się skały lodowcem. Jego powierzchnia połyskiwała w promieniach słońca,

którym udało się przebić przez gęstą zasłonę chmur. Wyglądając za okno, Ragnar dostrzegł niewielką grupę ludzi, mozolnie podążających po lodzie. Wbrew jego oczekiwaniom nie byli jednak opatuleni w futra jak koczownicy zamieszkujący lodowiec, ale opancerzeni i uzbrojeni na podobieństwo sierzanta Hakona. Zdawali się nawet machać na powitanie przelatującego statku, ale potem w mgnieniu oka zniknęli.

Gęsta, ale poszarpana zasłona chmur przesunęła się za oknem Thunderhawka i znalazła się pod jego brzuchem. Tak musieli się zapewne czuć bogowie, kiedy spoglądali z niebios – powiedział sobie w duchu Ragnar i poczuł, że oto właśnie odkrył jakiś wielki sekret. Nagle uderzyła go myśl, że być może Hakon i jego opancerzeni towarzysze byli potężnymi czarnoksiężnikami, których przeznaczeniem było władać światem?

A co, jeśli tak rzeczywiście było i świat jest taki, jaki jest, ponieważ oni chcieli go takim uczynić z jakichś niezrozumiałych dla zwykłych ludzi powodów? Być może wszystkie klany i rody Fenrisa miały dostarczać tym czarnoksiężnikom swoich najlepszych młodych mężczyzn? Gdy tylko ta myśl pojawiła się w jego głowie, jakiś tajemniczy instynkt podpowiedział mu, że właśnie odkrył prawdę. Bo czyż nie leciał teraz maszyną, której używali Werbownicy Poległych? Przecież działali oni na polecenie i z rozkazu bogów jako ich bezpośredni wysłannicy. Być może nawet nie tyle byli ich sługami, ile w pewnym sensie ich zastępowali? Ranek i Hakon mieli przecież wiele cech, które musiały pochodzić od samego Russa: wilcze ślepie, potężną muskulaturę, ogromną siłę i długie kły. Bez wątplenia musieli

pochodzić bezpośrednio od patrona wszystkich mieszkańców Fenrisa.

Ragnar nie wątpił, że już wkrótce odkryje znacznie więcej tajemnic. Z każdą chwilą lotu przybliżał się do poznania kolejnego sekretu. Długie godziny mijały, a teren przemykający w dole stawał się coraz bardziej dziki i nieprzyjazny. Tu i ówdzie wybuchały gejzery lawy, a śnieg sypiący się z chmur topniał z sykiem, nim zdołał dotknąć czarnej, nagiej skały. Ragnar stwierdził, że gdyby kiedykolwiek zawędrował do przedsionka piekła, musiałby on wyglądać dokładnie tak, jak ta kraina.

Góry okazały się jeszcze bardziej nieprzystępne i wysokie, niż można by podejrzewać. Od czasu do czasu na ich zboczach można było dostrzec jakieś potworne bestie, przemykające porośniętymi mchem graniami. Stada gigantycznych wilków wyły na powitanie mknącego po niebiosach statku.

Jednak największe wrażenie zrobiły na Ragnarze same góry, których ogrom przekraczał wszystko, co do tej pory dane mu było widzieć. Ogromne wejścia do jaskiń ziały czernią niczym bezdenne otchłanie. Ich krawędzie porastała rzadka i rachityczna roślinność.

W miarę jak lecieli, doliny stawały się coraz głębsze, ciemniejsze i bardziej ponure, a ośnieżone szczyty wznosiły się majestatycznie ku górze coraz wyżej i wyżej. W porównaniu z nimi otaczające Russvik dzikie ostępy nie zasługiwały na miano gór, mogły się zwać jedynie pagórkami. Ragnar po raz kolejny stwierdził, że oto staje wobec ogromu, jakiego jeszcze nigdy w swoim życiu nie widział. Szczyty, wzdłuż których teraz lecieli, były tak ogromne, jakby bogowie stworzyli je specjalnie po to, aby uwięzić w ich korzeniach

najstraszniejsze demony. Ragnar nie mógł pojąć, jakim sposobem ziemia mogła nosić na swej powierzchni tak gigantyczny łańcuch górski.

Przyciśnięci do oparcí foteli przez pęd powietrznego statku, mknęli na przemian ponad lodowcami i w cieniach mrocznych dolin. Mijali skrzące się od lodu rzeki, a cień Thunderhawka padał to na jeziora, to na wyżyny. Potem zaczęli się wznosić i w końcu statek zniknął w otaczających niebotyczne szczyty chmurach.

Ryk silników wzmógł się jeszcze bardziej, kiedy znaleźli się pomiędzy górkimi zboczami, jakby nawet ten rydwan bogów musiał użyć całej swej mocy, żeby pokonać kolejne masy powietrza. W miarę jak się wznosili, niebo zaczęło coraz bardziej ciemnieć i Ragnar nabrał przekonania, że wkrótce zobaczą zimne, białe światło gwiazd.

Wbrew jego oczekiwaniom statek nagle przestał się wznosić, a oczom pasażerów ukazał się imponujący górski szczyt. Była to największa góra, jaką kiedykolwiek widzieli i bez wątpienia nie miała sobie równych na całym Fenrisie. Górowała nad okalającymi ją szczytami niczym dorosły mężczyzna nad dziećmi. Zdawać się mogło, że chmury ledwie sięgają jej podstawy. To musiała być siedziba bogów, a także cel ich podróży, jak domyślił się Ragnar. Patrząc na twarze towarzyszy podróży, domyślił się, że i oni doszli do podobnych wniosków. Kiedy spoglądali na ów tytaniczny szczyt, w ich oczach malował się podziw, zachwyt i nabożna cześć przemieszana ze strachem.

Ragnar ponownie wyjrzał za okno i spoglądając na skąpaną w świetle wschodzącego słońca górę zdał sobie sprawę, że tego widoku

nie zapomni już nigdy. Nie będzie w stanie puścić w zapomnienie obrazu tak pięknego i strasznego, który zdawał się przemawiać wprost do jego serca.



Kiedy zbliżali się do szczytu góry, brzmienie silników Thunderhawk wyraźnie się zmieniło. Statek zaczął obniżać lot i zwalniać, przygotowując się do lądowania. Im niżej byli, tym widok stawał się mniej majestatyczny. Była to jednak godziwa cena za obraz, który ukazał się ich oczom. Mogli wreszcie dojrzeć więcej szczegółów tego, co się działo na dole.

Jedno ze zboczy góry zostało wydrążone i wstawiono w nie olbrzymie, stalowe bramy, tak wielkie, że ich ogrom przechodził ludzkie pojęcie. Ragnar nigdy nie przypuszczał, że na całym Fenrisie istnieje tyle metalu, aby wykonać choć jedno skrzydło tych gigantycznych wrót. Cokolwiek kryło się za tymi bramami, Ragnar wolał nie dociekać prawdy. Sama myśl o czymś, co potrzebowałoby tak wielkiego wejścia do swego leża, napawała go bezbrzeżnym lękiem i trwogą.

Po chwili jednak inne widoki odciągnęły jego uwagę od tych gigantycznych bram. W wielu miejscach szczyt górski pokrywały metalowe konstrukcje, które niczym olbrzymie węzły spinały ze sobą stalowe rury. Z początku Ragnar myślał, że to jakiś ogromny wąż trzyma całą górę w swych potężnych splotach, ale kiedy statek zniżył

się jeszcze bardziej, okazało się, że jest inaczej. Prawda była jeszcze bardziej szokująca: owe metalowe konstrukcje zbudowali ludzie, chyba że zostały one stworzone przez samych bogów. Dymiące i parujące rury łączyły ze sobą budynki, z których ścian i dachów, także najeżonych tubami i dziwnymi otworami, ziałał ogień i z sykiem ulatywały jakieś opary. Czemu owe dziwy mogły służyć, Ragnar nie wiedział, jednak musiało to być coś bardzo ważnego. Z jakiej innej przyczyny znalazłyby się na górze należącej do samych bogów?

Kiedy statek obniżył się jeszcze bardziej, stało się jasne, że każda z tych budowli dorównuje wielkością małej wyspie i góruje nad kłębiącymi się wokół niej ludźmi niczym wzgórze ze stali. Olbrzymie talerze z metalu, podobne do tych, które widział na wyspie Władców Żelaza, obracały się bez ustanku. Wyprawa z ojcem i Wilczym Kapłanem zdawała się tak odległa, jakby miała miejsce w poprzednim życiu, a nie kilka miesięcy temu. Kilka z owych metalowych kwiatów obróciło się w stronę Thunderhawka, kiedy ten podchodził do lądowania. Ragnar patrzył szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma, chłonąc obraz otaczających go niezwykłości.

Statek zawisł wreszcie nieruchomo w powietrzu w pobliżu jednej ze stalowych bram. Wyglądając przez okno, Ragnar zauważył, że zawisłi dokładnie nad wielkim krzyżem wpisanym w okrąg, który wymalowano na dziwnie płaskiej i równej ziemi. Thunderhawk zaczął się opuszczać w dół i chwilę później wylądował dokładnie pośrodku dziwnego symbolu. Ragnar siedział oniemiały, próbując pojąć, jak możliwa jest tak ogromna precyzja. Przelecieli przez cały kontynent, pokonując steki tysięcy kilometrów, a sternik tego statku był zdolny

posadzić ich dokładnie w wyznaczonym miejscu, nie myląc się nawet o centymetr. Taka dokładność nie mogła być przypadkowa. Musiała za nią stać jakaś potężna magia, której Ragnar nie potrafił pojąć.

Silniki przestały huczeć, a Ragnar usłyszał kolejny, tym razem bardziej niepokojący odgłos. Gdzieś z zewnątrz zaczęło dochodzić regularne dudnienie. Wyjrząwszy przez okno, Ragnar z trwogą spostrzegł, że ich statek zaczyna tonąć w skale, na której wylądował. Na zewnątrz skały zdawały się nagle ożywać i w przyśpieszonym tempie rosnać i pięć się w górę. Ragnar poczuł, że serce podchodzi mu do gardła i ogarnia go panika. Po chwili zrozumiał jednak, że to, co się wokół niego dzieje, musi być zaplanowane. Żaden ze sterników statku nie wykazywał ani odrobiny zaniepokojenia. Kamienny okrąg, na którym wylądowali, musiał być niczym innym jak platformą, której zadaniem było dostarczenie Thunderhawka pod powierzchnię ziemi. Ragnar po raz ostatni wyjrzał przez okno i spojrzawszy w górę, dostrzegł jeszcze szczyt, stręczący na tle błękitnego nieba niczym włócznia wycelowana we wroga.



Kiedy kamienna platforma znieruchomiła, okazało się, że znaleźli się w ogromnej jaskini. Jej ściany były gładkie i wypolerowane, jakby wystawiono je na działanie bardzo wysokiej temperatury. Chmury przedziwnych oparów snuły się pod sufitem, jakby próbowały zasłonić łuki tworzące sklepienie i przedziwne rzeźby. Ragnar

spoglądał na nie ze zdziwieniem, próbując odgadnąć, cóż to za zmagania na nich przedstawiono. Czy to bogowie walczyli z demonami? Oderwawszy wzrok od tych dziwów, Ragnar dostrzegł, że wszędzie wokół znajdują się ogromne posągi, a każdy stoi we własnej niszy. Wykuto je na podobieństwo ludzi uzbrojonych i opancerzonych jak Hakon lub Ranek. Magia, którą zaprzęgnięto tu do poddaństwa ludzkiej woli, była wprost niepojęta.

Ragnar nie mógł wyjść z podziwu. Ogromną salę rozświetlały lampy, które dawały światło tysiąckroć silniejsze niż oliwne kaganki czy pochodnie. Cała podziemna jaskinia była skąpana w świetle tak mocnym, że zdawać się mogło, iż panuje tutaj dzień.

Rozglądając się dalej, Ragnar dostrzegł wiele postaci, z których wiele było ubranych na podobieństwo sierżanta Hakona czy Wilczego Kapłana Raneka. Wszyscy zajmowali się swoimi sprawami: zmierzali w stronę innych statków powietrznych, przynosili zapasy broni, dokonywali napraw. Pomędzy nimi byli także przedziwni mieszkańcy, którzy zdawali się bardziej maszynami niż ludźmi. Manipulowali przy statkach powietrznych, a z długich, metalowych prętów, które zastępowały im ręce, tryskały strumienie iskier. Podobne im dziwadła podbiegły właśnie do brzucha jednego z Thunderhawków i podłączyły do niego jakieś grube tuby. Gdzie indziej rosła postać, zbudowana całkowicie z metalu, naprawiała jakiś inny pojazd, którego przeznaczenia Ragnar nie potrafił odgadnąć. Sposób, w jaki wszyscy zajmowali się swoimi obowiązkami, przypominał Ragnarowi dom, kiedy ojciec i jego przyjaciele naprawiali łodzie rybackie. Oni także nie zwracali uwagi na nic innego niż praca.

Panujący w sali hałas był wprost ogłuszający. Ryki silników napędzających maszyny mieszały się z odgłosami metalu uderzającego o metal i rozkazami wykrzykiwanymi przez setki głosów. Ludzie z żelaza zdawali się brzęczeć i furkotać, a maszyny, które naprawiali, grzmiały niczym rozszalała burza. Ragnar starał się wyłowić z tej kakofonii słowa rozkazów, ale dość szybko przekonał się, że nie rozumie języka, jakim się tutaj posługiwano. Te słowa w niczym nie przypominały rodzinnej mowy z wysp, były szorstkie i gardłowe, choć czasem zdarzały się przyjemne dla ucha i dźwięczne.

Powietrze miało zapach chemikaliów, choć nie przypominało na szczęście tłustego i duszącego oparu, który otaczał wyspę Władców Żelaza. Ta woń kojarzyła się z czystością, miała posmak mięty, smarów i olejów oraz wszystkich innych rzeczy, które mogły się wiązać z naprawą maszyn.

Kiedy wysiedli ze statku, wszystkie te doznania uderzyły Ragnara ze zdwojoną siłą. Nigdy w życiu czegoś takiego nie widział. Nawet powietrze w płucach zdawało się dudnić w rytm zgromadzonej maszynierii. Rozglądając się wokół, Ragnar czuł się zagubiony i zdezorientowany. Nagle pośród morza niezrozumiałych cudów zauważył coś, co znał i przypominało mu dom.

Przez salę dziarskim korkiem zdążał ku nim Wilczy Kapłan Ranek. Ragnar poczuł, że za serce chwyta go strach. Ilekroć ów stary czarnoksiężnik pojawiał się w okolicy, tylekroć w życiu Ragnara następowały poważne zmiany.

– Witajcie w Kle – powiedział na powitanie. – Oto wilcze leże. Mam nadzieję, że jesteście gotowi na niebezpieczeństwa, które czekają was

za Wrotami Morkai!



Ranek poprowadził ich przez długi i ciemny korytarz, ciągnący się przez wnętrze góry. Szli kilka kroków za nim niczym szczeniaki za starym wilkiem. Wilczy Kapłan doskonale wiedział, dokąd zmierza i jak się tam dostać. Ragnar był z tego powodu bardzo zadowolony, ponieważ forteca, w której się znaleźli, była istnym labiryntem, i to na skalę, jakiej nigdy wcześniej nie widział. Rodzinna wyspa mogłaby się w całości zmieścić w jednej z mniejszych pieczar.

Nagle znów ogarnęło go przerażenie. Jedna myśl uparcie powracała mu do głowy: cóż trzymało tę wydrążoną niczym ul górę w jednym kawałku? Co będzie, jeśli nagle wszystkie sale się zawalą i pogrzebią ich żywcem? Jak zdołają się wydostać na powierzchnię, która była tak daleko stąd? Jedno spojrzenie na pobladłe twarze towarzyszy powiedziało mu, że i oni borykali się z podobnymi myślami.

Maszyny, wojownicy, a także ci przedziwni mieszkańcy człowieka i automatu przemykali obok nich niczym duchy. Wszyscy zasiadali w przedziwnych wózkach kołowych, które poruszały się z nadzwyczajną szybkością, choć nie było widać żadnego napędu. Wraz z nimi podróżowały pakunki i bagaże, tak ciężkie, że nawet dwudziestu krzepkich ludzi nie byłoby w stanie dźwignąć ich z miejsca. Zaiste – pomyślał ponownie Ragnar – wielka musi być moc tutejszych czarnoksiężników. Mieszkańcy Kła dysponowali maszynami tak

cudownymi i potężnymi, że najwspanialsze osiągnięcia Władców Żelaza były w porównaniu z nimi niczym innym jak dziecięcymi zabawkami.

Ragnar miał wrażenie, że oto przybył do tajemnego serca świata i za chwilę uniesie się przed jego oczyma ostatnia zasłona. Za nią ujrzy Mroczne Tkaczki, które w swych dłoniach trzymają nici losów wszystkich ludzi świata. Nic innego nie mogło się znajdować w miejscu tak emanującym potęgą jak Kieł. Niedługo stanie twarzą w twarz z samymi bogami.

Ranek doprowadził ich do przypominających drzwi otworów, nad którymi wykuto w skale emblemat dwugłowego orła, trzymającego w szponach wilczy łeb – herb samego Russa. Obok jednego z otworów namalowano jaskrawą farbą strzałkę wskazującą w górę. Przy drugim znajdował się identyczny symbol, skierowany jednak w dół.

– Do środka – rozkazał Ranek, pokazując lewy otwór, ten, przy którym strzałka wskazywała w dół.

Kjel bez chwili wahania zrobił, co mu kazano i zniknął w czeluściach. Słysząc było tylko jego przerażony krzyk. Wszyscy zamarli przestraszeni. Cóż to ma znaczyć? – pomyślał Ragnar. – Czy to pułapka? Czy Wrota Morkai to po prostu ogromna dziura, do której wrzuca się tych, którzy przeżyli w obozie Russvik?

Czy zostali tutaj sprowadzeni, żeby ich wymordowano? To nie brzmiało zbyt prawdopodobnie, bo po cóż zadawać sobie tyle trudu? A może to jakaś ofiara dla bogów? Ragnar nie potrafił odpowiedzieć na te pytania. Wszystko, co go tu otaczało, przekraczało jego zdolności pojmowania.

– Na co czekasz? – warknął Ranek.

Z sercem podchodzącym do gardła Ragnar postanowił zaufać staremu czarnoksiężnikowi. Zrobił krok w ciemność i poczuł, że jego stopa nie znajduje żadnego oparcia. Runął w dół i choć ze wszystkich sił starał się nie krzyknąć, jęk przerażenia zdołał się wymknąć z jego ust. Żołądek podszedł mu do gardła, gdy leciał w dół, a czerwone i zielone światełka, które umieszczono w szybie, zmieniły się w dwie linie, kiedy Ragnar spadał coraz szybciej.

Teraz już był pewny, że dał się zwieść i wciągnąć w pułapkę. Oto miał zginąć, roztrzaskany na dnie skalnego szybu. Ogarnęła go czarna rozpacz, która szybko zmieniła się we wściekłość na okrutny los. I nagle w tej samej chwili jakaś dziwna siła zatrzymała jego lot, a on sam delikatnie opadł na podłogę sztolni. Kiedy lekki jak piórko opadł na ziemię i zrozumiał, że nie zginie, roześmiał się głośno.

– To niesamowite – powiedział Kjel, a Ragnar przytaknął mu w milczeniu.

– Uwaga! – dobiegł z góry okrzyk Svena. Ragnar kątem oka dostrzegł jego sylwetkę i podeszwy butów celujące dokładnie w miejsce, w którym znajdowała się jego głowa. Nie zwlekając, Ragnar przetoczył się i skoczył do wyjścia. Sven natychmiast poszedł w jego ślady, unikając zgniecenia przez Strybjorna.

W końcu obok nich pojawił się Ranek. Wylądował z gracją świadczącą o tym, że robił to już tysiące razy. Jego twarz zachowała poważny wyraz, co musiało oznaczać, że tego starca nic już nie jest w stanie zadziwić.

Gestem nakazał, aby szli za nim, co też zrobili.



Miejsce, w którym się znaleźli, zostało zbudowane z myślą o budzeniu strachu. Ledwie ta myśl powstała w głowie Ragnarara, a od razu zdał sobie sprawę, że tak właśnie musiało być. W długim korytarzu nie zamontowano na suficie świetlistych kul. Za źródło światła wystarczyć musiały umieszczone na kamiennych postumentach misy, które wypełnione były lawą. W całym pomieszczeniu panowało olbrzymie gorąco, powietrze było ciepłe, duszne i pachniało siarką. Wzdłuż ich drogi ciągnęły się pasma przedziwnych oparów, a Ragnar stąpał uważnie, zdając sobie sprawę, że jeden nieuważny krok oznacza śmierć.

Ranek szedł przed siebie, nie zważając na to, czy kadeci nadążają za nim, czy też nie. Miał absolutną pewność, że za nim idą, bo cóż innego mogliby zrobić? Żaden z nich nie znał drogi powrotnej na górę ani nie widział, jakie mogą ich czekać niebezpieczeństwa, gdyby na własną rękę zdecydowali się wrócić na powierzchnię.

Przed nimi w ciemności majaczył kształt masywnych wrót. Wykuto nad nimi wilcze łby oraz dziwne runy, których Ragnar nie potrafił odczytać. Ranek zatrzymał się w końcu i odwrócił w ich stronę. Jeden po drugim przystanęli. Dyscyplina, którą wpojono im Russvik, dała o sobie znać, kiedy podświadomie ustawili się od razu w szereg.

Całe pomieszczenie przesycone było atmosferą napięcia i strachu. Ragnar mógł je wyczuć pomimo wszechogarniającego zapachu siarki.

Pot spływał mu po całym ciele, twarz była czerwona z gorąca. Czuł się, jakby trafił do królestwa demonów ognia. To musiało być gniazdo jakichś pradawnych i potężnych sił. Ragnar miał wrażenie, że wyczuwa obecność duchów, a od wrót aż biła kipiąca w nich energia.

– Oto Wrota Morkai – powiedział Ranek, wskazując na drzwi. – Za nimi znajduje się droga, która doprowadzi was do chwały albo śmierci. Zza wrót nie powróci nikt, kto nie jest godny należeć do Wilków ciałem i duszą. Nie macie żadnego wyboru. Żaden z was nie opuści tego miejsca, nie przekraczając Wrót Morkai. Ci, którzy nie będą chcieli tego zrobić... Osobiście wrzucę ich do lawy, żeby demony ognia posiadały na wieczność ich dusze. Pozostało tylko jedno pytanie, na które musicie sobie odpowiedzieć: kto idzie pierwszy?

Zapadła cisza. Oczy wszystkich kadetów utkwione były we wrotach. Wrażenie oczekującego za nimi zła potęgowało się z każdą chwilą. Ragnar miał wrażenie, że im dłużej spogląda na drzwi, tym mniej przypominają one mgliste przejście, a bardziej gardziel jakiejś bestii, gotowej potknąć go całego. Każdy z nich chciałby być pierwszym odważnym, ale żaden nie śmiał się poruszyć, ani tym bardziej wypowiedzieć tego jednego słowa.

Ragnar zdał sobie sprawę, że muszą tutaj działać jakieś dziwne czary. Im dłużej stał u Wrót, tym bardziej czuł się, jakby zamarzał na kość. Palce mu zdrętwiały, nie mógł wydobyć z siebie głosu ani trzeźwo myśleć. Chciał coś zrobić, cokolwiek, ale nie był w stanie.

Kiedy tak stał, wpatrując się we Wrota, zdał sobie nagle sprawę, że sprawdzian zaczął się już teraz, a dziwne sensacje, które odczuwał, były wynikiem czarów, jakie na nich rzucono. Tutaj sprawdzano ich

odwagę, a ona liczyła się najbardziej. Zmusił się więc, aby wypowiedzieć zdanie, które chciał powiedzieć każdy z nich:

- Ja pójdę jako pierwszy.
- Na co więc czekasz, młodzieńcze?

Niczym mechaniczny człowiek lub zamieniony w kamień troll z którejś ze zasłyszanych w dzieciństwie sag, Ragnar ruszył do przodu. Kiedy uczynił pierwszy krok, odrętwienie ustąpiło jak ręką odjął. Runy Wrót Morkai zaświeciły dziwnym blaskiem, a wilcze łby wykute w skale zdawały się ożywać i witać go u bram prowadzących do ostatecznego sprawdzianu. Ich na wpół przeźroczyste duchy biegły u jego boku, kiedy zbliżał się do przejścia.



Przez krótką chwilę po przekroczeniu bramy Ragnar myślał, że cały test się skończył. Kątem oka dostrzegł sylwetki trzech straszliwie wyglądających starców w szarych pancerzach, na które narzucono wilcze skóry. Potem poczuł zimno i gorąco naraz i runął w dół ciemnej, niekończącej się sztolni. Jeszcze nigdy w swoim krótkim życiu Ragnar tak nie cierpiał. Spadał przez pustkę, w której nie działały żadne prawa czasu ani przestrzeni. Jego ciało zdawało się gotować od wewnątrz i zmieniać, a potem nagle wszystko się skończyło.

Ragnar stał na zamarzniętym pustkowiu. Daleko przed sobą dostrzegał sylwetki ludzi i maszyn toczących zaciekle bój. Niektórzy z

walczących mieli na sobie szare pancerze podobne do tych, które nosili sierżant Hakon czy Wilczy Kapłan Ranek. Ich przeciwnicy odziani byli w karmazynowe zbroje ozdobione czaszkami z brązu i innym tajemniczymi symbolami. Mimo to pomiędzy pancerzami jednych i drugich można się było doszukać pewnych podobieństw. Wszyscy zgromadzeni na skutym lodem pustkowiu, oświetlanym jedynie promieniami bladego, białego słońca, walczyli bez wytchnienia. Ragnar dopiero teraz zauważył, że stoi na stercie trupów. Odrąbane głowy toczyły się spod jego stóp, a stosy pociętych ramion walały się jak okiem sięgnąć. On także miał na sobie szary pancerz, który był cały podziurawiony i powgniatany w wielu miejscach. Jego własna krew mieszała się z wypływającymi ze zbroi olejami i pokrywającymi jej powierzchnię resztkami ciał wrogów. W prawej dłoni Ragnar dzierżył ów dziwny miecz, którym posługiwał się sierżant Hakon. Ten egzemplarz był jednak zepsuty. Ostrza się powyłamywały, zaś mechanizm, który wprawiał je w ruch, nie działał. Także drugi miecz, który miał przypasany u boku, nie działał jak należy. Wprawdzie na chwilę małe ostrza zaczęły wirować, jednak niemal natychmiast zacięły się i znieruchomiały.

Ragnar rozejrzał się na boki i dostrzegł ciała Kjela, Svena i Strybjorna. Niedaleko spoczywali także sierżant Hakon i Ranek. Wokół gromadziło się coraz więcej wojowników w karmazynowych pancerzach. Niektórzy z nich nie mieli hełmów, a ich twarze wyglądały jak parodie ludzkiego oblicza. Czerwone ślepia tych, którzy ponad wszystko pragnęli zabijać, błyszczały od straszliwej nienawiści. Ragnar wiedział, że nie ma szans w tej walce. Wrogów było zbyt

wielu i byli zbyt silni. Choć nie wiedział dlaczego, to jednak zdawał sobie doskonale sprawę, że stoi oko w oko z podkomendnymi Horusa. Byli to najdzikszy wojownicy w całym wszechświecie. Ledwie chwile dzieliły go zatem od śmierci.

Jeden z opancerzonych w karmazynowa zbroję wojowników wykonał gest ręką i jego pobratymcy na chwilę się zatrzymali. Krążyli wokół niczym psy myśliwskie czekające na sygnał pana, aby się rzucić na zwierzynę. Ich pragnienie krwi było przeogromne i tak silne, że ich władca nie mógł trzymać swoich sług w ryzach zbyt długo. Mimo to przemówił głośno, a jego słowa promieniowały aurą strachu, władzy i zła:

– Jesteś wielkim wojownikiem, Ragnarze! Zabijasz z łatwością i wprawą. Zaslugujesz, aby do nas dołączyć. Odrzuć swoją broń i przystąp do komunii krwi! Oddaj swoją duszę Khornowi, a zyskasz życie wieczne i ekstazę niekończącej się bitwy!

Kim jest ów Khorne? – pomyślał Ragnar. Imię brzmiało dziwnie znajomo i niosło ze sobą skazę zła. Dlaczego jego wyznawcy tak bardzo chcieli mieć go pośród siebie? Ale czy to ważne, powiedział jakiś wewnętrzny głos w duszy Ragnara. To wspaniałomyślna propozycja. To była szansa na spełnienie tych marzeń, których wojownik wierny Russowi nigdy nie miał szansy zaznać. Jeśli przyjmie tę komunię i przyodzieje karmazynowa zbroję, bitwa będzie sprawiała mu jeszcze więcej rozkoszy. Nagrodą będzie boska moc i niewyobrażalna potęga. Czegóż wojownik może chcieć więcej?

Przez krótką chwilę ta myśl elektryzowała Ragnara, kusząca siłą propozycji nie do odrzucenia działała na jego wyobraźnię. Czemu nie

przystać do wojowników w karmazynowych pancerzach? Dlaczego nie oddać duszy Khornowi? Cóż złego jest w nieśmiertelności?

Na szczęście odezwał się też drugi głos w duszy Ragnara, który przywrócił mu zdrowy rozsądek, łajając go z niesmakiem. Ragnar spojrział na stojących przed nim wojowników i dostrzegł, jak zepsute są ich dusze. Oni wszyscy byli już zatraceni w ciemności i przeklęci na wieki. Brakowało im czegoś ważnego, jakiejś cząstki jestestwa, która odróżniała człowieka od zwykłej, bezrozumnej bestii. Być może mieli swój honor, jednak nie był to taki kodeks, który szanowałby Ragnar. Ich zniekształcone, nieludzkie formy były odbiciem zepsucia ich dusz i nawet barokowe piękno zbroi nie było w stanie ukryć tego faktu.

Ragnar roześmiał się głośno i splunął przywódcy karmazynowych wojowników w twarz. Potem skoczył do przodu, tnąc na oślep i nawet kiedy ostrza wyznawców Chaosu zatopiły się w jego ciele, nie żałował swojej decyzji. Pod jego stopami otworzyła się bezdenna czeluść i nim Ragnar zdołał pojąć, co się dzieje, stał już w zupełnie innym miejscu.

Otaczały go ściany z ciała o kolorze siniaka. Pośród tej żywej tkanki ciągnęły się tętniące od jakiś płynów żyły, a kościane kolumny barwy nadgniłych zębów podtrzymywały całą tę obrzydliwą konstrukcję. Ze sklepienia spływała po ścianach jakaś czerwonawa substancja. Ragnar ruszył przed siebie po przypominającym jezior, czerwonym dywanie. Każdemu jego krokowi towarzyszył odgłos zasysania, kiedy podłoże przyklepiało się do jego butów. W całym pomieszczeniu panowało potworne gorąco. Gdzieś niedaleko czaiło się coś obcego i obrzydliwego, a Ragnar miał wrażenie, jakby został połknięty

żywcem przez jakąś monstrualną bestię.

Tym razem także ubrany był w szarą zbroję, a w dłoni dzierżył potężną broń z arsenału sierżanta Hakona. Jakimś magicznym sposobem słyszał głosy Kjela, Svena i Strybjorna tak wyraźnie, jakby mówili mu wprost do ucha. Głosy były dziwnie obce i zniekształcone, jednak bez problemu mógł je rozpoznać. Z tego, co mówili i jak to robili, wnioskował, że są przerażeni.

Czy to się dzieje naprawdę? – pomyślał, przystając na chwilę. Zdawało mu się, że tak, wszystko dookoła było takie realne... Pod stopami czuł drganie tkanki, która wibrowała w rytm oddechu wielkiej bestii. Wyczuwał dziwne zapachy, a ich smak nadal pozostawał mu w ustach. Ale jak to możliwe? Przecież dosłownie przed chwilą skonał, rozsieczony na ostrzach karmazynowo opancerzonych wojowników. Czy znowu przywrócono go do życia, tak jak po bitwie z Posępnyimi Czerepami? A może nic, co go spotkało do tej pory, nie było prawdziwe? Po prostu ktoś zaczarował go i zsyłała na niego te koszmarne wizje...

Ten młodzian jest silny duchem, zabrzmiał w jego głowie jakiś dudniący głos. Ragnar nie był w stanie go rozpoznać, jednak słyszał w nim mądrość właściwą sędziwemu wiekowi. Potem czyjaś wola wdarła się do jego umysłu, zmieniając wspomnienia i usuwając wszelkie wątpliwości. Miał skupić się na otaczającej go rzeczywistości i chwili obecnej. Niczym krew spływająca z prądem wartkiego strumienia, wszystkie obawy zniknęły z myśli Ragnara. Pozostało tylko poczucie zagrożenia ze strony tajemniczych bestii, czających się w pobliżu.

Głosy innych kadetów ponownie zabrzmiały w jego uchu. Pobrzmiwała w nich panika. Ragnar zaryzykował rzut oka do tyłu i z obaczył strach na twarzy Kjela. Inni, drżąc, zgromadzili się za jego plecami. W zaciśniętych kurczowo dłoniach każdy ścisnął broń podobną do tej, którą Ranek zabił smoka morskiego.

Z ich twarzy można było wyczytać zdziwienie i zaskoczenie. Najwyraźniej nie wiedzieli, jak się tu znaleźli i co mają robić. Oczekiwali z jego strony rady, przywództwa, tak samo jak owej feralnej nocy, kiedy zaatakował ich troll i zabił Heńka. Wierzyli w jego rozsądek, wiedzę i inteligencję, a Ragnar czuł, że ogarnia go czarna rozpacz, bo nie miał pojęcia, co robić. Nie potrafił im powiedzieć, gdzie są, jak się tutaj znaleźli, ani nawet z jakimi wrogami będą zaraz mieli do czynienia. Jedyne, czego był pewny, to że zbliża się do nich jakiś przeciwnik i czyni to z ogromną prędkością.

– Utrzymać szyk! – rozkazał, mając nadzieję, że nie dosłyszeli nerwowego drżenia w jego głosie. Po raz kolejny dobiegł ich niski ryk, a Ragnar poczuł, że przechodzą go ciarki. Cokolwiek wydawało z siebie takie odgłosy, musiało być wielkie i silne. I zapewne nie jest samo – pomyślał, słysząc, jak inne głosy odpowiadają pierwszemu wezwaniu. Tajemnicze dźwięki dobiegały ze wszystkich stron, jednak szczególnie niepokojący zew dosłyszeli z głębi korytarza. Przypominał szczekanie zębów albo klekot setek małych, szcurzych pazurków stukających o twardy grunt.

Hałas przybliżał się coraz bardziej, a przerażony Kjel jęknął ze strachu potęgującego się z każdą chwilą oczekiwania. Ragnar zmusił się do spokoju, zwalczając ogarniające go przerażenie. Mimo całej

swojej żelaznej woliomal nie zemdlął ze strachu, kiedy z czeluści ciemnego korytarza wynurzyła się fala dziwnych istot. Każda z nich poruszała się z nienaturalną szybkością i pędziła prosto na nich.

Kiedy pojawiły się w ich polu widzenia Ragnar zauważył, że są ich setki, a każda z przewyższa wysokością człowieka. Poruszały się na dwóch nogach, podobnie jak robią to ludzie, ale zamiast dwóch rąk miały po cztery. Każda z nich zakończona była trójszponiastą łapą. Pyski były karykaturą ludzkiego oblicza; charakteryzowały się wielkimi, przerośniętymi szczękami i małymi oczkami. Potwory rodem z koszmaru poruszały się tak szybko, że ludzkie oko ledwie mogło za nimi nadążyć. Nim kadeci zdążyli zorientować się w sytuacji, bestie już ich dopadły.

– Wszyscy zginiemy! – krzyknął zrozpaczony Kjel, zaś Ragnar, choć nie chciał, musiał przyznać mu rację. Skoro mam umrzeć, pomyślał ze spokojem skazańca, to zabiorę przynajmniej kilku z nich ze sobą. Podjąwszy to postanowienie, zerknął na towarzyszy, aby upewnić się, że i oni tak uczynią.

– Zostać i walczyć! – warknął. – Każdy, kto cofnie się choć o krok, zginie z mojej ręki!

Ryk czarnoksięskiej broni wypełnił pomieszczenie. Ta sama siła, która położyła trupem morskiego smoka, teraz zaczęła zabijać dziwne bestie. Ragnar przykucnął, kiedy pociski zaczęły świstać wokół niego. Zabijali te obce istoty jedną po drugiej, ale niestety nie dość szybko. Ich łby eksplodowały, kończyny fruwały na boki, a mimo to stwory parły do przodu po ciałach swych martwych towarzyszy, pchane niezłomną determinacją i nieodpartym instynktem łowcy. Po co to

wszystko? – pomyślał Ragnar. Czy nie lepiej rzucić broń, poddać się i czekać na szybką śmierć? Natychmiast jednak odrzucił tę myśl. Krzycząc z wściekłości, ruszył do przodu, aby czym prędzej stawić czoła nadciągającej masie obcych. Tnąc na prawo i lewo mechanicznym ostrzem, wpadł w tłum. Kilka najbliższych potworów zaatakowało go od razu, inne jednak nie zainteresowały się nim i rzuciły się na resztę oddziału. Wkrótce Ragnar był już otoczony przez obcych, którzy wgrzali się w jego pancerz, rozrywali ciało i próbowali powalić go na podłogę. Mimo to cały czas walczył, nie pozwalając, aby czarna ciemność agonii przeszkodziła mu w zabranii jeszcze kilku bestii ze sobą do piekła.

Po raz kolejny obudził się nietknięty i zdrowy. Rozejrzawszy się szybko dookoła, stwierdził, że znajduje się w przedziwnej ciemności. Jedynie niebiosa rozświetlane były przez dziwną iluminację. Powietrze zadrżało od gromu, który przetoczył się po niebie. Teraz dopiero Ragnar zdał sobie sprawę, że znajduje się w ruinach jakiegoś wielkiego miasta, które swym rozmiarem dorównywało samemu Kłowi. Zrujnowane wieże budynków sterczały niczym wielkie, zniszczone góry.

Gdzieś daleko przed sobą, przy końcu szerokiej alei, dostrzegł wielką, metalową bestię. Ukształtowano ją na podobieństwo człowieka, jednak była dobre dziesięć razy od niego większa. W szponach dzierżyła broń, które wystrzeliwały promienie światła, podobne do błyskawic ciskanych przez bogów. Z ramion metalowego kolosa wystrzeliły i pomknęły przed siebie zygzaki ognia. Przez chwilę nie było słyhać niczego oprócz syku, a potem z oddali dobiegł

odgłos wybuchów. Ziemia zadrżała niczym zranione zwierzę, a chmury czarnego dymu wzbiły się w powietrze. Dopiero po chwili zaczęły opadać, niezmiernie wolno i niechętnie.

Ragnar spokojnie przyglądał się tej scenie. Wciąż miał na sobie szarą zbroję z emblematem czarnego wilka. Przywykł już do tego pancerza, który zdawał się być dla niego drugą skórą. Dzięki jego mocy mógł szybciej biegać, a mięśniom przybyło siły. W dłoniach dzierżył owe potężne bronie, które nosił przy sobie Wilczy Kapłan Ranek. Przez chwilę ponownie zastanowił się, co tutaj robi, ale raz jeszcze czyjś potężny umysł usunął wszelkie wątpliwości z jego myśli.

Ragnar rozejrzał się wokół. Był całkiem sam, oddzielono go od towarzyszy. Po raz pierwszy od Russ wie jakiego czasu był zdany tylko na własne siły. Nikt mu nie pomoże, nie poda ręki, kiedy upadnie, nie zajmie się ranami. Jak do tego doszło i gdzie się podziewają inni? – pomyślał Ragnar. Czuł się zagubiony w tym ogromnym i wrogim miejscu. Po raz kolejny rozejrzał się wokół i zauważył, że tutaj słońce było ogromne, czerwone i lekko spłaszczone. Niebo przybrało szarawą barwę, jakiej jeszcze nigdy dotąd nie widział. Po raz kolejny uczucie samotności i tęsknoty za odległym domem dało o sobie znać z siłą, jakiej się nie spodziewał.

Musiał odnaleźć resztę swojej grupy. Na pewno byli gdzieś w okolicy, zapewne potrzebowali jego wsparcia i przywództwa. Jednak gdzie i jak ich szukać? Znowu poczuł się nic nie znaczącym pionkiem w grze, która przekraczała jego zdolności pojmowania. Był niczym dziecko zgubione w dziczy. Zwalczył w sobie narastającą panikę i ruszył w stronę pola bitwy.

Idąc przez zrujnowaną aleję, coraz lepiej rozumiał, jak straszny musiał być szalejący tutaj konflikt.

Bez wątpienia to ludzie zasiedlili ten świat i zbudowali to miasto. Wszędzie wokół w gruzach tkwiły pozostałości ich życia: obrazy rodzin, dziwnie realne i pozwalające się oglądać pod przeróżnymi kątami. Za sprawą jakiejś magii, kiedy spoglądał na nie z różnych stron, pokazywały przedstawionych na nich ludzi niczym żywe istoty. Tu i ówdzie leżały książki spisane w języku, którego Ragnar nie rozumiał. Ich karty pokryte były dziwnym, równym, jakby mechanicznym pismem, jakiego nikt na Fenrisie nie używał. Czasem natykał się na dziecięce zabawki wykonane z niezwykłych materiałów: kolorowe, gładkie i zimne w dotyku.

Ragnar dopiero teraz zrozumiał skalę szalejącego tu konfliktu. To jedno miasto musiało mieć więcej mieszkańców niż cały Fenris. A mimo to zostało zrównane z ziemią, jakby bogowie zstąpili z niebios i postanowili ukarać ludzi za jakieś okropne przewiny. Być może tak się właśnie stało. Ragnar nie potrafił sobie wyobrazić, jakaż to niszczycielska potęga mogła zostać skierowana przeciw tej metropolii. Musiała to być zaiste boska moc, wymykająca się ludzkiemu pojęciu i zrozumieniu.

W jakiś dziwny sposób Ragnar zrozumiał, że jest poddawany próbie, która ma sprawdzić jego umysł, nie ciało. Ktoś chciał się dowiedzieć, na ile jego umysł jest zdolny przystosować się do nowego, całkowicie obcego środowiska i czy będzie w stanie dalej skutecznie funkcjonować. Większość jego ziomków została sparaliżowana strachem na samą myśl o spacerze przez te tytaniczne

ruiny. On jednak nie bał się niczego. Miał zaufanie do własnych sił i był gotów walczyć sam przeciwko całemu światu, tak jak nie obawiał się stanąć na pokładzie ojcowskiej łodzi do walki ze smokiem morskim.

Z tych ponurych rozmyślań wyrwał go nagły wstrząs. Grunt pod jego stopami ponownie się poruszył, choć tym razem Ragnar nie usłyszał żadnego wybuchu. Rozejrzawszy się bacznie wokół, dostrzegł widzianą już poprzednio sylwetkę stalowego kolosa. Bestia wyłoniła się teraz zza narożnika budynku i stanęła u wylotu alei, którą szedł Ragnar. Teraz widział dokładnie, że wzrostem ponad dziesięciokrotnie przewyższa człowieka, choć zbudowano ją na jego podobieństwo. Kolos był jednak zdecydowanie szczuplejszy od człowieka, gdyby ten osiągnął podobne rozmiary. Także głowa nie przypominała ludzkiej: była długa, owalna i wąska. Na ramionach olbrzyma powiewały szarpane wiatrem czerwono-żółte sztandary. W szponiastych łapach bestia dzierżyła dziwną broń. Ruch głowy dał Ragnarowi do zrozumienia, że ów olbrzym zauważył go i bacznie teraz obserwował. Przez chwilę obaj trwali w bezruchu.

W końcu znudzony czekaniem olbrzym ruszył do przodu, poruszając się znacznie szybciej niż człowiek. Ragnar zamarł, wiedząc doskonale, że nie może zrobić niczego, co pozwoliłoby mu wygrać pojedynek z tą bestią. Jego miecz zdawał się szpilką, którą dziecko może wyciągnąć przeciwko roslemu mężczyźnie. Olbrzym zgniecie go jedną stopą, nie zwalniając nawet kroku. Prawdę powiedziawszy, tak chyba zamierzał uczynić.

Twarz Ragnara owiał ciepły wiatr, kiedy cień ogromnej stopy

zawisł tuż nad nim. W ostatniej chwili chłopak otrząsnął się z odrętwienia, zdecydowany zrobić cokolwiek, aby nie umrzeć niczym bezbronny starzec. Chciał się rzucić w bok, ale stopa olbrzyma była zbyt duża, żeby jej uniknąć. Ragnar zawył z wściekłością i uniósł swój miecz w górę w ostatniej, rozpaczliwej próbie obrony. Metal zgrzytnął o metal i posypały się skry, kiedy ostrze wbiło się w stopę tytana. Potem zapadła ciemność, kiedy pancerna noga zmiażdżyła jego ciało.

W dalszym ciągu krzycząc, poderwał się z miękkiej ziemi. Po raz kolejny znalazł się w zupełnie innym miejscu. To piekło – pomyślał przerażony. – Zostałem skazany, aby przez wieczność przeżywać swoją śmierć raz po raz, wciąż na nowo. Czy miał ciągle walczyć w tych wszystkich dziwnych, niezrozumiałych miejscach i umierać, aby odpokutować jakieś grzechy, z których istnienia nawet nie zdawał sobie sprawy? Nie, złązał się w duchu. To się nie dzieje naprawdę! To jakaś iluzja, którą omotali go starcy, których widział zaraz po przekroczeniu Wrót Morkai. Nie pozwoli im złamać swego ducha.

– To rzeczywiście nadzwyczaj silny młodzieniec, bracia – powiedział grzmiący głos w jego głowie. – Jeśli *przeżyje*, bez wątplenia dołączy do grona bohaterów.

Po raz kolejny Ragnar poczuł falę dziwnej mocy wdzierającą się do jego myśli, osłabiającą jego wolę i nakazującą myślom powrócić do postawionego przed nim zadania. Tym razem próbował walczyć, wykorzystując nagromadzoną w duszy nienawiść i złość. Nie pozwoli, aby zesłano go do kolejnego z dziwnych, obcych światów. Nie będzie marionetką tych starych czarnoksiężników. Nie pozwoli...

Na co? Czemu się tak sprzeciwiał? Ragnar nie był w stanie

przypomnieć sobie, o co chodziło. Nie było zresztą takiej potrzeby. Stał teraz na brzegu morza i obserwował zachodzące słońce. Dziwne drzewa szumiały, owiewane lekką bryzą, powietrze wypełniało cykanie wieczornych świerszczy i słodki zapach nieznanymi kwiatów. To one przyciągnęły uwagę Ragnara. Były wprost cudowne, duże, kolorowe, zupełnie odmienne od tych rachitycznych roślin, które porastały wzgórza Fenrisa.

– Ragnarze!

Odwrócił się, słysząc swoje imię. W jego stronę szła najpiękniejsza kobieta świata. Żadne słowa ludzkiego języka nie były w stanie opisać gracji, z jaką się poruszała. Jej skóra miała bursztynowy odcień, włosy były kruczoczarne, a coś w rysach twarzy kojarzyło się z Anną. Jednak twarz nieznajomej pozbawiona była tych niedoskonałości, które miała jego dawno utracona ukochana. Dziewczyna uśmiechnęła się, a serce Ragnara aż podskoczyło w piersi. Jeden uśmiech tej dziewczyny byłby w stanie stopić lodowce Fenrisa. Ragnar poczuł, że bardzo chce być przy niej. Nie przeszkadzało mu nawet to, że w rozchylnych zmysłowo wargach kryły się niewielkie, ostre kły, podobne do tych, jakie miały wampiryczne bestie z dalekiej północy.

– Zdecydowałeś już? – spytała głosem tak słodkim i upojnym, że poczuł się jak w siódmym niebie.

– O czym? – spytał, zaskoczony jej pytaniem.

– Nie zwódź mnie dłużej. Chcę wiedzieć, czy dołączysz do nas. Stań się jednym z nas i oddaj swoją duszę wielkiemu władcy rozkoszy, Slaaneshowi.

O czym ona mówiła? Kim był ten Slaanesh? Ragnar nie miał

pojęcia, jednak dźwięk tego imienia kojarzył mu się z niewyobrażalnym, zepsutym i zdegenerowanym złem. Słowa dziewczyny miały w sobie jakiś ukryty sens, tak samo jak jej uroda miała zwodzić mężczyzn. O co tutaj chodziło? Dlaczego jego dezorientację wzięła za odrzucenie jakiejś tajemniczej propozycji?

– Jeszcze nie – odparł, starając się zdobyć dodatkową chwilę do namysłu.

– To niedobrze – powiedziała, rozchylając zmysłowo wargi. Całe ciało Ragnara przeszedł dreszcz podniecenia, tak mocno pragnął osiąść tę dziewczynę. Jej skóra pachniała najśłodszymi wonnościami, a jej najłżejszy dotyk sprawiał tak wielką rozkosz, że graniczyła ona z bólem agonii.

Pocałowała go w końcu, a kiedy to się stało, Ragnar poczuł, że coś jest z niego wysysane, jakby odbierano mu sedno jestestwa, najbardziej intymną część duszy. Nie czuł jednak bólu, a wręcz przeciwnie, rozkosz. Miał wrażenie, jakby po całej długiej nocy, wypełnionej najwspanialszymi rozkoszami z najpiękniejszą kobietą świata, zasnął na miękkim łożu, bezpieczny i zaspokojony. Mimo to coś było bardzo nie w porządku. To nie Anna go pieściła, to był ktoś obcy i zły.

Nagle Ragnar zdał sobie sprawę, że w głębi duszy wcale nie chce oddawać swojego życia tej zdradzieckiej rozkoszy. Wolał już zginąć pod stopą rozpędzonego stalowego giganta. Zaczął się opierać tej przerażającej pieszczocie i dopiero teraz zdał sobie sprawę, z jaką potęgą przyszło mu się mierzyć. Czuł się, jakby wpadł do rwącego strumienia górskiego i usiłował nie dać się wciągnąć jego nurtowi.

Choćby nie wiadomo ile sił włożył w tę walkę, i tak demony w końcu zawładną jego duszą. Mimo że włożył całą siłę woli w opór tej bluźnierczej sile, ciemność zaczęła narastać przed jego oczyma, a potem stracił przytomność.

Obudził się po raz kolejny i znowu otaczał go krajobraz rodem z koszmaru. Tym razem Ragnar stał u stóp wielkiej, czarnej kaplicy, a wszędzie wokół gromadziły się postacie ubrane w długie, ceremonialne szaty. Ich twarze zakrywały ciężkie kaptury. Wysoko ponad nim na ogromnym dysku, którego istnienie zaprzeczało wszelkim prawom natury, unosił się czarnoksiężnik. Jego sylwetka sugerowała potęgę magii, którą władał, a głowę wieńczyły rogi. Obniżył lot, przyglądając się uważnie Ragnarowi. Wokół jego szponiastych łap tańczyły różnobarwne płomienie, lecz jak dotąd nie przejawiał wrogich zamiarów. Ragnar uniósł swoją broń, ale nie zaatakował, ciekaw, co się wydarzy.

– Cóż mój pan może ci zaoferować w zamian za twoją duszę? – spytał czarnoksiężnik głosem, który wciąż zmieniał się pod wpływem magii. – Jakie jest twoje życzenie? Wystarczy, że je pomyślisz, a stanie się prawdą.

Jak na komendę przed oczyma Ragnara pojawiło się zmaltretowane ciało Strybjorna. Nim zdołał zrobić cokolwiek innego, życzenie stało się rzeczywistością. Na kamieniu ofiarnym pojawił się związany Posepny Czerep, a w dłoni Ragnara znalazł się ofiarny nóż.

Nienawiść zawładnęła jego duszą. Ragnar przypomniał sobie zamordowanego ojca, leżącego pośród ruin spalonej wsi. Oczami spoglądającymi w przeszłość widział, jak jego ziomkowie gnani byli w

niewolniczych kajdanach do smoczych łodzi najeźdźców. Potem przypomniał sobie pojedynek ze Strybjornem i to, jak bliski był zabicia swego wroga. Poczuł, że bardzo chce zatopić ostrze w sercu nieprzyjaciela i prawie uniósł nóż do ciosu. Niczego innego bardziej nie pragnął, jak poczuć jego krew na własnych rękach, rozplatać jego pierś i wyrwać bijące jeszcze serce. Jednak nie zrobił tego. Na piersi Strybjorna wisiał amulet przedstawiający wilczy łeb, ten sam symbol, który wymalowano na pancerzu Ragnara.

– No, dalej! Na co czekasz? Zabij go! – zachęcał czarnoksiężnik. – Oto twoja zemsta. Twoi przodkowie czekają, aby się dopełniła. Zrób to, na co czekałeś tak długo!

Dłoń Ragnara drżała, kiedy starał się zwalczyć w sobie pokusę odwetu. Niczego innego bardziej w życiu nie pragnął, ale wiedział doskonale, że w chwili, gdy zabije Strybjorna, utraci swą duszę. Stanie się ona własnością tajemniczego boga, któremu służył rogiaty mag. Jeśli zabije Strybjorna, zdradzi tych wszystkich, którzy wiernie służyli symbolowi wilka. Mimo że bardzo chciał być lojalny wobec ludzi, z którymi dzielił trudy Russvik, pragnął też dokonać zemsty.

Nagle jeszcze jedna myśl zakiełkowała w głowie Ragnara. Nawet jeśli zabije Strybjorna, dokonując tym samym upragnionej zemsty, nie będzie mógł wrócić do swojego ludu. Stanie się zdrajcą synów Russa, słabym ogniwem łańcucha, przez które być może upadnie Kieł. Jeśli zada ten cios, cały Fenris i jego mieszkańcy staną się niewolnikami jakichś mrocznych sił. Nadal stał, rozmyślając i bawiąc się w milczeniu nożem. Nienawiść i poczucie obowiązku walczyły w jego duszy o władzę, a los całego świata ważył się w jego dłoniach. Na

jednej szali tej dziwnej wagi znajdowała się nienawiść do człowieka, który przyczynił się do zguby jego rodziny i klanu, na drugiej zaś świadomość, że jeśli dokona zemsty, stanie się renegatem i odszczepieńcem.

A cóż to ma za znaczenie? – odezwał się jakiś głos w jego duszy. – Wszyscy twoi krewni nie żyją, a stało się to za sprawą tego oto człowieka. Cóż dla ciebie uczynili mieszkańcy Kła czy Russvik poza zmuszaniem cię do straszliwego wysiłku, ryzykowania życiem i przymierania głodem? Jeśli śmierć Strybjorna oznacza śmierć całego Fenrisa, tym lepiej. Także Posepne Czerepy powędrują do piekła. Ostateczna zemsta będzie należała do twojego rodu. Będzie to odwet doskonały, nikt nie zdołałby sobie wyobrazić lepszego.

Dłoń Ragnara ponownie zadrżała, a ostrze noża opuściło się w stronę piersi Strybjorna. Oto zemsta, której pragnął, ale jednocześnie obawiał się dokonać. To nie było zwycięstwo w pojedynku na śmierć i życie. To zwykłe morderstwo bezbronnego człowieka, którego dusza powędruje do piekieł rządzonych przez jakiegoś mrocznego boga. Taka zemsta nie była godna prawdziwego wojownika.

– Dokonaj tego wreszcie! – wysyczał czarnoksiężnik. – Zrób to teraz!

Wskazał dłonią Strybjorna i łańcuchy opadły z jego ramion. Chłopak wstał i zmierzył wzrokiem Ragnara. Potem spiął się cały i skoczył do przodu.

– Zdrajca! – ryknął, szykując się do zadania ciosu.

Ragnar nie czekał i jednym szybkim ciosem zaciśniętej w pięść dłoni powalił Strybjorna na ziemię. Ledwie powstrzymał swoje nerwy

na wodzy, aby nie wbić noża w odsłoniętą pierś wroga.

Po raz kolejny dotarło do niego, że jest pionkiem w grze potęg, których natury nie pojmuje. Przez chwilę przed oczyma stanęli mu trzej starcy w szarych pancerzach, z wilczymi skórąmi na ramionach, których ujrzał w chwili, gdy przekroczył Wrota Morkai. To oni igrali z jego gniewem, odkrywali najbardziej sekretne myśli i sprawdzali siłę ducha. Oceniali jego przydatność, ale do czego?

Ta myśl zapiekła Ragnara do żywego. Za kogo się uważali? Kto dał im prawo oceniania innych ludzi? Za sprawą jakiej czarnoksiężkiej sztuczki zsyłali na ludzi te koszmarnie wizje? Zagryzł szczęki tak mocno, że ból prawie rozsadził mu głowę, a potem jednym szybkim ruchem wbił sztylet we własną pierś.

– Nie będziecie się już bawić moim kosztem! – wykrzyczał, padając na kolana. Krew wpływała mu spod zbroi, a ból agonii szarpał nerwy. Mimo to Ragnar uśmiechnął się dziko, wiedząc, że wygrał walkę z silniejszymi przeciwnikami.

Świat wokół niego zatrząsł się w posadach. Kamienie zaczęły spadać z sufitu niczym forpoczta potężnej lawiny.

– Ja jestem Ragnar Gromowa Pięść! – wykrzyknął resztką sił. – Sprzeciwiam się wam, kimkolwiek jesteście!

A potem ciemność ogarnęła go po raz kolejny, tym razem ostatni.



Rozdział 10

CZARA WILCZARZA



Ragnar budził się powoli, czując koszmarne bóle. Był straszliwie zmęczony i czuł się tak, jakby został zabity, a potem przywrócony do życia. Miał wrażenie, że wszystkie siły i cała energia uleciały z jego ciała. Nie pamiętał prawie nic z tego, co go spotkało, poza tym, że wystawiono go na próbę niekończących się koszmarów, za pomocą których badano każdą najślabszą część jego duszy. Spojrzawszy na swoje ciało, stwierdził ze zdumieniem, że nie ma na nim ani jednej blizny, choć zdawało mu się, że powinny ich być całe tuziny.

Zimno uświadomiło mu, że jest nagi. Leżał na kamiennych płytach, które stanowiły podłogę jakiejś jaskini. Na suficie znajdowała się czarodziejska kula, za sprawą której całe pomieszczenie wypełnione było jasnym światłem. Obok leżeli inni kadeci, Ragnar zauważył pośród nich Kjela, Svena i Strybjorna. Zimna para unosiła się z ich nosów i ust w rytm oddechów. Kolejny dreszcz zimna wstrząsnął jego ciałem. Podniósł się ze swojego miejsca i rozejrzał uważniej. Jeden z leżących niedaleko kadetów, nieznany Ragnarowi, nie oddychał.

Ragnar podszedł do niego, kuśtykając na zmarzniętych stopach, i przyjrzał się bliżej. Położył dłoń na piersi młodzieńca, ale nie wyczuł bicia serca. Członki chłopaka były zimne i sztywne.

A więc to prawda – pomyślał Ragnar – rzeczywiście za Wrotami

Morkai można umrzeć. Wzdrygnął się ponownie, choć nie był do końca pewny, czy z powodu zimna, czy ze strachu. Wiedział jedno: sam ledwie uniknął podobnego losu.

Znowu poczuł, jak gniew rodzi się w jego duszy. To niesprawiedliwe, że ktoś mógł się bawić jego wspomnieniami, przetrząsać myśli niczym złodziej przeszukujący rzeczy w poszukiwaniu złota. Z jakiego powodu starcy w szarych pancerzach mieli prawo do takiego traktowania kadetów? A raczej z jakiej przyczyny myśleli, że mogą coś takiego robić?

Złość nagle ustąpiła, kiedy Ragnar spojrział na sprawę z innej strony. Zapewne to, co stało się za Wrotami Morkai, miało jakiś cel. Wszystkie te sprawdziany, testy, którym został poddany: od wyboru przez Werbowników Poległych, przez morderczy trening w Russvik, aż po koszmarne wizje zesłane na niego tutaj, w Kle, musiały mieć jakiś wspólny, wyższy cel. W innym przypadku to wszystko nie miałoby sensu. To nie mogła być po prostu okrutna rozrywka bogów.

Pokręcił głową, sam już nie wiedząc, co ma o tym wszystkim myśleć. Miał już wszystkiego dosyć. Było mu zimno, zmęczenie ogarnęło ciało i umysł, a głód szarpał żołądek. Ale ponad wszystko pragnął wydostać się z tego przeklętego miejsca. Wędrując po jaskini, przekonał się, że w jej odległym końcu znajduje się wejście do kolejnej, podobnej. Tam także znajdowały się kamienne płyty, tak niepokojąco przypominające katafalki, lecz były one puste. W rogu sali stał pół-człowiek pół-maszyna i bacznie go obserwował. Jedno z jego oczu było bez wątpienia ludzkie, koloru czystego błękitu. Drugie zastąpiono sztucznym, które zdawało się świecić niczym miniaturowe

słońce. Kiedy ta dziwna istota odwróciła głowę w kierunku Ragnar, dał się słyszeć dziwny, mechaniczny dźwięk. Mięśnie jego karku przeplatały się z metalowymi przewodami, które z kolei biegły do stalowej obroży na szyi i płyty wprawionej w klatkę piersiową.

– Chodź za mną – powiedział dziwnym, metalicznym głosem, w którym nie było słychać śladu emocji ani żadnego znanego akcentu. Ragnar usłuchał i ruszyli przed siebie. Minęli kilka sal, z których każda była odgradzona od poprzedniej metalowymi drzwiami. Z pomieszczenia na pomieszczenie robiło się coraz cieplej. W ostatniej jaskini Ragnarowi pozwolono wziąć ubranie, identyczne jak to, które otrzymał w Russvik. To nosiło oznaczenia wilczego łba i pazurów. Kiedy Ragnar się ubrał, ruszyli dalej i w następnym pomieszczeniu, dużej sali o wysokim sklepieniu, spotkali czekającego na nich Raneka oraz trzech starców zza Wrót Morkai.

– Sprawileś nam nielichą zagadkę, młodziku – powiedział na powitanie Wilczy Kapłan, odsłaniając w uśmiechu długie kły.

Ragnar rzucił mu przelotne spojrzenie, a potem przyjrzał się stojącym obok starcom. Nie wyglądali tak złowieszczo jak Ranek, ale oni też otoczeni byli aurą tajemnicy i potęgi. Było w nich coś niesamowitego, co potwierdzało jego podejrzenia, że byli czarnoksiężnikami. Teraz, stojąc oko w oko z prawdziwymi magami, zdał sobie sprawę, że mylił się co do Raneka. Wreszcie stanął przez tymi, którzy kreślą runy, zaglądają w ludzkie dusze i przewidują przyszłość. Cała złość za to, co spotkało go za Wrotami Morkai, skupiła się na nich.

Nawet jeśli magowie wiedzieli, co myśli o nich Ragnar, nie dali

tego po sobie poznać. Spoglądali na niego niczym na psa, rozważając, czy będzie dla nich przydatny. W końcu Ragnar odwrócił się do Raneka, czekając na to, co kapłan ma mu do powiedzenia.

– Nikt z tych, którzy zdołali przejść sprawdzian Wrót Morkai, nie był tak blisko klęski jak ty, chłopcze. Posiadasz wadę, która może zagrozić twojemu życiu.

– Wadę?

– Nienawiść. Ona cię wypełnia niczym wino kielich.

– Od kiedy to nienawiść jest wadą u wojownika? Ona czyni człowieka silnym na tyle, by mógł pokonać wrogów.

– Ale skierowana przeciwko kamratom jest jednoznaczna ze zdradą.

– Tak?

– Nienawidzisz Strybjorna Posępnego Czerepu i chcesz się na nim zemścić.

– To prawda – odparł Ragnar, nie widząc powodu, aby zatajać to, co i tak można było łatwo wyczytać z jego myśli.

– Nie jesteś pierwszym, który znalazł się pośród nas w takiej sytuacji. Często wybieramy wojowników, którzy walczyli po przeciwnych stronach. Wstępują w nasze szeregi w tym samym czasie i muszą nauczyć się działać ramię w ramię.

– Zaskakujesz mnie.

– Nie powinieneś tak tego odbierać. Trudy wspólnego szkolenia w Russvik tworzą między kadetami silne więzi przyjaźni. Tylko w twoim przypadku okazało się być inaczej...

– Nie możesz oczekiwać, że pozwolę mojemu wrogowi żyć.

– Musisz zdecydować, co jest dla ciebie ważniejsze. Czy wolisz

zabić swego wroga i sam zginąć, czy też żyć i walczyć dla wielkiej i ważnej sprawy. A wierz mi, że jeśli przeżyjesz, będziesz miał okazję brać udział w takich bitwach, które zaspokoją nawet twój apetyt na walkę.

– A więc muszę wyrzec się zemsty na Strybjornie. W przeciwnym wypadku nie zdam testu?

– Nie. Jeśli nie porzucisz myśli o zemście, zabijemy cię.

– Czemu mi to mówisz?

– Ponieważ masz wszystko to, co potrzeba człowiekowi, aby zostać wielkim wojownikiem. A my bardzo takich potrzebujemy. Jednak żołnierze nielojalni wobec swoich towarzyszy są bezużyteczni. Uważaj, chłopcze, bowiem ścieżka w ciemność zaczyna się od nienawiści w twoim sercu. Zapamiętaj sobie dobrze moje słowa.

Ragnar popatrzył na niego uważnie. Nie potrafił odpowiedzieć, więc milczał. Ukradkiem zerknął na twarze pozostałych trzech czarnoksiężników, ale ich oblicza były doskonale obojętne.

– Idź teraz do sali wejściowej i czekaj – powiedział Ranek, przerywając milczenie. – Wkrótce dowiesz się więcej.



Ragnar stał na krawędzi olbrzymiego amfiteatru, który wykuto w skalnej ścianie góry mieszczącej fortecę. Widownia była tak ogromna, że mogła pomieścić tysiące widzów, ale teraz stało na niej zaledwie kilku kadetów. Zza zasłony chmur przebijały się promienie słońca, a

w powietrzu wirowały niewielkie płatki śniegu, gnane podmuchami zimnego wiatru.

W centrum amfiteatru znajdowało się podium z wyrytym na froncie symbolem wilczego łba. Ogromne posągi wilków strzegły wejścia na podwyższenie. Ranek wspiał się właśnie po schodach i rozejrzał wokół chłodnym, badawczym spojrzeniem, które sprawiło, że Ragnar poczuł się maleńki i nic nie znaczący.

– Jak do tej pory sprawiliście się dzielnie – powiedział Wilczy Kapłan. Jego silny, dźwięczny głos niósł się przez cały amfiteatr jakby za sprawą magii. Ranek nie musiał krzyżeć, aby być słyszany nawet w najdalszym zakątku budowli. Akustyka tego miejsca była idealna.

Słowa Wilczego Kapłana przepełniły Ragnara dumą. To była pierwsza pochwała, jaką kadeci usłyszeli z ust któregoś z przełożonych.

– Przybyliście tu z Russvik, Grimnir, Valksberga lub z innych obozów, gdzie szkoli się kadetów. Przeżyliście trudy, które zabiły wielu innych. Pokazaliście nam, że warto zastanowić się, czy jesteście godni, aby dołączyć do naszego bractwa – Ranek przerwał na chwilę, pozwalając, aby jego słowa dotarły do każdego z kadetów i żeby pojęli ich wagę. Uśmiechy na ich twarzach mówiły, że i oni zrozumieli słowa Wilczego Kapłana w ten sam sposób, co Ragnar. To brzmiało tak, jakby początkowa zachęta miała ich przygotować na coś znacznie gorszego. – Niestety wasza odwaga udowodniła na razie tylko, że coś jest możliwe, ale jeszcze nie, że pewne. Teraz dopiero nastąpi sprawdzian, który pokaże waszą prawdziwą siłę. To, co

przeszliście do tej pory, okaże się zaledwie dziecięcą igraszką w porównaniu z wyzwaniem, przed którymi teraz staniecie.

Jęk zawodu wyrwał się z ust kadetów. Ranek uśmiechnął się złośliwie i powiedział:

– Przestańcie marudzić i skamleć. Zrozumiecie, dlaczego jesteście poddawani takim trudom, kiedy poznacie ich cel. Dotarliście bardzo daleko i dlatego należy wam się ta wiedza.

Zapadła cisza. Wszyscy czekali w napięciu. Oto mieli wreszcie być dopuszczeni do wielkiej tajemnicy. Ragnar zorientował się, że nieświadomie postąpił kilka kroków do przodu, uważnie nasłuchując słów Wilczego Kapłana. Reszta kadetów także nie mogła powstrzymać ciekawości.

– Jak myślicie, kim jesteśmy? – spytał niespodziewanie Ranek. – Kim są ludzie żyjący we wnętrzu tej góry?

– Wybrańcami i wojownikami Russa! – wypalił niespodziewanie Strybjorn.

Ranek roześmiał się w głos, a kadeci zamarli przerażeni.

– Bez dwóch zdań masz rację, chłopcze! Rzeczywiście jesteśmy wybrańcami. Tak samo jak byli nimi ci, którzy mieszkali tutaj przed nami, a także ci, którzy poprzedzali ich przodków. Ten łańcuch pokoleń ciągnie się do czasów, kiedy Russ stąpał pomiędzy ludźmi, a sam Imperator, Ojciec Wszechrzeczy, jak go zwiecie, prowadził wojny przeciwko ciemności. Rzeczywiście stoicie w miejscu należącym do wybrańców. Oto Kieł, potężna forteca w niekończącej się wojnie ludzkości przeciwko jej wrogom. Stąd wyruszali wielcy wojownicy, aby walczyć z tymi, którzy pragną zniszczenia świata ludzi. Oni

bronili niewinnych, a w ich dłoniach spoczywał los milionów. Nie macie nawet pojęcia, jak ważne były to zadania. Nie mieliście dotąd szansy, aby zrozumieć doniosłość ich dokonań. Jeśli przeżyjecie niebezpieczeństwa, które na was czyhają, być może za wiele lat, a może nawet pokoleń, w końcu zrozumiecie wagę ich czynów.

Ranek przerwał na chwilę swoją przemowę, pozwalając, aby słowa w pełni dotarły do kadetów. Potem znowu podjął wątek opowieści:

– Uważacie, że zostaliście wybrani, aby wstąpić do hufców nieśmiertelnych i walczyć u boku Russa, kiedy nadejdzie Dzień Gniewu. To prawda, choć nie do końca taka, jak ją pojmujecie. Kieł jest domem bractwa wojowników, które my zwiemy Zakonem. Jesteśmy Synami Russa, wybrańcami spośród jego ludu. Nazywamy siebie Kosmicznymi Wilkami, a któregoś dnia być może poznacie prawdę, kryjącą się za tymi słowami. Pozwólcie, że teraz opowiem wam o Rusie. Wielu z was uważa, że jest on bogiem, który spogląda na was z niebios. To nieprawda. Russ był kiedyś człowiekiem, choć znacznie różniącym się od zwykłych ludzi. Był Pierworodnym, nadczłowiekiem, który przewyższył swoich braci dzięki potędze wiedzy Ojca Wszechrzeczy. Russ był silniejszy, szybszy i bardziej wytrzymały niż zwykły człowiek. Przewyższał nie tylko ludzi, ale nawet ich najśmielsze oczekiwania. On założył nasz Zakon, aby jego członkowie podążali za nim do bitwy. Wybrał nas, ludzi z Fenrisa, abyśmy byli jego wojownikami. Russ pragnął, aby towarzyszyli mu tylko najsilniejsi i najlepsi z naszych przodków, bo jedynie oni byli godni ruszyć z nim ramię w ramię do boju. Tej tradycji hołdujemy do dziś.

Ranek zamilkł ponownie, mierząc kadetów wzrokiem. Światło słońca lśniło w jego wilczych ślepiach, sprawiając wrażenie, że płoną one jasnym ogniem. Żaden z młodzieńców nie był w stanie wytrzymać tego spojrzenia.

– W moim sercu noszę zamię Russa. Tak samo każdy Wilk, którego spotkaliście w fortecy, naznaczony jest tym samym piętnem. Ono nas przemieniło ze zwykłych ludzi w prawdziwe maszyny zniszczenia. Dzięki niemu żyję już kilka stuleci, jestem szybszy i silniejszy od każdego śmiertelnika, jakiego spotkaliście w swoim życiu lub będzie wam dane kiedykolwiek poznać. Ten dar możemy zaoferować wam. – Ranek ponownie zamilkł, spoglądając na stojących przed nim kadetów. Ragnar wiedział, że wszyscy zastanawiają się nad sensem słów Wilczego Kapłana. On sam nie był w stanie uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał. Jakim cudem Ranek mógł się wypowiadać z taką pewnością o starożytnych czasach, kiedy Russ stąpał po ziemi? Skąd tyle wiedział o patronie ludów Fenrisa? To nie był pozbawiony sensu bełkot szaleńca, lecz słowa prawdy i mądrości. Poza tym rzeczywiście Ranek był inny niż zwykli ludzie. Czyż nie posiadał przerażających kłów, nadludzkiej siły i szybkości, które były znamionami Russa?

– Powiedziałem, że możemy dać wam szansę stania się kimś doskonalszym od zwykłego człowieka. Nie ma jednak pewności, że tak się stanie. Jeśli nie wykorzystacie swojej szansy, być może umrzecie lub staniecie się bezrozumnymi, dzikimi bestiami. Wiele rzeczy może się zdarzyć, kiedy bestia przejmie nad wami kontrolę.

Ranek machnął ręką i nagle lampy rozświetlające do tej pory

pomieszczenie zgasły. Zapanowały niemal nocne ciemności, tylko pojedynczy promień padał na Wilczego Kapłana. Zaniepokojone szepty rozległy się wśród kadetów, przestraszonych tym pokazem magicznych mocy. Ragnar zaczynał jednak wątpić, że światła zgasły pod wpływem czarów. Być może Ranek miał przy sobie jakiś przedmiot, który pozwalał mu kontrolować działanie lamp. Być może były one niczym innym, jak znacznie bardziej skomplikowanymi kagankami czy oliwnymi latarniami, które znał z rodzinnej wsi. Jednak to, co stało się chwilę później, sprawiło, iż na powrót uwierzył w to, że Ranek jest potężnym czarnoksiężnikiem.

– Skupcie się teraz – powiedział poważnym tonem Wilczy Kapłan. – Oto czynicie swój pierwszy krok ku wiedzy i oświeceniu.

Ponownie uniósł dłoń i nad jego głową pojawił się w powietrzu nagi młodzieniec, będący w podobnym wieku, co zgromadzeni kadeci. Wyglądał tak realnie, że w pierwszej chwili Ragnar pomyślał, iż to złośliwe duchy powietrza porwały jednego z jego towarzyszy i zawiesiły go bezbronno nad ziemią. Przyjrząwszy mu się jednak uważnie, dostrzegł, że chłopak nie porusza się ani odrobinę, a kiedy skupić na nim wzrok, można zobaczyć prześwitujące przez niego skały. A więc on sam był duchem, który został przywołany za sprawą magii Raneka.

– Oto ludzki młodzieniec w waszym wieku. Przyjrzyjcie się uważnie temu, co się za chwilę z nim stanie, kiedy zakazimy go wilczym genem. On właśnie stanowi istotę znamienia Russa.

Na oczach Ragnara ciało chłopaka zaczęło się drastycznie zmieniać. Jego mięśnie stały się znacznie potężniejsze, a włosy pokrywające

skórę gęste niczym sierść. Paznokcie zamieniły się w pazury, oczy przybrały kształt i wyraz, jaki znał ze spojrzeń Hakona czy Raneka. Kły chłopaka wydłużyły się tak, że nie przykrywała ich już górna warga. Młodzieniec nabrał tej aury siły i niesamowitości, która ustawicznie towarzyszyła mieszkańcom Kła. Inni kadeci, którzy obserwowali ten proces, nie mogli powstrzymać westchnień zdziwienia.

– Kiedy transformacja się zakończy, oczywiście pod warunkiem, że wszystko pójdzie zgodnie z planem, będziecie o wiele silniejsi, sprawniejsi i szybsi niż zwykły człowiek – powiedział Ranek, przerywając milczenie. – Wasze rany będą się goiły szybciej niż dotychczas, zmysły wyostną się do stopnia nieosiągalnego dla normalnych ludzi. Wasza odwaga stanie się niezrównana, podobnie jak dzikość w bitwie. Wszystko to stanie się waszym udziałem, jeśli nie zdarzy się nic złego.

Ranek zamilkł, a z jego twarzy wyczytać można było, że ma im do przekazania jakąś złą nowinę.

– Istnieje jednak niebezpieczeństwo, że proces nie przebiegnie prawidłowo i wtedy spotka was straszliwy los.

Jak na komendę ciało chłopaka uległo kolejnej przemianie. Wyraz dzikości i siły widoczny na jego twarzy zmienił się na grymas bezrozumnego szaleństwa. Cała inteligencja wypełniająca wcześniej jego ślepię zniknęła, ustępując miejsca pustce.

– Możecie oszaleć lub całkowicie postradać rozum – skomentował zmieniający się obraz Ranek.

Iluzoryczne ciało chłopaka nadal zmieniało się na ich oczach.

Włosie porastające ciało rosło nadal, aż pokryło całą jego powierzchnię, z twarzą włącznie. Szpony urosły do monstrualnych rozmiarów, podobnie jak kły, które sięgały aż za brodę. Z oczu młodzieńca bił niezaspokojony głód i zwierzęca dzikość. Ragnar przypomniał sobie istotę ze swoich snów i stwierdził, że pomijając odrobinę inny kolor futra, była ona identyczna jak ta, którą właśnie oglądał. Bez wątpienia spoglądał teraz na wilczarza.

Ranek potwierdził jego przypuszczenia, kiedy ponownie zabrał głos.

– Jeśli wasza przemiana nie przebiegnie tak, jak zaplanowano, możecie stać się jednymi z wilczarzy. Zapewne teraz zastanawiacie się, jak to możliwe i dlaczego tak się dzieje. Otóż znamię Russa wyzwała niekontrolowaną bestię, która czai się w sercu każdego z nas. Niektórzy ludzie są dostatecznie silni duchem, aby mimo całej jej dzikości i potęgi okiełznać bestię. Inni poddają się jej władzy i tak rodzi się wilczarz – przerwał na chwilę, dając im czas na przyswojenie jego słów. – Wszystko to może stać się waszym udziałem, kiedy zaczerpniecie z Czary Wilczarza. Jeśli przeżyjecie proces transformacji, wkroczycie na ścieżkę ku staniu się Kosmicznym Wilkiem. Pytanie, jakie przed wami teraz stawiam, brzmi: czy jesteście gotowi stawić czoła bestii kryjącej się w waszych duszach? A może pozwolicie jej zawładnąć wami niepodzielnie?

Ragnar przyglądał się Wilczemu Kapłanowi i zastanawiał się nad sensem jego słów. To nie była szansa, ale kolejny sprawdzian, któremu musieli się poddać. Czy to się nigdy nie skończy?



Wewnątrz Kła nie było sposobu, żeby odróżnić dzień od nocy. Zaprowadzono ich do jednoosobowych cel, których drzwi zamknięto na głucho. W niewielkim pomieszczeniu znajdowała się prycza i stół, na którym czekał obiad. Składało się nań gotowane mięso, świeżo upieczony chleb i mocne piwo o metalicznym posmaku. Ragnar pochłoniął jedzenie tak łapczywie, jakby od wielu tygodni nic nie miał w ustach. Posiłek smakował lepiej niż cokolwiek, co do tej pory jadł w swoim życiu.

Kiedy skończył jeść, wstał i zaczął chodzić po celi. Spróbował otworzyć drzwi, ale były zamknięte. Żadna ludzka siła nie byłaby w stanie otworzyć ich bez klucza. Chwilę później zgasło światło. Ragnar, nie mając nic innego do roboty, położył się na pryczy i chwilę później zasnął.

Tej nocy trapiły go niepokojące i złe sny. Znalazł się w labiryncie, gdzie tropiła go jakaś straszliwa bestia. Nieważne, jak szybko uciekał, czy jak przemyślnie się ukrywał, zawsze w końcu go dopadała. Ragnar nie miał odwagi stawić jej czoła, gdyż musiałby wtedy spojrzeć jej w twarz. Bestia miała jego własne oblicze.

Kiedy się obudził, drżąc z zimna, przekonał się, że jest cały pokryty zimnym potem.



Świątynia była niezwykle ozdobna, wykuta w zmurszałej od upływu lat skale. Pomimo całego swego splendoru wywarła na Ragnarze dość ponure wrażenie. Dziwne, mechaniczne lampy rzucały światło na podłogę w tak przemyślny sposób, że tworzyło ono spore koło. Dokładnie w jego centrum znajdował się najważniejszy obiekt świątyni: ołtarz wykuty na podobieństwo wilczego łba. Z tego, co mógł zauważyć Ragnar, wykonano go z jednego kawałka skały. Na ołtarzu stał kielich wykonany z dziwnego, niespotykanego metalu. Na nim także wryto święte symbole Kosmicznych Wilków.

W świątyni czekał na nich Ranek, a przy jego bokach stali dwaj zamaskowani wojownicy w szarych zbrojach, na które zarzucono habity. Jeden z nich miał całkowicie metalowe ramię, w którym, jeśli mu się dokładniej przyjrzeć, ustawicznie poruszały się jakieś dziwne mechanizmy. Każdy z towarzyszących Ranekowi wojowników trzymał w rękach urządzenie podobne do młota, które skojarzyło się Ragnarowi ze Zwiastunem Gromu, bronią, którą posługiwał się sam Russ. Być może te młoty, które spoczywały w rękach dziwnych akolitów, były wzorowane właśnie na nim.

Ranek obrzucił ich uważnym spojrzeniem, kiedy zbliżali się do ołtarza. Potem wziął w obie dłonie kielich i podniósł go do góry tak wysoko, że można było niemal pomyśleć, iż chce cisnąć nim z całej siły o ziemię.

– Oto Czara Wilczarza – powiedział natchnionym tonem, który sprawił, że Ragnar zaczął się zastanawiać, czy Wilczy Kapłan nie jest przypadkiem przywódcą jakiegoś kultu religijnego. – Przyjrzyjcie się jej uważnie i podziwiajcie. Ten przedmiot jest starszy niż ta forteca i

został stworzony u zarania dziejów przez sługi samego Ojca Wszechrzeczy. Ten kielich docierał wszędzie tam, gdzie były Kosmiczne Wilki w trakcie Wielkiej Krucjaty. Był z nami także wtedy, gdy doszło do Wielkiej Herezji i stanęliśmy przeciwko wojskom zdrajcy Horusa. Dawno temu sam Russ dzierżył tę czarę. Zapamiętajcie sobie dobrze moje słowa i patrzcie na kielich.

Ragnar zrobił to, co mu kazano. Jeśli Ranek mówił prawdę, a nie było powodu, żeby mu nie wierzyć, ten puchar spoczywał kiedyś w dłoniach boga jego ludu. Musiał być zatem najstarszą rzeczą na świecie. Kiedy człowiek mu się przyglądał, naczynie wyglądało dość zwyczajnie, choć na drugi rzut oka można było dostrzec dziwne runy pobłyskujące na jego brzegu. Kielich otaczała aura jakichś mistycznych energii.

– Zwiemy go Czarą Wilczarza z kilku powodów. Za sprawą mocy starożytnych każdy, kto upije z niego choćby łyk, przyjmie na siebie znamię Russa, jeśli oczywiście okaże się godny je nosić. Jeśli zaś okaże się, że nie zasługuje na taki dar, spotka go straszliwy los. Posłuchajcie zatem historii pierwszego wilczarza, a zrozumiecie, o czym mówię.

W czasach, kiedy Russ przybył na Fenrisa, aby znaleźć wojowników, którzy wspomogliby go w bojach, żył pewien dumny jarl imieniem Wilczarz. Był on wielkim człowiekiem, silnym i dumnym. Jak nikt inny znał się na sztuce wojennej i tylko raz zaznał porażki. Jej sprawca był właśnie Russ, który upokorzył Wilczarza na oczach jego poddanych. Jednak dostrzegając w nim dzielnego wojownika, nasz patron darował mu życie i zaoferował miejsce

pośród swojej świty.

W końcu Russ wyjawiał swój plan zgromadzonym klanom i rodom Fenrisa. Zaoferował moc i długie życie dla tych, którzy podążą za nim ku gwiazdom, aby walczyć za jego sprawę. Wszyscy się zgodzili i obrali Russa swoim wodzem. On zaś kazał im wypić z tego kielicha, by mogli przemienić się w nadludzkich wojowników. Wilczarz był pierwszym, który odważył się na ten krok. Przyjął Czarę z rąk Russa i wypił do dna.

W jego duszy kryło się jednak zło. Pragnął posiadać tajemnicę tego półboga i potem zdradziecko zemścić się za porażkę, której za jego sprawą zaznał. Duch strażniczy zamieszkujący kielich spostrzegł jednak, co gra w duszy Wilczarza i sprawił siłą swej magii, że zło, które kryło się w jego wnętrzu, znalazło odzwierciedlenie w jego wyglądzie. Ku przerażeniu zgromadzonych wielki wódz zmienił się w odrażającą pół-wilczą, pół-ludzką kreaturę. Widząc, że jego zdrada wyszła na jaw, Wilczarz rzucił się na Russa, lecz ten powalił go jednym ciosem pięści, rozszczepiając mu czaszkę aż po gardziel. Ludziom, którzy przyglądali się tym wydarzeniom, powiedział, że Wilczarz nie był godzien dostąpić zaszczytu stania się jego przybocznym. Taki los miał odtąd spotkać każdego, kto ze złem w sercu wypije z Czary. Potem Russ oznajmił, że ci, którzy się obawiają, mogą odejść. Historia mówi, że żaden z wodzów nie opuścił naszego patrona. Takie były początki naszego Zakonu. Ci, którzy podążyli za Russem, zapisali swoje imiona na kartach historii wszystkich ludzkich światów. Wy, którzy za chwilę dostąpicie tego samego zaszczytu, wiedźcie, że i was czeka nieśmiertelna chwała, jeśli okażecie się jej

godni. Przemyślcie moje słowa.

Ragnar zastanowił się nad tym, co usłyszał. Czy była to zwykła opowieść, która miała ich nastraszyć? Z jakichś powodów Ragnar w to wątpił i był przekonany, że ta historia przydarzyła się naprawdę. Skoro tak było, to Ranek musiał im ją opowiadać w jakimś konkretnym celu.

Dwóch pomocników Kapłana zaczęło napełniać kielich dziwnym naparem. Jego składniki pochodziły z dwóch różnych butli, a kiedy zaczęły się mieszać w czarze, towarzyszył temu bulgot wzburzonej nagle cieczy. Ranek przez cały czas wypowiadał słowa w dziwnym języku, którego Ragnar nie rozumiał.

Wyglądało na to, że jeśli wypije z kielicha i okaże się niegodny, przemieni się w wilczarza. Bez wątplenia zostanie wtedy zabity. Skąd w takim razie brali się wilczarze polujący na kadetów z Russvik? Czy byli oni kandydatami, którzy nie sprawdzili się w trakcie testów? Jak w takim razie przeżyli? Czy zdołali jakoś wydostać się z Kła? Oto kolejna tajemnica, na rozwiązanie której nie miał w tej chwili żadnej szansy.

Jeszcze jedna wątpliwość dręczyła Ragnara. Czy w jego sercu kryło się zło? Czy był skazany na straszliwy los, jakim była przemiana w wilczarza? Przypomniał sobie to, co powiedziano mu o nienawiści do Strybjorna. Czy i ona była złem? Ragnar tak nie sądził, nienawiść do wroga własnego klanu była czymś naturalnym dla wojownika z Fenrisa. Czemu zatem go przed nią ostrzegano?

Mieszanie naparu, który mieli wypić, dobiegło końca i Ranek postawił Czarę na ołtarzu. Jej zawartość gotowała się i burzyła

niczym przedziwna trucizna. Wilczy Kapłan jeszcze raz zmierzył wzrokiem kadetów, a potem wydobył z sakiewki słomki.

– Każdy z was musi wypić z Czary – powiedział. – Nie chcemy ochotników do pierwszego łyku, niech Russ zadecyduje. Mam tutaj słomki, na których wyryto numery. Poczynając od najwyższego, aż do najniższego numeru będziecie przystępować do Czary. Każdy z was ma wypić jeden łyk. Zanim do nastąpi, oczekuję, że ukłękniecie, aby okazać szacunek tradycji Zakonu. Czy to jasne?

Głośnym okrzykiem potwierdzili. W głosach kadetów słyhać było zdenerwowanie. Nic dziwnego, pomyślał Ragnar. Każdy z nich liczył się z możliwością przemiany w dziką, oszalałą bestię. Ranek podszedł do nich, a oni wyciągnęli po jednej słomce z jego wyciągniętej dłoni. Ragnar uważnie obserwował reakcje tych, którzy odczytywali liczbę. Ku swojej uciechu dostrzegł grymas strachu na twarzy Strybjorna. Kiedy nadeszła jego kolej, Ragnar spokojnie sięgnął po słomkę. Dotknął jej palcami i ku swemu zaskoczeniu wyczuł, że wyryta jest na niej tylko jedna cyfra. Jedyńska. On zatem miał jako ostatni przystąpić do rytuału. Sam nie wiedział, czy ma się z tego powodu cieszyć, czy smuć.

Ranek nakazał, aby odczytali liczby, które wylosowali, a następnie ustawił ich w szeregu według wylosowanej kolejności i powrócił do ołtarza. Ragnar wiedział już, że Strybjorn jest pierwszy, tuż za nim Kjel i Sven. On sam znalazł się na końcu kolejki, oddzielony od towarzyszy przez nieznanym kadetów.

– Podejdźcie do ołtarza – rozkazał Ranek.

Strybjorn ruszył do przodu. Jego twarz była blada, jednak malował

się na niej wyraz determinacji. Wiedział doskonale, że skupiają się na nim spojrzenia wszystkich zgromadzonych. Nie zamierzał okazać strachu. Nienawiść i szacunek dla wroga odezwały się równocześnie w sercu Ragnar, kiedy obserwował, jak Strybjorn podchodzi do ołtarza. Posepny Czerep ukląkł, a potem dumnie powstał, aby przyjąć pewnymi dłońmi Czarę Wilczarza. Uniósł ją do ust i wypił solidny łyk. Ranek musiał chwycić kielich i wyrwać go z rąk Strybjorna, zmuszając go, aby przestał pić.

Posepny Czerp stał przez chwilę nieruchomo. Wszyscy kadeci spoglądali na niego z zaciekawieniem, nie mogąc się doczekać tego, co nastąpi za chwilę. Ragnar słyszał wyraźnie, jak łomocze jego serce. Czuł, że pot spływa mu po karku. Gotów był rzucić się na Strybjorna i zabić go gołymi rękoma, jeśli zdradzi choćby najmniejszą oznakę przemiany. Było jednak mało prawdopodobnie, aby zdołał zrobić cokolwiek, zanim Ranek dokona egzekucji.

Chwile mijały jedna za drugą i nic się nie działo. Ranek gestem nakazał Strybjornowi, aby się odsunął, co ten posłusznie zrobił. Następny w kolejce był Sven. Sztywno niczym automat podszedł do ołtarza. Brodę trzymał uniesioną dumnie w górę i zapomniał uklęknąć. Jednym silnym ciosem Ranek sprawdził go na kolana. Sven stęknął, uśmiechnął się bez złości do Wilczego Kapłana, a potem wstał i sięgnął po Czarę. Kiedy oderwał kielich od ust, oblizał wargi, starając się nie uронić ani kropli. Ku zdziwieniu Ragnar, Ranek nie ukarał go za to, a wręcz przeciwnie, roześmiał się tubalnie. Tym razem również nie nastąpiła żadna niepokojąca przemiana, a Sven karnie odsunął się na bok.

Za nim do ołtarza przystąpił Kjel, który, choć blady i przestraszony, pewnie wziął kielich do rąk i wypił. Skrzywił się, kiedy skończył pić, jakby chciał wypłuć całą ciecz. Zdołał jednak jakoś ją przełknąć i uśmiechnąć się słabo. Również i jego nie dotknęła żadna przemiana.

Jeden po drugim kadeci przystępowali do Czary Wilczarza. Żaden z nich nie stał się potworem. W końcu, aż nadto szybko, przysła kolej Ragnara. Przystąpił do ołtarza, czując spojrzenia innych kadetów na swoich plecach. Oni zdali swój egzamin i byli bezpieczni, on jeszcze nie. Czy stanie się jedynym wilczarzem z tej grupy?

Równym, szybkim krokiem podszedł do wilczego łba. Ukłęknął, zmówił krótką modlitwę do Russa, a potem wstał i przyjął z rąk Raneka Czarę Wilczarza. Była znacznie cięższa niż się spodziewał, metal okazał się lodowaty w dotyku. Uniósł ją do ust, podziwiając magię, która się w niej kryła. Na chwilę zamarł w bezruchu, wspominając ostrzeżenie, którego udzielono mu po przejściu Wrót Morkai. Czy nienawiść do Strybjorna była skazą, dzięki której bestia ukryta w jego duszy zdoła zawładnąć jego ciałem?

Przez chwilę chciał cisnąć kielich precz, wylać jego zawartość. Miał wrażenie, jakby trzymał w dłoniach jadowitego węża. Jeżeli tak uczyni, nie będzie musiał pić i nie stanie się potworem. Czy inni też tak myśleli? – spytał sam siebie w duchu. – Czy chcieli wycofać się w ostatniej chwili? Czy myśleli o swoich wadach? Żaden z nich nie pokazał po sobie wahania, zbeształ się w myślach. Jestem ostatnim z rodu Gromowych Pięści, nie sprowadzę hańby na tych, którzy już nie żyją. Jeśli mam się stać bestią, niech tak będzie. Ale memu przeznaczeniu stawię czoła, jak na wojownika przystało.

Uniósł kielich do ust i wypił. Sądząc po zapachu, smak powinien być okropny, jednak było inaczej. Prawda była taka, że napar w ogóle nie miał smaku. Pod jego wpływem język mu zdrętwiał, a usta zaczęły mrowić. Gardło buntowało się, jakby ktoś wpychał mu lód do krtani. Mimo to pił i pił, aż poczuł, że Ranek odrywa mu Czarę od ust.

Ragnar cały drżał, skóra go swędziała. Całe ciało ogarnęło zimno. Co się dzieje? – zastanawiał się w duchu. – Czy mam się stać potworem i zginąć? Spojrzał na Raneka i w jego oczach nie dostrzegł niczego. Żadnego współczucia, zaniepokojenia, nic.

Ragnar czuł, że opuszczają go siły. Bicie własnego serca dudniło mu w uszach niczym grom, a mięśnie skręcały się jak w ukropie, kiedy ogarnęła go przemiana.



Rozdział 11

DUCH BESTII



Znowu śnił. Jak zwykle biegł przez ciemny korytarz, który był częścią niekończącego się labiryntu, ukrytego pod tytaniczną górą. Za nim pędziła bestia, wielka i dzika; wiedział, że nie zdoła jej się przeciwstawić, jeśli go dopadnie. Wystarczy jedno kłapięcie potężnych szczęk i połknie go na wieki. Jego stopy były jak z ołowiu, a podłoga niczym smoła sprawiała, że ledwie mógł się poruszać. Ścigający go potwór nie miał takich problemów i z opętańczym wyciem zbliżał się coraz bardziej. W końcu Ragnar poczuł na swoim karku jego gorący oddech. Na gołą skórę kapnęła śmierdząca ślina, a bestia ponownie wydała z siebie wycie tryumfu. W ostatniej chwili Ragnar odwrócił się, aby stawić jej czoła. Tak jak się spodziewał, zamiast pyska potwór miał jego straszliwie zmienione oblicze. Ragnar próbował osłonić się rękoma przed dzikim atakiem, ale jego wysiłki na nic się nie zdały. Pazury potwora zatopiły się w jego ciele, a z ran popłynęła krew. Ból sprawił, że Ragnar obudził się i usiadł na posłaniu, resztkami woli powstrzymując krzyk, który już miał się wyrwać z jego zaschniętych ust.

Przez chwilę przed jego zaspanymi oczyma wirował wilczy duch, który posiadał jego ciało za Wrotami Morkai. Jednak kiedy szaleńcze bicie jego serca uspokoiło się trochę, a resztki snu przestały mieć oczy, zjawą zniknęła bez śladu. Złudzenie – pomyślał Ragnar –

kolejne omamy, które biorą się z gorączki.

Całe jego ciało było obolałe. Czuł się tak, jakby rozciągnięto go na łożu tortur. Głowa bolała od nieustającego dudnienia pod czaszką, dziąsła krwawiły, a dłonie były opuchnięte. Jakby tego nie było dosyć, na przemian trzęsła nim to gorączka, to przeraźliwe zimno. Pot spływał po całym ciele, a jego uderzenia przychodziły bez najmniejszego powodu. Nawet jeśli jakiś był, to Ragnar nie potrafił go odgadnąć. Samo skupienie uwagi było kolosalnym wysiłkiem, a ból uniemożliwiał myślenie.

Ragnar spojrział na swoje dłonie, ale ledwie zdołał je poznać. Potrząsnął głową, aby skupić na nich myśli i wzrok, ale bez rezultatu. Było mu zimno i tracił czucie w kończynach. Ręce bez wątpienia wyglądały inaczej. Stały się szersze, grubsze, a mięśnie były znacznie wyraźniej zarysowane. Paznokcie stały się ciemniejsze i twardsze, zyskując przy tym na ostrości. Wyglądały dziwnie, jakby w ludzką dłoń ktoś wprawił wilcze pazury. Cały świat sprawiał zresztą wrażenie odmienionego. Na przykład oczy znowu stały się wilgotne, jakby miały z nich zaraz popłynąć łzy. Było to jednak lepsze od uczucia, które czasem budziło go w nocy. Miał wtedy wrażenie, że ktoś wbija mu w źrenice rozżarzoną szpilkę. Ragnar zaczerpnął tchu i wyczuł w powietrzu jakąś dziwną, obcą woń. Cóż to mogło być? Nie miał pojęcia. Od kilku tygodni jego nozdrza atakowane były istną lawiną obcych i nieznanych zapachów, z których większość była tak silna, że miał wrażenie, iż zaraz pęknie mu od nich głowa.

Ragnar zsunął z siebie przepoconą płachtę materiału, którą był przykryty. Kiedy to robił, miał wrażenie, że jest obdzierany ze skóry.

Odkąd przystąpił do Czary Wilczarza i wypił z niej magiczny napar, stał się nadwrażliwy. Teraz słyszał, że ktoś w sąsiedniej celi bełkocze coś pod nosem. Z drugiej strony dobiegało chrapanie Svena. Ragnar miał wrażenie, że znajduje się w kuźni. Hałas zdawał się docierać wprost do jego głowy. Potrząsnął nią, mając nadzieję, że uczucie minie, ale bez skutku.

Ragnar nie był tym zaskoczony. Czasem dziwne wrażenia i odczucia ustępowały, choć z reguły tak się nie działo. Niejednokrotnie miał wrażenie, że jest poddawany kolejnej próbie, która ma sprawdzić jego odporność i wytrzymałość na niewygody. Choć z drugiej strony to nie musiała być prawda. Niczego już nie był pewien. Przez większość czasu leżał, mając w gorączce, a teraz czuł, że jego trzewiami szarpie głód, choć z drugiej strony na myśl o jedzeniu ogarnęły go mdłości.

Dziki gniew opanował nagle jego duszę. Ragnar zacisnął szczęki, aż rozgryzł sobie wewnętrzną stronę policzka. Kiedy smak krwi wypełnił jego usta, rzucił się przed siebie i zaczął okładać pięściami kamienne bloki, z których zbudowana była ściana. Ból, jaki musiał znosić, okazał się nie do wytrzymania, zwłaszcza dla jego wyostrzonych zmysłów. W końcu to jednak za jego sprawą Ragnar uspokoił się i przestał szaleć.

Bezwiednie potarł rozciągliwą opaskę, do której przymocowany był metalowy dysk. Ten dziwny przedmiot Kapłani Żelaza założyli mu na ramię zaraz po tym, kiedy wypił swoją porcję magicznego naparu z Czary Wilczarza. Na powierzchni metalowego koła wryto jakąś tajemniczą runę, której sensu Ragnar nie rozumiał. Każdy z kadetów

otrzymał taki amulet i choć przedmiot nie był w żaden sposób magiczny, to każdy dysk nosił inny znak. Wszyscy porównywali później między sobą wygląd krążków i próbowali odkryć ich znaczenie. Dysk na ramieniu Ragnara oznaczono figurą człowieka, nad którego głową ciągnęły się dwie faliste linie. Mogły one wyobrażać chmury, fale lub nic ważnego. Na medalionie Kjela wyryto symbol podobny do jastrzębia. Wszystkim kojarzył się także z emblematem dwugłowego orła, widocznym wszędzie w fortecy. Uznali zatem, że to dobry znak. Na pewno...

Chwilę później Ragnar odkrył, że nadal siedzi na podłodze, nie pamiętając, co robił do tej pory. Myśl! zgaśnił się w duchu. Musisz pozostać czujny. Jestem Ragnar Gromowa Pięść, ostatni z mego rodu. Jestem myślącym człowiekiem, nie dziką bestią! Nie choruję, ale się zmieniam. Znamię Russa wyciska na mnie swoje piętno.

Spojrzał uważnie na swoje dłonie. Oczy go nie mamiły; rzeczywiście pokrywało je teraz więcej włosów niż wczorajszego dnia. Podobnie działo się z klatką piersiową i całym ciałem.

Podniósł się niepewnie na nogi i stał chwiejnie, jakby wstrząsały nim kolejne fale gorączki. Nagle słabość zniknęła bez śladu, a jej miejsce zajęło poczucie siły przekraczającej ludzkie możliwości. Był pewien, że bez najmniejszego wysiłku mógłby rozedrzeć na dwoje stalową płytę. Pchnięty nagłym impulsem Ragnar ruszył przed siebie. Wybiegł z celi, wiedząc, że musi znaleźć coś do jedzenia. Najlepiej mięso, które zaspokoi głód szarpiący jego wnętrzności.

Korytarze łączące cele kadetów były dość ciemne, jednak to mu nie przeszkadzało. Jego oczy pozwalały mu doskonale widzieć w

ciemnościach, lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Ale i tak nie potrzebował ich, aby odnaleźć pożywienie. Bez najmniejszego wysiłku potrafił zlokalizować je po samym zapachu, nawet jeśli znajdowało się setki metrów stąd. Biegiem pokonał korytarz, rzucając zaciekawione spojrzenia do cel innych kadetów. Oni także nie wyglądali dobrze, choć każdy zachowywał się inaczej, na swój własny sposób.

Kjel leżał na podłodze, nieprzytomnie spoglądając w sufit. Jego oczy, podobne do ślepi Raneka czy Hakona, odbijały światło jak u wilka czy psa. Bez wątpienia źrenice Ragnara zachowywały się tak samo. Sokolnik przybrał na masie i wzroście, podobnie jak wszyscy kadeci poddani przemianom. Ragnarowi przemknęła przez głowę myśl, że to być może jest powód, dla którego świat wygląda tak dziwnie w jego oczach. W ciągu ostatnich kilku tygodni urósł o wiele centymetrów, tak więc spoglądał teraz na świat z większej wysokości. Zmieniła się zatem cała perspektywa widzenia i to właśnie najbardziej go dziwiło, kiedy biegł dalej.

Jakaś część jego duszy w ogóle nie dbała o te cuda. Jedyne, czego pragnęła, to nasycić głód i ugasić pragnienie, a potem zapaść w sen, bezpieczna w legowisku. Bestia w jego duszy była zdecydowana zabić każdego, kto stanie jej na drodze do zaspokojenia tych potrzeb. Ludzka część natury Ragnara wiedziała, że nie może do tego dopuścić. Jednak wilk, który krył się w jego duszy, z każdym dniem stawał się coraz silniejszy. Czasem spychał ludzką część Ragnara tak głęboko w odmęty podświadomości, że zyskiwał całkowitą kontrolę nad ciałem. Ragnar doskonale wiedział, że musi walczyć z

potężniejszymi instynktami, ponieważ każde ich zwycięstwo oznaczało umocnienie władzy bestii nad jego duszą. W końcu zawładnie nią na zawsze i Ragnar Gromowa Pięść odejdzie w zapomnienie.

Ponownie zmusił się do myślenia. Czuł się tak, jakby w jego ciele mieszkały dwie dusze. Chociaż nie, bliższe prawdy było stwierdzenie, że jego świadomość została rozdzielona na dwie części: jedną, należącą do człowieka oraz drugą, będącą we władaniu wilka. Teraz ścierały się one ze sobą w jego sercu, walcząc o kontrolę nad ciałem.

Ragnar doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo się pomylił sądząc, że już pokonał bestię czającą się w jego duszy. Przemiana, która ich dotknęła, nie była taka, o jakiej opowiadał Ranek. Nie nastąpiła od razu kiedy wypili napar z Czary Wilczarza. Wręcz przeciwnie, okazała się subtelna i powolna. Bestia potrzebowała dni, aby przebudzić się z uśpienia, zaś zmiany, które zachodziły w ich ciałach, ujawniły się jeszcze później. Kadeci zbyt szybko uznali się za zwycięzców w walce z demonami, które kryły się w ich duszach. Ranek i dwaj towarzyszący mu Kapłani Żelaza, jak o nich mówił, z pewnością zdawali sobie z tego sprawę.

Ragnar z wysiłkiem przypominał sobie, jak był prowadzony *do swojej celi*. Szli właśnie tym *korytarzem*. Z początku wydawało mu się dziwne, że ich kwatery oddzielone są od reszty koszar metalowymi wrotami. Zdawały się raczej więzieniem niż miejscem przeznaczonym dla młodzieńców, którzy właśnie dołączyli do wilczej braci. Teraz okazało się, że jego przypuszczenia były nader słuszne i po raz kolejny trafnie odgadł przeznaczenie nieznanymi budowli. Zamknięto

ich w tym ciemnym labiryncie, aby poddawali się przemianom i jeden po drugim szaleli. Z początku nie zdawali sobie sprawy, co się dzieje, ale potem zaczęli chorować. Później wybuchły bójki, a poziom ich agresji stał się tak wysoki, jak nigdy dotąd. Chcieli mięsa.

Ragnar potrząsnął głową, aby odegnać złość, która zaczęła go ogarniać. Na samą myśl, że ktoś mógłby go powstrzymać przed zdobyciem pożywienia, wpadał w szal. Niech spróbują, pomyślał zadziornie. Rozerwie wrogów na strzępy gołymi rękoma, a potem pożre ich serca. Stop! Człowiek się tak nie zachowuje, upomniał sam siebie. Ani tym bardziej wojownik. On ma swoją dumę i potrafi panować nad emocjami. Gdzieś wewnątrz jego duszy bestia zawyla, rozwścieczona i zawiedzona.

Dotarł wreszcie do miejsca, gdzie zostawiano im jedzenie. Rzucono im cielsko ogromnego jelenia, które leżało teraz na zimnych kamieniach posadzki. Dobrze, że inni śpią. Miał szczęście. Nie! Cóż to?

Ragnar zdał sobie nagle sprawę, że słyszy za sobą odgłos bosych stóp, uderzających o podłogę. Odwrócił się i dostrzegł Strybjorna, który pędził ku niemu. Jego twarz wykrzywiał głód i wściekłość. Jakże różnił się od tego młodzieńca, z którym Ragnar dzielił trudy Russvik. Przemiana odcisnęła i na nim swoje piętno. Stał się jeszcze szerszy w barach, a jego twarz nabrała bardziej dzikiego i prymitywnego wyrazu. Nozdrza stały się rozdęte, nos szerszy, a oczy dzikie i nienawistne. Był wyższy i bardziej umięśniony niż jakikolwiek wojownik, jakiego Ragnar kiedykolwiek widział.

– Moje! – ryknął, rzucając się do przodu. Wyciągnął przed siebie

ręce, celując pazurami w pierś Ragnara. Ten przez chwilę stał nieruchomo. Ludzka część jego duszy była przerażona. Gdyby Strybjorna opętał jakiś demon, chłopak nie wyglądałby straszniej. Jego twarz była dzika i aż jaśniała od wściekłości. Kiedy patrzył na rywala, jasne było, że chce go zabić. Część duszy Ragnara w ogóle się tym nie przejęła, ale inną rozradowała nadarzająca się okazja do zemsty.

W ostatniej chwili Ragnar uskoczył w bok, ale pazury Strybjorna wbiły się w jego bok. Z rany popłynęła krew. Kiedy jej zapach dotarł do jego nozdrzy, bestia w sercu ponownie zawyła, choć tym razem tryumfalnie. Ragnar rzucił się do walki, przepelniony wściekłością. Ludzkie myśli rozplynęły się, ustępując miejsca szałowi i żądzy rozdarcia ciała przeciwnika na strzępy. Ogarnęła go zwierzęca wściekłość i zdawało mu się, że wlewa się ona do jego duszy niczym woda w trakcie sztormu na pokład smoczej łodzi.

Ragnar walczył, starając się jednak kontrolować swoje myśli i działania. Widział, że potrzebuje zarówno ludzkiej inteligencji, jak i zwierzęcej dzikości, żeby wyjść obronną ręką z tego starcia. Strybjorn rzucił się do przodu, ale tym razem Ragnar skulił się i pozwolił mu przelecieć nad swoją głową. Kiedy Strybjorn znalazł się w najwyższym punkcie swego lotu, Ragnar wyprostował się i pochwycił go ramionami. Potem jednym silnym uderzeniem cisnął nim o podłogę. Strybjorn przetoczył się dalej, a obróciwszy się Ragnar dostrzegł, że jego wróg turla się po kamieniach posadzki. Wytraciwszy w końcu impet, wstał, kręcąc głową, jakby próbował odzyskać równowagę.

Jakaś część duszy Ragnar wiedziała, że jeśli walka będzie nadal toczyła się tym torem, jeden z nich w końcu zginie lub zostanie ciężko ranny. Kiedy tylko to sobie uświadomił, bestia w jego duszy zawyła z rozkoszy. Ona nie dbała o to, czy ktoś umrze. Wręcz przeciwnie, chciała walczyć. Jeśli zginie, to zginie, jeśli wygra, będzie świętować, pożywi się na ciele pokonanego przeciwnika. Gdzieś w głębi ludzkiej duszy Ragnara rodziło się podobne pragnienie.

Teraz już wiedział, że pojedynek, do którego tu doszło, toczył się na znacznie większej ilości płaszczyzn, niż początkowo podejrzewał. Tutaj nie chodziło o pokonanie Strybjorna, ale o władzę nad własną duszą. Jeżeli pofolguje bestii i pozwoli jej przejąć kontrolę, uczyni ją tylko silniejszą, a w końcu doprowadzi go ona do zguby i losu znacznie gorszego, niż chciał mu zgotować Strybjorn.

Tymczasem przeciwnik nie marnował czasu na moralne dylematy. Ostrożnymi krokami zbliżał się do Ragnara, odsłaniając w dzikim uśmiechu przerośnięte kły. Wyglądał teraz naprawdę demonicznie. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, zadał cios pazurami i po raz kolejny z ciała Ragnara popłynęła krew. Bestia zawyła jeszcze raz, chcąc rzucić się Strybjornowi do gardła, rozszarpać je i pić tryskającą z tętnic posokę. Jednak przez głowę Ragnara przemknęło ostrzeżenie, jakiego udzielił mu Ranek, kiedy opuszczali Wrota Morkai. Teraz zrozumiał, dlaczego nienawiść mogła okazać się słabością. Była drogą, dzięki której bestia mogła opanować człowieka, doprowadzić go do ostatecznej zguby. Gdyby się jej teraz poddał, utraciłby duszę. Zemsta nie była warta takiego poświęcenia. Mogła poczekać na odpowiednią okazję.

Zamiast oddawać się zwierzęcemu szałowi i podążać w ślady Strybjorna, Ragnar zacisnął dłoń w pięść i uderzył, trafiając ponad serce. Posępny Czerep cofnął się, ale kolejne ciosy spadały na niego raz za razem. W końcu Ragnar trafił go w szczękę tak mocno, że Strybjorn runął jak długi, nieprzytomny nim jeszcze dotknął posadzki. Ragnar zwalczył pokusę rzucenia się do gardła przeciwnikowi, rozerwania go i zbezczeszczenia jego ciała. Czuł się jakby jego dusza, umysł i zmęczone zmysły miały zniknąć na zawsze, zalane falą zwierzęcych instynktów i dzikości.

Jednak Ragnar doskonale wiedział, że jeśli podda się temu uczuciu, straci na zawsze całe swoje człowieczeństwo. Kanibalizm był zakazany pośród ludów Fenrisa. Gdyby dopuścił się takiego świętokradztwa, okryłby się hańbą, uczynił bestię silniejszą i osłabił ludzką część swojej duszy. Nie mógł na to pozwolić. Mimo to jakaś jego część chciała odrzucić ciężar myślenia, moralności i odpowiedzialności, pragnęła stać się dziką, wolną bestią. To jednak były zdradzieckiej rady i podszepty, które nie miały innego celu, jak tylko sprowadzić go do poziomu zwierzęcia. Jakaś część jego duszy, ta bardziej dzika i nieokiełznana, namawiała do odrzucenia honoru, rozumu i rozsądku. Kusiała, aby napił się ludzkiej krwi i zakosztował mięsa. Co gorsza Ragnar zdawał sobie sprawę, że ta mroczna część jego osobowości istniała od zawsze, teraz jednak Znamię Russa dało jej siłę i popchnęło do działania. Czy będzie miał siłę opierać się jej wpływowi? A jeśli tak, to jak długo?

Przez dłuższą chwilę stał w miejscu, tocząc w sercu straszliwą bitwę. Była zaciekle, bezpardonowa i co najmniej tak samo trudna,

jak starcie ze Strybjornem. Jednak jej wynik był znacznie ważniejszy. Ragnar musiał znaleźć sposób, aby opanować samego siebie i ujarzmić dzikość we własnej duszy. Zmusił się do powtórzenia sobie całej litanii rzeczy, których nie zdoła dokonać, jeśli podda się bestii: nie pozna tajemnic Kosmicznych Wilków, nie posiadzie ich magii. I nagle z każdym oddechem, z każdym uderzeniem serca Ragnar zaczął się uspokajać. W końcu zdołał skoncentrować wzrok na jedzeniu, które wywołało bójkę między nim a Strybjornem.

Podszedł do ciała jelenia i wyszarpnął spory kawał świeżego, krwawiącego jeszcze mięsa. Oderwał zębami jego kawałek i zaczął rzuć, czując, jak głód ponownie zaczyna szarpać mu trzewia. Jadł i przętykał najszybciej jak potrafił, chcąc posilić się, nim ktokolwiek zdoła mu przeszkodzić. W końcu głód został zaspokojony i wróciła mu jasność myślenia.

Nasyciwszy głód, zbliżył się do kamiennej misy, do której tryskała woda. Była zimna i świeża, a za sprawą jakiejś magicznej sztuczki nigdy nie przelewała się poza krawędź zbiornika. Pochylił głowę, aby się napić i w lustrzanej tafli zobaczył swoje odbicie. Nie był to pocieszający widok. Jego włosy stały się gęste i rozczochrane, oczy błyszczały jakimś dziwnym blaskiem. Krew spływała z kącików jego ust, pokrywała dłonie i całe ciało. Na twarzy malowało się szaleństwo. Kiedy otworzył usta, dostrzegł w nich długie, podobne do wilczych kły. Tak zapewne musiał wglądać wilczarz. Szybko zanurzył dłonie w wodzie i napił się do syta. Potem, nie oglądając się za siebie, wrócił do swej celi. Rzucił się na posłanie i próbował zasnąć. Wmawiał sobie, że robi to, bo jest zmęczony, jednak w głębi duszy

wiedział, że obawia się widoku z sadzawki.



Ragnar czuł się teraz znacznie spokojniejszy. Nie wiedział, ile czasu minęło, odkąd zamknięto go wraz innymi kadetami w celi, ale musiało to być dość dawno. Z początku próbował zapisywać na ścianie liczbę dni. Za każde zgaszenie świateł w celach dodawał jedną kreskę. Jednak doskonale wiedział, że jego wyliczenia są niedokładne, ponieważ mógł ich dokonywać jedynie wtedy, kiedy był przytomny i świadomy swych poczynań. Ile dni minęło, kiedy leżał w delirium lub miotał się, opanowany zwierzęcym szałem?

Wstał ze swego barłogu i udał się do karmnika, jak zaczął nazywać pomieszczenie, w którym zostawiano im pożywienie. Był głodny, choć nie tak bardzo jak poprzednio. Teraz panował nad tym uczuciem, nie groziło owładnięciem jego duszy. Bestia nadal się w niej kryła, jednak znajdowała się pod kontrolą Ragnarą. Wyostrzone zmysły przestały doprowadzać go do obłądu. Wiedział, że nadal są czulsze od tych, które posiadali zwykli ludzie, jednak nauczył się z nimi żyć. Potrafił już odczytywać informacje, jakich mu dostarczały i ignorować je, kiedy zachodziła taka potrzeba. Był pod wrażeniem nowych umiejętności: doskonale widział w ciemnościach, potrafił tropić ludzi po zapachu i dosłyszeć nawet skapującą w oddali kroplę wody.

Zmiany nie ograniczały się jedynie do zmysłów. Był teraz bez wątpienia znacznie szybszy, sprawniejszy i silniejszy niż

kiedykolwiek. Bez wątpienia gdyby spotkał teraz w boju zwykłych ludzi, uznalby ich za powolnych slabeuszy. Siły takze mu przybylo. Bez wątpienia potrafilby uniesc wielki wilczy leb z Russvik. Mogl biec calymi kilometrami, nie czujac zmeczenia. Jeszcze nigdy w zyciu nie czul sie tak dobrze.

Nie wszyscy jednak mieli tyle szczescia. Ragnar az zatrzasl sie na wspomnienie rzeczy, ktore widzial. Niejasno przypominal sobie sceny rodem z koszmaru. Niektórzy kadeci oszaleli. Jeden z nich, chłopak imieniem Blarak, rozbil własną głowę o kamienną ścianę, a jego mózg rozprysnął się po całej celi. Ktoś inny próbował zjeść jego resztki Ragnar był szczęśliwy, że ten wypadek zdarzył się czasie, kiedy ludzka część jego duszy wzięła górę. Gdyby tak nie było, być może i on próbowałby posilić się na ciele towarzysza.

Wzdrygnął się ponownie, próbując odgadnąć, czy rzeczywiście było już po wszystkim. Czy odzyskał kontrolę nad samym sobą, czy może szaleństwo ustąpiło jedynie czasowo? Gdzieś w karmniku czekało na niego świeże mięso...



Kapłan Żelaza wyciągnął Ragnara z trumny, w której zamknięto go na czas badań. W samą porę, bowiem zarówno bestia w jego duszy, jak i sam Ragnar nie byliby w stanie wytrzymać uwięzienia ani chwili dłużej. Metalowe ściany przytłaczały go, a zimne, stalowe macki czujników warczały i przesuwwały się po nagim ciele niczym dziwne

węże. Raz za razem do mózgu Ragnarą dobiegały jakieś dziwne bodźce i uczucia, kiedy Kapłani Żelaza przywoływali coraz to inne moce swojej maszynerii. Ragnar zbliżał się granicy szaleństwa. Nie wiedział już sam, czy zamknięto go w tej stalowej trumnie na dni, czy może miesiące a nawet lata? Nie potrafił powiedzieć. Bestia w jego duszy wyła, wściekła i zrozpaczona, pragnąc wydostać się na wolność. Raz w życiu Ragnar się z nią zgadzał.

Teraz wiedział jednak, że te tortury miały swój cel. Kapłani Żelaza sprawdzali jego ciało, badając, jak dostosowuje się do zmian, które w nim zachodziły. Szukali najmniejszych oznak jakichś niepokojących procesów. Próbki jego krwi, które pobrali mosiężnymi igłami, zostały wysłane do przebadania przez jakąś antyczną maszynerię, a impulsy elektryczne, którymi traktowano go w trumnie, miały na celu sprawdzenie szybkości reakcji jego ciała. Mimo że doskonale zdawał sobie sprawę, że to wszystko dzieje się dla jego dobra, Ragnar nie mógł nic poradzić na ogarniającą go wściekłość. Miał wrażenie, że ściany skrzyni zamkną się zaraz, miażdżąc go w środku. Prawie płakał, chcąc się wydostać na otwartą przestrzeń.

Mimo tych wszystkich badań i testów kapłani nie zamierzali nic robić. Odkąd przemiany zaczynały zachodzić w ciele kadeta, oni zdawali się wiedzieć, jaki będzie jego los. Byli w stanie przewidzieć czy przetrwa, oszaleje, umrze czy zmieni się w wilczarza. A mimo to nie czynili nic, aby pomóc nieszczęśnikom. Obserwowali to, co się działo z kadetami i zapisywali wyniki w spleśniałym, oprawionym w skórę, ogromnym dzienniku. Sprawiali wrażenie, jakby mieli pod ręką całą masę kadetów i jeśli któryś z nich umiera, taka najwidoczniej

była wola bogów. Nie należało się tym przejmować.

Ragnar pokręcił głową i rozejrzał się po komnacie. Była ogromna, a rozświetlały ją umieszczone na suficie kule. Wszędzie wokół znajdowały się olbrzymie, starożytne maszyny, które szumiały i warczały. Niektóre z nich pokrywała gruba warstwa rdzy. Wszystkie połączone były grubymi pękami miedzianych kabli, spiętych tu i ówdzie obręczami. Na każdej pobłyskiwały jakieś tajemnicze runy. Kable biegły do ołtarzy kontrolnych, przy których siedzieli Kapłani i nieustannie zprawiali modlitwy do duchów elektryczności, które wyznawali. Powietrze miało zapach ozonu, smaru oraz olejów, którymi czyszczono maszynę. Kręgi światła rozbłyskiwały wokół działających maszyn, co oznaczało, że przywołano do nich odpowiednie duchy. Z miejsca, w którym Ragnar stał teraz, mógł dostrzec Strybjorna rozpiętego na obręczy miedzianego koła. Przywiązano go za nadgarstki i kostki u nóg. Pierwszy krąg obracał się we wnętrzu drugiego, przez co Strybjorn znajdował się raz głową górze, raz w dół. Kiedy koło wirowało, w powietrzu tuż obok chłopaka uformował się obraz, który z grubsza odpowiadał jego kształtowi i rozmiarom. Wypełniony był całkowicie różnobarwnymi liniami: ciemnoczerwone koncentrowały się głównie wokół klatki piersiowej, w innych miejscach dominowały zielone i żółte. Ragnar zgadywał, że czerwone odpowiadają miejscom na ciele, które uległy najdalej idącym zmianom. Jednak jak z każdą rzeczą, którą tutaj napotkał, nie można było mieć pewności. Po krótkiej chwili wahania uznał, że tylko w jeden sposób może rozwiązać swoje wątpliwości.

– Co oznaczają kolory linii na tym obrazie? – spytał, pokazując na

Strybjorna. Kapłan odwrócił się powoli w jego stronę, jednak jego twarz pozostawała zasłonięta metalową maską i nie można było powiedzieć, czy poczuł się urażony pytaniem, czy tylko rozbawiony. Nacisnął jakiś przycisk znajdujący się na płycie u szyi i spoglądał dalej na Ragnara, jakby rozważając, czy wyjawić młodzikowi tajemnice swego zakonu. Ragnar zauważył, że przycisk, który nacisnął Kapłan Żelaza, nosił takie samo oznaczenie, jak niektóre budynki Świątyni Żelaza na Wyspie Ognia. Jaki był związek pomiędzy tymi dwiema grupami?

– Czerwone obszary hologramu oznaczają miejsca na ciele kadeta, w których zaszła duża zmiana wewnętrznej chemii organizmu, bądź proces nadal się odbywa. Żółte obszary to te, które już się stabilizują, bądź dopiero zaczynają zmieniać. Zielony kolor oznacza miejsce stabilne.

Ragnar nie wiedział, co oznacza słowo „chemia”, ale był pewny, że dobrze odgadł ogólny zamysł badania. Zaskoczyło go jednak, że udzielono mu odpowiedzi. Jak do tej pory ci słudzy Russa byli całkowicie niekomunikatywni. Być może rzeczy miały się zmienić? Nadal nie traktowano go jak równego sobie, jednak udzielenie odpowiedzi oznaczało dużą poprawę. Nagła myśl, która przysłała mu do głowy, sprawiła, że serce zaczęło mu bić mocniej. Być może będzie w stanie zobaczyć, jak przebiegają jego zmiany? Być może istnieją znaki, dzięki którym dowie się, czy przeżyje? Ale jeśli nie, to może lepiej pozostać nieświadomym, stwierdził po chwili. Czy lepiej stoczyć się do poziomu bestii świadomie, czy nic o tym nie wiedząc? Po chwili stwierdził, że ciekawość jednak nie da mu spokoju i zapytał.

Kapłan Żelaza milczał przez chwilę, ale potem odpowiedział niskim, pozbawionym emocji głosem. Tym razem Ragnar był pewien, że dosłyszał akcent z Wysp Ognia.

– Twoja przemiana zdaje się przebiegać dość powoli i kontrolowany sposób.

– Czy to źle?

– Nie. Właściwie to pozytywna oznaka. Ciało, które poddaje się zmianom powoli, z reguły daje się całkowicie zmienić. Zwykle jeśli transformacja zachodzi gwałtownie, mamy do czynienia z degeneracją tkanek i całego obiektu.

– A więc przeżyję, tak?

– Tego nie powiedzieliśmy. W takich przewidywaniach należy zawsze pozostawić sporo miejsca na niespodziewane wypadki. Czasem zmiana wydaje się całkowita i kompletna, ale w ostatniej chwili coś zawodzi. Z drugiej strony nieraz się zdarzało, że kadeci zaczęli się degenerować, ale jakimś sposobem wychodzili z tego stanu. Nie ma pewności. Należy pokładać wiarę w Russa i duchy krwi.

Ragnar wzdrygnął się, zdjęty strachem. Mógł się domyślić, że Kapłan powie mu coś takiego. Zatem nadal istniała spora szansa, że wszystko pójdzie jak najgorzej.



Tygodnie mijały, a Ragnar czuł się coraz lepiej. Przypomniawszy sobie,

jak przed laty jako dziecko zapadł na szkarłatną gorączkę. Kiedy chorował, zdawało mu się, że już nigdy nie poczuje się dobrze, jednak z czasem wyzdrowiał. Podobnie było teraz, dzięki nowemu wigorowi i zdrowiu, które posiadał. Wszystko wyglądało lepiej, bardziej kolorowo. Powietrze niosło ze sobą wiele zapachów, jedzenie smakowało jak nigdy dotąd, a dziwne z początku uczucie ocierania się ubrania o skórę stało się przyjemne, wręcz rozkoszne.

Wszystko to stało się za sprawą zmian w jego ciele, które nastąpiły po wypiciu naparu z Czary Wilczarza. To były dziwne przemiany, ale wyszły mu na dobre. Jego zmysły były bardziej wyostrzone, a siła i zręczność niespotykane. Kapłani Żelaza byli zadowoleni z tego, jak przebiegła jego przemiana, choć jak zwykle dodali kilka tajemniczych uwag, wedle których nie wszystko było jeszcze przesądzone.

Ragnar nie musiał ich pytać, żeby wiedzieć, że niebezpieczeństwo nie zostało jeszcze zażegnane. W dalszym ciągu w jego duszy kryła się bestia, choć ostatnio z wolna zaczął się przyzwyczajać do jej obecności. Teraz już wiedział jednak, że była zaledwie częścią jego duszy, nie jej dominującym elementem. Miała dodawać mu siły i dzikości, kiedy jej potrzebował, pomagać w zrozumieniu wszystkich tych informacji, które uzyskiwał za sprawą wyostrzonych zmysłów. Był teraz pół-człowiekiem, pół-wilkiem, a nawet kimś jeszcze lepszym. Patrząc na innych kadetów, przekonywał się jednak, że nie wszyscy czuli się tak doskonale. Być może było im ciężiej się zaadaptować.

Kjel wyglądał przerażająco. Jego twarz stale była pełna niepokoju, a w oczach czaił się lęk. Zachowywał się jak zwierzę zapędzone w

ślepy zaułek, a kiedy poczuł na sobie spojrzenie Ragnar, zawarczał i ostrzegawczo splunął w jego stronę. Jasne było, że wilczy duch jest w nim niebywale silny. Gęsta sierść pokrywała wierzch jego dłoni i szyję. Chodził zgarbiony, ze zwieszonymi nisko rękoma. Dłonie bardziej przypominały szpony niż ludzkie ręce. Ragnar ledwie poznawał w tej dziwnej, ponurej istocie dawnego Kjela: roześmianego, żywego i zawsze skorego do żartów. Teraz chłopak przypominał wilka zamkniętego w klatce. Bez ustanku drapał opaskę na rękę, aż rozdrapał sobie nadgarstek do krwi. Ragnarowi przypomniały się opowieści o wilkach odgryzających sobie łapy, aby uciec z wnyków, w które wpadły.

Z drugiej strony Sven prawie w ogóle się nie zmienił, być może dlatego, że zawsze wyglądał dość dziko. Uśmiechnął się szeroko do Ragnar, pokazując długie kły, a w jego oczach zaświeciło światło jak w ślepiach skradającego się nocą do ogniska wilka. Jedyna zmiana w postawie Svena ograniczała się do tego, że stał się jeszcze bardziej muskularny i potężny. Jego ramiona były teraz rozmiaru ud Ragnar, a klatka piersiowa przypominała beczkę piwa. Sven zdawał się dobrze bawić zmianami, które w nim zachodziły i bez problemów zaakceptował to, co się wokół działo.

Teraz Ragnar wyczuł na sobie baczne spojrzenie. Odwrócił się i dostrzegł Strybjorna. On z kolei zawsze był spięty, a w jego oczach czaił się blask szaleństwa. Patrząc na niego, można było odnieść wrażenie, że w każdej chwili gotów jest rzucić się do walki. Cała jego postawa i gesty świadczyły o dzikości, która kłębiła się w jego duszy. Najmniejsza prowokacja wystarczyłaby, żeby ruszył do ataku.

Wpatrując się w jego głęboko osadzone ślepie, Ragnar dostrzegł czającą się w nich bestię.

Jedyną rzeczą, do której Ragnar nie potrafił się przyzwyczaić, było to, w jaki sposób potrafił teraz odgadywać nastroje i myśli towarzyszy. Musiał to być jeden z efektów przemiany. Być może stawali się podobni stadu wilków, które potrafiły odczytywać informacje przekazywane inaczej niż słowem czy gestem. Ich postawa, sposób, w jaki chodzili czy zachowywali się mówiły Ragnarowi więcej, niż chciałby wiedzieć. Prawie był w stanie zwęszyć ich nastroje. Dziwność Kjela miała kwaśnawy zapach, gniew gorejący w sercu Strybjorna kojarzył się ze spalonym drewnem, szczęśliwość Svena przywodziła na myśl woń piwa. Jednocześnie Ragnar doskonale zdawał sobie sprawę, że próbując opisać sobie te wrażenia, nie potrafi ich w pełni oddać. Brakowało mu słów, żeby wyrazić wszystko, co poznawał za pomocą węchu. Z każdą chwilą jego nozdrza odbierały setki informacji, które sprawiały, że czuł jeszcze silniejszą więź z innymi kadetami.

Ragnar ponownie rozejrzał się dookoła i tym razem poczuł smutek. Tak niewielu ich zostało. Niedaleko siedział Nils oraz nieznajomy imieniem Mikal. Po pozostałych nie było ani śladu i nikt nie wiedział, co się z nimi stało. Czasem, kiedy skupił się wyjątkowo mocno, potrafił sobie przypomnieć Kapłanów Żelaza, wynoszących z cel kadetów, którzy popadli w obłąd lub przemienili się potwory. Jednak z reguły nie był pewien, czy była to prawda, czy majaki wywołane gorączką. Do końca swoich dni będzie się zastanawiał, co wydarzyło się, kiedy bestia przejmowała nad nim kontrolę. Na swój sposób był z

tego zadowolony. Na pewno dopuścił się w tym czasie czegoś, czego rzeczywiście wolał nie pamiętać.

Metalowe drzwi otworzyły się za sprawą jeszcze jednej magicznej sztuczki, dzieląc się na dwie równe części. Za nimi stał Ranek, w szarej zbroi i ze wszystkimi swoimi amuletami. Popatrzył na nich uważnie, a potem uśmiechnął się i powiedział coś, co przepełniło Ragnara trwogą:

– Nie zostało was wielu. A będzie zapewne jeszcze mniej. Czas na ostateczną próbę!



Rozdział 12

OSTATECZNA PRÓBA



Ragnar aż się wzdrygnął. Było mu zimno, wokół panowały ciemności i był całkiem sam. Patrząc na otaczające go pagórki i wysokie góry, zdał sobie sprawę, że łatwo może tutaj zginąć. Po raz pierwszy od wielu miesięcy był zupełnie sam. W promieniu setek kilometrów nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc. Thunderhawk właśnie odleciał i zniknął za chmurami, skrywającymi szczyt Kła. Jego wysadzono na ośnieżonym zboczu jako ostatniego. Inni kadeci zostali porozrzucani po całym terenie gór. Ragnar nie wiedział, że było ich aż tylu, dopóki nie wszedł na pokład statku powietrznego. Najwidoczniej Kosmiczne Wilki rekrutowały nowych członków nie tylko z obozu w Russvik i trzymały ich w oddzielnych częściach Kła. Dlaczego tak się działo, Ragnar nie wiedział, jednak musiał przyjąć do wiadomości to, co widział. Odegnął jednak do siebie te rozmyślania. Miał teraz na głowie ważniejsze sprawy. Musiał przeżyć.

Rozejrzał się uważnie po otaczającym go terenie. Olbrzymie bloki skalne stoczyły się z gór w dolinę i zasłaniały mu teraz pole widzenia. Część z nich porośnięta była mchem, a to oznaczało, że musiały tu żyć jakieś rośliny. Inne kamienie pokryte były śniegiem, którego duże płatki zaczęły właśnie spadać z nieba. Ragnar przyglądał im się przez chwilę, a potem po raz kolejny przypomniał sobie, że ma na głowie sporo ważnych rzeczy do zrobienia.

Jedyne, co pozostawiono mu na drogę, to szara tunika, jaką otrzymał każdy z kadetów, skórzany pas oraz nóż i pochwę na niego. Żadnych zapasów ani narzędzi, które pomogłyby mu przeżyć w tej dziczy. Zadanie, jakie przed nimi postawiono, było z pozoru proste: mieli wrócić do Kła i stawić się przed Kosmicznymi Wilkami. Jeśli przeżyją, będą godni dołączyć do Zakonu, jeśli zawiodą, po prostu umrą w dziczy.

Nie jest tak źle, pocieszył się w duchu Ragnar. Mogło być gorzej. Miał przynajmniej na sobie tunikę utkaną z dziwnego, szarego materiału, który nie przepuszczał zimna oraz stalowy nóż. Nie było to jednak wiele i stojąc w nocy pośrodku ośnieżonych gór Asaheim Ragnar nie potrafił znaleźć pocieszenia w tej myśli. Przynajmniej Kieł nie był zbyt trudny do znalezienia. Przewyższał wszystkie inne szczyty i wyraźnie odcinał się od linii horyzontu. Jednak tyle rzeczy mogło pójść źle. Mimo że tunika była ciepła, wątpił, aby ochroniła go przed chłodem, kiedy temperatura spadnie jeszcze bardziej, a wiatr zacznie dąć naprawdę mocno. Zawsze istniała też możliwość, że materiał rozedrze się w trakcie wędrówki i nie wiadomo, czy wtedy nadal będzie tak dobrze chronił przed zimnem.

Tak, Kieł był doskonale widoczny, jednak Ragnar nauczył się w okolicach Russvik, że pogoda w górach zmienia się często i gwałtownie. Kiedy nadejdą chmury lub mgła, bez trudu będzie można się zgubić. Doliny, przez które będzie się musiał przeprowadzić, sprawiały wrażenie istnych labiryntów, co też nie ułatwiało zadania. Jak ma zdobyć pożywienie? Okolica wyglądała na pozbawioną życia. Nawet jeśli spotka jakieś stworzenie zdatne do zjedzenia, to istniała

spora szansa, że ono tak samo potraktuje jego.

Po tych górach mogły się włóczyć całe stada wielkich, północnych wilków, trolle, karły, kanibale czy nawet wilczarze. Nawet wiedza o pochodzeniu tych ostatnich nie wybiła mu z głowy strachu przed tymi potworami.

No cóż, pomyślał jednak po chwili Ragnar. Na takie zmartwienia przyjdzie czas, kiedy zmusi go do tego sytuacja. Teraz jednak należało działać. Jeśli dopisze mu szczęście, być może znajdzie jakąś niewielką jaskinię, w której będzie mógł przenocować.



Na wprost od niego rosło karłowate drzewko. Z jakiejś niewyjaśnionej przyczyny ten widok rozweselił Ragnara i natchnął go optymizmem. Roślina była co prawda niewielka i dziwnie poskręcana, jednak mimo wszystko żyła i cały czas rosła. Skoro ona zdołała przeżyć w tych dzikich i nieprzyjaznych ostępach, to być może i jemu się uda. Co więcej, jeśli wykaże się sprytem, może zdoła dzięki niej przetrwać zbliżającą się noc. Z doświadczenia zdobytego w górach otaczających Russvik wiedział, że niedaleko muszą rosnać także inne rośliny. Każda góra posiadała granicę, poza którą nie sięgały drzewa. To tutaj musiało ją przekroczyć i zapłaciło za to swoją karłowatością. Jednak nawet najwyższe szczyty, choć pozbawione drzew i krzewów, nie były całkowicie bez życia. Zawsze można było na nich znaleźć mchy i porosty.

Ragnar wyciągnął dłoń i nabrał w nią garść śniegu. Bez wahania włożył go do ust, czekając, aż się roztopi i zmieni w lodowato zimną wodę. Jedną z pierwszych rzeczy, jakich nauczył ich w Russvik sierżant Hakon, były zagrożenia ze strony nieczystych duchów, które mogły się czaić w brudnej wodzie. Teraz jednak Ragnar nie dbał o to. Pragnienie okazało się zbyt silne i jego zaspokojenie było najważniejsze, a brak ognia i jakiegokolwiek naczynia uniemożliwiał zagotowanie wody.

Śnieg mroził mu dziąsła i język, ale z wolna zamieniał się ożywczą wodę. W drugiej dłoni Ragnar trzymał znaleziony z trudem krzemień, który odkrył pośród zdradzieckich szczelin ciągnących się przez całe zbocze. Niestety nie miał go gdzie schować, dlatego przez cały czas musiał nieść go w dłoni. Kamień mógł posłużyć mu na dwa sposoby: po pierwsze jako broń dystansowa, dzięki której będzie w stanie odstraszyć czające się w mroku bestie. Jeżeli ciśnie nim i trafi, to z pomocą nowo nabytej siły bez wątpienia wyrządzi polującym na niego potworom sporą szkodę. Sama ta myśl sprawiła, że Ragnar uśmiechnął się złowieszczo. Drugie zastosowanie krzemienia było znacznie bardziej przyziemne. Uderzając w jego powierzchnię przy pomocy metalowego noża, mógł wykrzesać iskry, które rozpalą zbawienny ogień.

Nadzieja, którą poczuł na widok drzewa, zmaląła jednak, kiedy dostrzegł, że jego kora jest mokra i stwardniała od lodu. Miał drewna pod dostatkiem, ale było ono niezdatne do użytku. Choćby nie wiadomo jak bardzo się starał, za żadne skarby świata nie zdoła go rozpać w tych warunkach.

Ragnar westchnął cicho, zastanawiając się jednocześnie, czy pozostali kadeci mieli podobne problemy. Być może przedzierali się przez śniegi zamarzniętych dolin, cały czas upewniając się, że idą w stronę widocznego na tle innych szczytów Kła. Czy i oni drżeli z zimna i strachu, kiedy przechodzili pod zwisającymi z urwisk olbrzymimi nawisami śnieżnymi, a wicher hulał z niespotykaną siłą? Czy i oni nasłuchiwali wycia wielkich górskich bestii, spośród których najbardziej obawiali się wilczarzy? Jemu było dane zobaczyć wielkiego orla, który majestatycznie szybował po niebie, szukając ofiary pośród nizin. Ragnar wiedział doskonale, że ów król przestworzy potrafił spostrzec zwierzynę wielkości myszy z wysokości wielu, wielu metrów. Czy inni kadeci byli świadkami podobnych cudów? Czy utrzymywali się przy życiu, jedząc mech, porosty i wykradzione z gniazda władcy przestworzy jajka?

Być może było im dane być świadkami tych wszystkich zadziwiających widoków, ale równie prawdopodobne jest, że są już martwi. Na samą myśl Ragnar aż się wzdrygnął. W ciągu tych kilku dni wiele razy uniknął śmierci. Te nieprzyjazne człowiekowi góry okazały się istną skarbnicą niebezpieczeństw. Zdradzieckie urwiska, obluzowane głazy, niespodziewane lawiny zdawały się czyhać na przechodzącego obok nieświadomego człowieka. Straszliwy mróz i rozrzedzone powietrze sprawiały, że miał ochotę położyć się, zasnąć i czekać na śmierć. Wąskie ścieżki wiły się po górskich zboczach, a jeden nieostrożny krok groził upadkiem z wielkiej wysokości. Bez wątpienia na dole czekały ścierwojady, chętne do pożywienia się ludzkim mięsem.

Choć równie prawdopodobne było, że inni kadeci oszaleli, zostali pożarci przez górskie drapieżniki lub poddali się niespodziewanym efektom przemiany i teraz zamiast wracać do Kła, polowali na Ragnara.

Ze wszystkich możliwości, jakie rozważał w myślach, ta najbardziej go niepokoiła. Wiedział, że nadal istniała szansa wystąpienia błędu w procesie przemiany. Kapłani Żelaza uprzedzali go, że żaden z kadetów nie był bezpieczny przez co najmniej miesiąc od rozpoczęcia procesu. Nawet później istniało zagrożenie, że znajdą nieprzewidziane zmiany. Bestia czająca się w jego duszy zdawała się spać, choć równie dobrze mogła czekać na kolejną szansę zawładnięcia jego duszą. Być może ta wyprawa miała być ostatnim sprawdzianem tego, na ile panuje nad swoim zwierzęcym instynktem? To nie była pocieszająca myśl.

Ragnar zmusił się do podjęcia wędrówki. Niedługo zapadnie zmierzch i musiał znaleźć sobie jakieś schronienie na noc. Wędrówka po górach w nocy równała się samobójstwu, nawet jeśli posiadało się tak wyczulone zmysły jak on. Zawsze mógł czegoś nie zauważyć, poślizgnąć się na kępie mchu i spaść w dół stromego zbocza. Poza tym temperatura w nocy spadała jeszcze bardziej, a Ragnar wolał nie sprawdzać możliwości ochrony przed mrozem, jakie dawała tunika, jeśli nie miał ku temu naprawdę ważnych powodów. Kolejną rzeczą, której szybko nauczył się w Russvik, było to, że przeżycie w górach jest w głównej mierze sztuką nie prowokowania losu. Ragnar nie miał nic przeciwko podejmowaniu ryzyka, choć jeśli już się na to decydował, wolał mieć po swojej stronie jak najwięcej atutów. Poza tym nie należało narażać się na niebezpieczeństwo, jeśli nie było

takiej potrzeby. Zawsze przecież istniała szansa, że pomimo siły, zręczności i pewności siebie, jakich nabrał od chwili, gdy wypił napar z Czary Wilczarza, może mu się przytrafić nieszczęśliwy wypadek. Coś takiego w górach oznaczało samotną i bolesną śmierć. Nawet niewielki i niegroźny z pozoru wypadek, taki jak skręcenie kostki, nadwyręzenie ramienia czy zwykłe skaleczenie mogły okazać się fatalne w skutkach. Ich wynikiem było zmęczenie, osłabienie refleksu i utrata sił, przez co nawet najsprawniejszy wojownik stawał się łatwą ofiarą. Z czasem te z pozoru niegroźne obrażenia nawarstwiały się, aż w końcu zaczynały ciążyć niczym ogromny balast, pod którym uginali się nawet najpotężniejsi z Kosmicznych Wilków. Dlatego Ragnar starał się unikać wszelkich niebezpieczeństw i nie podejmować zbędnego ryzyka. Łatwiej jednak było to powiedzieć niż zrobić.

Rozejrzawszy się wokół, dostrzegł, że w pobliżu drzewa znajduje się skalna nisza, której nawis chronił przed wichrem oraz padającym coraz mocniej z nieba śniegiem. Bez wahania zaczął szarpać drzewkiem, odłamując przy tym gałęzie. Igły miały posłużyć za rozpałkę, podczas gdy mniejsze konary za materiał, który podtrzyma ogień przez całą noc. Najdłuższa z gałęzi, jaką odłamał, świetnie nadawała się na kostur podróżny lub palkę. Po dłuższej chwili zdołał odciąć jeszcze jeden konar, który po obraniu z kory i zaostrzeniu mógł służyć jako prowizoryczna włócznia.

Te przygotowania zabrały mu sporo czasu i kiedy wrócił do swego schronienia, było już ciemno. Jeszcze dłużej trwały próby rozpalenia ogniska, ale w końcu Ragnar zrozumiał, że to beznadziejne zadanie. Krzesił iskry raz po raz, ale wilgotne igliwie ani myślało zająć się

ogniem. Kiedy zdał sobie sprawę, że nie zdoła rozpalić ogniska, ogarnęła go rozpacz. Z wisielczym humorem stwierdził jednak po chwili, że dzięki temu przynajmniej nie zasnął, co w tym dzikim i niebezpiecznym rejonie mogło być śmiertelnym błędem. W końcu jednak, przemarznięty i wyczerpany, zaczął poddawać się zmęczeniu. Zebrał zatem tyle igliwia, ile zdołał i usypał z niego poślanie, które miało go choć trochę zabezpieczyć przed chłodem, po czym położył się spać. Ostatnia myślą, jaka nawiedziła go, nim zasnął na dobre, było pytanie, czy obudzi się następnego ranka.



Śnił o wilkach. W jego koszmarach były istotami pół-zwierzęcymi, pół-ludzkimi, które podążały jego tropem przez płataninę kamiennych dolin, leżących u stóp potężnych gór. Było mu zimno, a bestia, która przebudziła się w chwili, gdy wypił z Czary Wilczarza, czaiła się tuż obok. Ona także odpowiadała na wycie stada. Po raz pierwszy nie chciała przejąć nad nim kontroli, jakby wreszcie zrozumiała, że dzieli z Ragnarem jedno ciało i jeśli on umrze, ona umrze także. Bestia zdawała sobie sprawę z *groźących* im niebezpieczeństw i po raz pierwszy nawiązała się pomiędzy nimi nić współpracy i zrozumienia.

Sny zmieniły się i teraz to Ragnar ze zwierzyny stał się łowcą. Zaczął polować na swoich prześladowców, kierując się siłą wilczego ducha. Wiedział, że czają się gdzieś pośród kamiennych dolin i już wkrótce zatopi swoje kły w ich ciepłym, przesiąkniętym krwią mięsie.



Obudził się zdętwiały, przemarznięty i niepewny czy hałas, który go przebudził, był częścią snu, czy też pochodził z realnego, pełnego niebezpieczeństw świata. Nie musiał długo czekać, żeby uzyskać odpowiedź. Wilczy skowyt zabrzmiał jeszcze bliżej i głośniejsze niż poprzednio. Gdyby demony piekieł miały się zwoływać do napaści na ludzi, tak zapewne by to brzmiało. Zew wilka niósł ze sobą zmęczenie, głód i ból. Oto zwoływały się największe bestie Asaheim. Ragnar wiedział, że jeśli inne zwierzęta są w pobliżu, on sam jest zgubiony. Jeśli zaatakuje wilka z zaskoczenia, z jednym być może sobie poradzi, ale całemu stadu z pewnością nie da rady. Polująca wataha była w stanie zabić trolla lub nawet lodowego smoka. Nie było na całym Asaheim straszliwszych istot niż wilki.

Ragnar natężył słuch i sprawdzał zapachy niosące się z wiatrem. Zdawało mu się, że czuje ślad jakiejś woni, niesionej z nocnym powietrzem. To był jeden z wielkich wilków. Ragnar instynktownie przypadł jeszcze bardziej do ziemi, starając się oszacować swoje szanse. W tej chwili znajdował się z wiatrem od zwierzęcia. To oznaczało, że on mógł je wyczuć, a ono jego nie. Rzecz jasna jeśli wiatr się zmieni, bestia zorientuje się, że nie jest sama. Pozostawało jedynie modlić się do Russa, aby to nie nastąpiło. Woń wilka niosła ze sobą jeszcze jedną ważną informację. Zwierzę było chore i osłabione. Ragnarowi brakowało doświadczenia w rozpoznawaniu zapachów i

pozostała jedynie nadzieja, że wilk jest zwyczajnie osłabiony, a nie jest nosicielem jakiejś plagi.

Szybko sprawdził swoją broń, chwytając w lewą dłoń nóż, a w prawą włócznię. Pałka leżała u jego boku, gotowa do użycia, kiedy prowizoryczny oszczep poszybuje w stronę wroga. Ragnar nie pokładał wielkich nadziei w tej broni, jako że jej zaostrzony koniec nie został zahartowany w ogniu. Nie mógł mieć pewności, że w ogóle zdoła zranić zwierzę. Mimo wszystko taka włócznia była lepsza niż żadna. Najbardziej brakowało mu w tej chwili tarczy. Choć równie dobrze mógł żałować, że nie ma przy sobie którejs z magicznych broni Raneka. Jedyne, co mógł w tej chwili zrobić, to tylko o nich pomarzyć.

Włosy stanęły mu dęba na karku, kiedy usłyszał drapanie pazurów o kamień, a potem na wąskiej ścieżce pojawiła się sylwetka tropiącego wilka. Zwierzę szło jego śladem, a Ragnar ku swemu zaskoczeniu dostrzegł, że było ono stare i ranne. Wciąż zadziwiony zdolnością swoich oczu do wychwytywania nawet najmniejszych szczegółów pomimo panującego mroku, obserwował siwą sierść wokół pyska zwierzęcia. Mimo że sprawiało wrażenie wygłodzonego i słabego, nadał było groźnym przeciwnikiem. W kłębie sięgało ramienia Ragnara i bez wątpienia musiało ważyć dwa razy więcej od niego. Jego kły przypominały sztylety, a ślepia płonęły czerwono od szaleństwa. Podczas gdy Ragnar je obserwował, zwierzę zdało sobie sprawę z jego obecności. Wydało z siebie wycie wściekłości, samotności i szału, a potem zaatakowało.

Ragnar zareagował instyktownie, ciskając włócznią w pierś bestii.

Zaostrzony koniec trafił dokładnie tam, gdzie powinien. Pchnięty naprzód potężną siłą mięśni wbił się w ciało, a krew trysnęła z rany. Wilk zatoczył się i upadł, a drewno pękło pod jego ciężarem. Ragnar miał nadzieję, że przynajmniej kawałek włóczni pozostał w ranie.

Nie marnując czasu na pochwycenie leżącej na ziemi pałki, Ragnar skoczył do przodu. Wilk zawarczał, wyczuwając zbliżające się niebezpieczeństwo, a następnie obrócił się w jego stronę. Ragnar zdołał jednak przemknąć obok groźnego pyska bestii i rzucić się do jej boku. Pochwycił muskularną szyję zwierzęcia, unikając jednocześnie morderczych kłów. Bez wątplenia jedno ich kłapnięcie wystarczyłoby, aby rozerwać mu gardło czy zmiażdżyć ramię. Ragnar naparł na wilka, usiłując sprowadzić go na ziemię siłą swoich nadludzkich mięśni. Bez wątplenia zdołałby w ten sposób pokonać każdego zwykłego wilka, jednak ten okazał się twardszym przeciwnikiem.

Siłowanie się z tym zwierzęciem przypominało powstrzymywanie śnieżnej lawiny. Pod gęstym futrem kryły się mięśnie mocne jak postronki. Smród bijący z paszczy zwierzęcia przyprawiał Ragnara o mdłości. Korzystając ze swego doświadczenia, zwierzę przerzuciło Ragnara nad swoim grzbietem tak, że wylądował na ostrych okruchach skalnych, które zaścielały okolicę. Kamienie powbijały się w jego ciało, otwierając setki niewielkich, ale bolesnych ran. Teraz z kolei wilk przyparł człowieka do ziemi, używając swego ciężaru jako broni. Powietrze uciekło z płuc Ragnara, a on nie mógł zrobić niczego innego, jak desperacko walczyć o każdy następny oddech. Robiło mu się ciemno przed oczyma, a z gardła starego wilka wydobył się pomruk tryumfu, kiedy bestia wyczuła, że jest coraz bliższa

zwycięstwa. Ostatkiem sił Ragnar zdołał obrócić nóż w dłoni i przeciągnąć nim po szyi zwierzęcia. Futro poddało się ostrzu, podobnie skóra i mięśnie. Na kamienie i Ragnara chlusnęła ciepła krew, a z każdą jej falą wypływająca z wilczego ciała napór starego łowcy słabł coraz bardziej. W końcu zwierzę skonało.

Ragnar usiadł, z trudem łapiąc oddech, a potem zabrał się za opracowanie zwierzyny.



Nocne starcie przyniosło mu spore korzyści. Miał teraz gruby płaszcz z wilczego futra. Śmierdział on co prawda paskudnie, jednak zapewniał dodatkową ochronę przed mrozem. Mięso zwierzęcia odnowiło siły Ragnara, a krew, którą wypił nim zakrzepła, dodała mu wigoru i ochoty do życia. Co ważniejsze, przy pomocy ścięgien zdołał przymocować nóż do nowego drzewca swojej włóczni, przez co uzyskał śmiertelnie niebezpieczną broń o metalowym ostrzu. Od swego płaszcza odkroił dwa niewielkie kawałki, z których jeden służył mu teraz za sakiewkę na podpałkę i krzemienie. Drugi przy pomocy ścięgien przerobił na procę. Był w stanie wyrzucać z niej kamienie z ogromną siłą i prędkością. Teraz idąc przez dolinę ćwiczył rzucanie do celu, uzyskując całkiem przyzwoitą skuteczność.

Jedno spojrzenie w górę zepsuło mu humor. Większą część południowego nieba oraz sam Kieł zasłaniały czarne chmury. Gdzieś z oddali dobiegł ledwie słyszalny huk gromu. Nic jednak nie mógł

poradzić na to, że pogoda się psuła. Jedyne, co mu pozostało, to iść dalej. Żując kawałek wilczego mięsa, ruszył w dół zbocza.



Korzystając z włóczni niczym z podróznego kostura, przedzierał się przez las. Ragnar coraz bardziej cieszył się z nowej broni. Tym razem na drzewce wybrał mocny, długi i prosty kawałek drewna, a ścięgnię starego wilka mocno trzymały służący za ostrze nóż na swoim miejscu. Mając tę włócznię w dłoniach, był gotów stawić czoła każdemu przeciwnikowi.

Także otoczenie znacznie bardziej przypadło mu do gustu. W lesie było znacznie cieplej niż na pozbawionych roślinności szczytach, pośród których hulał wicher. Las wydawał się bezkresną krainą drzew, przecinaną jedynie strumieniami, które w swych lodowatych wodach niosły deszczówkę i topniejący śnieg. Ptaki śpiewały i ćwierkały, a wszędzie wokół można było dostrzec ślady niewielkich zwierząt. Przynajmniej tutaj nie groził mu głód.

Jego pierwszy posiłek stanowiły jajka, które wykradł z gniazda i wyssał ich zawartość przez niewielką dziurkę, zrobioną na czubku skorupki. Popił je wodą ze strumienia. Żałował, że nie ma przy sobie niczego, w czym mógłby zabrać jej zapas ze sobą. Gdyby został w tym lesie, mógłby w nim bez trudu przeżyć. To był całkiem dobry pomysł. Ostatecznie nikt nie kazał mu wracać do Kła, a od Kosmicznych Wilków nie zaznał niczego oprócz bólu i upokorzeń. Ragnar szczerze

wątpił, czy ktokolwiek byłby w stanie go znaleźć, gdyby naprawdę chciał zaszyć się z dala od ludzi. Zresztą wątpił, aby ktokolwiek go szukał, gdyby nie powrócił do fortecy. Kosmiczne Wilki nie chciały pośród siebie nikogo, kto nie był godnym wojownikiem. Gdyby Ragnar nie wrócił, nie zdałby testu, co w ich oczach równało się utracie godności.

Rozglądając się wokół, Ragnar dostrzegał coraz więcej dowodów na to, że życie w puszczy wcale nie byłoby trudne. Bez najmniejszego kłopotu mógłby znaleźć sobie jaskinię odpowiednią do zamieszkania, a nim by to zrobił, mógłby skonstruować sobie szałas, jak go nauczono w Russvik. Polowanie, łowienie ryb czy rozpalenie ognia także nie stanowiłyby problemu. Mógłby tutaj dostatnio żyć, będąc sam sobie panem i władcą swego małego królestwa.

Jednak w głębi duszy wiedział doskonale, że nie zrezygnuje z wykonania zadania, które przed nim postawiono. Nie chodziło tutaj o dumę, choć i ona odgrywała w jego determinacji niemałą rolę. Tam, w Kle, pozostawił za sobą kilka nierozwiązanych spraw. Miał do załatwienia rachunki ze Strybjornem Posepnym Czerepem. Poza tym Ragnar czuł, że samotne życie w tej dziczy nie było dla niego odpowiednie. Jakiś zew w jego sercu, podobny do tęsknoty wilka za sforą, cały czas pchał go w stronę Kła. Przemiana, która nastąpiła po ceremonii Czary Wilczarza, nie dotknęła jedynie jego ciała. Także dusza i myśli stały się inne. Teraz był tylko po części człowiekiem. Dzika natura, którą przebudził magiczny napar, wołała o kompanię innych wilków. Wiedział, że przynależy do stada i chciał sobie w nim wyrobić jak najsilniejszą pozycję.

Co więcej, pobyt w Kle dał mu jeszcze jedną, ważną nauczkę. Choć Ranek, Hakon i im podobni zawsze traktowali go z wyższością, sprawili mu wiele bólu, cierpień i upokorzeń, to jednak byli szczególnymi ludźmi, przeświadczonymi o tym, że ich misja jest ważna i szlachetna. Byli ludźmi pełnymi dumy i honoru, i choćby z tego powodu należał im się ogromny szacunek. Ragnar pragnął być taki jak oni. Chciał osiąść ich szlachetność, magię, tajemnice, a nade wszystko postawę prawdziwego wojownika. Być jednym z tych tajemniczych władców świata – oto marzenie, które przesłoniło wszystkie inne. Co więcej, czuł, że jest w stanie zostać jednym z najbardziej szanowanych Kosmicznych Wilków! Pozostając w tej głuszy, pomiędzy dzikimi zwierzętami, nie zrealizuje swoich marzeń. Nie będzie miał na to najmniejszej szansy.

Teraz doskonale zdawał sobie sprawę, jak bardzo się zmienił od czasu, kiedy Werbownicy Poległych wybrali go na polu bitwy. Zmiany, jakie w nim zaszły, były ogromne i ich przyczyną nie był jedynie napar z Czary Wilczarza. Przed jego oczyma otworzył się zupełnie nowy świat, znacznie dzikszy i rozleglejszy niż kiedykolwiek potrafił sobie wyobrazić, mieszkając na niewielkiej rodzinnej wyspie. Dokonał czynów, o jakich nie mogli marzyć najwięksi wojownicy z jego rodu: podróżował statkami powietrznymi, przekroczył Wrota Morkai i oglądał chmury, które niczym pierzyna otulały Kieł. Teraz dopiero zaczął rozumieć, że świat jest większym miejscem niż wyspa, na której się urodził i otaczające ją wody. Człowiekowi mogły się przytrafić znacznie gorsze rzeczy niż plemienne waśnie czy podróż przez targany sztormem ocean. Kosmiczne Wilki były Zakonem i

miały przed sobą jakiś cel. Był on zapewne wielki i straszny, a wszystkie mordercze próby, jakim poddawano kadetów, służyły sprawdzeniu, czy podołają oni wykonaniu powierzonego im zadania. Wizje, których doświadczył po przekroczeniu Wrót Morkai, pokazały mu, czego może się spodziewać i jakich wrogów spotka, jeśli okaże się wart przyjęcia do Zakonu. Bez wątpienia wszystkie obrazy, które zobaczył, każda ze scen, w jakich wziął udział, nie były przypadkowe. Być może starcy, którzy sprawdzali go tamtego dnia, zasiali w jego duszy wiedzę, a to, jaki z niej użytek, było kolejnym egzaminem, przed którym go postawiono. Z rozmów z innymi kadetami wiedział, że oni odrzucili stające im przed oczyma obrazy jako nieprawdziwe i choć nie powiedział tego głośno, uważał, że zrobili ogromny błąd.

Otrząsnąwszy się z tych ponurych rozmyślań, Ragnar przystanął na chwilę. Przebywanie w tym miejscu sprawiało mu przyjemność. W jakiś sposób miał pewność, że oto spogląda na pełen majestat nieokiełznanej przyrody, wędrując przez miejsca, których nigdy przedtem nie tknęła ludzka stopa. To było uczucie, które przyprawiało o dreszcze, podobnie jak myśl o długiej żegludze łodzią czy obserwowanie słońca zachodzącego za linię horyzontu po ciężkim dniu spędzonym na łowieniu ryb. Przez chwilę był nawet wdzięczny Kosmicznym Wilkom, że za ich sprawą dane mu jest doświadczać takiego piękna.

Pokręciwszy głową, Ragnar odetchnął głęboko, a powietrze opuszczające jego płuca zmieniło się w parę. Musiał iść dalej, skoro postanowił wrócić do Kła. Nie chciał przecież być ostatni.



Mgła była gęsta i wilgotna. Widoczność spadła tak bardzo, że świat dookoła zdawał się jedynie cieniem samego siebie. Skały, pomiędzy którymi wędrował Ragnar, sprawiały wrażenie na wpół rzeczywistych. Ścieżka była ledwie widoczna i musiał iść powoli, żeby nie zboczyć na manowce. Czasem chmury zasłaniające niebo rozrzedzały się i wtedy świat nabierał wyraźniejszych kształtów i żywszych kolorów. Przez większość czasu jednak światło słońca pozostawało słabe, a mgła sprawiała, że poruszał się niczym ślepiec.

Ragnarowi przypomniały się opowieści o piekle, które słyszał w dzieciństwie. Według nich miało ono być miejscem zimnym, ciemnym i wilgotnym, gdzie duchy zmarłych snuły się bez celu pośród skał. Okolica sprawiała wrażenie żywcem wyjętej z tych opowieści i Ragnar zastanawiał się, czy przypadkiem nie umarł w trakcie swej wędrówki nawet o tym nie wiedząc i nie przekroczył wrót śmierci. Przystanął na chwilę, nasłuchując odgłosów niesionych z wiatrem, wężąc w poszukiwaniu niebezpieczeństwa. Żył nadal, chyba że po śmierci był w stanie zachować swoje nadludzkie zdolności. To byłoby ogromnie niesprawiedliwe, stwierdził w duchu Ragnar, gdybym doszedł tak daleko i po prostu umarł we śnie.

Odepchnął od siebie te myśli, wiedząc, że wyobraźnia pobudzona niewesołym otoczeniem zaczyna mu płatać figle. Nie umarł. Krew nadal tętniła w jego żyłach, a skóra cierpła od chłodu. Wilgoć

osadzała się na ubraniu, a po czole spływały mu kropelki wody. Otrząsnął je dłonią. Trudy utwierdzały go w przekonaniu, że nadal żyje. Mógł tutaj zginąć, bez wątpienia każdy kolejny krok niósł ze sobą niebezpieczeństwo, ale jeszcze nie nadszedł jego koniec. Ragnar uśmiechnął się do siebie ponuro, rozbawiony ta myślą.

Prawdziwym niebezpieczeństwem była mgła. Co do tego Ragnar nie miał najmniejszych wątpliwości. Od wielu godzin szedł wąską granią, która łączyła dwa szczyty i ta droga należała do najtrudniejszych, jakimi podążał w swoim życiu. Niekiedy była tak wąska, że ledwie był w stanie się nią precisnąć, a kamienie ustawicznie usypywały mu się spod nóg. Czasem musiał ostrożnie przemieszczać się wzdłuż wąskich półek skalnych, które wisiały nad bezdennymi przepaściami. Ragnar wolał nie sprawdzać, jak bardzo są one głębokie. Najgorsze było jednak to, że ścieżka ustawicznie się wiła i z każdym krokiem istniało niebezpieczeństwo, że szlak skręci w lewo bądź prawo, a on runie w dół, nie znalazłszy oparcia dla stóp.

Aby temu zapobiec, uważnie badał szlak drewnianą końcówką swojej włóczni. Centymetr za centymetrem ostukiwał kamienistą ścieżkę i szedł uparcie naprzód. Nie wiedział nawet, czy zdąża w dobrym kierunku, ale gnało go poczucie obowiązku i tęsknoty za sforą. W pewnej chwili mgły rozstały się niespodziewanie i Ragnar dostrzegł w całej okazałości szlak, którym podążał. Czuł się, jakby na ptasich skrzydłach wzbił się w przestworza. Daleko poniżej doliny i niższe góry spowite były mgłą, a on spoglądał na nie z góry, obserwując jednocześnie wyłaniające się z morza oparów wyższe szczyty, które wyglądały niczym wyspy na jednym z bezkresnych

oceanów Fenrisa. Słońce świeciło jasno i mocno, próbując swoimi promieniami przebić mgły kłębiące się w dole. Ragnar aż westchnął, kiedy spojrzał na tytaniczną kolumnę, jaką zdawał się Kieł. Szczyt górował nad okolicą, spowity oparami i własnym mrocznym majestatem. Był to zaiste piękny widok.

Ragnar czuł się, jakby wędrował przez niebiosy. Bez wątpienia dzielił te same wrażenia, co bogowie lub sam Russ. Oto przed jego oczyma rozpościera się najwspanialszy widok na świecie. Serce Ragnara aż podskoczyło z radości, a nowa nadzieja dodała mu sił. Powróci do Kła w glorii chwały i zajmie należne mu miejsce pośród Wilków!

Chwilę później chmury ponownie się uniosły niczym fale zalewające brzeg i wraz z lepką mgłą zasłoniły Kieł. Wizja zniknęła, a Ragnar ruszył dalej przez krainę cieni. Siłą woli powstrzymał drżenie i otulił się mocniej cuchnącym już płaszczem z wilczego futra.



Od jakiegoś czasu wyczuwał czyjąś obecność za szarą zasłoną mgły. Nie wiedział, gdzie to coś się znajduje ani czym może być, był jednak pewny, że obserwuje go niezauważone, korzystając z zasłony oparów. Obce spojrzenie paliło niczym rozżarzone stalowe pręty wbijane w plecy, ale nawet kiedy Ragnar obejrzał się po raz dziesiąty w ciągu kilku minut, nadal niczego nie dostrzegł. Zaczerpnął głęboko tchu i w powietrzu odnalazł dziwną woń, po części znajomą, ale też i obcą.

Była w niej jakaś groźba, która sprawiła, że aż się wzdrygnął.

Bez wątpienia zbliżał się już do Kła. Po z trudem przespanej nocy, którą spędził na skalnej półce, zdołał dostrzec dzisiejszego ranka niższe stoki rodzinnej góry Kosmicznych Wilków, które wznosiły się ponad okalające je wzgórza. Kiedy nadszedł zmierzch, w gęstniejącym mroku zobaczył równe rzędy świateł, które bez wątpienia oznaczały ludzką siedzibę. Przypomniawszy sobie gigantyczne zabudowania i urządzenia, które oglądał tego dnia, gdy przybył do Kła, bez trudu pojął, że widzi oświetlenie owych dziwnych budowli. Teraz jednak zdawały mu się równie miłe i przytulne, jak wtedy przerażające i groźne.

Ragnar był zmęczony, głodny i zmarznięty, Ostatnie siedem dni naznaczonych było bezustannym niebezpieczeństwem i ogromnym wysiłkiem. Przebył daleką drogę od płaskowyżu, na którym go wysadzono, aż do tej góry, która powoli stawała się jego domem. Jednak mimo zmęczenia miał wrażenie, że dokonał czegoś szczególnego. Dobrze wykorzystał wszystkie lekcje, jakie wpojono mu w Russvik. Znalazł pożywnie i wodę. Potrafił zbudować sobie schronienie i rozpalić ogień. Zachował zdrowy rozsądek i nie zapadł na żadne choroby. Wykorzystał wszystkie możliwości, jakie dała mu nowo nabyta siła i wyczulone zmysły. Przeżył, nie mogąc liczyć na nikogo poza Russem spoglądającym z niebios. Prawdę mówiąc jeszcze do niedawna czuł się wspaniale, wędrując samotnie po górach i sprawdzając swoje umiejętności. Teraz jednak przeszedł go dreszcz strachu, ponieważ wyczuwał za sobą obecność jakiejś złej istoty, która podążała jego śladami.

Ragnar przypuszczał, że po kolejnym dniu marszu dotrze do zewnętrznych zabudowań twierdzy Kosmicznych Wilków. Oczywiście jeśli nie ulegnie żadnemu wypadkowi, rozbije obóz teraz i wstanie o świcie. Mimo tej świadomości szedł nadal, kierując się światłem księżyca. Nic więcej nie mógł uczynić, choć pragnął rzucić się do biegu. Czul się jak ścigany przez myśliwych lis. Ludzka część jego duszy podpowiadała mu, że nie ma się czego obawiać i najprawdopodobniej zagrożenie, które stale odczuwał, było wynikiem przemęczenia. Jednak wilcze instynkty ostrzegały go, że jest dokładnie odwrotnie. Popychały go ku ucieczce lub walce. A Ragnar nauczył się szanować uczucia, których doświadczał dzięki swej wilczej naturze.

Bieg na oślep był fatalnym pomysłem. Gdyby uległ strachowi i puścił się pędem w tym dzikim i niebezpiecznym terenie przy tak słabym świetle, bez wątpienia uległby jakiemuś wypadkowi, który mógł okazać się fatalny w skutkach, gdyby naprawdę został zaatakowany. Najlepiej byłoby rozbić obóz, a potem korzystając z suszu, który zebrał i drewna, którego wokół było w bród, rozpalić ogień. Może płomienie odstraszą ścigającego go drapieżnika? Równie dobrze mogły go przyciągnąć, jednak warto było spróbować.

Bestia czająca się w jego duszy ponownie dała o sobie znać. Karmiła się jego strachem i napięciem, wyjąc niecierpliwie w oczekiwaniu na chwilę, kiedy będzie mogła przystąpić do działania. Nie podobało jej się, że byli tropieni. Wolą być drapieżnikiem niż ofiarą. Chciała, aby przystanęli, odwrócili się na pięcie i z bronią w ręku lub gołymi kłami i pazurami stawili czoła ścigającemu ich

wrogowi. Ku swemu zdumieniu Ragnar uświadomił sobie, że on także pragnie przejść do czynu, dziwnie podniesiony na duchu budzącą się w sercu agresją. Ucieczka w nocy, podobnie jak strach, nie działały na jego korzyść. Pozbawią go w końcu sił i sparaliżują. Z wściekłym warknięciem Ragnar przystanął, rozglądając się wokół. Niedaleko wznosiły się skały, widoczne jako ciemniejszy cień w mroku nocy.

Pośród nich znajdzie schronienie od deszczu i wiatru. Ruszył w ich stronę, zdecydowany rozpaść ognisko, a potem czekać...



Płomienie pełgały, a zapach palącego się drewna przyjemnie drażnił nozdrza Ragnara. Powoli przeżuwał znalezione po drodze jagody i grzyby, żałując, że nie ma przy sobie wody, którą mógłby je popić. Będę musiał jutro znaleźć jakiś strumień – powiedział do siebie w myślach. – Jeśli oczywiście dożyję świtu.

Unikając bezpośredniego patrzenia na ogień, które osłabiłoby na jakiś czas jego zdolności widzenia w ciemnościach, rozejrzał się ponownie wokół. Coś czaiło się w mroku. Ragnar nasłuchiwał uważnie odgłosów nocnego życia, węsząc jednocześnie. Włosy zjeżyły mu się na karku, kiedy usłyszał, jak kamyczki staczają się w dół zbocza, strącone przez czyjeś nie dość ostrożne kroki. Podniósł się cicho, chwytając włócznię i opierając się o głaz wyższy od niego co najmniej o połowę. Dzięki tej osłonie nikt nie zaskoczy go od tyłu. Cokolwiek go tropiło, niedługo stanie z nim twarzą w twarz. Jeśli

przyjdzie mu zginąć, to od ran zadanych w pierś, a nie w plecy. Taka była dola wojownika, jak powtarzał zawsze jego ojciec. Ragnar obliznął nerwowo usta, na przemian to zaciskając, to rozluźniając chwyt na włóczni.

Zapach, który wyczuł wcześniej tego dnia, stał się jeszcze mocniejszy. Było w nim coś ludzkiego i zwierzęcego zarazem, a także jakaś delikatna nuta woni wilczego futra. Teraz do jego uszu dobiegł odgłos węszenia, jakby wielka bestia badała powietrze. Ragnar zastygł w bezruchu, zaciskając dłonie na drzewcu włóczni tak mocno, że zbieleły mu knykcie. W każdej chwili był gotów rzucić się do ataku na niewidocznego przeciwnika.

Strach na chwilę go zmroził, a włosy ponownie zjeżyły mu się na całym ciele, kiedy dostrzegł wreszcie majaczący w ciemnościach kształt. Było w nim coś znajomego: przypominał człowieka. Resztki szarej tuniki, wyglądającej jak ta, którą dano kadetom, spowijały masywne cielsko. Dłonie kończyły się szponiastymi pazurami, a twarz pokrywało futro. Z pyska wystawały wilcze kły, a oczy płonęły inteligencją, głodem i wściekłością, odznaczając się niczym dwie latarnie w mroku. Bestia otworzyła paszczę i wydała z siebie niski, zwierzęcy ryk. Ragnar także bezwiednie zawarczał, odpowiadając na wyzwanie.

Miał przed sobą wilczarza. Teraz ponad wszelką wątpliwość wiedział, kto ścigał go przez cały czas. Do tej pory wyczuwał to raczej instynktownie, jednak w tej chwili zrozumiał, co było źródłem jego niepokoju i strachu. Bestia w jego duszy rozpoznała wroga na długo przed tym, nim zdołał to zrobić ludzki umysł. Potwór ponad wszelką

wątpliwość był głodny i chciał pożywić się jego mięsem. Walka będzie brutalna i bezpardonowa. Jeśli chciał przeżyć, musiał uderzyć szybko i z zabójczą precyzją, bo drugiej szansy nie dostanie. Uniósł włócznię, gotując się do ataku. Bestia w jego sercu już od dawna nawoływała, aby ruszali...

Przez chwilę Ragnar stał jednak bez ruchu. Nie potrafił zadać ciosu. Wilczarz kiedyś był człowiekiem, tak jak on. Wypił z tej samej czary co on i został wybrany przez Zakon. Przeszedł te same zmiany i ból co on. Łatwo było go zabić z imieniem Russa na ustach, zwłaszcza jeśli odda bestii kontrolę. A przecież to mógł być ktoś, kogo Ragnar znał. Może to Strybjorn, Sven albo Kjel? Czy rzeczywiście będzie w stanie zabić kogoś ze swego Szponu?

Bestia, która stała naprzeciwko, najwidoczniej także była targana podobnymi wątpliwościami. Zatrzymała się na chwilę, spoglądając na Ragnara. Potem zerknęła na płomienie ogniska i znów na człowieka. Warknęła ponownie, a jej mięśnie napięły się jak postronki. W świetle ognia Ragnar dostrzegł na ramieniu wilczarza metalowy dysk. Z przerażeniem stwierdził, że naprawdę może to być któryś z towarzyszy. Ale który?

Jego rozmyślania zostały jednak gwałtownie przerwane. Wilczarz sprężył się w sobie i skoczył. Ragnar instynktownie pchnął włócznią w jego klatkę piersiową. Długie ostrze wbiło się dokładnie w serce, przebijając żebra. Drzewce broni wygięło się i złamało pod ciężarem bestii. Siła jej skoku przyparła Ragnar do głazu, obok którego się chronił i przez chwilę spoglądał prosto w ślepie potwora. Gdy tak patrzył jak oniemiały, powróciła do nich ludzka inteligencja,

wypierając zwierzęcy szaf.

Zniekształcone wargi wygięły się i z gardła wilczarza wydobyło się jedno słowo: – Ragnar...

Ragnar spojrział na trupa z mieszaniną przerażenia i dumy. Wiedział doskonale, co właśnie zrobił: zabił wilczarza. Dokonał tego sam, w pojedynkę... Ale równocześnie pozbawił życia człowieka i zapewne przyjaciela. Odszukał dłonią bransoletę znajdującą się na jego ramieniu, mając nadzieję, że znajdzie tam znak Strybjorna.

W pełgającym świetle ogniska znak był wyraźny i dobrze widoczny. Na metalowym okręgu wyrysowano sokoła. Ragnar wydał z siebie wycie bólu i żalości, które niosło się przez lodowatą noc. Oto zabił Kjela Sokolnika, który był jego jedynym prawdziwym przyjacielem w tym nieprzyjaznym miejscu.



Rozdział 13

AKCEPTACJA



Ragnar po raz kolejny leżał w kaplicy chirurgicznej. Nad sobą widział zamaskowane twarze Kapłanów Żelaza. Maszyny, które zajmowały większą część pomieszczenia, szumiały i terkotały, a operujący go medycy recytowali swoje mrożące krew w żyłach modlitwy. Jakby tego nie było dosyć, od czasu do czasu dawał się słyszeć okrzyk bólu któregoś z kadetów, kiedy ostry jak brzytwa nóż wbijał się w jego ciało.

Stół, na którym leżał Ragnar, pokryty był jego zasychającą już krwią. Jej zapach, a także woń wszechobecnych chemikaliów, drażniły jego nozdrza. Wiedząc, że znowu nadchodzi czas bólu, po raz kolejny kurczowo zacisnął dłonie na metalowych obręczach przytwierdzonych do boków blatu. Zaczerpnął głęboko tchu, próbując opanować łomotanie serca i zachować spokój.

Odkąd powrócił do Kła, odprawiono nad nim wiele rytuałów medycznych. Kapłani Żelaza przebadali go swoimi dziwnymi urządzeniami, czasem trzymając w lodowatych objęciach maszyn przez wiele godzin. Opukiwano go różdżkami sensorycznymi, na głowę zakładano hełmy, które umożliwiały zagłębienie w głębi czaszki, a do członków przypinano kleszcze, dzięki którym można było zbadać siłę jego mięśni. Przez cały ten czas obficie go pojono i karmiono, jednak mięso i piwo, które stanowiły podstawę ich diety, miały

dziwny, jakby chemiczny smak. Jego nadzwyczaj czułe zmysły alarmowały o obecności tych nieznanymi substancji, ale Ragnar jadł posłusznie wszystko, co mu podawano, zakładając, że te dziwne składniki dodano do pożywienia dla jego dobra. Nie musiał się o nic martwić, skoro znalazł się w rękach Kapłanów Żelaza. Ci jednak nie zamierzali okazywać mu litości i bezceremonialnie poddawali go zabiegom, których przeznaczenie znali tylko oni.

On miał przynajmniej to szczęście, że żył. Podobnie jak Sven i Strybjorn, którzy powrócili o własnych siłach z górskiej tułaczki. Inni kadeci nie mieli tyle szczęścia. Włączając w to Kjela, który zginął z rąk Ragnara, pięciu z nich nie dało najmniejszego znaku życia. Minął miesiąc, odkąd wywieziono ich z fortecy i szanse na to, że którykolwiek z nich jeszcze pojawi się żywy u bram Kła, były minimalne.

Ragnar odegnał od siebie te ponure rozważania. Nie lubił myśleć o Kjelu. Sokolnik był dla niego najbliższym towarzyszem podczas szkolenia i prawie stał się jego przyjacielem. Teraz nie było go już wśród żywych. Wiele razy Ragnar budził się w środku nocy i zastanawiał się, jak musiał czuć się Kjel, który samotnie błądził po dzikiej okolicy i obserwował, jak jego ciało zmienia się nie do poznania. Czy był świadom tego, że bestia posiadała jego duszę i odmieniła wygląd? A może kiedy tylko zaczął się proces przemiany w wilczarza, Kjel stracił świadomość i do ostatnich chwil nie wiedział, co się z nim dzieje? Ragnar miał świadomość, że nigdy się tego nie dowie.

Kapłani Żelaza zapewnili go, że zmiany, które zaszły w jego ciele,

zakończyły się pomyślnie. Jego organizm przystosował się do tego czegoś, co określali jako wilczy genom i był gotów do kolejnego stadium procesu, który miał uczynić go jednym z Wilków. Teraz miano mu zaimplantować coś, co Kapłani nazywali ziarnem genetycznym.

Ragnar odetchnął kilka razy głęboko, starając się zachować spokój. Bestii nie podobało się to, co działo się wokół niej. Szczerze nienawidziła poczucia bezradności, kiedy nagi i przykuty do stołu operacyjnego zdany był na łaskę i niełaskę innych. Taka już była jej zwierzęca natura. Obróciwszy głowę, Ragnar dostrzegł, jak jeden z Kapłanów zbliża się do niego. W dłoniach ostrożnie niósł coś w rodzaju kryształowego kielicha. W jego wnętrzu pływało coś dziwnego. Był to sporych rozmiarów kawałek mięsa z masą różnych wypustek, które niepokojąco przypominały macki. Zaśpiew Kapłanów zgromadzonych wokół Ragnara stał się jeszcze głośniejszy i bardziej rytmiczny, kiedy ceremonia zbliżała się do punktu kulminacyjnego.

A więc to jest ziarno genetyczne – pomyślał Ragnar, przypominając sobie wszystkie informacje, którymi bombardowano go przez ostatnie tygodnie. To był ostatni element procesu, który miał uczynić z niego Kosmicznego Wilka. Dzięki niemu będzie w stanie dostosowywać się do różnych warunków oraz kontrolować urządzenia, które Kapłani później wprawiają w jego ciało. Nie podobała mu się ta wizja, podobnie jak wzdragał się przed włożeniem do klatki piersiowej ziarna. Wedle opowieści nosiło je w sobie wielu innych Wilków, a jego początki brały się od samego Russa. Ziarno genetyczne było właśnie bezpośrednim połączeniem między nim a czasami, gdy bogowie

stąpali po Fenrisie. Myśl o tym, że już wkrótce będzie miał w swoim ciele część boga, była dla Ragnara wielce niepokojąca. To był zarazem klucz do potęgi Wilków. Całe ich pokolenia miały w sobie część ciała Russa, co czyniło ich półbogami. I mimo swoich obaw także Ragnar już wkrótce stanie się jednym z nich!

Kapłan Żelaza podszedł jeszcze bliżej. Ragnar poczuł, jak spiżowa igła wbija się w jego ramię. Dla jego nadzwyczaj czułych zmysłów był to ból porównywalny z dźgnięciem włóczni. Jednak po chwili całe ciało poddało się chładowi i odrętwieniu, które rozplływały się żyłami od miejsca, gdzie igła przebiła skórę. Nagle poczuł się obco w swoim ciele. Miał wrażenie, jakby obserwował to, co się z nim dzieje z wielkiej wysokości, spowity w obłoki lodu, nie mając żadnej łączności ze swymi członkami.

Skóra napięta się i pękła, kiedy Kapłan Żelaza przytknął metalowe ostrze do jego piersi. Ciało ustąpiło przed metalem i ponownie popłynęła krew. Ragnar był pewien, że podobną ranę mógłby zostawić po sobie miecz, ale nadal nie czuł najmniejszego bólu. Kapłan zaczął recytować słowa kolejnej modlitwy i wykonywać skomplikowane gesty. Kiedy skończył rytuał, wyjął swoją opatuloną w rękawicę dłońią ziarno. Następnie ostrożnie włożył je do rany i zaczął przytwierdzać do żeber. Organ zadrżał, jakby był obdarzony własnym życiem, kiedy zaczął rozpościerać się wewnątrz ciała. Ragnar jeszcze nigdy nie czuł czegoś podobnego. Zdawało mu się, że ma w swoim wnętrzu jakieś żywe stworzenie. Oczyma wyobraźni widział niewielkie macki chwytające żebra oraz nerwy i zagnieżdżające się w jego ciele. Ta wizja była ostatnią, jaką zobaczył, bowiem kolejna igła

wbiła się w jego ramię i przyjemny chłód, który otumaniał zmysły, został zastąpiony parzącym gorącem i oceanem bólu. Ragnar stracił przytomność, a jego umysł zaczął spadać w czarną otchłań snu.



Ukląkł w kaplicy medytacji. Teraz czuł się znacznie lepiej. Jego pierś nie była już opuchnięta i obolała od obecności ziarna genetycznego. Blizny, które pozostawiła po sobie ceremonia implantacji, znikły w ciągu zaledwie kilku dni. Jedynie obszar, gdzie złożono ziarno, emanował bólem, ale tylko wtedy, kiedy go dotykał. A robił to dość często, jak człowiek drażniący językiem miejsce po wybitym zębie. Zdawało mu się niemożliwe, że ta rana i blizny były oznaką przychylności Russa. A jednak tak było, o czym przekonywał się przez ostatnich kilka dni.

Ragnar odegnał od siebie te myśli i skupił uwagę na Raneku. Wilczy Kapłana stał przed zgromadzonymi w kaplicy kadetami i ponownie prowadził ich przez dziwny, starożytny rytuał. Ragnar oczyścił swój umysł ze wszystkich myśli, tak jak go nauczono i przyłączył się do modlitwy. Wypoczęty i spokojny pochylił się do przodu i sięgnął po koronę wiedzy. Był to bardzo stary i dziwny metalowy diadem, który długi sznur kabla ze szkła i miedzi łączył z maszynami pamięci. Ranek wyjaśnił im, że korony zostały połączone z maszynami, w których przechowywano wiele tajemnej wiedzy, a także całą historię Zakonu. Kiedy zakładali je na głowy, otwierali

swoje umysły na strumień wiedzy, którą pompowano wprost do ich mózgów. Dzięki temu mogli uczyć się szybciej i efektywniej niż w jakikolwiek inny sposób. Ten proces trochę przerażał Ragnara. Wystarczyło przecież tylko założyć na głowę tę koronę, odmówić stosowną modlitwę i wszystkie drogocenne wiadomości same wskakiwały mu do pamięci. Słowa, obrazy, ale także dźwięki i uczucia, znajdowały sobie miejsce w jego mózgu. Ragnar wiedział doskonale, że jego własne uczucia zmieniają się pod ich wpływem, ale była to godziwa cena za taki skarb. Tak wiele się nauczył w ciągu zaledwie kilku dni. Zdobył jedyne w swoim rodzaju oświecenie i doświadczenie. Im dłużej się uczył, tym lepiej poznawał Zakon i tym bardziej chciał być jednym z Kosmicznych Wilków.

Przekonał się, że świat, jaki kiedyś znał, nie był prawdziwy. Fenris okazał się znacznie bardziej rozległym, skomplikowanym i zadziwiającym miejscem. Co więcej, był on tylko jednym ze światów, które wirowały w czarnej, międzygwiazdnej przestrzeni wokół rozpalonej kuli słońca. Jakby tego było mało, okazało się, że Oko Russa jest jedynie jednym z nieprzeliczonych milionów słońc, które stanowiły galaktykę. A wokół nich krążyły inne światy, pełne zamieszkujących je ludzi. Jednak najbardziej dziwił Ragnara fakt, że nie tylko oni żyli pośród tej ogromnej przestrzeni. Niektóre światy zamieszkiwane były przez dzikich, zielonoskórych wojowników zwanych orkami. Jeszcze inne należały do nędznych resztek pięknej i doskonałej rasy, o której mówiło się jako o eldarach. Jeden cały sektor przestrzeni opanowały demony oraz ci ludzie, którzy w swym szaleństwie postanowili im służyć.

Większość światów zamieszkałych przez ludzi zarządzana była przez Imperium, któremu służyły Kosmiczne Wilki. Władcą tego mocarstwa był Imperator, Ojciec Wszechrzeczy. Jego strzaskane ciało spoczywało w wielkiej maszynie, która podtrzymywała tłące się w nim resztki życia. Przechowywano je na macierzystym świecie ludzkości, zwanym Terrą. To właśnie Imperator dał życie Russowi i jego braciom. W imieniu Ojca Wszechrzeczy działała ogromna armia urzędników, księży, poborców podatkowych i zarządców. Nieprzeliczone wojska przemierzały na pokładach ogromnych statków pustkę przestworzy, aby wykonywać jego rozkazy. Ragnar przekonał się, że wszystkie inne rasy, królestwa i istoty w całej galaktyce były wrogami ludzkości. Nie wahały się przed niczym, były tylko zniszczyć Imperatora i jego poddanych. W całej galaktyce szalały wojny pomiędzy ludzkością i jej przeciwnikami, a w wielu z nich na pierwszej linii walczyły Kosmiczne Wilki.

Dzięki maszynom wiedzy Ragnar na własne oczy widział powstanie Zakonu i oglądał młodego jeszcze Imperatora, kiedy ten stapał po ziemi pomiędzy swymi poddanymi. Osobiście przybył na Fenrisa, żeby odnaleźć zaginionego syna. Russ podążył za nim wraz ze swoimi Kosmicznymi Wilkami, których trzon stanowili jego zaufani towarzysze. Imperator miał wielu synów, zwanych Pierworodnymi, a każdy z nich założył własny Legion, który ukształtował na własną modłę i podobieństwo przy pomocy swego ziarna genetycznego. Teraz Ragnar już wiedział, że wszyscy oni byli zwani Kosmicznymi Marines.

Potem nastąpiła tragiczna wojna domowa, kiedy to zdrajca i

heretyk, dawniej najbardziej zaufany sprzymierzeniec Imperatora, Horus, obrócił się przeciwko swemu panu. Ten straszliwy konflikt bardzo osłabił młode Imperium, doprowadził do śmierci Horusa, a Imperatora prawie pozbawił życia. Wielu spośród Pierworodnych oraz ich Marines podążyło za zdrajcą, łamiąc przysięgę wierności wobec Imperatora. Po klęsce buntownicy uciekli wraz ze swoimi popiecznikami do zniekształconego obszaru przestrzeni, znanego jako Oko Grozy, gdzie z wolna zdegenerowali się do poziomu istot niegodnych miana człowieka. Ragnar bez trudu pojął, iż ta wiedza jest przeznaczona tylko dla niego i nie wolno mu jej wyjawiać nikomu, kto nie będzie tego godzien. Jednak najstraszniejsza część nauki zaczęła się, kiedy poznał prawdę o czterech potęgach Chaosu, arcydemonach, które przysięgły się, aby zniszczyć ludzkość.

Pierwszym z nich był Khorne, Krwawy Bóg, pan rzezi, którego wyznawcy z dzikim wyciem rzucali się w najzacieklejszy bój, pragnąc ugasić we krwi swoje pragnienie mordy. Kolejnym był Tzeentch, Wielki Manipulator, który bez ustanku przemieniał ciała i dusze swych wyznawców, wprowadzając ich jednocześnie w sekrety magii. Ich kompanem był Nurgle, Władca Rozkładu i Plag, którego wyznawcy roznosili po najdalszych zakątkach galaktyki przeróżne zarazy i choroby. Najmłodszym, lecz równie niebezpiecznym bogiem Chaosu był Slaanesh, który patronował niewysłowionym rozkoszom. Teraz dopiero Ragnar rozpoznał niektórych z wrogów, jakich napotkał w trakcie swej wędrówki przez wizje za Wrotami Morkai. Z całej serca pragnął, aby sny, których wtedy doświadczył, nie były prorocत्वami tego, co ma go spotkać.

Potem poznał fakty dotyczące zniknięcia Russa oraz ogromnej krucjaty, jaką podjęły Wilki w poszukiwaniu drzewa życia. Wedle legendy jego owoce były zdolne uleczyć Imperatora. Za każdym razem, kiedy Ragnar zakładał na głowę koronę wiedzy, poznawał coraz to nowe karty z historii Zakonu, a każda z nich pełna była opowieści o honorze, odwadze i waleczności.

Jednak wrogowie, przeciwko którym stawały Kosmiczne Wilki, byli naprawdę straszni i teraz dopiero mógł w pełni zrozumieć, jak ważne było odnalezienie wojowników, którzy stawiają im czoła. Tak jak przypuszczał, wszystkie te ciężkie treningi i brutalna selekcja okazały się narzędziem służącym wybraniu najwartościowszych kandydatów. Każdy słabeusz w szeregach Kosmicznych Wilków mógł stać się przyczyną zguby całego Zakonu. W tych ponurych czasach obrońcy ludzkości, tak dzielnie stający w obronie niewinnych, nie mogli mieć żadnych wad.

Litanie i psalmy wypełniały jego umysł. Zaczynał już rozumieć słowa wielu z nich, podobnie jak cel, któremu służyły. Miały pomóc mu skupić umysł i podtrzymać siłę wiary oraz ramion. On i inni kadeci wspomagali się zatem w nauce i czynili ogromne postępy, zaś Kapłani Żelaza nadal usprawniali ich ciała.

Także te zmiany przestały być dla Ragnara otoczone nimbem tajemnicy. Obdarzono go wiedzą, która wyjaśniła przyczyny, dla których ingerowano w jego ciało. Ofiarowano mu drugie serce, które miało wspomagać jego naturalne i w razie wypadku przejąć jego funkcje. Wzmocniono mięśnie, aby były zdolne do ogromnego wysiłku. Wszczepiono specjalne gruczoły, które pozwalały mu

oddychać zepsutym powietrzem i jeść zatrute pokarmy bez szkody dla zdrowia. Zmysły stały się wyostrzone, a ciało odporniejsze na wszelkie urazy. Był w stanie wyleczyć się ze wszystkich obrażeń, które nie zabiły go na miejscu, nawet bez opieki lekarza. Jego samego nauczono podstaw udzielania pierwszej pomocy na polu bitwy, a także sposobów zabezpieczania ran po amputacji kończyny.

Teraz jego ciało okryte było czarną, elastyczną skorupą, z której wystawały przeróżnych kształtów gniazda. One miały posłużyć za zaczepy dla zbroi, którą już wkrótce zostanie okryty. Wszyscy Kosmiczni Marines nosili je z dumą, a każda była indywidualnie dopasowywana tak, że sprawiała wrażenie drugiej skóry. Najdziwniejsze dla Ragnara było to, że rozumiał te wszystkie pojęcia i potrafił opisać je słowami. Jeszcze kilka tygodni temu były przecież dla niego niemożliwą do pojęcia magią. Zaiste, wielka była moc tych starożytnych maszyn wiedzy.

Coraz więcej informacji znajdowało drogę do jego umysłu i zagnieźdżało się w nim. Poznał tajemnice broni, którą już wkrótce miał się posługiwać, a także taktyki stosowane na polu bitwy. Wpajano mu dziesięć podstawowych sposobów ataku, ale także cztery techniki obrony. Ragnar uśmiechał się z radością, pochłaniając tę wiedzę. Podczas przekazywania informacji dziwna aparatura stymulowała te ośrodki jego mózgu, które odpowiedzialne były za odczuwanie przyjemności. Tym samym, choć Ragnar o tym nie wiedział, wpajano mu czerpanie przyjemności z walki według doktryny Kosmicznych Wilków.

W końcu nadszedł czas, aby poznał organizację samego Zakonu.

Podzielono go na dwanaście wielkich kompanii, a na czele każdej stał wódz, od imienia którego nazywano podległą mu jednostkę. Istniała jeszcze jedna sfera, do której należeli wszyscy kapłani i najbardziej zasłużeni wojownicy, a dowodził nią osobiście wódz całego Zakonu. Przed oczyma Ragnara stanęła ścieżka, jaką będzie musiał pokonać, aby stać się kimś znacznym. Na razie musiał zaakceptować to, że zaliczono go do Krwawych Szponów, oddziałów młodych wojowników, którzy nie opanowali jeszcze do końca drzemiącej w nich bestii. Jeśli przeżyje, z czasem stanie się jednym z Szarych Łowców, a potem Długich Kłów, najbardziej doświadczonych, przebiegłych i najstarszych członków Zakonu.

Dzień za dniem, godzina za godziną nowe wiadomości napływały do jego głowy, pozwalając mu rozumieć coraz więcej i czyniąc go mądrzejszym. Wraz ze wzrastającą wiedzą w jego sercu rodziła się miłość i szacunek do własnego Zakonu, Russa i Imperatora.



– Unieś ramię – powiedział Kapłan Żelaza. Serwomotory zawyły, kiedy Ragnar wykonał polecenie. Obserwując go uważnie, Kapłan pokiwał głową i choć nie można było wyczytać żadnych uczuć z jego zamaskowanej twarzy, wydawał się niezadowolony. Zacieśnił zawiasy na łokciu młodzieńca, a Ragnar ku swemu zdziwieniu czuł, kiedy narzędzie ingerowało w strukturę zbroi. Było to dziwne uczucie i choć nie sprawiało bólu, to miał świadomość, że w budowie pancerza

następuje jakaś zmiana. Wiedza i doświadczenie, które wpisano do jego umysłu, podpowiadały mu, że musi oswoić się ze zbroją, a z czasem nauczy się rozumieć wszystkie wysyłane przez nią komunikaty.

– Poruszaj teraz palcami – Ragnar uczynił, jak mu kazano. Po raz kolejny Kapłan dokonał kilku poprawek. Ręka natychmiast zaczęła działać sprawniej niż poprzednio. Ragnar był bardzo zdziwiony, gdyż do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że coś było nie w porządku. Kapłan Żelaza zmówił modlitwę do duchów zamieszkujących zbroję, a potem z szacunkiem skłonił głowę. Wyglądało na to, że operacja zakładania pancerza właśnie się zakończyła.

– Możesz wstać – powiedział Kapłan Żelaza. Ragnar posłusznie podniósł się z siedziska, zajmującego centralną część kaplicy. Kiedy to uczynił, kable i dziwne urządzenia, które Kapłan zamocował do zbroi w trakcie jej montowania, cofnęły się na swoje miejsce pośród święconych zdobień. Ragnar z przyjemnością popatrzył się na siebie. Całe jego ciało zostało okryte ceramiczną stalą zbroi, a on nie czuł się w najmniejszym stopniu skrzepowany. Z początku spodziewał się, że przytłoczy go masa pancerza, ale prawdę mówiąc czuł się lżejszy i bardziej sprawny niż przed jego założeniem. Doskonale wiedział, dlaczego tak się dzieje. Serwomotory umieszczone wewnątrz pancerza wykonywały swoją pracę, pomagając mu udźwignąć ciężar swój i zbroi. Kapłana Żelaza bez wątpienia domyślił się, co było przyczyną pełnego zadowolenia uśmiechu Ragnara i powiedział:

– Powinieneś zachować ostrożność w ciągu kilku najbliższych dni. Nie zdajesz sobie jeszcze sprawy z własnej siły.

Ragnar popatrzył na niego, nie rozumiejąc, co mężczyzna ma na myśli. Na gest Kapłana mały robot służebny zbliżył się do nich. Klapka zamykająca jego niewielką ładownię otworzyła się cicho i wysunął się z niej podajnik. Na jego końcu znajdował się kamień, który Kapłan Żelaza wziął do ręki. Ragnar był zadziwiony mistyczną więzią pomiędzy robotem a jego panem. Sługa rozumiał polecenia Kapłana Żelaza, mimo że ten nie odezwał się ani słowem.

– Weź ten kamień – polecił Kapłan. – Nie obawiaj się, nie ma on żadnego specjalnego znaczenia. Zamierzam ci tylko zademonstrować, jak jesteś silny.

Ragnar wykonał polecenie, dziwiąc się jednocześnie czułości rękawic pancerza, które, choć tak grube i twarde, że potrafiły zatrzymać cios topora, nie pozbawiały go jednak wrażliwości dotyku. Czuł fakturę i kształt kamienia tak dobrze, jakby dotykał go przez cienką, skórzaną rękawiczkę. Kapłan Żelaza miał rację. Ragnar potrzebował czasu, aby się do tego przyzwyczaić.

– Zmiażdż kamień.

Ragnar spojrział na Kapłana, nie rozumiejąc, czego się od niego wymaga. Teoretycznie było możliwe, aby serwomotory zbroi wytworzyły siłę zdolną do rozkruszenia kamienia, jednak jego umysł bronił się przed taką koncepcją. Ludzie nie byli przecież w stanie miażdżyć kamieni w dłoniach.

– No, dalej! – ponaglił go Kapłan. W jego głosie pobrzmiwały nutki rozkazu, któremu nie można się było sprzeciwić. Ragnar zacisnął dłoń i natychmiast poczuł opór kamienia. Instynktownie rozluźnił palce, ale powtarzane raz za razem rozkazy Kapłana zmusiły go do

wykonania polecenia. Po raz kolejny zacisnął pięść, a kamyk pękł z głuchym trzaskiem niczym skorupka jajka. Kiedy Ragnar otworzył dłoń, zobaczył, że pozostały w niej tylko okruchy i piasek.

Odetchnął z wolna, pojmując wreszcie, jak wielką mocą dane mu było dysponować.



– Oto wasze uzbrojenie – powiedział zbrojmistrz. – Jesteście za nie odpowiedzialni. Każda sztuka została ostemplowana waszym osobistym znakiem runicznym. Będziecie w stanie zawsze rozpoznać, do kogo należy dana broń, nawet jeśli z ciała właściciela nic już nie pozostanie.

Ragnar podniósł ostrożnie swoje wyposażenie, oglądając je z zaciekawieniem. Jako pierwszą wziął do ręki broń dystansową, którą nazywano pistoletem raketowym. Była podobna do tej, którą Ranek zabił z pokładu „Włóczni Russa” smoka morskiego, tyle że mniejsza. Obok leżał miecz łańcuchowy, identyczny z tym, który nosił przy boku sierżant Hakon. W pasie, do którego przymocowana była kabura pistoletu, znajdował się także wyzwalacz kolejnej broni, zwanej mikrogranatami. Mimo że były one niewielkich rozmiarów, to jak mu powiedziano, były niezwykle potężną bronią.

– Uważajcie na nie – powiedział zbrojmistrz, pokazując im miniaturowe granaty. – Są bardzo niebezpieczne, zwłaszcza dla wrogów Zakonu lub głupców, którzy nie potrafią się z nimi

obchodzić. Teraz udajcie się za serwitorami do wyznaczonych wam strzelnic treningowych.

Ragnar rozejrzał się wokół i zauważył, że Nils, Sven i Strybjorn podobnie jak on uważnie oglądali nową broń. Wszyscy sprawiali teraz wrażenie odmienionych. Byli wyżsi, lepiej zbudowani. Czaszki ogolono im całkowicie, pozostawiając tylko jeden długi kosmyk spadający na ramiona. Ich ciała, zamknięte teraz w szarych pancerzach, wyglądały na potężne i sprawne.

Twarze kadetów, podobnie jak zapewne i jego, zdradzały dumę i zdziwienie. Wszyscy mieli to samo wrażenie, że właśnie obdarowano ich magicznym orężem rodem z legend. Potem Ragnar przyjrzał się Strybjornowi, zastanawiając się, czy przypadkiem Posepny Czerep nie będzie miał wypadku na strzelnicy. Strybjorn odpowiedział mu hardym spojrzeniem, a Ragnar zdał sobie sprawę, że jego wróg może myśleć dokładnie o tym samym.



Pistolet raketowy aż podskoczył w dłoni Ragnara. Nawet przy jego ogromnej sile, wzmocnionej jeszcze dodatkowo silnikami zbroi, odrzut broni był ogromny. Pistolet szarpał się w jego dłoniach niczym dzikie zwierzę schwyte w pułapkę.

Pocisk wystrzelony z pistoletu minął tarczę i zatrzymał się dopiero w grubej, kamiennej ścianie, która się za nią znajdowała. Pozostawił po sobie sporej wielkości dziurę, a Ragnar był zdumiony

niszczyielską siłą broni. Równie wielka jak zdziwienie była jego złość, że nie jest w stanie trafić do celu. Nie po raz pierwszy przekonał się, że wiedza teoretyczna oraz praktyka to dwie zupełnie różne i nie zawsze idące ze sobą w parze rzeczy.

O broniach wiedział już wszystko. Znał zasady ich funkcjonowania, wiedział, że pociski są w stanie przelecieć setki metrów oraz ile mieści się ich w magazynku. Teoretycznie był też w stanie rozłożyć broń na części i naprawić ją. Miał w głowie wszystkie informacje potrzebne, aby strzelać z dokładnością snajpera. Wiedział, jak ma się ustawić, które mięśnie rozluźnić, a które napiąć, jak kontrolować oddech. Mimo to nie był w stanie trafić nawet w tarczę.

– Nie przejmuj się, chłopcze – powiedział sierżant Hengist, który był ich nauczycielem strzelania. – Próbuj dalej, w końcu ci się uda. Każdą umiejętność można doprowadzić do perfekcji poprzez długie i wytrwałe treningi. A strzelać musisz umieć. Wierz mi, że był taki czas w moim życiu, kiedy nie byłem w stanie trafić nawet w otwarte drzwi stodoły. Teraz zaś...

Szybkim ruchem wyciągnął pistolet z kabury i wycelował. Broń zdawała się przedłużeniem jego ręki. Kiedy Hengist pociągnął szybko za spust, trzy pociski opuściły lufę i pomknęły w kierunku tarczy. W sercu narysowanego na niej człowieka pojawiły się trzy koncentryczne otwory.

– Kiedy się na pana patrzy, panie sierżancie, wydaje się, że to dziecinna igraszka – powiedział z zachwytem w głosie Ragnar.

– Nic nie jest takie proste, na jakie wygląda, młodzieńcze. Mistrza zaś można poznać po tym, że potrafi pokazać coś trudnego tak, jakby

było najłatwiejszą rzeczą na świecie.

Ragnar pokiwał głową. Lubił słuchać sierżanta Hengista prawie tak bardzo, jak się od niego uczyć. To była jedna z niespodziewanych zmian, jakie nastąpiły po jego powrocie do Kła i przejściu wszystkich tych bolesnych operacji. Nie był jeszcze co prawda traktowany jako jeden z Kosmicznych Wilków, ale przestał być uznawany za przedmiot, który można stracić. W jakiejś bliżej nieokreślonej przyszłości być może stanie się jednym z Kosmicznych Marines, więc stanowił już jakąś wartość dla Zakonu.

Być może też Hengist był po prostu inny niż pozostałe Wilki. Ragnar nauczył się, że wszyscy ci wspaniali wojownicy byli w dalszym ciągu ludźmi. Każdy z nich miał własny charakter. Podobnie jak mieszkańcy jego rodzinnej wsi, dawnego domu, który istniał i zniknął z powierzchni świata dawno temu, w poprzednim życiu.

Dlaczego właściwie różnorodność Kosmicznych Wilków tak bardzo go zaskoczyła? Być może dlatego, że z początku uważał ich wszystkich za jednakowych. Byli Kosmicznymi Marines, istotami lepszymi i potężniejszymi od zwykłych ludzi. Mieli wilcze kły, ślepia, a w nich ten dziwny błysk dzikości, który zawsze im towarzyszył. Cały czas chodzili zakuci w szare zbroje, które nadawały im wyglądu bardziej maszyn niż ludzi. Jednak im dłużej Ragnar ich znał, tym bardziej się przekonywał, że każdy z nich nadal był po części człowiekiem. Jego szacunek także rósł, ponieważ zdawał sobie sprawę, że wszyscy przeszli przez to samo piekło, co on, a także przez lata ciężkich walk i bojów.

– Spróbuj jeszcze raz, młodzieńcze – poradził Hengist, a w jego

głosie nie było śladu gniewu ani drwiny, z którymi Ragnar wcześniej się spotykał. – Teraz jednak nie myśl tak bardzo o tym, co robisz. Odpręż się, przestań denerwować i po prostu strzelaj. Rób to tysiąc razy, jeśli będzie trzeba, bo już niedługo od twoich umiejętności może zależeć życie innych Wilków. To tak samo pewne, jak to, że Russ uwielbiał piwo!

Ragnar pokiwał głową i po raz kolejny podniósł pistolet. Zaryzykował szybkie spojrzenie w bok, żeby sprawdzić, czy Hengist nadal go obserwuje, ale sierżant wolnym krokiem szedł wzdłuż szeregu kadetów. Podszedł do Svena i coś mu cicho tłumaczył. Ragnar odetchnął głęboko, a potem przymknął oko i nacisnął spust. Pocisk opuścił lufę z odrzutem, przemknął ponad tarczą i wbił się w mur.

Ragnar aż zawarczał z narastającej w duszy złości. Zanosilo się na to, że nauce strzelania poświęci jeszcze sporo czasu...



Szybko przeskoczył przez zwalone drzewo i ruszył dalej. Biegł ile sił w nogach przez gęste, tropikalne chaszczce. Mięsożerne rośliny usiłowały chwytać go za łydki. Jedno z pnączy wyrzuciło w jego stronę pętlę zrobioną z własnych gałęzi. Ragnar szybko rzucił się do przodu, przetoczył i stanawszy na nogi, pobiegł dalej.

Nagle tuż za nim rozległy się jakieś odgłosy. Ragnar uskoczył w bok, kryjąc się za sporych rozmiarów drzewem. Szybkim ruchem otarł pyłki z twarzy, a potem uniósł pistolet i zgrawszy szczerbinę z

celownikiem, strzelił. Pocisk poszybował przez powietrze i trafił w ścianę pnączy. Farba rozbryznęła się na boki, oznaczając ukrytą za roślinnością masywną sylwetkę Svena.

– Mam cię! – krzyknął Ragnar.

Sven z jękiem chwycił się za pierś, naciskając wyłącznik interkomu, a potem przesadnie teatralnymi gestami zaczął udawać własną śmierć. Ragnar uśmiechnął się tryumfalnie, wiedząc, że to już trzeci członek drużyny „Czerwonych”, którego osobiście wyeliminował z ćwiczeń. Jeszcze jeden i jego zespół wygra. Jeżeli i tego dopadnie Ragnar, jego drużyna wygra tylko dzięki jego umiejętnościom. Lubił ćwiczenia z bronią i świetnie się czuł w tym dziwnym, obcym miejscu. Ogromna jaskinia wypełniona była roślinnością, jaką można spotkać w dżungli. Tutaj uczono kadetów, jak sobie radzić w obcym dla nich środowisku, a także jak skutecznie wykorzystywać jego cechy do walki. Jaskinia znajdowała się głęboko pod ziemią, prawie u podnóża Kła. Przedziwne maszyny kontrolowały temperaturę i wilgotność, tak aby wszystko sprawiało wrażenie rzeczywistej dżungli. Ragnar był z siebie bardzo zadowolony. Potrafił odnaleźć się w tym obcym środowisku, a jego umiejętności w obchodzeniu się z bronią znacznie się poprawiły, dokładnie tak jak przewidywał sierżant Hengist.

– Zaraz cię dorwę – mruknął pod nosem, wiedząc, że jedynym członkiem „Czerwonych”, który pozostał w grze, był Strybjorn.

– Nie zdążysz! – dobiegł znajomy głos zza jego pleców. Ragnar obrócił się na pięcie, unosząc broń do strzału, ale było już za późno. Strybjorn stał dokładnie za nim z bronią wycelowaną w jego plecy.

Nacisnął spust, a impet kulki z farbą był taki wielki, że zwałił Ragnara z nóg. Chmura farby natychmiast przyłgnęła do jego zbroi, oznaczając go jako zabitego. Przez krótką chwilę Ragnar zastanawiał się, czy nie zignorować trafienia i nie strzelić do Strybjorna, ale poczucie honoru nie pozwalało mu na takie oszustwo. Zresztą sierżant Hengist zapewne obserwował ich poczynania przez elektryczne oczy jednej z dron, które kwitowały pod sufitem. Rozzłoszczony, nacisnął przycisk interkomu i wyłączył się z drużyny.

Zaklął pod nosem. Czekala go noc spędzona na czyszczeniu zbroi z farby. Z drugiej strony powinien się cieszyć, że w rękach Strybjorna nie było broni z prawdziwą amunicją.

Ciekawe, czy Posępny Czerep nacisnąłby spust tak samo chętnie, gdyby wiedział, że ma w magazynku ostrą amunicję? Ragnar wiedział, że na jego miejscu nie zawahałby się ani chwili.



Ragnar spoglądał na ciało Vrotwulfa. Wszędzie wokół było pełno krwi, a tył czaszki chłopaka zmienił się w miazgę. Resztki mózgu trzymały się nawet jeszcze ściany.

– Na kości Russa – wymamrotał Ragnar.

Wszystko stało się tak szybko. Jeszcze kilka chwil temu Yrotwulf siedział razem z nimi, żartował dosadnie i czyścił broń, a potem rozległ się huk i jego głowa eksplodowała niczym granat. Nieszczęśnik nawet nie zdążył krzyknąć.

Sven zbliżył się do zwłok i podniósł pistolet z ziemi. Obejrzał go dokładnie, a potem mruknął:

– Co za idiota! W środku jest przecież pełny magazynek.

Ragnar także rzucił okiem na pistolet.

– Bezpiecznik nie jest dociśnięty – dodał cicho. Kadeci popatrzyli po sobie. Ragnar zgadywał, że wszyscy myślą o tym samym. Wypadki w obozie nadal się zdarzały, inni chłopcy ginęli. Większość z nich sama prosiła się o śmierć, głównie z powodu własnej brawury i nieostrożności. Prawie wszyscy kadeci mieli ten sam problem: mimo iż posiadali ogromną wiedzę, nie zawsze potrafili ją wykorzystać. Taka była cena za dostarczenie jej z maszyny prosto do głów. Brak im było mądrości płynącej z doświadczenia. Wpojono im procedury zabezpieczania broni w trakcie jej czyszczenia, potrafili wyrecytować ją bez zająknięcia, nawet wyrwani ze snu w środku nocy. Ale większości z nich brakowało ostrożności, jakiej wymagało obchodzenie się z tak śmiertcionośnymi narzędziami. Jak zwykle różnica między praktyką a teorią była ogromna.

– Niech ktoś mądry pójdzie i powiadomi waźniaka, co się stało – mruknął Sven, patrząc znacząco na Ragnara.

– No to już, pędem! – odparł złośliwie zagadnięty. Sven warknął cicho, pokazując kły, ale wolał się nie sprzeczać. On i Ragnar mieli ostatnio kilka starć, kiedy ustała się hierarchia w stadzie, ale jak dotąd z każdej próby Ragnar wychodził zwycięsko. Nikt inny nie ośmielał się rzucać mu wyzwania, niezależnie czy chodziło o spory słowne, czy siłowe. Ragnar jeszcze raz spojrzął na leżące na ziemi ciało, zmawiając cichą modlitwę do Russa.

W dalszym ciągu się uczymy – pomyślał – choć w okrutny i bezlitosny sposób. Ciekawe, ilu jeszcze zginie, nim skończą się ćwiczenia?



Zgodnie z tym, co wiedział Ragnar, jeszcze dwóch kadetów straciło życie. Chłopak imieniem Logi wysadził się w powietrze własnym granatem kumulacyjnym w trakcie ćwiczeń z ostrą amunicją. Inny z kadetów, Hrald, po prostu przewrócił się w kolejkę po jedzenie i umarł. Serwitorzy odnieśli jego ciało do komnat Kapłanów Żelaza, którzy dokonali sekcji zwłok. Nikt nie wiedział dokładnie, co się stało, ale plotka głosiła, że chłopak umarł na skutek odrzucenia przez jego ciało ziarna genetycznego lub jednego z wszczepionych organów. Ragnar nie wiedział, dlaczego tak się działo, ale informacje, które wtłoczono mu do głowy, podpowiadały, że czasem ludzkie ciało nie przyjmowało implantów i buntowało się przeciwko zmianom, jakim je poddawano. Wtedy taki człowiek bez żadnej widocznej przyczyny po prostu umierał. To była bardzo przygnębiająca myśl, ale żaden z nich nie mógł nic na to poradzić. Jedyne, co im pozostawało, to zastanawiać się w bezsenne noce, czy im także grozi taki los. Po kilku dniach Ragnar przestał zaprzętać sobie tym głowę. Skoro nie umarł do tej pory, nie powinien marnować energii na bezsensowne rozmyślanie.

Poza tym w dalszym ciągu było tyle rzeczy, których musiał się

jeszcze nauczyć. Jego umysł był bez przerwy czymś zajęty. Co rano kadeci wstawali o świcie i maszerowali do jednej z wielkich kaplic, gdzie recytowali litanie, które wpojono im dnia poprzedniego. Po trzech godzinach spędzonych na zgłębianiu tajemnic wiary i przygotowywaniu ducha do wojny, pozwalano im wreszcie zjeść śniadanie. Nim zdążyli je porządnie przetrawić, już musieli ruszać do kolejnych zajęć. Teraz przychodził czas na naukę, nakładano im na głowy miedziane diademy i chwilę później wiedza płynęła wprost do ich głów. Podczas gdy ona zagnieżdżała się w ich mózgach, ich dusze zaczynały kochać prawdziwą, wierną miłość Imperatora, Russa i Zakon. Mimo że nie czuli fizycznego zmęczenia, opanowywało ich dziwne odrętwienie. Kiedy dochodziło południe, odpinano ich od maszyn uczących i prowadzono do zbrojowni. Przez pozostałą część dnia albo ćwiczyli sprawność ciała, albo walkę bez broni, lub też wprawiali się w celności strzelania. Co kilka dni, zależnie od tego, jakie wcześniej mieli ćwiczenia, prowadzono ich do jaskiń, w których dzięki magii maszyn Kapłanów Żelaza utrzymywano przeróżne warunki środowiska. Tam, pośród dziwnych, obcych krajobrazów, uczono ich walki w nieprzyjaznych i nieprzewidzianych sytuacjach. Ragnar szybko nauczył się rozpoznawać, kiedy będą miały miejsce takie sprawdziany, bowiem wiedzę na temat niecodziennych warunków środowiska wpajano im do głów na dzień przed testami.

Po tych zajęciach wracali do refektarza, gdzie jedli kolację. Po posiłku był czas na wieczorne zajęcia z maszynami uczącymi lub Kapłanami Żelaza. Wtedy poznawali tajniki nauki, a zwłaszcza takich jej odmian, które dotyczyły utrzymywania zbroi i broni w pełnej

gotowości i sprawności. W czasie tych zajęć kadeci poznawali także znaczenie i funkcje organów, jakie wszczepiono w ich ciała. Dzień kończył się z reguły kilkoma godzinami samotnej medytacji w celach, a potem wydawano im pozwolenie na zgaszenie światła i sen. Za każdym razem Ragnar wykonywał to polecenie z niekłamaną radością, natychmiast zasypiając, nieludzko zmęczony po wyczerpującym dniu.

Co siódmy dzień udawali się do Kaplicy Kadetów, miejsca, gdzie Ranek wyjawiał im powody, dla których przeszli szkolenie w obozach werbowników. Teraz jednak Wilczy Kapłan nauczał o chwalebnych czynach Zakonu, napędzając ich serca dumą z dokonań tych wielkich wojowników z przeszłości, których oni mieli teraz zastąpić. Czasem Ranek zabierał ich ze sobą i prowadził do nieznanym im wcześniej rejonów Kłā. Tam wyjaśniał im, czym są owe wielkie maszyny, które czasem widywali, oraz jaka jest ich funkcja i rola dla Zakonu.

Ragnar nie mógł ukryć zdumienia i podziwu, kiedy oglądał miejsca zażartych bitew, które miały miejsce w ponurych czasach, gdy siły Chaosu wdarły się do fortecy. Ranek pokazał im, jak potężne Thunderhawki odlatują w niebiosa na spotkanie ze statkami żeglującymi przez międzygwiazdną pustkę. Innym razem dane im było oglądać całkowicie zautomatyzowane fabryki, w których wytwarzano z surowców pochodzących nieomalże z samych kości ziemi broń i amunicję dla Zakonu. Szyby, z których wydobywano cenne minerały i metale, sięgały podobno do samego środka świata.

Dni z wolna zamieniały się w tygodnie, a te z kolei w miesiące. Ragnar z czasem przyzwyczał się i polubił swoją nową pozycję w

szeregach Zakonu. Poznał osobiście niektórych mieszkańców Kła, którzy nie należeli do tej samej grupy kadetów co on i przekonał się, że zaczynają go akceptować i traktować jak jednego ze swoich. Przywykł do rytmu życia w Kle i zaczął się przekonywać, że większa część fortecy nie była wykorzystywana. Jej mieszkańcy jak zwykle walczyli za Imperatora w wielu konfliktach, rozgrywających się na przeciwległych krańcach galaktyki.

Wiedzą, która okazywała się coraz bardziej przydatna, była znajomość struktury Zakonu. Teraz Ragnar wiedział już, że niezmiernie rzadko zdarzało się, żeby któraś z Wielkich Kompanii przebywała na macierzystym świecie, kiedy inna także stacjonowała w fortecy. Kiedy już któraś z nich powracała do Kła, czyniła tak tylko po to, aby uzupełnić kadetami straty w ludziach, odnowić zapasy broni i amunicji, a po krótkim odpoczynku ruszyć znów do walki. Ragnar wiedział już, że przez Kiel przepływa istny strumień wojowników i kadetów, a któregoś dnia i jego spotka zaszczyt wyruszenia do boju pomiędzy gwiazdy.

Sam już kilkakrotnie obserwował, jak kadeci przybywają z Russvik czy któregoś z innych obozów rozrzuconych po Asaheim. Zagubieni i zdezorientowani, prowadzeni byli przez Wilczych Kapłanów do Wrót Morkai, gdzie poddawano ich sprawdzianowi. Ragnar nauczył się także rozpoznawać tych, którzy trafili do Kła przed nim. Czasem zdarzało mu się spotkać w jednej z kaplic prawdziwego Kosmicznego Wilka. Byli to doświadczeni wojownicy, którzy powrócili właśnie z jakichś odległych wojen i nim podążyli znów do swoich obowiązków, postanowili przystanąć na chwilę, aby w modlitwie odzyskać spokój

ducha. Dla Ragnara były to takie chwile, kiedy niczego innego nie pragnął bardziej, niż dołączyć do starych Wilków i wraz z nimi podążyć do boju gdzieś na krańcach wszechświata. Zagadnął kiedyś jednego ze starszych kadetów i dowiedział się, że czasem trzeba było lat, nim nadszedł rozkaz wyruszenia do walki. Nie było w tym nic złego, przekonywał sam siebie, choć w sercu kłuło go poczucie goryczy. Będzie miał czas na udoskonalenie swoich umiejętności i dołożenie wszelkich starań, aby nie okryć się hańbą w boju, kiedy nadejdzie ten wielki dzień.

Żywa i płonąca do niedawna w jego sercu nienawiść do Strybjorna stała się tępym bólem, który od czasu do czasu przypominał mu o utracie najbliższych. Jednak mimo to Posępny Czerep stał się nieodłączną częścią jego życia, podobnie jak Sven, Nils czy inni kadeci. Wszystko robili razem: uczyli się, modlili i trenowali. Jasne było, że kiedy nadejdzie dzień, w którym wyruszą do boju, uczynią to razem, jako jedna sfera. I choć nie byli jeszcze w pełni Krwawymi Szponami ani nie wyznaczono im żadnego przywódcy, doskonale zdawali sobie sprawę, że ten dzień wkrótce nastąpi. Żaden z nich nie wątpił w siłę, odwagę i umiejętności swoje i kolegów. Prawdziwa walka, w której udowodnią swoją wartość, była tylko kwestią czasu.



Ranek zmierzył ich uważnym spojrzeniem z wysokości swego podium. Jego porwana bliznami twarz wyrażała dumę, która

znajdowała odzwierciedlenie tak w sercu Ragnarara, jak i na obliczach wszystkich zgromadzonych w sali kadetów.

– Dobrze się sprawiliście – powiedział w końcu Wilczy Kapłan. – Nauczyliście się wszystkiego, co staraliśmy się wam przekazać i pomyślnie przeszliście wszystkie egzaminy, którym was poddaliśmy. Zdołaliście przeżyć i stać się lepszymi ludźmi niż byliście wcześniej. Macie powody do dumy. Jednak nie osiadajcie na laurach! To wszystko, czego doświadczyliście zarówno w Kle, jak i przed przybyciem do fortecy, miało wam uświadomić, w jakim kierunku powinny podążać wasze myśli, szukające wielkiej prawdy. Życie Kosmicznego Wilka pełne jest niebezpieczeństw i stanowi jeden wielki sprawdzian ducha, w trakcie którego wojownik może zawieść na wiele sposobów. Strach lub lenistwo sprawią, że zaniechacie swoich obowiązków. Zwycięstwa w bitwie będą kusiły duszę grzechem pychy, a nienawiść do wrogów może zasiać ziarno zwątpienia wobec przełożonych i przyjaciół... – Czy Ragnarowi się zdawało, czy Ranek rzeczywiście spojrział wprost na niego, wypowiadając te słowa? – One z kolei są niczym innym jak otwartą bramą, przez którą do naszego świata mogą wkroczyć demony. Za ich sprawą dobry i sprawiedliwy człowiek staje się zły i zepsuty. To właśnie przydarzyło się wieki temu naszym dawnym braciom, a pamiętajmy, że pod wieloma względami byli oni znacznie potężniejsi od nas, silniejsi i mądrzejsi. Pamiętajcie, że wojny, w których bierzemy udział, są zarówno walkami z wrogiem z krwi i kości, jak i z tym, który zagraża naszej duszy. Niech wiara w Russa i Imperatora, Ojca Wszechrzeczy, będzie naszą tarczą. – Ranek jak zwykle przerwał na chwilę, aby dać kadetom czas na pełne

zrozumienie sensu jego słów. – Nie zapominajcie także, że istotą naszego długiego i pełnego sprawdzianów życia jest udowodnić, że będziemy godni, aby stanąć u boku założyciela naszego Zakonu w tej ostatecznej bitwie, kiedy siły Chaosu postanowią niczym smok pożreć cały wszechświat. To będą dni chwały, kiedy wybrańcy staną u boku Russa, aby bronić ludzi przed złem. Pamiętajcie o tym, kiedy w przyszłości będziecie musieli poświęcić swoje życie dla dobra Zakonu i swoich braci. Jeśli okażecie się godni, zostaniecie nagrodzeni możliwością stawania ramię w ramię z największymi bohaterami w najważniejszej bitwie. Nie może być większej nagrody dla wojownika.

– Ranek ponownie przerwał, a wszyscy wyczuli, że ma im coś niezwykle ważnego do powiedzenia. Kiedy cisza stała się już prawie nieznośna, Wilczy Kapłan odezwał się uroczystym tonem: – Zostaliście uznanych za godnych oglądania świętej Kaplicy Russa i złożenia w niej przysięgi wierności. Tym samym staniecie się prawdziwymi Kosmicznymi Wilkami. Teraz będę was po kolei wywoływał, a wy przystąpicie do ołtarza, uklękniecie, a potem złożycie przysięgę wierności Zakonowi. Będziecie mu służyć na wszelkie sposoby, po wszystkie czasy, do końca swoich dni. Wasze ciała, umysły i dusze będą odtąd należały do Kosmicznych Wilków.

To był najwspanialsza chwila w całym dotychczasowym życiu Ragnara.



Ragnar i Sven stuknęli się kuflami pełnymi ciemnego, gorzkiego piwa. Ragnar wypił większość trunku, a resztę wypluł, odrzucając głowę do tyłu. Kropelki piwa opadły mu na twarz, a on roześmiał się tylko, otarł opancerzonym ramieniem twarz i głośno beknął. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jest pijany. Piwo musiało być bardzo mocne, skoro zadziało na niego w ten sposób, mimo zdolności jego ciała do neutralizowania trucizn i toksyn. Być może siła trunku była tak wielka, że każdego innego człowieka zabiłaby na miejscu. Stąd mogły się brać opowieści o ludziach, którzy umarli po skosztowaniu piwa bogów. To jednak nie miało w tej chwili znaczenia.

Rozejrzawszy się po sali stwierdził, że jest ona wypełniona po brzegi. Chyba wszyscy mieszkańcy Kła przybyli na ucztę wydaną z okazji przyjęcia do Zakonu nowych kadetów. Ławy, wokół których zasiadały Kosmiczne Wilki, wypełniały całe pomieszczenie. Niedawni uczniowie mieli dla siebie jeden długi stół, zaś serwitorzy, pół-ludzie, pół-maszyny, bez przerwy donosili im kolejne kufle ciemnego, gorzkiego piwa i kawały dziczyzny odkrajanej z wiszących na hakach tusz upolowanych zwierząt. Błaty stołów uginały się od chleba, masła i serów. Ragnar pomyślał, że jeszcze nigdy w życiu jedzenie aż tak mu nie smakowało. Dlaczego tak było, nie widział, choć mogła to być sprawka wyczulonych zmysłów lub tego, że od dawna nie miał w ustach takich potraw.

– Jeszcze raz, Ragnarze – wykrzyknął Sven. Jego szeroka twarz była czerwona od śpiewanych na głos pijackich przyśpiewek i piwa, które wypił. – A potem spróbujemy, kto jest lepszy w siłowaniu na rękę!

– Zgoda! – odparł Ragnar, unosząc kufel w górę. Zasalutował nim Ranekowi, a ten odpowiedział mu tym samym. Za jego przykładem poszli towarzyszący mu wojownicy i nagle wszyscy zgromadzeni zaczęli ryczeć jakąś sprośną piosenkę. Ragnar, choć nie znał słów, przyłączył się do nich, przerywając nucenie pod nosem tylko po to, aby zjeść więcej mięsa i napić się jeszcze piwa.

Jedyną rzeczą, która mąciła mu radosny nastrój, była obecność Strybjorna przy stole. Wkrótce jednak nadejdzie czas porachunków. Zbyt długo odwlekał już zemstę. Ta myśl zepsuła mu humor, piwo przestało smakować, a piosenki bawić.



Rozdział 14

NA POLU BITWY



Obserwując start Thunderhawk, Ragnar mocniej zacisnął dłoń na rękojeści miecza łańcuchowego. Dysze wylotowe statku buchnęły ogniem, kiedy maszyna zaczęła nabierać wysokości. Kilka sekund później, kiedy ustawiła nos w wybranym przez pilota kierunku, dał się słyszeć głośny huk, który przypominał odgłos gromu i statek powietrzny z imponującym przyśpieszeniem zniknął za chmurami.

Ragnar rozejrzał się uważnie wokół, zaciekawiony, jak inni członkowie jego sfory dają sobie radę w nowym otoczeniu. Opuścili mury fortecy po raz pierwszy odkąd zostali przemienieni w Kosmicznych Marines i zaakceptowani przez Zakon. Nikt z młodych wojowników nie wyglądał na zdenerwowanego ani przesadnie podekscytowanego, co było dobrym znakiem, zważywszy, że była to pierwsza samodzielna misja Krwawych Szponów. Wszyscy spoglądali teraz wyczekująco na sierżanta Hengista. Ragnar podążył za spojrzeniami innych, ale ich dowódca zdawał się zatopiony we własnych rozważaniach i nie zwracał uwagi na to, co się wokół niego dzieje. Ragnar, którego aż rozpieierała energia i chęć działania, zaczął uważnie studiować wzrokiem okolice.

Sfora wylądowała w ponurej okolicy. Nie była ona co prawda tak dzika, jak górski szczyt, na którym wysadzono go w trakcie próby, ale

i tak przeprawa przez te tereny sprawiłaby większości ludzi dużo problemów i raczej zastanowiliby się dwa razy, nim wybraliby ten szlak. Wataha znajdowała się teraz na sporej polanie, położonej w głębokiej, porośniętej gęstym lasem dolinie. Wokół wznosiły się okryte śniegiem górskie szczyty, a gdzieś z daleka dobiegał odgłos szumiącej wody strumienia. Była to zapewne mniejsza odnoga rzeki, którą widzieli z Thunderhawka. Wiła się po zboczu, a potem wpadała do leżącego u podnóża góry jeziora.

Sam las, który ich otaczał, był mroczny i ponury. Czuć było zapach sosen, świerków oraz podobnych drzew, które potrafiły wytrzymać panujący tu surowy klimat. Do wyczulonych uszu Ragnara dobiegały odgłosy buszujących w ściółce leśnej małych zwierzątek i ptaków śpiewających w koronach drzew. Pierwsze promienie wschodzącego słońca przebijały właśnie szarą zasłonę chmur, rozświetlając szczyty okolicznych gór. Na horyzoncie gromadziły się czarne chmury i Ragnar zdał sobie sprawę, że nim zapadnie zmrok, nadejdzie burza. To akurat nie martwiło go zbyt, gdyż był pewien – a właściwie chciał być – że żadna zmiana pogody nie jest w stanie im zagrozić. Jednak jakiś głos rozsądku podpowiadał mu, że żaden człowiek nie jest w pełni odporny na siły natury, a ten, kto tak uważa, sam się prosi o nieszczęście. Odrobina respektu wobec pogody nigdy jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

Na tyle, na ile Ragnar był w stanie stwierdzić, w tej chwili nie zagrażało im żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo. To niestety nie musiało trwać długo. Nauczono go przecież, że walka może wybuchnąć w każdej chwili, dlatego wojownik zawsze musi być do

niej gotowy. Kto wie, jakie istoty mogłyby leżeć w zasadzce gdzieś pomiędzy pobliskimi drzewami? Może to właśnie przydarzyło się poprzedniej sforcze, która patrolowała te rejony?

Ragnar wyciągnął swój pistolet i z perspektywy celownika obserwował okoliczne drzewa. Nic nie pojawiło się w polu jego widzenia, jeśli nie liczyć wiewiórek krzątających się w korzeniach jakiegoś świerku i pieczołowicie upychających w dziurze zapasy na zimę. Nawet najmniejszego śladu zagrożenia ze strony jakichkolwiek wrogów. A może zaginiony oddział po prostu zgubił się po drodze? Albo ciężkie warunki pogodowe opóźniły jego marsz? Gdyby na dodatek przestały działać urządzenia łącznościowe, to wyjaśniałoby zaginięcie całego Szponu. Ragnar uśmiechnął się pod nosem do tych myśli. Było wielce nieprawdopodobne, aby cały oddział Krwawych Szponów, znajdujący się pod dowództwem doświadczonego Wilka, po prostu zgubił się w górach Asaheim. Posiadali przecież kompasy, lokalizatory oraz cały ten niezwykły ekwipunek łącznościowy, który nadal zadziwiał Ragnara. Zdarzały się burze promieniowania, które zakłócały bieg fal radiowych, ale jakie było prawdopodobieństwo, że wystąpiły akurat wtedy, kiedy sfera Krwawych Szponów zgubiła się w lesie? Ponadto musiałyby nagle zejść w dolinę mgła, i to naprawdę gęsta, żeby nie byli w stanie ruszyć z miejsca lub trafić na miejsce spotkania z oczekującym na nich Thunderhawkiem. Bez wątplenia coś się stało w tych górach, a oddział pod dowództwem sierżanta Hengista miał za zadanie sprawdzić, co się tu dokładnie wydarzyło.

Ragnar ponownie spojrzął na przelożonego, który, wyrwawszy się z własnych rozmyślań, oglądał tropy. Ragnar wątpił, aby po tygodniu

można było jeszcze znaleźć jakąś czytelną wskazówkę. Wszelkie wonie musiały się dawno rozpuścić w powietrzu, zwłaszcza że niedawno padał deszcz. Choć z drugiej strony niczego nie można być w stu procentach pewnym, jeśli nie sprawdzi się wszystkich ewentualności.

Inni członkowie jego sfory zdawali się równie zniecierpliwieni co Ragnar. Było ich tutaj dwunastu, tylu właśnie przeżyło szkolenie spośród tych, których wybrano razem z nim. Pomiedzy nimi znajdowali się też Strybjorn, Sven i Nils. Trochę z boku stał Lars, chłopak o dziwnym spojrzeniu i bladej twarzy, o którym mówiło się, że jeśli przeżyje, to w przyszłości zapewne zostanie Kapłanem Run. Z pozostałych Ragnar znał tylko Wulfa, Snoriego i Kezana. Wszyscy chcieli ruszyć czym prędzej, wiedząc, że każdy krok przybliży ich do kolejnego sprawdzianu. Każdy pragnął się wykazać w oczach Hengista.

Ragnar cieszył się, że to właśnie instruktor strzelania został ich dowódcą. Jego obecność miała kojący wpływ na ich nerwy, a spokój, opanowanie i wiedza płynąca z doświadczenia – cechy, których im brakowało – dawały gwarancję, że wyjdą cało z każdej opresji. Ragnar był zdania, że te cechy, które czyniły z Hengista dobrego przywódcę, muszą nadejść z wiekiem i długością kłów. Sierżanta otaczała aura jakiejś melancholii i smutku, jakby był on człowiekiem, który przeżył długo poza swoje czasy. Ragnar wiedział, że instruktorzy z Kła i Russvik byli doświadczonymi wojownikami, którzy przetrwali jako jedyni ze swoich sfor. Wszyscy przyjaciele, z którymi się uczyli, trenowali i walczyli ramię w ramię, już dawno nie

żyli, a Hengist i jemu podobni skazani byli na pamiętanie o nich i samotne życie aż po kres swoich dni. Rozejrzawszy się wokół, Ragnar stwierdził nagle, że i jego może spotkać taki los. Niech mnie Russ ma w opiece – powiedział do siebie w duchu – nie chcę tak skończyć.

Tymczasem Hengist nie tracił czasu na rozmyślenia, ale chodził to tu, to tam, sprawdzając coś z trzymanym w prawej dłoni lokalizatorem. Ragnar pojął teraz, że sierżant nie bada śladów przypadkowo, ale stara się logicznie dojść do tego, któredy udała się poprzednia sfera. W końcu, przebadawszy wszelkie możliwości i po pięciu minutach manipulacji przy urządzeniu, Hengist pokiwał z zadowoleniem głową.

Sierżant pokazał gestem, aby ruszyli za nim i cała sfera nader chętnie wykonała rozkaz. Kiedy tylko zanurzyli się w leśną gęstwinę, gdzieś z oddali dobiegł krzyk jakiegoś ptaka. Ragnar nie rozpoznał gatunku zwierzęcia, ale zaniepokoiło go to, co usłyszał. Wzdrygnął się, przeczuwając najgorsze, a kiedy spojrzał na bladą twarz Larsa, jeszcze utwierdził się w swoich obawach. Twarz chłopka była posępna i ściągnięta jakby strachem, a błyszczące oczy nabrały jeszcze dzikszego niż zwykle wyrazu.

Ragnar odwrócił wzrok. Nawet jak na normy panujące wśród Krwawych Szponów, które nie kontrolowały jeszcze do końca bestii czającej się w duszy, Lars uchodził za dzikiego.



Silniki wbudowane w zbroję Ragnara wyły, kiedy powoli, ale systematycznie wspinał się po górskim zboczu. Serwomotory i stabilizatory żyroskopowe z trudem wykonywały swoją pracę, pomagając mu zachować równowagę na niepewnym podłożu. Gdziekolwiek postawił stopę, spod ciężkich butów unosiły się tumany piachu. Mimo to Ragnar nie czuł w ogóle zmęczenia i miał wrażenie, że cały trud marszu bierze na siebie zbroja. On sam mógłby tak iść i iść przez wieczność.

Za swoimi plecami słyszał mamrotanie Svena, który, odkąd jego organizm przemienił się pod wpływem wilczego genomu, nabrał dziwnego zwyczaju mówienia do siebie. Jego umysł dziwnie się zachowywał, a sam Sven stał się bardziej ponury i nieprzystępny. Tak najwidoczniej musiało być, stwierdził w duchu Ragnar, wzruszając ramionami. Trzeba było czegoś więcej niż mamrotania Svena, aby popsuć mu dzisiaj humor. Żaden z nich zresztą nie pozostał taki sam jak kiedyś. Ragnar doskonale zdawał sobie sprawę, że i on się zmienił, odkąd przystąpił do ceremonii Czary Wilczarza. W jego przypadku przebudzenie wilczej natury sprawiło, że stał się bardziej porywczy i teraz gotów był każde, nawet najmniejsze nieporozumienie rozwiązywać za pomocą pięści. Ilekroć ktoś kwestionował jego słowa lub mu się sprzeciwiał, Ragnar pragnął rzucić mu się do gardła i pokazać, gdzie jest jego miejsce, przy pomocy brutalnej siły. Były takie chwile, gdy chęć zatopienia kłów w gardle przeciwnika stawała się prawie niemożliwa do opanowania. Tylko siła woli i starożytne litanie, których został nauczony, powstrzymywały go przed dzikim atakiem. Najgorszy był jednak fakt, że nie zauważał tych napadów

wściekłości aż do chwili, gdy mijały. Wydawało mu się naturalne, że na zagrożenie ze strony kogoś innego reagował agresją. Te zmiany w swoim usposobieniu zdołał zauważyć, ale nieraz zastanawiał się, czy były jeszcze jakieś, o których nie wiedział. Tak przecież rzecz się miała z innymi członkami jego sfory.

Sven na przykład nie zauważał tego, że cały czas mamrocze coś do siebie pod nosem. Nils co i rusz węszył, jakby spodziewał się odnaleźć w wiejącym wietrze ślad podążających za nimi wrogów. Strybjorn stał się jeszcze bardziej milczący i ponury niż dotychczas. Wyglądało na to, że każdy z nich zapłacił jakąś cenę za nadludzkie moce, jakimi ich obdarzono. Nie dość, że była ona wysoka, to jeszcze każdy musiał zapłacić ją w inny sposób, nie mogąc znaleźć wsparcia u towarzyszy. To była dziwna i niepokojąca myśl i choć mówiono im, że z czasem dostosują się do nowej sytuacji, to na razie Ragnarowi ciężko było w to uwierzyć.

Aby oderwać się od tych ponurych rozważań, zaczął przypominać sobie szczegóły zadania. Poprzednia sfera została wysłana w odległy zakątek gór, aby zbadać miejsce, na które spadł dziwny deszcz meteorytów. Takie rzeczy dosyć często zdarzały się na Asaheim, jednak tym razem dowództwo Kosmicznych Wilków uznało, że być może jacyś wrogowie Zakonu próbują się przedostać na powierzchnię planety, wykorzystując opad kosmicznego pyłu jako przykrywkę dla własnego lądowania. Ragnar nie wiedział, cóż to mogli być za wrogowie, ale już dawno nauczył się, że Wilki niczego nie robią bez ważnej przyczyny.

Przypominając sobie to, co wiedział o nadludzkich mocach, jakimi

dysponowali wrogowie ludzkości, Ragnar uznał, że Zakon bardzo dobrze robi, sprawdzając każdą podejrzaną działalność na rodzinnej planecie. Istniała przecież ogromna ilość zagrożeń, które czyhały na ludzi, powodowanych zarówno przez magię, jak i technikę. A co, jeśli na planecie wylądował szpieg, który pragnie poznać tajemnice Kłā? Być może jakieś mroczne siły szykowały inwazję na Fenrisa. Z lekcji historii, które mu wpojono, Ragnar wiedział, że takie rzeczy zdarzały się już w przeszłości.

Cokolwiek stało za dziwnym deszczem meteorów, ich oddział miał przede wszystkim odnaleźć ocalałych członków poprzedniej sfory, jeśli jacyś jeszcze żyli, a następnie udzielić im pomocy. Jeśli nikt z oddziału nie przetrwał, Ragnar i jego towarzysze mieli zlokalizować ciała, odzyskać z nich święte ziarno genetyczne i dowiedzieć się, co zabiło ich braci. Zadanie nie było łatwe, zwłaszcza że istniała możliwość, iż skończą tak samo jak poprzedni oddział.

Byli podobnie uzbrojeni i liczni, choć oni wiedzieli, że należy spodziewać się najgorszego. To była różnica, która mogła zadecydować o życiu lub śmierci. Ragnar uśmiechnął się na samą myśl o walce. Kosmiczni Marines byli do niej zawsze przygotowani. Każde zadanie należało wykonać tak, jakby zależało od niego czyjeś życie. Prędzej czy później odkryją, jaka jest prawda kryjąca się za zniknięciem braci.



Obóz rozbili nie dlatego, że potrzebowali odpoczynku, ale dlatego, że Hengist nie chciał, aby po ciemku przeoczyli jakiś ważny dla poszukiwań szczegół. Znacznie przybliżyli się do ostatniej zanotowanej pozycji zaginionego oddziału. Teraz dopiero Ragnar zrozumiał, czemu wysadzono ich tak daleko. Znajdowali się teraz w wąskiej dolinie, gdzie Thunderhawk nie mógłby wylądować. Można było dotrzeć do niej jedynie na piechotę. Poza tym wędrując przez ostępy znaleźli sporo śladów poprzedniego oddziału. Tu i ówdzie walały się puste tubki po jedzeniu, poszycie leśne zostało wyrąbane mieczami łańcuchowymi. Wszystkie te ślady świadczyły o nieostrożności i przesadnej pewności siebie. Oddział Hengista nie pozostawiał po sobie prawie żadnych śladów i choć Ragnar nie wiedział, czemu sierżant zachowuje tak daleko posuniętą ostrożność, to uznawał jednak, że lepiej być przewidującym niż później żałować zbytnej bez troski.

Obóz rozbili w dolinie. Straże rozstawiono w strategicznych punktach i nie zapalono ognisk. Wszystkie rozmowy sierżant nakazał prowadzić przez mikrofony interkomów, aby nikt nie był w stanie ich podsłuchać. Ragnar w dalszym ciągu nie mógł się nadziwić, że niewielka słuchawka w uchu pozwalała mu usłyszeć słowa wypowiedane przez towarzyszy odległych o setki metrów. Dzięki temu zadziwiającemu urządzeniu strażnicy mogli cicho ostrzec resztę oddziału, jeśli dostrzegą wroga, nie dając mu szans na zorientowanie się, że został zidentyfikowany. Każdy, kto chciałby zaatakować ich z zaskoczenia, szybko przekonałby się, że sytuacja jest dla niego wielce niekorzystna.

Ragnar zerknął na Svena, który przestał mamrotać do siebie pod nosem i na powrót stał się dawnym sobą. Wyciskał właśnie tubkę skondensowanego pożywienia do ust, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie.

– Zastanawiam się, czy wrzucają tutaj psie odchody od razu – powiedział, przełykając pastę. – Czy może mieszają je najpierw z kocimi rzygami?

Sven otarł usta i odłożył pusty pojemnik. Ragnar doskonale rozumiał, co kolega ma na myśli. Polowe racje żywnościowe zawierały w sobie wszystko, czego potrzebował do życia wojownik, ale były ohydne w smaku.

– Jeśli twoja porcja ci nie smakuje, z chęcią ją zjem – powiedział Nils. Ragnar nie był w stanie pojąć, jak ktoś tak chudy mógł zjeść tyle co ten chłopak i nie pęknąć. Sven bez wątpienia także zastanawiał się nad tym fenomenem.

– Masz ochotę na więcej tego świństwa? – spytał z niedowierzaniem.

– Owszem. Nie mam nic przeciwko żelaznym racjom. Smakują mi nawet.

Sven patrzył na niego z wyrazem całkowitego zaskoczenia na twarzy. Ragnar zauważył, że choć jedzenie mu nie smakowało, to jednak nie oddał swojej porcji Nilsowi.

– Czy jest coś, czego nie masz ochoty zjeść? – spytał w końcu Sven.

– Nie wiem. Nie znalazłem jeszcze niczego takiego, a biorąc pod uwagę możliwości mojego żołądka, wątpię, aby było na świecie coś, czego nie zdołam przetrwać.

To była święta prawda. Wpojono im nazwy wszystkich „gruczołów” i produkowanych przez nie „enzymów”, dzięki którym po przemianie w prawdziwych Kosmicznych Marines mogli jeść zwykłe drewno i pić trucizny bez najmniejszego szwanku dla zdrowia. Mimo tego, co im mówiono o zwiększonych możliwościach ich ciał, Ragnar wolał nie sprawdzać tych zdolności w praktyce.

– Ja widziałem, jak Nils zjadał szyszki po drodze – wtrącił Strybjorn.

– Tylko dlatego, że na jednej siedział duży, tłusty ślimak bez skorupy – odparł Nils z wesołkowanym błyskiem w oku. Ragnar nie był pewien, czy chłopak mówił prawdę, czy też próbował ich rozbawić. – W każdym razie wszyscy wiemy, że Sven to nie lubi jeść. Nie rozumiem, dlaczego ciągle narzeka na żelazne racje.

Wszyscy roześmieli się cicho, a Sven z rozmarzonym wyrazem twarzy dodał:

– Tak... Marzy mi się prawdziwe jedzenie. Dziczyzna, chleb, ser i mocne piwo, a nie te bobki niedźwiedzia polarnego...

– Zabiłbym za odrobinę sera – powiedział głuchym tonem Lars. Ragnar pokiwał głową, zgadzając się z nim w pełni. Cała ta rozmowa o prawdziwym jedzeniu sprawiła, że w brzuchu mu burczało, a ślina sama wypełniała usta. Pasta z tubek smakowała przez to jeszcze gorzej niż zwykle.

– Lepiej idźcie spać – powiedział sierżant Hengist, który nagle pojawił się obok nich. Nikt nie zauważył jego nadejścia i wszyscy aż podskoczyli na dźwięk jego głosu. – Kto wie, może jutro będziecie mieli okazję, żeby zabijać.



Ragnar uważnie obserwował wschód słońca. Zbliżał się właśnie koniec jego warty, ale on w ogóle nie czuł zmęczenia. Piękno widoku, który właśnie obserwował, zapierało dech w piersiach. Z początku otaczała go absolutna ciemność. Góry zdawały się plamami czerni jeszcze ciemniejszymi od otaczającej je nocy. Potem zaczęły objawiać się w całym swoim majestacie. Z początku przypominały malunki na ścianie jaskini, ale im więcej padało na nie światła, tym więcej szczegółów i głębi nabierały. I nagle, jakby znikąd, w pełnym świetle słońca objawiły się w całej krasie. Gdzieś w obozie Sven zaczął się kłócić z Nilsem, oskarżając go, że w nocy ukradł jego racje. Temat jedzenia powrócił niczym bumerang...



Schodzili w dół zbocza, kierując się w stronę dziwnie spaczonych drzew. Wszyscy milczeli, całą swoją uwagę poświęcając na obserwowanie okolicy. Ostrożnie wybierając drogę pośród zbocza, schodzili coraz niżej. Obszar, do którego zmierzali, był dziwnym kawałkiem lasu. Drzewa stały tam gęściej niż gdzie indziej, były splątane ze sobą, rzucały głębsze cienie. Zdawało się, że pokryte są liszajem i trapi je jakaś plaga. Hengist obejrzał dokładniej okolicę przez lornetkę, a potem powiedział:

– Rzeczywiście, ten las jest jakiś dziwny. Urlek jednak nic o nim nie wspominał w swoim raporcie.

– Drzewa wydają się chore – powiedział Ragnar.

– Nie mów o nich głośno – wyszeptał mu do ucha Sven. – Jak Nils usłyszy, to zaraz będzie chciał je zjeść!

Ragnar uśmiechnął się pod nosem, ale nadal uważał, że las trapiiony jest chorobą. Drzewa były powyginane i pokurczone niczym ludzie, którzy zapadli na jakąś plagę. Rośliny zdawały się gnić i umierać, a ich kora pokryta była dziwnymi, fluorescencyjnymi grzybami. Ich blask był na tyle silny, że można go było dostrzec nawet w promieniach słońca, które przebiły się przez korony drzew. Ragnar jeszcze nigdy w życiu nie widział czegoś takiego.

Rozejrzawszy się wokół, zauważył, że także inni byli zaniepokojeni całą sytuacją. Twarz Larsa wykrzywił jakiś dziwny grymas. On także wyczuwał niebezpieczeństwo. Dziwna woń, która unosiła się w powietrzu, budziła jego niepokój. Cała okolica śmierdziała zgnilizną, rozkładem, a także czymś jeszcze, czego nie potrafili nazwać, ale od czego jeżyły im się włosy na karku. Sierżant Hengist także zdawał sobie sprawę z nienaturalności otoczenia. Otworzył komunikator i kanałem szerokopasmowym zaczął składać raport. Kiedy nawiązał kontakt z operatorem w Kle i rozpoczął opisywanie sytuacji, zaczęły się zakłócenia. Energia elektryczna aż iskrzyła, a Ragnar miał wrażenie, że same drzewa próbują nie dopuścić, aby oddział nawiązał kontakt z bazą. Odrzucił jednak tę dziwną myśl. Jakże to mogło być możliwe, aby rośliny zakłócały łączność radiową? Jednak w głębi duszy wiedział, że coś takiego mogło się zdarzyć, ponieważ maszyny

uczące wpoły mu wiedzę o znacznie dziwniejszych rzeczach, na które natknęły się już kiedyś Kosmiczne Wilki.

Ragnar nie miał pojęcia, co sierżant postanowi teraz zrobić. Mogli wycofać się na wyżyny i stamtąd próbować nawiązać łączność albo od razu zejść w dolinę chorych drzew, żeby zbadać sprawę. Przez chwilę Hengist zdawał się zastanawiać nad decyzją, ale potem gestem nakazał im iść do przodu. Mieli sami zbadać tę sprawę.



Dotarli wreszcie do ostatniego miejsca, w którym nawiązano kontakt z zaginioną sforą. Później skomplikowane systemy lokalizacyjne Kia nie były już w stanie namierzyć zaginionych. Ragnar rozumiał teraz, dlaczego. Kręta ścieżka prowadziła pomiędzy chorymi drzewami i kończyła się u podnóża górskiego zbocza. W jego ścianie ziało czernią wejście do jaskini.

Sierżant gestem nakazał Ragnarowi, aby sprawdził teren. Ściskając mocniej rękojeść broni, Ragnar ruszył do przodu, idąc tak ostrożnie, jakby zbliżał się do otwartej paszczy smoka, która lada chwila może go pochłonąć. Im bardziej zbliżał się do pieczary, tym mocniejszy stawał się bijący z niej smród, a nerwy Ragnarowi napięte były jak postronki. W jakiś dziwny sposób wyczuwał, że w mroku może czaić się coś dziwnego, złego i zdradzieckiego. Zupełnie jakby pod osłoną ciemności znalazło schronienie coś, co było odpowiedzialne za całą otaczającą ich zgniliznę i zepsucie.

Krok za krokiem Ragnar zbliżył się do wejścia jaskini i zajrzał do wnętrza. Nie dostrzegł tam nic oprócz długiego korytarza, prowadzącego w dół do wnętrza ziemi. Grota niepokojąco przypominała gardziel jakiegoś zwierzęcia.

- + Widzisz coś dziwnego? + - spytał przez interkom Hengist.

- + Tylko tunel + - wyszeptał Ragnar.

- + W takim razie wchodzimy + - zdecydował sierżant.

Ragnar obawiał się, że padnie taki rozkaz.



Rozdział 15

W CIEMNOŚCIACH



Ragnar rozejrzał się uważnie w otaczającym go półmroku. Przymocowana do obojczyka lampa rzucała długi promień światła na wprost, ale jedyne, co mógł jak do tej pory dostrzec, to ściany jaskini. Mimo wszechobecnego spokoju i ciszy miał przeczucie, że już wkrótce znajdzie się w ogniu walki. Oglądając jaskinię, miał nieodparte wrażenie, że coś w niej było nie tak. Jego wyczulone zmysły ostrzegały go przed niebezpieczeństwem, choć nie był w stanie zidentyfikować jego źródła. Z całych sił nasłuchiwał, ale oprócz szumu zakłóceń z interkomu nie był w stanie wyłowić żadnych dźwięków, które świadczyłyby o zbliżającym się zagrożeniu. W tej chwili najbardziej martwił go brak łączności. Z jakichś niewyjaśnionych przyczyn, być może z powodu radiacji, mającej swe źródło w otaczających skałach, ich komunikatory nie działały. To było poważne zagrożenie. W czasie wszystkich misji treningowych, w których Ragnar wziął udział, co krok przekonywał się, że sprawna komunikacja pomiędzy członkami oddziału była kluczowa dla jego skutecznego działania.

– A to co? – mruknął Sven. Ragnar dostrzegł, że jego towarzysz przystanął, pokazując lufą pistoletu na coś, co leżało zagrzebane w piachu pokrywającym podłogę tuneli. Sven ostrożnie przesunął się w stronę znaleziska i pochylił się nad nim, aby je zbadać. Ragnar nadal

bacznie obserwował ciemność przed nimi, gotowy do strzału, gdyby ktoś lub coś wybrało ten moment na atak. Podsunął się jeszcze bliżej, aż zrównał się ze Svenem i obaj mogli w razie niebezpieczeństwa zasypać gradem pocisków korytarz przed sobą. Dopiero wtedy Ragnar zaryzykował spojrzenie na znalezisko. Spomiędzy kamieni i piachu wystawał fragment płyty *ceramicznej*. W białobłękitnym świetle wyglądał dość blado, jednak i Sven, i Ragnar wiedzieli, że mają przed sobą fragment zbroi identycznej jak te, które nosili na sobie. Kawałek, który znaleźli, był chyba kiedyś pancerzem piersiowym. Ragnar z zadziwiającym dla samego siebie spokojem zauważył fragment wizerunku wilczego łba na stali ceramicznej.

Przeniósł wzrok na ciemny korytarz i zajął pozycję odpowiednią do obrony. Ugiął lekko nogi, ręce ułożył tak, aby w razie konieczności móc prowadzić ogień ciągły. Te czynności wykonał niejako automatycznie, bowiem całą uwagę poświęcił myśleniu o kawałku zbroi, który znalazł Sven. Ich sytuacja ze złej zmieniła się w jeszcze gorszą. Nie było chyba na świecie broni zdolnej do rozerwania pancerza Kosmicznego Marine, chyba że pochodziła ona od istot równych *mocą* Wilkom. Żadne zwierzę czy najpotężniejsza nawet lawina kamieni nie byłaby w stanie pozbawić życia jednego z członków Zakonu. Chyba że właściciel tej zbroi żył nadal, uwięziony gdzieś w podziemnych pieczarach.

Tutaj z kolei rodziło się kolejne pytanie: czy Ragnar znał osobę, która nosiła zbroję, z której pochodził znaleziony przez nich fragment? Czy to były resztki jednego ze starszych Krwawych Szponów, który został przyjęty do Zakonu przed Ragnarem? Ragnar

zaprzyjaźnił się z kilkoma z nich, kiedy przebywał w Kle. Nieświadomie zaczął odmawiać jedną z modlitw. Jej słowa przesuwaly się w jego myślach, działały kojąco niczym starzy przyjaciele, mówiący mu, że nie ma się czym martwić. Stosując się do zaleceń z tych antycznych litanii, odegnał rozpraszające go *myśli*, skupił się *na misji* i uważnie studiował otoczenie. W miejscu tak nieprzyjaznym, jak ta ciemna jaskinia, recytowane w myślach słowa wydawały się jeszcze mądrzejsze.

Ragnar zastanowił się, jak daleko zagłębili się w kompleks jaskiń. Zdawało mu się, że przebyli wiele mil, klucząc po podziemiach, kierowani słabnącym z każdą chwilą śladem. Według urządzenia pomiarowego, które wbudowano w but jego zbroi, przebyli pięć przecinek zero standardowego kilometra imperialnego. Te dane nie mówiły mu jednak, jak głęboko naprawdę znaleźli się pod ziemią. Równie dobrze korytarze mogły się ciągnąć do samego jądra Fenrisa, jak i biec tuż pod jego powierzchnią na wielokilometrowe odległości. Żaden z nich nie miał w tej chwili możliwości stwierdzić, jaka była prawda.

Pewne było natomiast, że zapach tego miejsca należał do najobrzydliwszych, jakie Ragnar znał. W zimnym powietrzu unosił się smród rozkładu, a pod jego wpływem kły same wysuwały się z dziąseł. Miał ochotę zagłębić je w ciele pierwszej napotkanej na swej drodze istoty. To miejsce sprawiało, że bestia w jego duszy wyła z wściekłości. Tylko obecność innych członków sfory sprawiała, że nie tracił panowania nad sobą.

– Stal ceramiczna – powiedział rzeczowym tonem Hengist. –

Wygląda na to, że ktoś użył ostrza z wzmocnionej stali, żeby przebić zbroję. Sugerują to gładkie krawędzie pęknięcia. Wielce interesujące.

W głosie sierżanta nie było słyhać jakichkolwiek emocji. Można było odnieść wrażenie, że ocenia jedną z dron bojowych, które znajdowały się w salach ćwiczebnych Kła.

– Nie słyzałem, żeby tubylcy mieli kuźnie, w których można byłoby wykuwać wzmocnioną ceramicznie stal.

– Może to nie oni tutaj mieszkali – odparł sierżant.

– Kto w takim razie?

– Przekonamy się. Ruszajmy dalej. Ragnarze, dobrze sobie radzisz na szpicy. Prowadź oddział.

– Tak, sierżancie.

Ragnar ruszył dalej, zagłębiając się w pajęczą sieć tuneli.



– Wygląda mi to na jakiś dziwny magazyn – powiedział Ragnar, rozglądając się po sporych rozmiarów jaskini. Szare ściany o nierównej powierzchni pięły się wysoko i zamykały strzelistym sufitem daleko ponad ich głowami. Sklepienia sali nie było widać, spowijała je ciemność, której nawet lampy przymocowane do pancerzy nie potrafiły rozproszyć. Czerwone plamy rdzy pokrywały ściany na podobieństwo zaschniętej krwi. Ragnar wątpił, aby jaskinia była całkowicie naturalnym tworem. Ściany były zbyt regularne, a piach, po którym stąpali, znacznie suchszy od tego, który zaścielał

podłogi w innych częściach kompleksu. Jakieś dziwne, podobne nietoperzom istoty poderwały się do lotu, uciekając przed światłem. Prawie tuzin lamp pobłyskiwał w mroku, kiedy oddział zaczął dokładnie przeszukiwać jaskinię. Długie cienie niepokojąco tańczyły na ścianach Jedynymi dźwiękami, jakie towarzyszyły Kosmicznym Wilkom, były szum serwomotorów i trzepot skrzydeł dziwnych, latających istot. Wszędzie wokół pod ścianami poustawiane były duże, gliniane urny. Ragnar zbliżył się do jednej z nich, zastanawiając się, czy powinien zdjąć zamykającą ją przykrywą. Hengist wyręczył go, jednym ciosem rozbijając naczynie. Z jego szczątków wysypało się ziarno, a do nozdrzy Ragnara dobiegła woń zgnilizny.

– Wygląda na to, że miałeś rację – przyznał sierżant. Ragnar obrzucił spojrzeniem resztę sfory, która przeszukiwała pomieszczenie. Było w nim, podobnie jak w całym kompleksie jaskiń, coś bardzo dziwnego. Część pieczar była bez wątpienia naturalnego pochodzenia, inne zostały wykute ludzką ręką. Ragnar był gotów przysiąc, że widział stempel ze stali ceramicznej, zamknięty w skalnej kolumnie. Pokazał go sierżantowi.

– Przyjrzyj się temu dokładniej – polecił Hengist. Ragnar znalazł sobie dogodne miejsce do zaczepienia dłoni i stóp, a potem zaczął wspinać się na górę. Woń starych odchodów uderzyła w jego nozdrza. Bez wątpienia natrafił na leże zamieszkujących jaskinię dziwnych stworzeń. Nie przejmując się tym, wspinał się dalej, mijając po drodze jeszcze kilka takich gniazd. Reszta sfory uważnie obserwowała jego wysiłki, przyświecając mu lampami.

Kiedy Ragnar dotarł wreszcie do sklepienia jaskini, okazało się, że

niewiele się pomylił. Jego przypuszczenia okazały się słuszne i sufit podtrzymywany był przez zbrojenie ze stali ceramicznej. Widać było na nim ślady rdzy, a w niektórych miejscach metal skorodował już doszczętnie. Dzięki wiadomościom, które wpojono mu w trakcie nauki, Ragnar zdał sobie sprawę, że jaskinia musiała być naprawdę starożytna. Stal ceramiczna całymi wiekami mogła opierać się wpływowi pogody i wilgoci. Ragnar ostrożnie zszedł na dół i zdał raport Hengistowi.

– Wygląda na to, że znaleźliśmy jakieś leże Starożytnych – powiedział sierżant. – Co więcej, nie jesteśmy tutaj pierwsi.

Ragnar spojrzał na niego zaciekawiony.

– Ludzkość przybyła na Fenrisa już dawno temu – wyjaśnił Hengist.
– Planeta była zamieszкана na długo przed pojawieniem się Russa i nastaniem ery Imperium. Pierwsi osadnicy musieli zasiedlić sieć jaskiń, szukając schronienia przed szalejącymi żywiołami i niebezpieczeństwami Epoki Upadku.

Ragnar pokiwał głową. To miało sens. Jaskinie były naturalnym schronieniem przed zimnem, wichrem i burzami meteorytów. Ta część Asaheim była geologicznie stabilna, co oznaczało, że nie występowały tutaj trzęsienia ziemi. Pozostawało tylko jedno pytanie: skoro pieczary okazały się tak doskonałym schronieniem, dlaczego je opuszczono? Ragnar spytał o to Hengista, a sierżant w odpowiedzi krzywo się uśmiechnął.

– W sumie to tylko legendy, ale mówią one, że w tych skałach obecna jest jakaś prastara siła, która potrafi zmieniać ludzi. Mieszkańcy tych grot okazywali się bardziej podatni na wpływy

Chaosu. Według jednych owa siła była naturalna, według innych miała być pozostałością jakiejś straszliwej, starożytnej broni. Nikt nie wie na pewno, jaka jest prawda. Ostatecznie podziemne miasta zostały opuszczone, a sam Russ podobno zakazał ludziom mieszkać pod ziemią.

– Jak widać, ktoś zlekceważył jego nakazy – mruknął Ragnar.

– Tak – przyznał Hengist. – Zawsze znajdą się chętni do łamania prawa i zakazów, choćby tylko dlatego, że nie wolno tego robić. To żałosna część ludzkiej natury.

Ku zaskoczeniu Ragnara, on sam po części rozumiał ludzi, którzy mogliby chcieć mieszkać w tych jaskiniach. Były one idealnym schronieniem przed zagrożeniami takimi jak burze, wichry czy śnieżyce. Często zakazy prawne i moralne musiały ustąpić przed potrzebą dnia codziennego. Ragnar zatrzymał dla siebie te myśli. Zdawało mu się zresztą, że te dziwne przemyślenia nie pochodzą całkowicie od niego. Być może jakaś obca siła próbowała zyskać na niego wpływ? Odrzucił jednak to przypuszczenie, uznając je za całkowicie bezzasadne.

– Musimy iść dalej, jeśli chcemy odnaleźć naszych zaginionych braci – powiedział Hengist.



Z tunelu przed sobą Ragnar słyszał ustawiczne kapanie kropli wody, które spadały z sufitu jaskini do jakiegoś podziemnego jeziora.

Jednak kiedy minął zakręt i dostrzegł żółtawą poświatę rozpraszającą ciemność, nie mógł ukryć zaskoczenia. Przyciemnił swoją lampę, a potem nakazał idącym za nim członkom sfory przystanąć. Wolno opadł na kolana, a następnie zaczął czołgać się w kierunku źródła światła.

Tunel stopniowo się zężał, a jego podłoga wznosiła się. Ragnar w jednym ręku trzymał gotowy do strzału pistolet, a drugą pomagał sobie przy poruszaniu. Kiedy jego oczy znalazły się ponad poziomem progu wejścia prowadzącego do kolejnej jaskini, ujrzał niecodzienny widok.

Spoglądał na dużych rozmiarów pieczarę z otworu, który znajdował się wysoko w skalnej ścianie. Poniżej znajdowało się spore podziemne jezioro. Jego wody były czarne niczym smoła, ale pływające w nich porosty świeciły żółtawym blaskiem – to z nich brała się dziwna luminescencja. Po powierzchni jeziora od czasu do czasu rozchodziły się nieregularne fale. Ich źródłem były zwisające z sufitu jaskini stalaktyty i kapiąca z nich dziwna ciecz. Ragnar miał niepokojące wrażenie, jakby wraz z oddziałem znalazł się w brzuchu jakiejś bestii. Cała ta dziwna góra sprawiała złowrogię wrażenie, a oni zagłębiali się w jej trzewiach. Wzdrygnął się na samą myśl i postąpił kilka kroków do przodu. Piach spod jego buta osunął się w dół i z cichym pluskiem wpadł do wody.

Ragnar dał ręką znak, a Sven i Strybjorn podbiegli i zajęli pozycje u jego boków. Zabezpieczał ich, gdy schodzili w kierunku brzegu dziwnego jeziora. Ragnar czekał w napięciu, jakby spodziewając się, że z czarnych i nieprzejrzystych wód wyskoczy zaraz jakiś potwór i

pochwyci dwóch młodych Marines w swoje macki. Nic takiego się jednak nie stało. Do jego uszu dobiegał jedynie odgłos kapiącej z sufitu wody, kroków na mokrym piachu i cichy dźwięk serwomotorów pomagających utrzymać równowagę biegnącym po nierównym terenie Wilkom.

Sven i Strybjorn szybko zbadali salę, węsząc i zaglądając we wszystkie podejrzane zakamarki. Kiedy się w końcu przekonali, że nie czai się tam żadne niebezpieczeństwo, gestem wezwali resztę oddziału. Jeden po drugim Krwawe Szpony zaczęły opuszczać się po zboczu. Na końcu do sali wszedł sierżant Hengist. Kiedy wszyscy stanęli już na dnie jaskini, Ragnar opuścił swoją pozycję i dołączył do sfory.

– To beznadziejne – dosłyszał marudzenie Svena. – Nigdy ich tutaj nie znajdziemy. Równie dobrze mogli tu w ogóle nie dotrzeć. – Splunął poirytowany przed siebie. Flegma wpadła do wody z cichym pluskiem.

– Będziemy szukać, dopóki nie ustalimy, co się stało z naszymi braćmi – powiedział Hengist, którego uszy miały zaskakującą zdolność wychwytywania nawet najciszej wypowiedzianych słów. – To nasz obowiązek. Kosmiczne Wilki nie pozostawiają swoich na polu walki.

– Tak jest! – odparł Sven. – Zrozumiałem. Ale i tak to miejsce mi się cholernie nie podoba. Ta sadzawka wygląda tak, jakby za chwilę miała z niej wyskoczyć cała rodzina trolli. – Jakby na potwierdzenie swoich słów kopnął kamień, który poszybował łukiem i z pluskiem wpadł do wody.

Ragnar nawet ucieszyłby się, gdyby z wody wychyły wspomniane przez Svena potwory. Dzięki nim zapomnieliby o narastającym w sercu napięciu i zdenerwowaniu. Całe to miejsce sprawiało wrażenie nawiedzonego, a Ragnar przez cały czas czuł się obserwowany przez małe, niewidoczne oczka. Skóra mu cierpła, a sierść jeżyła się na karku, ale mimo to nic się nie działo. Być może za bardzo folgował swojej wyobraźni, ale gdzieś w głębi duszy wiedział, że przecucie go nie myli.

– To cholerne morze – powiedział Sven, starając się, aby ta uwaga zabrzmiała jak żart. Może powinniśmy wyciągnąć wędkę i zacząć łowić ryby na kolację?

– Nie zjadłbym niczego, co pływa w tym jeziorze – mruknął cicho Lars. – Nie radzę też nikomu pić tej wody.

Ragnar musiał się z nim zgodzić. Coś w jego sercu burzyło się na samą myśl o tym podziemnym jeziorze i pływających w nim świecących wodorostach. Z miejsca, w którym stał, nie był w stanie dostrzec drugiego końca jeziora, a kiedy na nie spoglądał, miał wrażenie, że za chwilę z jego odmetów wynurzy się monstrualny łeb. Ciekawe, czy morskie smoki mają jakichś mniejszych kuzynów, którzy zamieszkują takie podziemne zbiorniki wodne? Ta myśl trochę go nawet rozbawiła, choć z drugiej strony ustawicznie łapał się na tym, że co kilka chwil łypie w stronę czarnej wody, aby upewnić się, czy nie wyłoniła się z niej jakaś złowroga istota. Woń dobiegająca od innych członków watahy mówiła mu, że i oni się denerwują. Mimo to każdy z nich starał się nie pokazać po sobie emocji.

Nie dawała mu spokoju świadomość, że poprzednia wataha Wilków

nigdy nie wyszła z tych jaskiń. Ragnarowi wydawało się, że od czasu do czasu słyszy odgłos tupotu niewielkich stóp, ale ilekroć próbował wyłowić jakiś bardziej charakterystyczny dźwięk, nie udawało mu się. W końcu uznał, że to zapewne echo odbijające się w korytarzach, którego źródłem są jakieś naturalne czynniki.

Ku jego zdziwieniu sierżant Hengist wycofał się do wejścia, a potem po cichu zaczął wydawać każdemu z Krwawych Szponów jakieś rozkazy. W końcu zbliżył się także do Ragnara i wyszeptał mu do ucha:

– Wyłącz lampę. Ty i ja zostaniemy tutaj, żeby sprawdzić, kto się skrada naszym śladem.

Ragnar pokiwał głową na znak, że rozumie rozkaz i wykonał polecenie. Po raz kolejny przekonał się, że jego wilcze instynkty nie zawiodły. Ta świadomość dała mu sporo ponurej satysfakcji.

Jego oczy sprawnie i szybko przystosowały się do mroku. Fosforyzujące glony dawały dość światła, żeby i bez pomocy lampy mógł obserwować wejście do jaskini. W oddali światła lamp oddziału znikwały powoli za zakrętem, a odgłosy ich kroków docierały do uszu Ragnara jako słabe echo. Strach i ekscytacja na przemian brały we władanie jego serce. Wiedział doskonale, że kiedy tylko rozpocznie się walka, jego towarzysze rzucą się im na pomoc, ale czy zdążą na czas?

Obecność Hengista, który ukrył się tuż obok, była bardzo uspokajająca. Sierżant miał za sobą wiele bitew i wypraw, a jego doświadczeniu można było zaufać bez wahania. Ragnar był zadowolony, że ma okazję stać u jego boku, zwłaszcza że zbliżała się pierwsza bitwa od tej tragicznej nocy, kiedy napadnięto jego rodziną

wieś. Ragnar z wolna się uspokajał, recytując w myślach litanie, których nauczone go w trakcie szkolenia w Kle. Oczyszczyły one jego umysł z trosk i obaw, które mogły mu przeszkodzić w walce. Prosił Russa i Ojca Wszechrzeczy, aby uczynili jego ramiona silnymi, a oczy bystrymi. Niech jego miecz będzie śmiertcionośny, a pistolet nigdy nie chybia. Przed oczyma rozbłysły mu ikony stanu gotowości pancerza energetycznego, kiedy zbroja uruchamiała kolejne systemy bojowe. Ragnar był gotów do walki.

Jednak czy na pewno do niej dojdzie? – zastanawiał się w duchu. Cały czas nasłuchiwał, ale nawet jego wyczulone zmysły nie były w stanie wykryć najmniejszego znaku zbliżających się wrogów. Być może Hengist jednak się przesłyszał? Coś w duszy Ragnara podpowiadało mu, że *niestety* tak nie jest. Zmysły sierżanta były znacznie czulsze niż jego, a ponadto miał on więcej wprawy w interpretowaniu dostarczanych przez nie danych. Tak doświadczony weteran jak sierżant nie popełniał błędów, a poza tym jakiś zwierzęcy instynkt podpowiadał Ragnarowi, że niebezpieczeństwo się zbliża i jest tuż, tuż. Bestia, wyczuwając nadchodzące zagrożenie, przygotowywała się do walki. Nagle Ragnar poczuł zadowolenie, że dzieli z nią swoją duszę. Był szczęśliwy, że wszystkie organy, które mu wszczepiono, działają, zaś treningi odbyte w Kle nauczyły go, co robić w takiej sytuacji. Czuł się silny i pewny własnej potęgi. Żaden zwykły śmiertelnik, który ośmieliłby się stanąć mu na drodze, nie miał szans w starciu z Kosmicznym Wilkiem i jego potężną bronią. Jednak jakaś zimno i trzeźwo myśląca część jego duszy przypomniwała mu, że jego bracia, którzy zaginęli w tych jaskiniach, także byli

doskonale wyekwipowani. Mimo to nie wrócili, a wszelki słuch po nich zaginął. Dobry nastrój natychmiast go opuścił.

Ruch dłoni sierżanta odciągnął uwagę Ragnarą od tych ponurych rozważań. W całkowitej ciszy Hengist pokazywał mu coś, co zauważył. Chwilę później Ragnar dosłyszał tupot bosych stóp na mokrym, piaszczystym podłożu. Teraz zyskał pewność, że sierżant miał rację. Byli śledzeni.

Ragnar zacisnął dłoń na rękojeści pistoletu, szykując się do starcia. Mięśnie naprężyły się, gotowe do skoku i walki, gdy nadejdzie najlepszy moment na atak. Leżący tuż obok sierżant także czekał na odpowiednią chwilę. Ragnar wpatrywał się w ciemność korytarza, aż w końcu dostrzegł wylewającą się z niego falę ludzkich postaci. Istoty poruszały się cicho, pewnie i jak rzeka występująca z brzegów po powodzi wybiegły z tunelu.

Strach chwycił Ragnarą za serce, kiedy zobaczył, że iloma przeciwnikami przyjdzie mu się zmierzyć. Musiała ich iść za Wilkami co najmniej setka. Jakże mogli we dwóch dać sobie z nimi radę? W milczeniu zmówił modlitwę do Russa i Imperatora, powierzając im swoją duszę. Nagle Hengist ruszył do przodu, a coś przeleciało tuż obok głowy Ragnarą. Chwilę później jasny rozbłysk wypełnił całą salę światłem, a potworny huk omal nie rozsadził Ragnarowi uszu.

W jednej chwili pojawił się sierżant. Korzystając z tego, że przeciwnicy tłoczyli się w przejściu, cisnął w środek grupy granat. Teraz, kiedy huk eksplozji minął i zgasł oślepiający błysk, Ragnar dostrzegł ogrom rzezi, jaka się przed chwilą dokonała. Ciały zaścielały podłogę, a w piekielnym blasku dopalającego się fosforu zobaczył

istoty, z którymi przyszło mu stanąć do walki. Małe, zniekształcone, ale przypominające kształtem ludzkie ciała musiały należeć do karłów.

Z wyglądu przypominały bardziej zwierzęta niż ludzi. Ciała, choć humanoidalne, bardziej kojarzył się z małpami. Ich skóra miała białawy odcień, pokryta była wypryskami, znamionami i stygmatami mutacji. Ragnar przypomniał sobie schorowane, zakażone drzewa, otaczające wejście do jaskini i uświadomił sobie, że w pewien sposób te stwory były do nich podobne.

Jednak najstraszniejsza była dla niego świadomość, że karły, choć zniekształcone i przerażające, bez wątplenia kiedyś musiały być ludźmi. One, czy raczej ich przodkowie, musieli przypominać kiedyś krewnych Ragnara. Co się im przydarzyło, że stoczyli się tak głęboko w otchłań degeneracji? Jak długo to trwało, nim stali się rasą bytujących pod ziemią potworów? Za jaką przyczyną spotkał ich taki los? Czy jakieś potężne zaklęcie, działające na wszystkich mieszkańcach jaskiń przemieniło ich w bestie, czy też stygmaty Chaosu wywierały na nich coraz większy wpływ z pokolenia na pokolenie, aż w głębinach ziemi narodziła się zupełnie nowa rasa, niepodobna już do ludzkiego rodzaju?

Te rozważania nie były jednak w tej chwili ważne. Na oczach Ragnara karły, pomimo szoku wywołanego niespodziewanym atakiem z zasadzki, zebrały się ponownie i ruszyły do natarcia. Na własne nieszczęście powtórzyły swój błąd i nadal biegły w zwartej grupie. Hengist zaczekał na odpowiedni moment, a potem cisnął kolejny granat. Po raz wtóry błysnęło światło i jeszcze więcej istot zginęło w

wybuchu. Strzępy ich ciał i krew bryznęły wokoło. Nieprzyzwyczajone do tak jasnego światła karły rzuciły się do ucieczki, zasłaniając szponiastymi łapami swoje ogromne ślepia w kształcie spodków.

Długie oczekiwanie w zasadzce, nerwowa atmosfera panująca w jaskini i zapach krwi rozwścieczyły bestię w duszy Ragnara. Wyskoczył ze swojej kryjówki i otworzył ogień, kładąc trupem każdego, kto miał nieszczęście znaleźć się przed celownikiem jego pistoletu. Każdy wystrzelony pocisk trafiał we wroga, tak ciasno zbici byli przy wejściu do jaskini. Czasem napędzane rakietowo pociski przebijały nie jedno, ale wiele ciał, raniąc po kilku wrogów na raz. Krzyki bólu mieszały się z wrzaskami furii.

Mimo straszliwych obrażeń i strat, jakie ponosiły, karły nie traciły animuszu. Albo jakaś dziwna pewność siebie, albo głupota pchały je cały czas do przodu. Ragnar był świadom, że gdyby taki niespodziewany atak przydarzył się ludziom z jego rodzinnej wsi, uciekliby w popłochu, nie myśląc nawet o walce. Jednak ci dziwni mieszkańcy podziemia nie zamierzali salwować się ucieczką. Byli ulepieni z twardszej lub przesiąkniętej szaleństwem gliny. Teraz dopiero Ragnar zdał sobie sprawę, że otwarcie ognia z pistoletu było błędem z jego strony. Karły nie mogły nie dostrzec rozbłysków w ciemności. Z rykiem wściekłości i żądzы krwi tłum ruszył w jego stronę.

Ragnar zawył niczym wilk, pokazując karłom, że wcale się ich nie obawia. Echo jego zewu poniosło się w dal, odbijane od ścian. Któryś z jego braci będzie musiał je usłyszeć. Rzeczywiście, nadbiegające

Krwawe Szpony odpowiedziały własnym wyciem. Ragnar ponownie zacisnął palec na spuście, a kule jedna za drugą opuszczały lufę jego pistoletu i mknęły w kierunku zbliżających się karłów. Głowy eksplodowały, krew bryzgała, kiedy pociski trafiały w cel. Karły nie mogły się w żaden sposób ochronić przed bronią Ragnara. Ich siła leżała tylko w szaleńczej odwadze i liczebności.

Hengist rzucał granat za granatem w stronę nadbiegających, a Ragnar miał wrażenie, że jakiś niewidzialny olbrzym rozrzuca zbliżające się karły na boki.

Teraz potwory były na tyle blisko, że mógł im się dokładniej przyjrzeć. Zaszokowało go, jak bardzo te małe ciała poddane były złowrogiemu wpływowi mutacji. Niektórzy z karłów pokryci byli futrem, innym z głów wyrastały rogi. Rzędy podobnych do rekinich zębów starczały z ich paszcz, zaś dłonie kończyły się pazurami. Niektórzy nie mieli nawet stóp, ich nogi kończyły się kopytami. Zdawać się mogło, że karły zrodziły się z najstraszniejszych sennych koszmarów, albo że rozwarły się wrota samych piekieł i wypłynęła zza nich fala najokropniejszego plugastwa.

Nie przerywając strzelania, Ragnar myślał. W gruncie *rzeczy* on sam nie różnił się aż tak bardzo od atakującej go fali odmieńców. Czyż nie obrósł futrem? Czy jego zęby nie przemieniły się w kły, a oczy w wilcze ślepie? Odsunął do siebie tę niepokojącą myśl. Nie. miała nic wspólnego z walką, którą teraz toczył i była niebezpiecznie bliska herezji. Zmiany, które nastąpiły w jego ciele, były oznakami przymierza z Russem i stygmatami błogosławieństwa Imperatora. Ich korzenie sięgały mistycznej technologii starożytnej, której początki

brały się z Ciemnych *Wieków* Technologii. To, co reprezentowały sobą karły, nazywane było mutacją. Plugawość ich dusz znajdowała odzwierciedlenie w obrzydliwej formie odmienionych ciał.

Stwory już prawie go dopadły. Jednym zręcznym skokiem Ragnar znalazł się na szczycie głazu, który do tej pory służył mu za osłonę. Wrogowie nie mieli żadnej broni dystansowej, dlatego nie musiał się zasłaniać. Kiedy dojdzie do starcia wręcz, przewaga wysokości pomoże mu w opędzaniu się od wrogów. Jeden wydany w myślach rozkaz sprawił, że lampa umocowana na jego barku uniosła się na miniaturowym wysięgniku. Jasne światło oślepiło karły, a tymczasem Ragnar dobył swój miecz łańcuchowy i włączył silnik. Ostrza zaczęły pracować z głośnym rykiem, zmieniając się w wirującą smugę śmierci. Ragnar roześmiał się głośno, czując, jak opanowuje go bitewny szał. Bestia w jego duszy przyłączyła się do jego okrzyków radosnym wyciem, wiedząc, że chwila, kiedy zostanie spuszczone z łańcucha, jest już bliska.

Hengist cisnął swój ostatni granat, a potem sam dobył miecza. Ragnar po raz ostatni obrzucił spojrzeniem przeciwników, a potem z wyciem wściekłości rzucił się pomiędzy nich.

Nim jeszcze wylądował na ziemi, zaczął zadawać ciosy mieczem. Broń przechodziła przez ciała niczym nóż przez masło. Woń przypalonego mięsa i prażonych od tarcia ostrzy kości uderzyła w nozdrza Ragnarą. Miecz wył w jego dłoniach, przecinając ciała, a on zadawał ciosy na lewo i prawo. Ściął ohydny łeb któregoś z karłów jednym potężnym uderzeniem. Kręgosłup stwora pękł niczym zapalka, poddając się sile ciosu. Drugą dłonią Ragnar wycelował

pistolet i strzelał na oślep, mając pewność, że w takiej ciżbie nie chybi ani jedna kula. Wrzaski rannych i umierających były dla jego uszu niczym muzyka. Bestia w jego duszy wyła w ekstazie, domagając się jeszcze więcej i wprawiając Ragnara w stan euforycznego szału.

Po krótkiej chwili karły otrząsnęły się z szoku wywołanego tym dzikim atakiem i ponownie zaszarżowały. Wspinały się jedne po drugich, byle tylko uchwycić Ragnara, dźgając swoimi włóczniami o kamiennych grotach i uderzając prymitywnymi pałkami. Z początku nie potrafiły zadać żadnego skutecznego ciosu, a ich ataki kojarzyły się Ragnarowi z uderzeniami kropel deszczu o płaszcz z grubego futra.

Parł przez tłum karłów niczym huragan zniszczenia, pozostawiając za sobą tylko martwych lub umierających. Przez krótką chwilę czuł się tak, jakby nikt nie był w stanie go powstrzymać. Był niczym bóg śmierci, niezwyciężony i niepokonany, zbierający swoje krwawe żniwo. Tak bez wątpienia musiał czuć się Russ, kiedy ruszał do boju. Ragnar zadawał ciosy, zabijał, miażdżył przeciwników, a po ich trupach stąpał ku nowym wrogom. Zawył ponownie, długo i drapieźnie, a jego żądza krwi znalazła odzew w wyciu jego braci. Ragnar był pewien, że nic nie jest w stanie ich powstrzymać. Nie potrzebował niczyjej pomocy, żeby wybić karły do nogi. Walka z nimi była tak jednostronna...

I nagle poczuł ukłucie bólu pod żebrami. Spojrzał w dół i dostrzegł, że ostrze topora przebiło jego pancerz. Broń wykuta była z czarniawego żelaza, ale zdołała rozszczepić płyty ze stali ceramicznej. Jak to się mogło stać? Na powierzchni ostrza pulsowały jakieś

czerwone runy. To ich czarnoksięska moc umożliwiła zdradzieckiemu ostrzu przebicie zbroi.

Przez chwilę Ragnara ogarnęła panika. Prawie czuł, jak moc złych zaklęć rozplywa się po jego ciele niczym trucizna. Maszyn uczące wpisały do jego pamięci wiedzę o złowrogiej mocy takiego oręża. Jego demoniczni twórcy zdolni byli zakląć we wnętrzu ostrza wiele czarów o niezmiernie zgubnym działaniu. Kto mógł wiedzieć, jaką klątwę umieszczono w tej broni?

Ragnar stał jak osłupiały, a kłębiące się wokół niego stwory nie marnowały czasu, usiłując wykorzystać nadążającą się okazję. Kolejny cios topora otworzył bruzdę na czole Ragnara. Karły łapały go swoimi małymi dłońmi za nogi i ręce. Zawyły zwycięsko, jakby udało im się schwycić ofiarę.

– Na Imperatora, walcz, chłopcze! – dobiegł go krzyk Hengista. Te słowa wyrwały go z odrętwienia. Ragnar uświadomił sobie, że nieważne jest w tej chwili, czy został przeklęty lub zatruty. Jeśli czegoś szybko nie zrobi, za chwilę zginie zadźgany włóczniami, nożami i obity pałkami. Z rykiem odrzucił od siebie napastników. Jego ogromna siła, wspomagana przez serwomotory zbroi, sprawiła, że karły odfrunęły na wszystkie strony. Ragnar zaczął siec na oślep, mordując każdą istotę, która znalazła się w zasięgu jego miecza łańcuchowego.

Nagle kątem oka dostrzegł, jak wódz lub szaman karłów szykuje się do rzutu kolejnym zaczarowanym toporkiem. Ragnar z rykiem znalazł się tuż przy nim. Jednym celnym, śmiertelnie precyzyjnym ciosem rozszczepił czaszkę karła, jego tors i trzewia. Krew i wnętrzności

chlusnęły na ziemię, kiedy szaman zginął z jękiem. Wokół niego zrobiło się pusto, a Ragnar wykorzystał tę chwilę, aby wyciągnąć zaklęte ostrze ze zbroi i odrzucić je w kąt.

Rozejrzawszy się wokoło, Ragnar dostrzegł, że sierzant wbił się pomiędzy karły i teraz opędzał się od ich ataków. Mimo że miały nad nim przewagę liczebną, nie były w stanie jej w żaden sposób wykorzystać. Nagle rozległo się potężne wycie, kiedy inni członkowie sfory dopadli ich wreszcie, odwracając losy bitwy. Ragnar i Hengist, natchnięci nowymi siłami, zażarcie rzucili się do boju.

Tym razem szaleństwo lub odwaga karłów poddała się przytłaczającym siłom Kosmicznych Wilków. Jak jeden mąż stwory prysły, pozostawiając za sobą ciała poległych kamratów, zaścielające podłogę jaskini niczym ścięta słoma.



Rozdział 16

ŚWIĄTYNIA CHAOSU



Ragnar rozejrzał się wokoło, spoglądając na ślady masakry, która rozegrała się tu przed chwilą. Nie był w stanie policzyć, ile ciał karłów walało się dookoła. Przypuszczał, że więcej niż setka tych małych, pokracznych istot straciła życie w zacieklej walce. Odgłosy sporadycznych strzałów jeszcze pobrzmiwały w różnych kątach jaskini, kiedy Krwawe Szpony dobijały pozostałości śledzącej ich hordy. Ragnar miał ochotę dołączyć do współbraci, ale znacznie bardziej ciekawiło go, co zadecyduje o dalszych losach wyprawy Hengist.

Sierżant kuczał właśnie nad ciałem szamana pokurczy i oglądał jego broń, starając się nie dotykać jej rękoma. Ragnar stanął obok dowódcy i spytał:

– Nad czym się pan zastanawia, sierżancie?

– Ta broń nosi na sobie znamię Chaosu – powiedział dość ponurym tonem Hengist.

– Tak właśnie myślałem. Jeden z nich zdołał przebić moją zbroję w trakcie walki.

– Co? Pokaż mi to miejsce, chłopcze! – Hengist szybko wstał z klęczek i podszedł do Ragnara. Uważnie obejrzał wyrwę ziejącą w jego zbroi, a potem mruknął: – Masz szczęście. Nie widzę śladów krwi, więc broń nie przebiła zbroi do końca.

– Co ma pan na myśli?

– Czasem te ostrza obdarzone są trującą mocą. Niektóre z nich potrafią sprowadzać mutacje Chaosu, a już samo to potrafi najtwardszego wojownika wpędzić w obłąd.

Hengist uśmiechnął się, a potem znacząco poklepał Ragnara po ramieniu.

– Lepiej użyj masy plastycznej, żeby załatać zbroję – powiedział, wskazując na zestaw naprawczy, znajdujący się przy pasie Ragnara. – Dzięki temu będzie cię wciąż chronić, nim wrócimy do Kła i Kapłani Żelaza naprawią ją jak należy.

Ragnar zrobił, co mu kazano. Nałożył lepką pastę do szczelin po uderzeniu topora i odczekał kilka chwil, aż masa stwardnieje pod wpływem kontaktu z powietrzem.

– Co robimy teraz? – spytał, kiedy masa stała się już twarda jak stal.

– Idziemy dalej – odparł Hengist.



Stado Krwawych Szponów schodziło coraz głębiej w przepastne trzewia góry. Im dalej wędrowali, tym więcej oznak życia zauważał Ragnar. Tu i ówdzie w niewielkich niszach walały się poobgryzane kości. Kiedy uważnie im się przyjrzeć, okazywało się, że musiały należeć do ludzi lub istot im podobnych.

– Co oni tutaj jedzą? – spytał zaciekawiony Sven.

– A ty ciągle myślisz tylko o jedzeniu? – rzucił złośliwie Nils – Masz na myśli czym się żywią, kiedy nie pożerają się wzajemnie? – zagadnął Strybjorn.

Ragnar pokiwał głową. Rzeczywiście trudno było wyobrazić sobie inną dietę karłów niż kanibalizm. Jediną alternatywą były gigantyczne karaluchy, które przestraszone światłem uciekały do dziur w skalnych ścianach. Być może karły polowały na dziwne nietoperze albo zbierały pokrywające sufit świecące grzyby. Mogły też rzecz jasna wyprawiać się na powierzchnię w poszukiwaniu ofiar. Jednakże słowa Strybjorna mocniej podziałały na jego wyobraźnię. Przed oczyma duszy Ragnara stanęły wrogie klany odmieńców, walczące ze sobą zaciekle w nieprzeniknionych ciemnościach, a potem zbierające trupy poległych, aby przygotować z nich posiłek.

Czy taki właśnie był los poprzedniego stada? Czy ich pancerze zostały potrzaskane, a oni sami wyjedzeni z nich niczym raki ze skorupy? A jeśli do tego doszło, to za jaką przyczyną? Jak karły zdołały pokonać oddział w pełni uzbrojonych i świetnie wyszkolonych Krwawych Szponów? Na Russa, przecież to niemożliwe! On i sierżant Hengist wybili przecież sami, bez niczyjej pomocy, prawie całe plemię odmieńców. Ich prymitywna broń nie była w stanie zagrozić Kosmicznym Marines, a ataki, które miały na celu powalenie przeciwników masą, w tej sytuacji obracały się zawsze przeciwko napastnikom.

Teraz jednak przed Ragnarem stało znacznie ważniejsze pytanie. Dlaczego poprzedni oddział w ogóle tu zszedł? Mieli przecież jedynie zbadać obszar, na który spadł podejrzany rój meteorów. Czy ktoś

zwabił ich tutaj, na dół, gdzie czekała ich tylko śmierć? Czy teraz i oni popełniali ten sam błąd, co ich poprzednicy? Ragnar bardzo pragnął poznać odpowiedzi na te pytania, ale doskonale wiedział, że jest na to jeszcze za wcześnie.

Miał jednak pewność, że jeśli ujrzy jeszcze kiedyś światło dzienne, będzie znał już wtedy tajemnice, które kryją się pod tą górą.



– Wygląda na to, że cały ten kompleks pieczar został przed chwilą opuszczony – powiedział Lars.

– To prawda – przytaknął Ragnar, rozglądając się szybko. Garnki i kamienne wazy stały wokoło pod ścianami. Upiorne naszyjniki z obciętych placów i uszu przyozdabiały ściany, a skórzane worki pełne jakichś niezidentyfikowanych substancji wały się wokół, tam gdzie porzuciły je karły. Woń odmieńców ciągle wisiała w powietrzu, choć pojawiły się w niej nowe nutki, które Ragnar uznał za zapach kobiet i dzieci.

– Musieli wiedzieć, że się zbliżamy – powiedział Sven z ponurym uśmiechem. – Być może ktoś zdołał zbiec z masakry, którą im urządziliśmy i ostrzegł ich, żeby nie wchodzili nam w drogę.

– A może po prostu wyprowadzili stąd swoje rodziny i teraz szykują się, żeby nam zawalić całą jaskinię na głowę? – mruknął Lars.

Sven warknął, pokazując kły. Nie podobał mu się ton Larsa, uznał go za obraźliwy. Nim jednak doszło do utarczki, pojawił się między

nimi Hengist. Sierżant doskonale wiedział, że to nie czas i pora na ustalanie hierarchii w stadzie.

– Nie sądzę, żeby tak było. Wydaje mi się, że wpadliśmy na trop czegoś zupełnie innego – powiedział poważnym tonem.

– Czego? – spytał zaciekawiony Ragnar.

– Chciałbym to wiedzieć. Z czymkolwiek jednak mamy do czynienia, jedno jest pewne. Nie będzie to przyjemny spacer po lesie.

Ragnar pokiwał głową. Zarówno on, jak i sierżant oraz reszta oddziału wyraźnie wyczuwali, że coś dziwnego wisi w powietrzu. Zapewne ich wrogowie szykowali się do kontruderzenia. Gdzieś pod tonami skał tej góry mieściło się źródło wielkiej mocy. Bez wątplenia była ona starożytna, ogromna i bardzo zła. Ragnar postanowił, że czas już powiedzieć to, o czym myślał każdy z nich.

– Sierżancie, czy nie czas już najwyższy, aby zawrócić?

– Nie, jeszcze nie. W dalszym ciągu nie odnaleźliśmy tego, po co tutaj przyszliliśmy.

– Wątpię, abyśmy kiedykolwiek zdołali to zrobić – mruknął pod nosem bardzo posepnym tonem Sven.

Chyba że szukamy własnej śmierci – dodał w myślach Ragnar.



– A to co? – spytał nagle Lars. Ragnar spojrzał na niego, ale nawet nie musiał pytać, co jego towarzysz ma na myśli. On także słyszał

niepokojące dźwięki. Gdzieś daleko ktoś zaczął rytmicznie uderzać w wielki bęben, a wibracje wzbudzone przez rytm trzęsły ścianami tak, że zdawały się one tętnić niczym żywe serce.

– Nasi nieludscy przyjaciele zawiadamiają rodziny, że niedługo zawita do nich obiad – powiedział Sven. – Dziś znowu podadzą soczyste mięso Krwawych Szponów.

– A ten jak zwykle o jedzeniu – mruknął kręcąc głową Nils. W jego głosie słychać było ponurą drwinę.

Korytarze w dalszym ciągu prowadziły w dół. Oświetlały je przedziwne, fosforyzujące grzyby, które porastały kępami ściany, podłogę, a nawet sufit. W ich dziwnym blasku twarze Kosmicznych Marines wyglądały nienaturalnie blado. Ragnar wyczuwał smak rozpylonych wokół zarodników, a woń wydzielana przez grzyby swoją siłą omal go nie powaliła. Zapach był słodki i mdły, kojarzący się ze zgnilizną i zepsuciem. Jakieś jego dziwne właściwości sprawiały, że kojarzył się także ze zwłokami. Tu i ówdzie w samym środku kolonii grzybów znajdowały się tajemnicze otwory, każdy mniej więcej wielkości ludzkiej głowy. Kiedy Ragnar ujrzał je po raz pierwszy, pomyślał, że powinny tam żyć wielkie, tłuste ślimaki bez skorup. Ta wizja uparcie się go trzymała, zwłaszcza że obecność takich stworzeń mogła tłumaczyć, w jaki sposób karły utrzymywały się przy życiu.

Ragnar zdawał sobie sprawę, że tunel, którym idą, jest zaledwie jednym z wielu równoległych korytarzy, które wykuto w tej górze. Prawie wyczuwał, że w innych skradają się steki karłów, gotowych w każdej chwili do ataku. Gdy przechodzili obok poprzecznego

korytarza, udawało mu się niekiedy dostrzec ciemne kształty odmieńców, jednak teraz nauczeni bolesnym doświadczeniem mutanci trzymali się z daleka, nie chcąc ryzykować starcia. Albo pojęli gorzką nauczkę, albo czekali na dogodną chwilę do ataku.

Ragnarowi bardziej prawdopodobna wydawała się ta druga możliwość. Hengist nie zwracał uwagi na otoczenie i parł dalej w głąb góry, podążając za śladem, który tylko on dostrzegał. Kiedy Ragnar mieszkał jeszcze w rodzinnej wsi, czasem słyszał podobne historie. Dzielni wojownicy ginęli bez wieści. Po prostu nagle wstawali od stołu, słysząc syreni śpiew zagłady i wyruszali prosto na spotkanie śmierci. Czy było możliwe, żeby Kosmiczny Wilk popadł w taki obłąd? Chyba nie, choć Ragnar wolał głośno nie mówić o swoich wątpliwościach.

Zaryzykował krótkie spojrzenie do tyłu i w ciemnościach dostrzegł parę połyskujących ślepi. Wzdrygnął się przyspieszył kroku, dołączając do reszty oddziału.



Trop nagle się urwał. Przed nimi znajdował się tylko kamienny most wiszący nad bezdenną przepaścią. Ragnar stał właśnie na jej krawędzi i nasłuchiwał. Zdawało mu się, że z dołu słyszy odgłos płynącej wody. Sven podniósł kilka kamieni i cisnął je w dół. Stali przez chwilę nieruchomo, oczekując plusku wody, ale nie usłyszeli niczego.

Po drugiej stronie przepaści i mostu znajdował się masywny łuk, stanowiący wejście do kolejnego korytarza. Nawet z tej odległości Ragnar był w stanie dostrzec, że każdy kamień dokładnie dopasowano do innych, a wszystkim nadano kształt oblicz demonów. Umiejętności tropienia i instynkt Hengista doprowadziły ich do miejsca, którego szukali, choć do tej pory nie zdawali sobie z tego sprawy.

Sierżant przestał obserwować przeciwległy kraniec przepaści i odwrócił się twarzą do członków swego oddziału. Jego stara, pobrużdżona twarz była blada w świetle lampy naramiennej, ale oczy *błyszczały niczym rozżarzone węgle*.

– Tak jak podejrzewałem – powiedział cichym głosem. – Świątynia Chaosu.

– Może więc powinniśmy się teraz wycofać i złożyć raport? – spytał Nils.

Hengist nie odpowiedział, tylko obrócił się na pięcie i ruszył w stronę mostu. Zatrzymał się jednak, nim na niego wszedł. Wiedział doskonale, że dowódca nie powinien iść jako pierwszy i niepotrzebnie narażać się na niebezpieczeństwo.

– Ragnar! Dokonasz zwiadu. Bądź ostrożny, nie mamy pewności, czy ten most wytrzyma ciężar zbroi.

Nikt nie musi mi o tym przypominać, stwierdził w duchu Ragnar, ale posłusznie ruszył do przodu. Daleko za sobą słyszał szemranie zgromadzonego tłumu...

Most był szeroki na tyle, żeby mogła po nim iść tylko jedna osoba na raz, za to długi na wiele dziesiątków metrów. Kamienna konstrukcja wyglądała na solidną, ale Ragnar wolał nie ryzykować.

Poruszał się ostrożnie i powoli, uważnie stawiając kroki i niespiesznie przenosząc swój ciężar. Pomimo całej zręczności i lekkości, jaką dawał mu pancerz energetyczny, pamiętał, że zbroja jest bardzo ciężka. Poza tym droga mogła być najeżona pułapkami. Jeśli chodziło o pomysły, jakie mogły się zrodzić w głowach wyznawców Chaosu, to nigdy nie można było mieć pewności. Kamienie wyglądały na mocne i solidnie zespolone zaprawą, ale jeśli istniał choć cień szansy, że któryś z nich jest obluzowany, Ragnar wolał być przygotowany na taką ewentualność. Jeśli ma zginąć w tych kazamatach, chciał to uczynić jak mężczyźnie przystało: w walce, z bronią w ręku.

Skąd ta myśl? – zastanowił się nagle Ragnar. Bestia w jego duszy niepokoiła się, próbując wyrwać się na wolność. Czy te niewesołe refleksje podochodziły od niego, czy też może przypląnęły wraz z zimnym powiewem wiatru z tej dziwnej świątyni? Bez wątpienia czaiło się w niej coś dziwnego i straszego. Obecność tajemniczej mocy była tu oczywista niczym światło latarni morskiej. Ragnar zmówił szybko modlitwę do Russa i Imperatora, aby ochronili jego duszę przed złem, a potem znów ruszył przed siebie. Drobinę pyłu usypywały się spod jego stóp, kiedy opancerzone buty stąpały po kamieniach.

Wrota, które znajdowały się przed nim, okazały się jeszcze większe niż poprzednio przypuszczał. Także most, którym szedł, był znacznie dłuższy niż się mogło z początku wydawać. Ragnar zastanawiał się, kto włożył tyle wysiłku, trudu i starań, aby stworzyć to dziwne miejsce. Ślady świadomej działalności ludzkich rąk były bardzo stare i wyglądało na to, że karły jedynie mieszkają w *podziemiach*, *niczego tu*

nie tworząc. Kamienna podłoga była wygładzona i śliska, niezawodny znak, że stąpało po niej wiele stóp. Świątynia musiała liczyć sobie wiele wieków, jeśli nie tysiącleci.

Kilka następnych kroków przybliżyło Ragnara do wejścia i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, jak bardzo ciemności go oszukały. Brama była jeszcze większa niż mu się zdawało. Bez wątpienia musiała dziesięciokrotnie przewyższać rosnego człowieka. Każdy z kamieni, które ją tworzyły, był wysokości Kosmicznego Marine, zaś pyski, które na nich wyrzeźbiono, były tak wielkie, że odwzorowane na nich demony mogłyby jednym kłapnięciem połknąć Ragnara z całą zbroją. Praca, którą wykonał tajemniczy kamieniarz, była oszałamiająca i zapierała dech w piersiach. Demony wyrzeźbiono tak realistycznie, że zdawać by się mogło, iż za chwilę wyskoczą z więzących je kamieni i rzucą się na człowieka. Zbliżając się powoli, Ragnar prawie oczekiwał, że te dziwne oblicza zwrócą się ku niemu. Na szczęście nic takiego się nie stało.

Z ziejącej ciemnością bramy dobiegały jakieś odgłosy. Ragnar nie miał pewności, ale mógłby przysiąc, że to dalekie echo jakichś śpiewów lub recytacji. Kiedy zszedł już z mostu, przyśpieszył kroku i zbliżył się do samej bramy. Tutaj przystanął na chwilę i rozejrzał się wokoło. Widok zaparł mu dech w piersiach.

Przed nim znajdowały się ułożone z masywnych, płaskich kamieni schody, które prowadziły do komnaty położonej w samym sercu góry. W jej wnętrzu stał posąg istoty, która mogła być jedynie demonem z piekła rodem. Wykonano ją z jakiegoś kryształu i kości słoniowej. Każdą z łusek pokrywających ciało istoty stanowił drogocenny

klejnot. Ich barwy ustawicznie się zmieniały, przepływając bez końca falami po powierzchni rzeźby. Posąg musiał być co najmniej pięciokrotnie wyższy od człowieka, ale biła od niego aura takiej mocy, że wydawał się jeszcze większy. W oczach stworzenia pełgały jakieś dziwne płomienie, a falujące zmiennością kolory sprawiały wrażenie, że rzeźba za chwilę ożyje i ruszy w kierunku Ragnarar.

Ogromne, metalowe skrzydła, które przytwierdzono do jej pleców, spływały w dół, otulając ramiona niczym płaszcz. Także głowa posągu miała w sobie coś, co budziło skojarzenia z ptakiem. Zakończone szponami ręce wyciągały się w geście, który był z jednej strony niepokojąco ludzki, z drugiej zaś groźny i straszny zarazem. Ragnar miał wrażenie, że posąg przedstawia bestię, w połowie boga, w połowie potwora, który wydawał się kimś przewyższającym człowieka, ale równocześnie znacznie od niego dzikszym i bardziej zawistnym. Bez wątpienia musiał to być Tzeentch, Wielki Pan Przemian, demoniczny król zakazanej magii. Od statuy emanowała jego mroczna moc. Sierść na karku Ragnarar aż się zjeżyła, kiedy za pomocą wiedzy wdrukowanej do jego głowy przez maszyny uczące Zakonu uświadomił sobie, z czym ma do czynienia i jak plugawe są to moce.

Oderwawszy wzrok od posągu, Ragnar rozejrzał się dookoła. Tak jak rzeźba była oszałamiająco piękna, tak pomieszczenie okazało się plugawe. Z otworów w ścianach buchały różnokolorowe ognie, oświetlając całe pomieszczenie. Z zapachu, jaki im towarzyszył oraz tego, jak zachowywały się płomienie, Ragnar domyślił się, że to płonął jakiś naturalny gaz z wnętrza ziemi.

Jednak najgorsze było to, co ukazywało się w blasku tej piekielnej iluminacji. Na podłodze tego dziwnego pomieszczenia spoczywały, porozrzucane bez ładu i składu, ludzkie ciała. Znaczyły je znamiona mutacji i przemian. Niektóre sprawiały wrażenie, jakby rozgrzano je do momentu, aż stały się płynne i potem uformowano na nowo. Głowy rozdęto do ogromnych rozmiarów, dłonie pozlepiano tak, że bardziej przypominały płetwy. Wnętrza niektórych nieszczęśników wypłynęły z ich brzuchów, kiedy zostały przemienione w macki, które zadusiły swoich niedawnych panów i nosicieli. Zęby w ustach zwykłych ludzi zmieniły się w ogromne, przerośnięte kły. Kołtuny sierści pokrywały ciała na przemian z łatami przezroczystej skóry, przez którą można było dostrzec organy wewnętrzne. Jeden z nich zrzucił własną skórę, podobnie jak czynią to węże, i teraz leżał wstrząsany drgawkami jako kupa czerwonego mięsa i tłuszczu. Ragnar nie mógł się oprzeć potwornemu obrzydzeniu na widok straszliwej mocy Pana Zmian.

Spojrząwszy ku górze, Ragnar odkrył wreszcie, co stało się z jego braćmi, którzy zaginęli w tych podziemiach. Pod sufitem zawieszono ich pancerze i broń, niczym trofea łowieckie. Ryk wściekłości wydarł się z gardła Ragnara, a statua Tzeentcha zdawała się mu przyglądać ze złośliwą radością bijącą z płomiennych oczu.

Ragnar odwrócił się i gestem nakazał towarzyszom dołączyć do siebie jak najszybciej. Kiedy to zrobili, oni także zamarli w osłupieniu.

– Na Russa! – powiedział Sven i zaklął szpetnie. – Cóż to za odrażające miejsce?

– To świątynia Tzeentcha, Pana Zmian i Mutacji, jednego z wielkiej czwórki wrogów Imperatora.

– Musimy ją zniszczyć – powiedział Strybjorn.

– Świetny pomysł – mruknął ponuro pod nosem Lars. – Jak zamierzasz to uczynić?

– Trzeba użyć granatów – poradził Nils.

– Nasz broń na nic się tu nie zda – powiedział cicho Hengist. – Jeśli się nie mylę, całe to miejsce przesyczone jest plugawą magią. Trzeba znacznie silniejszych broni niż nasza, żeby je zniszczyć. Powinniśmy powiadomić Zakon o tym, co znaleźliśmy pod górą.

– Na twoim miejscu martwiłbym się o własną skórę, fałszywy Marine! – rozległ się zimny i drwiący głos.

Ragnar spojrział przed siebie i zobaczył, że przed ołtarzem stoi jakaś postać. Nie wiedział, jakim cudem się tam dostała, ponieważ z pewnością nikt nie wchodził do świątyni. Wszyscy przyglądali się przybyszowi z zainteresowaniem. Ich oczy przyciągał bijący od mówiącego dziwny blask, któremu nie sposób było się oprzeć.

Człowiek przed ołtarzem ubrany był niczym parodia Kosmicznego Marine. Jego zbroja była ciężka i toporna, ewidentnie był to starszy model tej, którą nosił Ragnar. Niektóre części zostały zastąpione przez elementy ze złota lub czarnego żeliwa. Czerwone, błyszczące oczy spoglądały zza zasłony hełmu, ozdobionego na dodatek masywnymi rogami. W dłoni mężczyzny spoczywał pistolet raketowy, równie starożytny co sama zbroja.

Ragnar uważniej przyjrzał się pokrywającym każdy centymetr jej powierzchni zdobieniom. W blasku dziwnych płomieni pobłyskiwały

klejnoty i grawerowane złotem łby demonów. Być może działa się to za sprawą gry światła, ale niektóre z nich zdawały się niemo rzucić przekleństwa na Kosmiczne Wilki i wykrzywiać się, próbując sprowokować ich do jakiegoś nierozważnego czynu. Wiedza, którą zawdzięczał maszynom uczącym, mówiła Ragnarowi, że oto ma przed sobą największego wroga ludzkości, zdrajcę, Kosmicznego Marine Chaosu.

– To ty jesteś fałszywym Marine – odparł spokojnie Hengist. – Czyż nie złamałeś swoich przysiąg wobec Imperatora i ludzkości?

– To twój bóg-kaleka utracił wiarę w nas. Był zbyt słaby i ograniczony, żeby nas zrozumieć. A ludzkość okazała się zbyt licha i niegodna, aby jej służyć – odparł z arogancją w głosie nieznajomy. Ragnar miał wrażenie, że dosłyszał w nim także nutkę ogromnego znudzenia.

– Jesteś śmieciem – powiedział Hengist, a w jego głosie słychać było wściekłość. – Jak mam inaczej określić kogoś, kto wysługuje się demonom? Jesteś chłopcem na posyłki najstarszych wrogów ludzkości!

– Nie będziesz taki dumny, kiedy z tobą skończę. Urwę ci głowę, a ciało rzucę na pożarcie biesom z otchłani.

Marine Chaosu roześmiał się głucho, ale nie był to wyraz wesołości. On zdawał się drażnić ich, bawić się z nimi niczym dorosły człowiek z dziećmi. Nikt nie miał prawa zachowywać się tak wobec stada Kosmicznych Wilków. Co dziwniejsze, niebiesko-złoty pancierz zdawał się czytać myśli Ragnarą i jeszcze bardziej go prowokować.

– Ty i twoje szczeniaki nie zdołacie mi zagrozić.

– Doprawdy? Są młodzi i niedoświadczeni, ale okazali się lepszymi wojownikami niż ty kiedykolwiek byłeś, zdrajco! – Hengist splunął na wypolerowane kamienie podłogi świątyni.

– Przyznaję, że pięknie sobie poradziliście z tymi podludźmi. Ale jak widzicie jestem uzbrojony tak samo dobrze jak wy. A może mam odłożyć pistolet i wziąć w ręce włócznię o kamiennym grocie, żeby dać wam jakieś szanse? – Teatralnym gestem rozłożył dłonie. – Chociaż nie. Abyście mieli jakiegokolwiek szanse przeciwko mnie, musiałbym walczyć gołymi dłońmi.

– To odważna gadka jak na kogoś, kto kryje się pod ziemią – wtrącił Ragnar, czując, że wściekłość prawie odbiera mu mowę.

– Nic nie muszę ci udowadniać, sługo fałszywego boga. Przez tysiące lat imię Madoka siało postrach w sercach wrogów.

– Zatem musieli to być głupcy, którzy uwierzyli w twoje przechwałki.

– Nudzisz mnie już, chłopcze. Czas kończyć tę pogawędkę, spełniła już swoje zadanie. Właśnie przybyli moi bracia i myślę, że czas rozpocząć masakrę.

Kiedy Madok wymówił te słowa, drzwi umieszczone w bocznych ścianach świątyni rozwarły się i wpadło przez nie jeszcze więcej zdrazieckich Marines. Hengist uniósł broń, aby strzelić do Madoka, ale sługa Tzeentcha był szybszy. Oba jego pistolety wypruły z siebie wiązkę pocisków, które pomknęły w stronę sierżanta. Hengist zdołał się uchylić i raketowo napędzane kule tylko musnęły jego pancerz, ale dwóch innych członków oddziału nie miało tyle szczęścia. Ogień zdrajców powalił ich na podłogę.

Ragnar poszedł za przykładem Hengista i skoczył za bramę. Strybjorn, Sven i kilku innych nie cofnęło się ani o krok. Z zimną determinacją otworzyli ogień w kierunku zdrajców. Jakaś zła moc, która panowała w tym miejscu, sprawiła jednak, że pociski ominęły sług Chaosu i trafiły w ścianę kaplicy. Ragnar spojrzał na Hengista, oczekując rozkazów. Sierżant przeskoczył otwór wejściowy i przypadł do Ragnara.

– Musi ich być tutaj co najmniej pełen oddział, jeśli nie więcej. To za dużo jak na jedno stado Krwawych Szponów. Trzeba ostrzec Zakon. Weźmiesz Svena, Strybjorna, Nilsa i Larsa, wycofacie się na powierzchnię i zawiadomicie dowództwo. My postaramy się powstrzymać ich tutaj najdłużej jak się da.

Ragnar ze wszystkich sił chciał zaprotestować. Bestia w jego duszy wyła, pragnąc rzucić się w wir walki, a zapach krwi i prochu wprawiał go w szal bitewny. Co najważniejsze, Ragnar czuł się oszukany. Oto odbierano mu właśnie szansę na bohaterską śmierć, o jakiej marzył każdy z Kosmicznych Wilków. Hengist wyczuł, o czym myśli jego podwładny i powiedział surowym, nie znoszącym sprzeciwu tonem:

– Czasem życie Kosmicznego Marine wcale nie jest łatwe. Zbierz swój Szpon i ruszaj. Skinął na Marines przeznaczonych mu pod komendę i gestem nakazał im się wycofać. Kiedy Ragnar obserwował jak Sven, Strybjorn, Lars i Nils wykonują rozkaz, ogień zdrajców zabił Krakiego i Volgarda. Oni także jednak ponosili pierwsze starty, a ich marsz był powolny i niezmienny, jakby byli maszynami, które z mozołem kroczyły po wypolerowanej podłodze świątyni. Ich

nieziemski śmiech pobrzmiwał w uszach, mieszając się z odgłosami upiornej kanonady broni. Zaiste musiała ich ochraniać jakaś diabelska moc, pomyślał Ragnar. Czas ruszać – powiedział sobie w duchu.



Rozdział 17

ZBROJNY ODWRÓT



– Za mną! – krzyknął Ragnar i ruszył z powrotem przez kamienny most. Każdy kolejny krok oddalał go od przeklętej świątyni. Nie musiał się oglądać, żeby sprawdzić, czy pozostali biegną za nim. Wyraźnie wyczuwał swoimi nadzwyczaj wyczulonymi zmysłami woń ich strachu i wściekłości. Podobnie jak on byli źli i rozżaleni, że kazano im wycofać się z walki przeciwko Marines Chaosu. Ragnar w myślach przeklinał zdrajców, zastanawiając się jednocześnie, jakim cudem zdołali się przedostać na Fenrisa i jak długo odprawiali pod powierzchnią Asaheim swe bluźniercze rytuały. Z jednej strony był pewny, że musieli wylądować na planecie pod osłoną deszczu meteorów. Z drugiej jednak uważał, że wcale nie musiało tak być. Czyż nie widział na własne oczy wielu dowodów na to, że wyznawcy Tzeentcha przebywali w tych jaskiniach od wielu tygodni, miesięcy, lat, a może nawet wieków? Zdawało się to niemożliwe. Ragnar nie potrafił pogodzić się z tym faktem. Nie mieściło mu się w głowie, że pod powierzchnią jego rodzinnego świata znalazło schronienie takie gniazdo żmij. A teraz, kiedy je odkryli, kazano im uciekać.

Ragnar wiedział, że odwrót nie oznacza braku walki. Droga na powierzchnię zagrodzona była przez zbliżającą się horde karłów, którym przewodził szaman. Podobnie jak poprzedni, ten także

dzierżył w dłoni broń, na powierzchni której wyryto dziwne runy. W drugiej łapie trzymał kostur, na końcu którego zatknęto czaszkę. Wycelował w Ragnara, wypowiedział jakąś dziwną, magiczną inkantację i z różdżki wystrzelił promień magicznej energii, otoczonej czerwoną poświatą. W ostatniej chwili Ragnar zdołał przed nim uskoczyć, a karmienie, w które trafiło dziwne światło, stopiły się w okamgnieniu.

Niewiele myśląc, Ragnar wystrzelił ze swojego pistoletu. Długie godziny, które spędził ćwicząc na strzelnicy, odpłaciły mu się teraz z nawiązką. Pocisk z rykiem opuścił lufę i poszybował pewnie w kierunku nikczemnego szamana. Głowa karła eksplodowała niczym gliniane naczynie ciśnięte o kamienną podłogę.

Karły zawyły niczym stado dzikich zwierząt i ruszyły w kierunku nabiegających Kosmicznych Wilków. Szaleńczo wymachiwały przy tym pałkami i siekierami, a z ich zniekształconych ust wydobywały się opętane śpiewy, gdy wzywały imię Tzeentcha. Ragnar poważnie martwił się o wynik starcia z tymi pokrakami. Co prawda ich broń, pozbawiona czarnoksiężskiej mocy, nie była w stanie uszkodzić pancerzy Kosmicznych Wilków, ale jednak ogromna liczba wrogów mogła sprawić, że ugrzęzną walcząc z nimi i tym samym dadzą się dogonić walczącym z resztą ich stada zdradzieckim Marines Chaosu. Nie można było dopuścić, aby poświęcenie Hengista poszło na marne. Wiadomość od sierżanta musiała zostać dostarczona do dowództwa Zakonu.

– Granaty! – wykrzyknął Ragnar. – Teraz!

Jak jeden mąż Krwawe Szpony nacisnęły podajniki umieszczone na

pasach i cisnęły przed siebie śmiertelne ładunki w kierunku nadbiegających karłów. Fala eksplozji odznaczyła się wyraźną linią pośród zbliżającego się tłumu. Poszarpane ciała, lepka krew i trupy znaczyły drogę, którą przebijali się Marines. Rozmiary poniesionych strat powstrzymały wściekłą szarżę karłów. Zawahały się i przystanąły na chwilę.

– Wykończyć je – rozkazał Ragnar. Kolejne granaty pofrunęły w stronę odmieńców. Jeszcze więcej poskręcanych i zmalretowanych ciał zasłało podłogę jaskini. Zapach krwi i śmierci wypełnił powietrze.

Nagle Ragnar zdał sobie sprawę, że popełnił okropną pomyłkę. Detonacje tak wielu ładunków w miejscu, gdzie most przytwierdzony był do ściany przepaści, znacznie osłabiły jego konstrukcję. Na jego oczach spore kawałki kamienia zaczęły się kruszyć i odpadać, lecąc w dół, w bezdenną czeluść. Jeśli szybko nie przebiją się przez pozostałe przy życiu karły, wszyscy zginą, pochłonięci przez otchłanie wnętrza ziemi.

Pocisk z karabinu raketowego przemknął tuż obok ucha Ragnara. Wilk obrócił się, żeby zobaczyć, co dzieje się za jego plecami i ujrzał tam niepokojący widok. Marines Chaosu wolno, ale systematycznie prowadzili natarcie. Pozostałości oddziału sierżanta Hengista trzymały się dzielnie, ale z trudem broniły swoich pozycji. Spojrzawszy ponownie przed siebie, przekonał się, że sytuacja jego grupy pogarsza się z sekundy na sekundę. Niektórzy z przywódców karłów byli uzbrojeni w pistolety raketowe, które wyglądały nader znajomo. Były takie same jak ten, który on sam dzierżył w dłoni. Bez wątplenia pochodziły z grabieży, jakich dokonano na zwłokach

poprzedniego oddziału, który zaginął w tych jaskiniach. Inni mieli broń bardziej przypominającą tę, którą walczyli zdrajcy. Zapewne Marines Chaosu mieli jakieś wsparcie lub przywieźli ze sobą spore zapasy.

To nie miało jednak teraz żadnego znaczenia. Ragnar wiedział, że muszą się szybko przebić przez tłum, blokujący im zejście z mostu. Rozejrzawszy się wokoło, stwierdził, że jego towarzysze także doszli do podobnych wniosków. Ich zapach mówił mu wszystko o ich determinacji i zaciętości. Ragnar nie nakazał przerwać ataku, więc zaczęli prowadzić ogień z broni bocznej. Z prawdziwą zaciekłością, tak charakterystyczną dla Kosmicznych Wilków, posyłali do piekieł szereg za szeregiem odmieńców. Ragnar wiedział, że pozostała im do zrobienia tylko jedna rzecz.

– Naprzód! – krzyknął ile sił w płucach. – Szybko, musimy opuścić most!

Ruszył biegiem przez kamienną kładkę, która trzęsła się przy każdym jego kroku. Tylko klika chwil dzieliło ją od całkowitego zawalenia się. Coraz więcej kamieni odrywało się i spadało w otchłań. Dziury pomiędzy stabilnymi jeszcze częściami konstrukcji a tymi, które waliły się w gruzy, rosły coraz bardziej. Ragnar biegł ile sił w nogach, zastanawiając się, czy zbroja i jego zmienione genetycznie mięśnie pozwolą mu wykonać skok tak długi, że będzie w stanie wylądować na skalnej półce. Cóż, pomyślał zaciskając zęby i uśmiechając się do siebie ponuro. Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Każdy krok przybliżał Ragnara do krawędzi. Jego serce waliło

niczym młotem, tętno szumiało w uszach jak wodospad. Nozdrza drażnił mu zapach własnego podniecenia, jednak umysł pozostawał chłodny i opanowany. Ragnar zdawał sobie sprawę, że musi wszystko dokładnie wyliczyć. Jeden niepewny krok oznaczał zgubę. Jeśli wyskoczy zbyt wcześnie, nie doleci do krawędzi skalnej półki i runie w dół. Jeśli zrobi to zbyt późno, kiedy kamienie będą już usypywały mu się spod stóp, nie uzyska odpowiedniej siły wyskoku i też spadnie w otchłań. Zacisnął dłonie na rękojeści pistoletu, zbliżył się krańca mostu i skoczył w górę.

Natychmiast zdał sobie sprawę, że wisi nad bezdenną przepaścią. Wiatr targał mu włosy, a on sam miał wrażenie, jakby poruszał się w zwolnionym tempie. Był teraz w stanie dostrzec każdy szczegół na twarzach mutantów, policzyć pryszcze na ich skórze, dostrzec wszystkie stygmaty mutacji. Jeszcze nigdy w swoim życiu nie był równie świadomy tego, co się wokół niego dzieje. Jego nadludzko czułe zmysły wzniosły się na zupełnie nowy poziom doznań, a Ragnar zdał sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie czuł się tak bardzo żywy, jak teraz.

Wydał z siebie przeciągłe wycie i wciąż lecąc w powietrzu, wycelował pistolet w karła, który stał najbliżej krawędzi przepaści, po czym nacisnął spust. Odmieniec chwycił się z jękiem za pierś, a potem runął w dół mrocznej czeluści. Ragnar nie przestawał strzelać, a jego pistolet siał zniszczenie pośród wrogów. Jeszcze kilku mutantów pożegnało się z życiem, nim wreszcie stopy Kosmicznego Marine dotknęły gruntu po drugiej stronie. W serce Ragnarara wstąpiła nowa nadzieja. Kiedy wylądował na ugiętych nogach, żeby złagodzić impet

uderzenia o twardą skałę, z całych sił wykrzyczał wyzwanie skierowane do mutantów. Żył nadal i teraz odmieńcy zapłacą za to, że stanęli po stronie sług Chaosu. Przekonają się, co oznacza gniew Kosmicznego Wilka! Z mieczem łańcuchowym w ręku wbił się w tłum karłów, wycinając drogę dla braci, którzy dopiero teraz skakali. Ragnar zdawał sobie sprawę, że w tej sytuacji nie potrzeba wiele, aby stracili równowagę i runęli w dół przepaści.

Kości i ciało ustępowały pod wirującymi ostrzami jego broni, kiedy zabijał jednego karła po drugim. Przycisk spustu pistoletu trzymał ciągle wciśnięty, wiedząc, że w tym tłumie każdy wystrzelony pocisk trafi w jakiś cel.

Ragnar przebijał się przez karły niczym okręt tnący fale wzburzonego morza. Stał się prawdziwą machiną zniszczenia, istnym wirem śmierci, który wił się i wył, ścierając z powierzchni ziemi kolejnych odmieńców. Za plecami słyszał wycia i okrzyki braci, którzy jeden po drugim lądowali na półce skalnej i dołączali do bitwy. Wkrótce czerwona mgiełka przesłoniła mu pole widzenia, kiedy jego miecz raz za razem przecinał ciała karłów. Okrzyki umierających stale wypełniały jego uszy, docierając do nich nawet przez zatyczki. Gdzieś w głębi jego duszy bestia wyła z rozkoszy i rosła w siłę, karmiąc się rzezią, która rozgrywała się na zewnątrz.

Ragnar zdał się całkowicie na instynkt. Nie musiał myśleć w tym brutalnym starciu. Jego mięśnie, refleks i umiejętności wystarczały, aby odnieść zwycięstwo nad przeciwnikiem, który po prostu rzucał się na oślep do walki. Ragnar reagował na ataki szybciej niż myśl, dokonywał w walce cudów zręczności i sprawności przerastających

wszystko, co mogliby sobie wyobrazić zwykli śmiertelnicy. Nikt ani nic nie mogło stanąć mu na drodze i powstrzymać tego marszu zniszczenia. Postępujące za nim Krwawe Szpony przedzierały się przez szeregi mutantów niczym kosa przez łany zboża.

Twarze wykrzywiały się w śmiertelnym przerażeniu, a z gardeł wydobywały się śmiertelne jęki, kiedy zabijał jednego odmieńca po drugim. Zniekształcone ciała ustępowały pod siłą jego ciosów, a uderzenia kamiennych maczug nieszkodliwie odbijały się od pancerza energetycznego. Któryś z karłów cisnął w niego kamieniem z procy, ale Ragnar bez trudu się uchylił. Widział nadlatujący pocisk jakby w zwolnionym tempie i wiedział, że ma mnóstwo czasu, aby go uniknąć. Lekko przekrzywił głowę, unikając kamienia. Usłyszał za sobą wrzask jednego z karłów, który został trafiony zamiast niego. Jednym celnym i pewnym ciosem rozszczepił czaszkę procarza i ruszył dalej zabijać.

Blask przedziwnej, czarnoksięskiej energii rozjaśnił pomieszczenie, kiedy promień dziwnego światła przeciął z sykiem powietrze i runął z góry wprost na Ragnara. Ten próbował uniknąć trafienia i jednym susem przeskoczył nad głowami karłów, ale promień także zmienił tor lotu i uderzył wprost w niego. Ostatkiem sił próbował sparować uderzenie ostrzem swego miecza, ale energia magiczna ominęła i tę przeszkodę. Z całą siłą trafiła w pancerz na piersi Ragnara.

W jednej chwili jego ciało zwinęło się z bólu tak straszego, że Ragnar nigdy wcześniej nie byłby w stanie sobie czegoś takiego wyobrazić. Każdy z jego nerwów krzyczał w męce, a zbroja aż gotowała się od przepływającej przez nią energii. Iskry wyładowań elektrycznych pełgały po jej powierzchni. Przed oczyma Ragnara

wyświetlały się komunikaty alarmów, a w uszach trzeszczały mu odgłosy wyładowań elektrycznych. Włosy na jego ciele stanęły dęba, a silniki i motory zbroi poruszały się w niekontrolowany sposób, kiedy dziwna energia chaotycznie uruchamiała zarządzające nimi obwody. Ragnar czuł, że jeszcze chwila, a zagotują mu się gałki oczne. Jego włosy z wolna się tliły, a on sam zataczał się, spowity purpurowymi płomieniami.

Nadludzkim wysiłkiem woli Ragnar zmusił się, aby odnaleźć wzrokiem torturującego go wroga. Zacisnął zęby, czując, jak krew wypełnia mu usta i patrzył. W końcu dostrzegł kolejnego szamana karłów, który szybował wysoko, prawie pod sufitem jaskini, unoszony na powierzchni świetlistego dysku. Kolejna przeklęta czarnoksiężka sztuczka – pomyślał, torturowany spazmami bólu. Szkarłatny płomień wydobywał się z kostura, trzymanego przez stwora w szponiastej łapie. Ragnar desperacko próbował wycelować w niego swój pistolet, ale ręka drżała mu spazmatycznie, a łzy zalewały oczy. Nie był w stanie wymierzyć, a czarno-szkarłatne gwiazdy tańczyły wokół niego, mamiąc wzrok. Ragnar wiedział, że za kilka chwil umrze.

Nagle pocisk raketowy trafił w cel i położył kres potwornej torturze. Szponiasty bies runął ze swego dysku w dół. Płomienie wydobywające się z kostura znikły, kiedy tylko wypuścił go z dłoni. Kiedy koziołkując spadał w przepaść, kolejny pocisk trafił go w pierś, wprawiając jego ciało w jeszcze dziksze wirowanie. Następny wbił się w czaszkę przez oczodół, a kiedy ją opuścił, pozostawił za sobą dziurę wielkości pięści. Trysnęła fontanna krwi i resztek mózgu. Ragnar obejrzał się i z zaskoczeniem stwierdził, że życie uratował mu

Strybjorn. Znienawidzony wróg uniósł dłoń w geście pozdrowienia, a potem na powrót rzucił się w wir walki.

Ragnar z całych sił starał się zwalczyć oszołomienie, które groziło mu utratą przytomności. Jego pancerz samoczynnie sprawdzał swoją integralność i stan. Rzędy kolejnych liczb, cyfr oraz znaków przelatywały przed oczyma Ragnara, wypełniając krańce jego pola widzenia. Mimo to kątem oka zdołał dostrzec nagłe poruszenie z boku. Niewielki obiekt toczył się po podłodze jaskini. Biorąc pod uwagę kąt, pod jakim nadleciał, granat nie mógł zostać ciśnięty przez żadnego z jego towarzyszy. Zapewne któryś z karłów musiał zabrać go jednemu z martwych Marines. Ktokolwiek go rzucił, nie dbał o życie kamratów. Ragnar był przecież nadal otoczony hordą karłów, które z wyciem próbowały powalić go na ziemię. Kiedy granat eksploduje, wszyscy zginą.

Nawet na wpół oszołomiony i zdezorientowany, Ragnar wiedział doskonale, że jego zbroja nie wytrzyma uszkodzeń od wybuchu granatu. Kiedy śmiertelny pocisk podtoczył się pod jego stopy, uderzył weń płazem miecza łańcuchowego, mając nadzieję, że wstrząs nie wyzwoli zwarcia w mechanizmie zapłonowym. Przez krótką chwilę spodziewał się, że eksplozja wyrwie mu ramię ze stawu, ale potem ujrzał, jak pocisk wraca tam, skąd przybył. Chwilę później granat eksplodował, rozrywając ciała karłów na strzępy i czyniąc kolejną sporą wyrwę w ich szeregach.

Ragnar nadal parł do przodu, ale karły zdawały się wyczuwać jego słabość. Coraz więcej stworów gromadziło się wokół, próbując go przewrócić. Kamienne siekiery i pałki uderzały w zbroję i w końcu

nawet stal ceramiczna zaczęła się poddawać. Na całej szerokości napierśnika powstawały długie linie pęknięć, a odpryski metalu zaścielały podłogę jaskini. Ragnar uderzył któregoś z karłów ręką pistoletu i czaszka z chrupnięciem pękła pod siłą ciosu. Ostrze miecza łańcuchowego zatopiło się w piersi innego i jednym cięciem rozszczepiło jego ciało na dwoje. Pozostali mutanci, widząc malujące się na twarzy Kosmicznego Wilka zacięcie i determinację, poczęli się cofać, co dało Ragnarowi chwilę na odpoczynek. Potem jednym płynnym ruchem zatoczył wokół siebie koło mieczem, a kolejne trupy zaścieliły podłogę. Wirował tak niczym huragan, aż oczyścił wokół siebie spory kawałek przestrzeni.

Łapiąc z trudem oddech, rozejrzał się wokół i dostrzegł, że Nils, Lars, Sven i Strybjorn przebijają się do niego przez masę kłębiących się odmieńców. Zdawali się płynąć w morzu krwi i ciał, a karły wokół nich padały jak kłosa zboża pod kosą żniwiarza. Krwawe Szpony wydawały się nie do zatrzymania, niepokonane i niezwyciężone. Nagle Ragnar dostrzegł, jak kolejny granat szybuje w stronę jego towarzyszy. Krzyknął ostrzegawczo w ich stronę, ale w głębi serca wiedział, że jest już o wiele za późno.

Marines uskoczyli, słuchając ostrzeżenia i swoich instynktów. Sven zdołał nadludzkim wysiłkiem wydostać się poza pole rażenia granatu. Strybjorn jednak zareagował zbyt późno. Otaczało go kilku karłów, którzy zamierzali powalić go na ziemię, a potem rozbić jego nieosłoniętą głowę. W ostatniej chwili zrzucił ich co prawda z siebie z potężnym rykiem, ale kiedy skoczył, żeby uniknąć eksplozji, było już za późno. Siła wybuchu, który zaczął się w tej samej chwili, co

rozpaczliwy skok Strybjorna, cisnęła nim jak szmacianą lalką.

Ragnar stał jak oniemiały, nie potrafiąc poradzić sobie z mieszanymi uczuciami, które targały jego duszą. Znienawidzony wróg zginął, a Ragnara ominęła okazja do wywarcia zemsty. Jednak nie to było najgorsze. Oto w obliczu walki z Marines Chaosu i ich ohydny bogiem ta nienawiść okazała się nic nie znacząca i niepotrzebna. Strybjorn to zrozumiał, a Ragnar do tej pory nie. On oddał swoje życie, walcząc z pradawnym złem, podczas gdy Ragnar nadal nie potrafił przejrzeć na oczy. Co więcej, Strybjorn potrafił zapomnieć o dawnych urazach i uratować Ragnara ze szponów czaru szamana karłów. Teraz nie było już sposobu, żeby spłacić ten dług. Ragnar zawył z wściekłości, zdając sobie wreszcie sprawę, że tak naprawdę nie chciał śmierci Posepnego Czerepu. Ich plemienna nienawiść okazała się przecież tak nieważna w obliczu pradawnego i ogromnego zła, które skrywało się pod korzeniami tej góry...

Ragnar dostrzegł, że Sven ruszył biegiem w stronę miejsca, gdzie upadł Strybjorn. Ku ich zdziwieniu Posepny Czerep powstał z ziemi i ponownie uniósł broń. Jego zbroja była popękana, a jej wewnętrzne mechanizmy wyraźnie widoczne w szparach. Cześć skóry twarzy została zdarta, tak że było widać zęby i kości szczęki. Jedno z ramion, pokrwawione i nieruchome, zwisało teraz bezwładnie, ale mimo to Strybjorn dalej zaciekle zadawał ciosy swoim mieczem. Na Russa – pomyślał Ragnar – ten człowiek jest naprawdę wielkim wojownikiem. Ośłupienie minęło jak ręką odjął i popędził w stronę kolegów, przebijając się przez tłum karłów. Chwilę później dołączył do nich, wsparł Strybjorna ramieniem i ruszył dalej. Obróciwszy głowę do

Nilsa i Svena, krzyknął rozkaz:

– Granaty!

Sven uśmiechnął się złośliwie, a potem zaczął rzucać jeden pocisk za drugim, celując w największą ciżbę karłów. Nils poszedł w jego ślady i chwilę później pieczara zatrzęsa się od huku wybuchów. Zdawać się mogło, że to burza zawitała do tej podziemnej jaskini i szaleje teraz wraz ze swymi gromami i błyskawicami. W końcu karły opuściła fanatyczna odwaga. Pozbawione przywództwa swoich szamanów, rzuciły się do ucieczki. W zamieszaniu większość z nich rzucała się w przepaść i wkrótce krzyki spadających wypełniły powietrze. Ragnar z satysfakcją obserwował, jak jeden za drugim lecą w nieprzeniknioną ciemność, która rozpościerała się na dole.

Szybkim ruchem wyjął medpak z przybornika przy pasie. Jeśli zadziała szybko, może uratuje życie Strybjorna. Wiedział, że ma tylko minuty, być może nawet sekundy, żeby pomóc towarzyszowi. Rozejrzał się wokół i zobaczył, że stoi nad nim Sven, którego zbroja była cała czerwona od krwi.

– Wspaniała walka – mruknął Sven. – Ragnar pokiwał głową, zastanawiając się, ile czasu upłynie, nim zdradzieccy Marines ich dopadną. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że musi wykonać rozkaz i poinformować Zakon o tym, co znaleźli pod górą, ale nie zamierzał pozostawić Strybjorna samego na pastwę sług Chaosu. W pamięci pobrzmiwały mu słowa, które usłyszał po przekroczeniu wrót Morkai. Widział, że nienawiść jest słabością, dzięki której mroczne moce są w stanie zawładnąć jego duszą. Teraz poznał prawdę, kryjącą się za tymi słowami i z całego serca pragnął naprawić

swoje błędy. Podjął pewną decyzję i modlił się w duchu, żeby okazała się słuszna.

– Sven, Lars, Nils i ty pójdziecie przodem i wydostaniecie się z tych przeklętych jaskiń. Jak najszybciej musicie dotrzeć do miejsca, w którym będą działały komunikatory i wezwiecie pomoc Zakonu.

Zamiast odpowiedzieć, Sven odpiął zaczepy hełmu i zdjął go z głowy. Rzucił go na piasek i spojrzał dziko na Ragnara. Jego twarz wykrzywiała wściekłość, która sprawiała, że Marine w świetle lampy na ramieniu Ragnara wyglądał niczym opętany przez demona.

– Mamy zostawić ciebie i Strybjorna samych? Chcecie zginąć, czy odebrać nam szansę na bohaterską śmierć? Uważasz mnie za głupca, czy co?

Pomimo dramatycznej sytuacji, w której się znajdowali, Ragnar nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Położył rękę na ramieniu Svena i zacisnął palce.

– Załóż hełm na głowę, głupcze, albo sam rozerwę ci kłami gardło! Nie widzisz, że w tej chwili ważniejsze od bohaterskiej śmierci jest to, żeby Kosmiczne Wilki dowiedziały się o tym, co się tutaj dzieje?

– Gadka-szmatka! Gadaj zdrów – odparł Sven, a jego oczy zwięziły się z wściekłości. Jego oddech był urywany i świszczący, jakby resztką sił powstrzymywał się przed rykiem złości.

– Strybjorn uratował mi życie i nie zostawię go samego w tym miejscu!

– Ty idź na powierzchnię! Ja się nim zajmę! – gorączka bitewna w oczach Svena płonęła nadzwyczaj jasno. Nerwowo bębnił palcami po rękojeści miecza łańcuchowego.

– Nie będę powtarzał rozkazu – warknął Ragnar, czując, że traci resztki cierpliwości. – Rób, co ci każe, albo sam cię zaraz zabiję!

Ich spojrzenia spotkały się, a obnażone kły świadczyły, że konfrontacja jest blisko. Ragnar poczuł, że sierść jeży mu się na karku, ale nagle Sven wycofał się niczym wilk ustępujący miejsca przywódcy stada. Zapewne wyczuł determinację Ragnara i wołał nie sprawdzać, na ile realne są jego groźby.

– Dobra – warknął. Podniósł hełm z ziemi i otarł wizjery z zakrwawionego piasku. – Ruszamy, ale następnym razem będzie moja kolej, żeby zostać na tyłach z rannymi.

– Dobrze – odparł z uśmiechem Ragnar. Sven zmierzył go jeszcze raz wzrokiem, a potem zaczął wydawać rozkazy Nilsowi i Larsowi:

– Wy dwaj. Słyszeliście bohatera. Ruszamy przodem i żadnych kłótni, bo powyrywam wam serca i zjem je na surowo.

– Mówiłem? – mruknął na wpuł do siebie Nils. – On ciągle tylko o jedzeniu.

Uniósł kciuk do góry i mrugnął do Ragnara.

– Jeszcze się spotkamy – powiedział Lars. – Możesz mi wierzyć.

– Modlę się do Russa, żebyś miał rację – odparł głucho Ragnar, obserwując, jak cała trójka rusza ciemnym korytarzem i wkrótce znika z pola widzenia.

Ragnar wyciągnął pojemnik z pianką organiczną z przybornika przy pasie i rozprowadził jego zawartość po twarzy Strybjorna. Sztuczna masa organiczna natychmiast pokryła ranę i zaschła, przylegając do nagich kości. Nie wyglądała pięknie, ale przynajmniej utrzymywała ranę w czystości. Następnie podłączył te przewody zbroi, które zdołał

i masą plastyczną zasklepił dziury w pancerzu. Na koniec, upewniwszy się, że systemy zbroi energetycznej działają poprawnie, a rany Strybjorna są opatrzone, wbił w port medyczny pancerza dozownik stymulantu i cała jego zawartość dostała się do krwioobiegu rannego. Ten od razu otworzył oczy, wydając z siebie ryk bólu.

– Jestem zdziwiony, że pozostałeś przy mnie, Ragnarze Gromowa Pieść – powiedział, kiedy przestały nim wstrząsać spazmy. Jego głos był chrapliwy, naznaczony potwornym bólem, który musiał zawładnąć teraz ciałem Strybjorna.

– Ocaliłeś mi życie. Spłacam swój dług.

– Nie potrzebuję twojej pomocy – odparł przez zaciśnięte zęby Strybjorn i spróbował wstać. Podniósł się na kolana, ale później jego członki odmówiły posłuszeństwa. Ragnar wziął go pod ramię i pomógł stanąć na nogi. Miecz łańcuchowy wsadził do pochwy, lewą ręką, w której cały czas trzymał pistolet raketowy, objął towarzysza i wyprostował się powoli. Przez dziury w pancerzu Strybjorna płynęła krew.

– Lepiej się ruszmy. To tylko kwestia czasu, nim karły odzyskają odwagę i wrócą tutaj ponownie albo ci zdrajcy je do tego zmuszą.

Pomimo bólu Strybjorn nadal wyglądał na dzikiego i żądnego walki.

– Ciekaw jestem, jak sobie radzi Hengist i reszta.

Ragnar wyteńczył słuch, usiłując wyłowić jakiś odgłos walki z oddali, ale nie był w stanie. Najprawdopodobniej członkowie oddziału Hengista byli martwi lub co gorsza dostali się do niewoli. Ragnar miał

nadzieję, że zawalony most spowolni pościg Marines Chaosu, ale z drugiej strony wiedział, że nawet dzięki temu nie zyskają zbyt wiele czasu.

Strybjorn oparł się na ramieniu Ragnara i ruszyli do przodu.



*



Ragnar ze wszystkich sił starał się przypomnieć sobie drogę, którą przebyli, zagłębiając się z oddziałem w te przeklęte jaskinie. Nie było to łatwe. Co prawda woń Kosmicznych Wilków wisiała jeszcze w powietrzu, ale tłumiał ją smród karłów. Czasem odnalezienie woni wilczych braci było prawie niemożliwe. Teraz Ragnar wiedział, że i jego stado wpadło w sprytnie zastawioną pułapkę. Pozwolono im odnaleźć drogę do jaskiń i zagłębić się w nie, podczas gdy liczne grupy karłów zbierały się w pobliskich korytarzach, odcinając im drogę odwrotu. Niczego nieświadome Kosmiczne Wilki dotarły do świątyni niczym mimowolne ofiary dla Tzeentcha. To nie była pocieszająca myśl.

Światło naramiennej lampy Ragnara przebijało się przez mrok. W jej blasku odnalazł świeże jeszcze tropy grupy Svena. Przynajmniej jedna dobra wiadomość. Zza jego pleców dobiegł jęk. Stan Strybjorna

pogarszał się coraz bardziej. Jego twarz była blada, a skóra nabrała żółtawego koloru, który na jego rodzinnych wyspach kojarzony był zwykle z nadchodzącą śmiercią. Jedyna nadzieja w tym, że nadludzka siła i wytrzymałość Strybjorna pozwolą mu przeżyć do nadejścia pomocy. Ragnar zastanawiał się, co może jeszcze zrobić w tej sytuacji. Zapewne Strybjorn odniósł także obrażenia wewnętrzne, których uleczenie pozostawało poza możliwościami ekwipunku i wiedzą Ragnara. Czasem niegroźna z pozoru rana okazywała się śmiertelna. Będąc młodzikiem, Ragnar nieraz słyszał opowieści o wojownikach, którzy w trakcie bitwy zostali lekko uderzeni w głowę, a potem umierali niespodziewanie, choć nie odnieśli poważniejszych obrażeń. Wielce prawdopodobne, że taki los mógł stać się udziałem Strybjorna.

– Idź dalej beze mnie – wyrzeźił Posępny Czerep. Jego słowa brzmiały nienaturalnie i obco. Rana szczęki utrudniała mówienie – Zaczekam tutaj i zabiję tych, którzy będą za tobą podążać.

– Idziesz ze mną, nawet jeśli będę cię musiał ogłuszyć i nieść na własnych plecach przez całą drogę. Skoro dotarliśmy już tak daleko, to bądź mężczyzną i nie poddawaj się teraz.

Ich spojrzenia spotkały się. Podobnie jak w przypadku Svena, Ragnar wyczuł determinację Kosmicznego Wilka, ale i ją nagiął do swojej woli. Gdyby Strybjorn był w pełni sił, zapewne nie usłuchałby jego rozkazów, ale teraz poddał się po chwili.

– Wygrałeś – mruknął cicho. – Chodźmy dalej.

Serwomotory jego zbroi zawyły, kiedy ruszyli. Przerwane kable przewodów sypały skrami i buchały sprężonym powietrzem z plecaka,

ale mimo to Strybjorn szedł przed siebie niepewnym krokiem.

Ragnar widział, że towarzysz robi co w jego mocy, żeby utrzymać się na nogach.



Ku swemu zdziwieniu Ragnar odetchnął z ulgą. To było podziemne jezioro, przy którym po raz pierwszy walczyli z karłami. Nigdy nie przypuszczał, że można się tak ucieszyć się na widok tych obrzydliwych wód. Jednak tak właśnie było i nawet gdyby stanął na brzegu rodzinnej zatoki, nie cieszyłby się bardziej. Teraz miał pewność, że idą we właściwym kierunku i niedługo dotrą na powierzchnię.

W ciągu kilku ostatnich godzin nadzieja wiele razy go opuszczała i był pewien, że się zgubili. Droga, która dotarli do świątyni Tzeentcha, wglądała zupełnie inaczej niż ta, którą teraz podążali. Ragnar wiedział, że to tylko złudzenie spowodowane tym, że oglądał korytarze i mijane pieczary z innej perspektywy, ale widok podziemnego jeziora dał mu pewność. Teraz był jednak bardzo zmęczony. Sami, zdani tylko na własne siły, otoczeni przez wrogów uparcie parli do przodu, choć ceną za ten wysiłek było fizyczne wyczerpanie i ciągłe napięcie.

– Czy to jezioro martwych? – spytał nagle Strybjorn. Jego głos przypominał jęk konającego. Ragnar zdał sobie sprawę, że Posępny Czerep majaczy w gorączce. – Wreszcie tu dotarliśmy?

– Nie – odparł cicho Ragnar. – To nie to jezioro. Tutaj po prostu napluł Sven.

Pomimo powagi sytuacji Ragnar próbował uśmiechnąć się do siebie, ale uzyskał tylko kolejny grymas potwornego zmęczenia.

– To ty, Ragnarze Gromowa Pięść. Pamiętam cię dobrze. Zabiłem cię w bitwie, a ty zabiłeś mnie. A więc razem trafiliśmy do piekła!

Ragnar wzdrygnął się, zdając sobie sprawę, jak prawdziwie brzmią słowa Strybjorna. A jeśli to, co mówi Posepny Czerep, jest prawdą? Ich ciała nadal spoczywają w ruinach spalonej wsi, a obóz Russvik, szkolenie i przemiana w Kosmicznego Marine były niczym innym jak ostatnim agonalnym snem, który przepłynął przed jego oczyma w chwili śmierci? Może rzeczywiście byli martwi i tak jak w legendach wkroczyli razem do piekieł?

Ragnar odegnał od siebie tę myśl. Zaczepnął głęboko powietrza, łapiąc w nozdrza zapach zepsutej wody, pleśni i grzybów porastających ściany. Plamy krwi pokrywały podłogę w miejscach gdzie zabite zostały karły. Teraz ich trupy zniknęły, odciągnięte przez ziomków zapewne do spiżarni.

Ragnar czuł, że żyje. Na jego ramieniu zaciskały się okryte stałą ceramiczną palce Strybjorna, a kabura pistoletu raketowego objęła się o biodro. Rozejrzał się po salę, a jego nadludzko czułe zmysły zbierały informacje o pomieszczeniu.

Nie umarłem, powtarzał sobie w duchu. Ani ja, ani Strybjorn jeszcze nie zdechliśmy. Jesteśmy Kosmicznymi Wilkami, wybrańcami samego Russa.

Wyciągnął z medpaka przy pasie kolejną fiolkę środków przeciwbólowych i wstrzyknął je przez port medyczny zbroi Strybjorna. Zawartość pojemnika z sykiem opuściła naczynie i dostała się do organizmu. Strybjorn jęknął i pokręcił głową. Ale potem uniósł głowę i rozejrzał się wokół. W jego oczach nadal widać było ból, ale trawiąca go gorączka zadawała się ustępować.

– Ruszajmy dalej – powiedział, a Ragnar pokiwał twierdząco głową. Z oddali słyszał już odgłosy pościgu.

– Co to? – spytał Strybjorn. Ragnar był zdziwiony, że Posepny Czerep cokolwiek usłyszał. W ciągu ostatniej godziny znów ogarnęła go gorączka i ledwie trzymał się na nogach.

– Nic takiego – skłamał gładko Ragnar. Dźwięk, który obaj słyszeli, towarzyszył obutej w stal stopie, która stąpnęła na kamień. Echo uniemożliwiło określenie, skąd dokładnie dochodził dźwięk, ale pościg musiał znajdować się niedaleko. Ragnar zaklął w duchu. Ktokolwiek ich ścigał, był bardzo pewny siebie. Nie próbował nawet ukrywać tego, że ich tropi.

Znajdowali się teraz w długim pomieszczeniu, którego sklepienie podtrzymywały dźwigary ze stali ceramicznej. To tutaj Ragnar wspinał się, aby dokładniej je zbadać. Zadawało mu się, że minęły całe tygodnie albo nawet miesiące od tamtych chwil. Dotarli tak

blisko powierzchni, prawie im się udało. Sven i jego grupa prawdopodobnie zdołali uciec, ponieważ jak dotąd nie natknęli się ze Strybjornem na żaden znak, który mógłby świadczyć o ich śmierci. A więc byli już zapewne na zewnątrz i przy odrobinie szczęścia zdołali nawiązać kontakt radiowy z dowództwem Zakonu. Nic w tym zresztą dziwnego, poruszali się szybciej i nie musieli nieść rannego.

– No, dalej – mruknął pod nosem Ragnar. – Został nam już tylko kawałek drogi...

Strybjorn pokiwał głową i kuśtykał dalej. Dotarli już prawie do końca długiej sali, kiedy Ragnar usłyszał za swoimi plecami melodyjny i złowrogi głos:

– Dokąd tak uciekasz, szczeniaku? Odwróć się i stań mniszę mną twarzą w twarz. Nigdy nie sprawiało mi przyjemności strzelanie wrogom w plecy.

Teraz Ragnar rozpoznał ten głos. To był zdrajca, z którym rozmawiał Hengist. Powoli odwrócił się do niego, pozwalając Strybjornowi opaść na ziemię. Posepny Czerep chwycił swój miecz łańcuchowy.

Ragnar spodziewał się, że ujrzy za sobą co najmniej pełen oddział zdrajców, wspomagany przez tłum karłów. Tak jednak nie było, stał przed nim samotny Marinę.

– Madok! – warknął Ragnar. Runy i ikony zdobiące zbroję zdrajcy świeciły i pulsowały złą mocą. Sierść na karku Ragnara zjeżyła się od trzaskającej w powietrzu elektryczności. Co się dzieje? – pomyślał przestraszony – czyżby wróg chciał rzucić jakiś czar?

– Zapamiętałeś mnie. Naprawdę, jestem pod wrażeniem. To dobrze. Kiedy twoja dusza dotrze w końcu do piekieł, będziesz mógł pochwalić się, z czyjej ręki zginąłeś. – Głos zdrajcy był chrapliwy i syczący.

– Jeszcze nie umarłem.

– Wierz mi, to tylko kwestia czasu. Zadbam o to osobiście.

– A gdzie twoi bracia? Zginęli?

– Nie. Tropią w korytarzach resztki twojego stada, twoi kamraci tchórzliwie uciekli z pola walki.

– Nie wierzę ci – warknął Ragnar, czując, że wilk w jego duszy wola o krwawą zemstę za tę zniewagę.

– Nie interesuje mnie, w co wierzysz, a w co nie – odparł Madok. W jego głosie znów słyhać było ogromne znudzenie.

– Więc czemu w ogóle ze mną rozmawiasz, zdrajco?

Czarnoksiężnik westchnął, jakby zastanawiał się nad ogromem ignorancji Kosmicznego Wilka.

– Ponieważ już dawno nie miałem okazji tego robić. Zawsze lubiłem drażnić dzikie bestie, zwłaszcza jeśli były blisko. Zamierzam bawić się twoją wściekłością. Niech to będzie moja mała zemsta za to, co uczyniliście z Porspero.

– Jesteś zatem jednym z Tysiąca Synów!

Ragnar wiedział, że ci wyznawcy Chaosu należeli do najstarszych i najzacieklejszych wrogów jego Zakonu. Czarnoksiężnicy i wyznawcy demonów nigdy nie zapomnieli Kosmicznym Wilkom tego, że spopielili ich rodzinny świat, kiedy wiele tysięcy lat temu załamała się Herezja Horusa. Od tego czasu usiłowali dokonać zemsty i kilkakrotnie najeżdżali Fenrisa, próbując wyrównać rachunki. Ragnar zastanawiał się, czy obecność Madoka nie jest związana z kolejną planowaną inwazją. Z pewnością to było bardzo prawdopodobne. Ragnar poczuł dumę. Sven i jego grupa prawie na pewno zawiadomili już dowództwo Zakonu. Plan zdrajców się nie powiedzie. Zemsta Kosmicznych Wilków będzie szybka i bezlitosna.

– Brawo! A więc idioci zamieszkujący Kieł nadal uczą historii.

– Owszem. Nauczono mnie wszystkiego, czego potrzebuję, żeby

rozpoznać diabła w ludzkiej skórze, kiedy go zobaczę. A także tego, co powinienem wtedy uczynić...

Ku zaskoczeniu Ragnara, Madok wybuchnął śmiechem. Jego złośliwy do tej pory ton przybrał naukowy wyraz, kiedy powiedział:

– Naopowiadali ci stek bzdur. To twój Legion zaatakował mój. Zostaliśmy zdradziecko napadnięci we własnym domu.

– Odwróciliście się od ludzkości i samego Imperatora!

– Mówisz z taką butą i pewnością siebie – powiedział Madok, kręcąc smutno głową. – Nic nie wiesz o tamtych czasach. To nie my odwróciliśmy się od Imperatora, ale on od nas. Poszczył nas swoimi Wilkami, ponieważ nie potrafił zaakceptować tego, że wielebny Magnus wybrał inną ścieżkę, niż mu nakazano. Nasz pierworodny odkrył drogę ku prawdziwej potędze i nieograniczonej mocy.

– A także bezkresnemu złu.

Madok ponownie pokręcił smutno głową.

– Prawdą jest to, co powiadają. Głupotą jest spierać się z kimś, kto nie słucha. A żaden z Zakonów Kosmicznych Marines nie jest bardziej dziki i ograniczony niż Kosmiczne Wilki. Nie wiem, czemu tracę czas, próbując cię oświecić.

Ragnar także się zastanawiał, jaki cel ma ta rozmowa. Czy zdrajca na coś czekał? Być może znów wypatrywał przybycia swoich braci, którzy mieliby mu pomóc w schwytaniu jego i Strybjorna? W tej chwili nie miało to jednak znaczenia. Każda sekunda, którą Madok marnował na tę bezcelową rozmowę, przybliżała moment przybycia posiłków z Kła.

– Może i jesteśmy dzicy – warknął Ragnar. – Ale nie łamiemy raz złożonych przysięg.

– Ależ uparcie tkwisz w swojej głupocie.

Ragnar zastanawiał się nad sensem słów Madoka i nagle zdał sobie sprawę, że czarnoksiężnik oplótł go siecią jakiegoś zaklęcia, które nakazywało mu słuchać jego zdradzieckiego głosu. Czyżby Madok chciał go przywieść na krawędź herezji?

Czas coś uczynić, pomyślał Ragnar, choć tej chwili nie był w stanie zrobić czegokolwiek. Czy mu się zdawało, czy też klejnoty na zbroi Madoka błyszcząły jeszcze jaśniej niż zwykle? Jaka była ich rola w tej sytuacji? Ragnar pokręcił głową, odrzucając otumaniające go myśli i spytał:

– Jak tutaj przybyliście?

– Odpowiedzieliśmy na błagalne modlitwy wyznawców Wielkiego

Pana Przemian. Dostaliśmy się na planetę pod osłoną deszczu meteorytów, który mieli zbadać twoi niedoświadczeni bracia. Zjawiliśmy się tutaj na prośbę tych, którzy nas wyznają. Świątynia, którą widziałeś w podziemiach tej góry, została poświęcona przez jednego z moich braci w ostatnich dniach naszego ataku na Fenrisa. On nauczył mieszkające tutaj karły prawdziwej religii i pokazał im drogę ku niczym nie skrepowanej wolności.

Ragnar pokiwał głową. Teraz wszystkie elementy układanki dopasowały się do siebie. Uniósł powoli ramię, zwalczając I czar paraliżu, którym obłożył go Marinę Chaosu. W końcu, jakby obciążony ogromnym ciężarem, wycelował swój pistolet prosto w Madoka. Teraz czar prysł, a klejnoty zdobiące zbroję czarnoksiężnika przygasły.

– Jesteś obdarzony silniejszą wolą, niż przypuszczałem, szczeniaku – powiedział Madok, a w jego głosie słychać było wściekłość – Teraz jednak będę musiał cię zabić. Szkoda. Miałem nadzieję, że o własnych siłach pomaszerujesz do kaplicy Pana Przemian, aby ofiarować się jego woli. Cóż, nie można zawsze mieć wszystkiego.

Z szybkością, za którą nie zdołało nadążyć nawet oko Ragnara, Madok uniósł swój pistolet i wystrzelił. Kula sięgnęła nie ciała, ale broni, która wyleciała z dłoni Ragnara, koziołkując w powietrzu. Miał do czynienia z prawdziwym snajperem. Pozostała mu tylko jedna szansa. Ragnar rzucił się do przodu, dobywając miecza łańcuchowego.

Lufa pistoletu Madoka pozostała nieruchoma, celując teraz w pierś Kosmicznego Wilka. Zdawała się ogromna niczym wejście do jaskini, a otaczała ją wyrzeźbiona w złocie paszcza demona. Za chwilę z jego pyska wyfrunie kolejny pocisk, a wtedy Ragnar zginie. Z tej odległości Madok nie mógł chybić.

Ragnar skrzywił się, kiedy usłyszał huk wystrzału, ale ku swemu zdumieniu nie został trafiony. Natomiast Madok zatoczył się do tyłu, a w jego pancerzu pojawiła się dziura. Oczywiście, pomyślał Ragnar, Strybjorn musiał odzyskać zmysły i otworzył ogień ze swojego pistoletu raketowego. Czarnoksiężnik odzyskał równowagę i strzelił, ale jego pocisk odbił się od zbroi Ragnara. Jęk bólu z tyłu powiedział mu, że to Strybjorn został po raz kolejny dzisiejszego dnia ranny.

Mimo to Ragnar nie zamierzał marnować szansy, jaką dał mu niespodziewany atak towarzysza. Kiedy biegł, czuł, że opadają z niego resztki rzuconego przez Madoka czaru. Ragnar znów był sobą, Kosmicznym Wilkiem w bojowym szale. Z wyciem wściekłości zamachnął się i uderzył sługę Chaosu, chcąc rozplątać go na dwoje. Zdrajca zasłonił się pistoletem i metal z jękiem uderzył o metal.

Iskry zaczęły się sypać naokoło, kiedy zęby miecza Ragnara przepiłowały się przez pistolet Madoka. Czarnoksiężnik wykorzystał sytuację, odrzucił broń i uskoczył w bok. W jego wyciągniętej prawej dłoni pojawił się nagle miecz o ostrzu poznaczonym tajemniczymi runami. Metal, z którego wykonano broń,

był całkowicie czarny, a znaki, które go pokrywały, pulsowały głęboką czerwienią. Nikt nie musiał Ragnarowi tłumaczyć, że jedno dotknięcie tej broni oznaczało śmierć. Chwyciwszy mocniej obiema dłońmi rękojeść miecza, zadał potężny cios. Madok zasłonił się swoim ostrzem i ponownie rozległ się brzęk metalu.

Słucha Tzeentcha odrzucił Ragnara do tyłu. Kosmiczny Wilk nie tracił czasu i ponownie zaatakował, jednak zdrajca bez trudu odbijał jego ciosy. Krążyli wokół siebie niczym dwa wilki, gotowi do ataku. Z miecza Madoka dobywało się lekkie zawrozczenie, jakby coś żyło we wnętrzu broni. Włosy Ragnara aż stanęły dęba.

– Masz rację – wyszeptał czarnoksiężnik, jakby czytając w jego myślach. – W tym ostrzu zaklęty jest demon, który z radością pożre twoją duszę i spije krew. Jest bardzo spragniony...

– Najpierw będziesz musiał mnie trafić – warknął Ragnar i po raz kolejny zadał cios. Madok uniknął go z łatwością i sam odpowiedział pchnięciem.

– To nie będzie wcale takie trudne – syknął, a potem zasypał Ragnara lawiną ciosów, których ten rozpaczliwie próbował uniknąć. Raz za razem ostrze mijało go o włos. Siła, zręczność i szybkość czarnoksiężnika były wprost nierzeczywiste. Ragnar zdawał sobie sprawę z tego, jak jest sprawny, jednak w porównaniu z Madokiem zdawał się bezradny niczym dziecko.

Czemu się dziwić? – pomyślał, z trudem odbijając kolejne uderzenie. Siła ciosu była tak wielka, że zdrętwiało mu całe ramię. Madok miał za sobą całe tysiąclecia doświadczenia, podobnie jak wszystkie możliwe moce, jakimi może człowieka obdarzyć Chaos. Walka przeciwko niemu była głupotą i szaleństwem. Nie było sposobu, żeby go pokonać. Ragnar mógł się już właściwie poddać. Śmierć będzie wtedy mniej bolesna.

Po raz kolejny Ragnar zdał sobie sprawę, że ktoś próbuje manipulować jego myślami. Nie zrodziły się one w jego głowie, a napłynęły do niej z zewnątrz. Złowroga pieśń, którą śpiewało ostrze Madoka, podkopywała jego wolę walki w bardzo podstępny i zdradziecki sposób. Ragnar potrząsnął głową, kolejny raz zrzucając z siebie urok rzucony przez czarnoksiężnika. Z nową energią naparł na Madoka, uderzając mieczem z siłą szaleńca. Teraz czarnoksiężnik musiał się cofnąć pod nawałą ciosów.

Madoka ogarnęła wyraźnie wyczuwalna złość. Po raz kolejny jego plan zawiódł. Ragnar uśmiechnął się do siebie i pchnął mieczem. Ostrze trafiło w jedną z demonicznych głów zdobiących pancerz czarnoksiężnika. Przez chwilę zdawało się, że trysnęła krew, ale to roztopiony metal buchnął ze szczeliny. Przez chwilę gotował się niczym magma, wydzielając chmury srebrzystego, trującego gazu. Ragnar odskoczył do tyłu, zdając sobie instynktownie sprawę, że nawet najłżejsze opary oznaczały śmierć w męczarniach. Przebrzydła

magia czarnoksiężnika Tzeentcha mogła bez trudu pokonać nawet jego nadludzkie zdolności do neutralizowania trucizn.

– Świetny cios – przyznał Madok i niespodziewanie kopnął Ragnara w krocze. Pod straszliwą siłą tego uderzenia zbroja pękła, a Wilk poleciał do tyłu, koziołkując w powietrzu.

Ragnar pozwolił sile ciosu odrzucić się jak najdalej, a potem wykorzystując własny pęd przetoczył się przez plecy i stanął na nogi. Krocze potwornie go bolało. Potrząsnął głową, próbując odzyskać jasność widzenia. Madok wykorzystał tę szansę i biegiem ruszył w jego stronę, unosząc runiczny miecz do ciosu.

Ragnara ogarnęła nagła słabość. Doskonale wiedział, że nie starczy mu sił, żeby sparować kolejne uderzenia ani tym bardziej zadać skuteczny cios. Jedyne, co mógł w tej chwili zrobić, to biernie obserwować, jak zdrajca zbliża się krok za krokiem, oraz słuchać zawodzenia jego miecza. Już za chwilę ostrze wbije się w jego ciało, i jeśli wierzyć słowom heretyka, dusza zostanie wyssana z żywego ciała.

Madok popełnił jednak błąd. Całkowicie zignorował Strybjorna, który leżał nieruchomo na podłodze. Kiedy czarnoksiężnik przechodził obok niego, ranny nagle otworzył oczy i z jękiem bólu ostatkiem sił chwycił go za nogę. Nieprzygotowany na atak z tej strony Madok zachwiał się i runął do przodu. Widząc, że masywne

ciało Marinę Chaosu upada wprost na niego, Ragnar instynktownie zasłonił się mieczem. Po raz kolejny metal uderzył o metal, a wirujące zęby miecza łańcuchowego przegryzły się przez zbroję Madoka, siejąc wokół fontannami iskier. Ragnar natychmiast przetoczył się na bok, unikając oparów trującego gazu, które buchnęły ze zbroi czarnoksiężnika. Wbity w niego miecz parł do przodu, popychany siłą wirujących ostrzy i w końcu sam przebił się na wylot, wystając tryumfalnie z pleców zdrajcy. W akompaniamencie potwornego wycia z pancerza buchnęły kolejne opary i szybko rozproszyły się w powietrzu.

Hełm Madoka potoczył się po podłodze. Był całkowicie pusty, jakby nikt go nie nosił. Być może tak rzeczywiście było, a materialne ciało zdrajcy już dawno umarło i zniknęło. Tylko jego zły duch zamieszkiwał starożytny pancerz.

Przez chwilę Ragnar stał nieruchomo, z trudem łapiąc oddech. Czuł się potwornie obolały i zmęczony. Powinien być dumny, ale nie potrafił wykrzesać z siebie zadowolenia. Mimo wszystko pokonał znacznie potężniejszego od siebie przeciwnika. Prawda, że udało mu się to bardziej dzięki łutowi szczęścia niż umiejętnościom, a także dzięki przesadnej pewności siebie Madoka, ale jednak tego dokonał. Najbardziej cieszył się z tego, że uszli z życiem z kolejnej zasadzki.

Ragnar podniósł pistolet Strybjorna i wsadził go do swojej kabury, a następnie wyciągnął swój miecz ze zbroi Madoka. Podszedł do

Strybjorna, uniósł go z trudem i ruszył mozolnie ku wyjściu z jaskini. Jego uszkodzona zbroja wyła i zawodziła, ale nadal działała, utrzymując podwójny ciężar. Ragnar pomyślał, że musi podziękować zbrojmistrzowi za to, że utrzymywał ją tak długo w idealnym stanie. Wiele jej zawdzięczał w trakcie tej misji.

Uginając się pod ciężarem nieprzytomnego Strybjorna, szedł dalej. To już trzeci raz dzisiejszego dnia dawny wróg uratował mu życie. Taki dług należało spłacić w równie znaczny sposób.

Jedynym sposobem, w jaki mógł teraz to uczynić, było wydostanie ich obydwu na powierzchnię. Zacisnął zęby i z ponurą determinacją ruszył przed siebie. Miał nadzieję, że wyjście z jaskini nie jest już zbyt odległe...



Chłodne nocne powietrze owiało twarz Ragnarą, niosąc ze sobą zapach chemikaliów. Dobrą chwilę zajęło jego zmęczonemu i otepiałemu od bólu umysłowi zrozumienie, że oto wreszcie wydostał się na zewnątrz. Kolejną chwilę docierała do niego świadomość, że wejście do jaskini zostało oczyszczone z dzikiej roślinności. Dopiero kolejnych kilka sekund później zrozumiał, że kilkadziesiąt luf celuje wprost w niego. Zapach wielu, naprawdę wielu Kosmicznych Wilków docierał do jego nozdrzy.

– To ja, Ragnar – powiedział, mając nadzieję, że rozumieją, iż nie ma żadnych złych zamiarów. Z pewnością musieli go rozpoznać, choć w tej sytuacji nie można było mieć pewności. To byłaby potwornie głupia śmierć, gdyby po wyjściu z tej przeklętej jaskini zginął z rąk własnych braci.

Reflektory oświetliły jego sylwetkę i choć oczy Ragnara momentalnie dostosowały się do silnego światła, to przez chwilę stał całkowicie oślepiony. W tej samej chwili do jego umysłu wdarła się czyjaś świadomość, a Ragnar miał pewność, że jego myśli są w tej chwili sondowane przez trzech starców, których spotkał za Wrotami Morkai. Tym razem nie bronił się przed ich obecnością, nie chcąc, aby doszło do jakiegokolwiek nieporozumienia. Niematerialne palce badały jego myśli, a kiedy przekonały się, że jest tym, na kogo wygląda, opuściły jego umysł.

– To brat Ragnar i brat Strybjorn – powiedział jakiś głos. – Nie ma na nich znamion Chaosu.

– Podejdź do przodu, bracie Ragnarze i oddaj brata Strybjorna pod opiekę aptekarzy – odezwał się kolejny głos. Ten należał do Raneka. Reflektor przestał oświetlać Ragnara i teraz przeszukiwał górskie zbocza i nocne niebo, oświetlając przy tym przelatującego w pobliżu Thunderhawka. Pozostałe statki powietrzne także krążyły w pobliżu. Wydawało się, że Zakon w odpowiedzi na zagrożenie zmobilizował

wszystkie dostępne w tej chwili siły. Bez wątpienia poważnie potraktowano ostrzeżenie, które zostało przekazane do Kła.

Zbierając resztki sił, Ragnar ruszył do przodu. Jego zbroja jęczała, ciężar Strybjorna powodował, że ledwie się trzymał na nogach, ale szedł wyprostowany i dumny. Kilku z braci noszących odznaki medyków zbliżyło się do niego i odebrało Strybjorna z jego ramion. Jeden z nich gestem nakazał Ragnarowi, aby poszedł za nim. Doprowadzili go do szpitala polowego, rozłożonego niżej w dolinie. Bezzwłocznie podłączono urządzenia medyczne do odpowiedniego portu zbroi Strybjorna. Wokół rozbrzmiewały śpiewy i inkantacje lekarzy. Także Ragnara podłączono do urządzeń.

– Czy Strybjorn przeżyje? – spytał po chwili. – Uratował mi życie...
– własne słowa wydały mu się głupie, ale jeden z medyków uśmiechnął się tylko, pokazując wilcze kły.

– Bez wątpienia odpłaciłeś mi tym samym. Dotarł tutaj w ostatniej chwili. A teraz zamilcz, muszę cię zbadać. – Ostatnie słowa, choć były rozkazem, zostały wypowiedziane bez złości czy gniewu. Ragnar usłuchał. Napierśnik jego zbroi otworzył się z trzaskiem, a urządzenia medyczne zaczęły pompować lecznicze substancje do jego organizmu. Ragnar odprężył się, choć kręciło mu się w głowie i był coraz bardziej senny. Potrząsnął głową i dostrzegł stojącego w drzwiach Svena.

– Udało ci się ujść z życiem, bracie. Jestem szczęśliwy.

– Ty także jesteś cały i zdrowy. Na dodatek zawiadomiłeś Zakon.

– Tak, ale mieliśmy sporo kłopotów. Trzeba było przebiec dobre dwa stajania, nim wyszliśmy poza obszar zakłóceń i obawiałem się, że będzie już a późno. Dopiero wtedy komunikatory zaczęły działać.

– I co się stało?

– Rozpętało się istne piekło. Pięć minut po tym, jak wysłaliśmy wiadomość, pojawiły się Thunderhawki i zrzuciły jakieś chemiczne bomby. W dwie minuty oczyścili teren na dobry kilometr od wejścia do jaskini. Kiedy tylko płomienie zgasły, Thunderhawki wylądowały i wysypali się z nich bracia. Wydaje mi się, że przybył tutaj każdy Wilk, jaki był w Kle. Zaroiło się od nich tutaj: jest Ranek, Kapłani Żelaza, Bibliotekarze, wszyscy starsi wojownicy. Obudzili nawet brata Pancernika, Bjorna Miażdżącą Pięść. To podobno jeden ze starożytnych, walczył u boku samego Russa. Zdaje się, że wleźliśmy do gniazda szerszeni, a oni zamierzają teraz puścić je z dymem. Ja, Nils i Lars właśnie wróciliśmy z miejsca, z którego nadawaliśmy, a teraz chcę pójść na dół, żeby zobaczyć, co się będzie działo.

– Wracasz tam?

– Spróbuj mnie powstrzymać! Pierwsze oddziały już schodzą na dół i sprawdzają, czy nie ma jakichś pułapek, Thunderhawki

zabezpieczają nas z powietrza, upewniając się, że nie ma żadnych innych wyjść z góry. Jak się tylko przekonają, że można zejść na dół, wykończymy ich jednego po drugim.

– Ja i Strybjorn zabiliśmy jednego. To był ich przywódca, Madok.

– Słyszałem. Bibliotekarze mówili o tym. Pewnie o twoim zwycięstwie wie już cały Zakon. Jesteśmy jednym z nielicznych oddziałów Krwawych Szponów, który zdołał zabić wybrańca Chaosu. Nieźle się sprawiliśmy.

– Mieliśmy szczęście.

– Jeśli miałbym wybrać, czy chcę mieć dowódcę szczęściarza, czy mądrego, to wolę tego pierwszego. W każdym razie nie mów tego głośno. Po raz pierwszy odkąd znalazłem się w Russvik ktoś mówi o mnie dobrze, a nie tylko ciągle ruga. Wreszcie jesteśmy równi innym Wilkom.

– Nie sądzę, żeby tak było – odparł wolno Ragnar. – Zawsze byliśmy dla nich ważni, dlatego traktowali nas tak surowo.

– Możliwe. Kiedy skończą z tobą aptekarze, dołącz do nas. Nils znalazł wreszcie coś do zjedzenia.

– Nie jestem wcale zaskoczony – powiedział ze szczerym uśmiechem na twarzy Ragnar. Czuł się spokojny i szczęśliwy. Zdał

swój chrzest bojowy, nie okrywając się hańbą. Już wkrótce oczyszcza to gniazdo żmij z plugastwa i pomszcza zabitych braci. Ragnar już nie mógł się doczekać nadchodzącego starcia.



Epilog



– Bracie Ragnarze! – głos był czysty, dźwięczny i pełen powagi. Pobrzmiwały w nim nutki nie znoszącego sprzeciwu autorytetu.

Otworzył oczy i natychmiast zdał sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje. Do jego nozdrzy dobiegał zapach rozpylonych w powietrzu środków dezynfekujących, a skórę szczypała niska temperatura ambulatorium. Stół w kaplicy chirurgicznej, na którym teraz leżał, był twardy i niewygodny. Czyjaś pomarszczona i poorana bliznami twarz pochyliła się nad nim. Kły, które wysunęły się z ust uśmiechającego się doń człowieka, upewniły Ragnara, że znajduje się pośród swoich wilczych braci. Ból, który promieniował z jego klatki piersiowej, przypominał o postrzale, ale z drugiej strony był dowodem, że życie nie opuściło jeszcze jego ciała.

– To nie może być piekło, bracie Sigardzie – powiedział zachrypniętym głosem. – Jesteś tak brzydki, że demony nie wpuściłyby cię do swego królestwa.

– A ty jak zwykle jesteś nieokrzesany i nie odpowiadasz na wołanie śmierci, kiedy ona cię wzywa. Choć moim zdaniem tym razem niewiele brakowało. Była taka chwila, kiedy twoje serca przestały bić, a dusza opuściła ciało. Już byliśmy pewni, że straciliśmy cię na dobre, ale potem nagle z jakiegoś powodu wróciłeś do nas.

– W dalszym ciągu mam wiele spraw do załatwienia pomiędzy żywymi, bracie. Wrogowie czekają, abym zakończył ich żywota.

Wzywają bitwy, które przeznaczono mi wygrać. Nie czas mi jeszcze umierać. Jak nam idzie wojna?

Cóż... Uchwyciliśmy przyczółek, zabezpieczyliśmy lądowisko, a teraz siły imperialne przemieszczają się, aby zabezpieczyć perymetr. Nieźle nam poszło jak na początek, ale buntownicy są hardzi i przeciwstawiają nam się na każdym kroku. Chodzą słuchy, że siły Chaosu przysłały tutaj swoje sługi, aby wspierać heretyków. Jedną z możliwości jest obecność Legionu Tysiąca Synów Tzeentcha, a wiele informacji wskazuje na to, że dowodzi nimi Madok. Podobno widziano go pomiędzy żołnierzami.

– Mam z nim pewne porachunki do wyrównania, bracie. Już dwa razy wymykał się z moich rąk. Trzeci raz mu się to nie uda.

– Życzę ci zatem, aby twoja misja zakończyła się sukcesem. Już wkrótce możesz mieć okazję stanąć ze swoim wrogiem oko w oko. Mamy informacje, że słudzy plugawych bogów szykują potężne kontruuderzenie.

– Kiedy mogę opuścić ambulatorium? – spytał lekko zniecierpliwiony Ragnar.

– Za kilka dni, bracie.

– To stanowczo zbyt długo – odparł, wstając ze stołu operacyjnego. Zignorował ból w klatce piersiowej i rozejrzał się wokół. Maszyny medyczne, wyczuwając, że pacjent wstaje, wycofały się do swoich schowków, zrywając połączenia ze zbroją. – Zakon będzie potrzebował każdego Wilka.

– Jak sobie życzysz, bracie Ragnarze – powiedział Sigard.

Ragnar pokiwał głową, a potem ruszył w kierunku drzwi. Odgłosy

bitwy, które zza nich dobiegały, były dla jego uszu niczym muzyka.

